

C 1236

EDWARD LABOULAYE

profesor w Collège de France.

R

V

# PARYŻ W AMERYCE

przez

D<sup>na</sup>. RENÉ LEFÈVRE,

Paryżanina, członka francuskiego stowarzyszenia płacących podatki i paryskiej spółki administracyjnych; członka wielu stowarzyszeń filadelfijskich i filharmonicznych etc; członka de la real Academia de las Fontes de Guisando; Pastore neli Areadia in Brenta dello Melibeo l' Intronato; Mitglied des Gross- und Kleindeutschen - Narren-Landtags; Mitglied der k. Hanswurst - Academie zu Günsedorf; member of the Club of Tarleton, Coventry F. R. T. S. M. A. D. D. etc.; Komandor Wksigzącego orderu Della Civetta; Kawaler orderu kosa białego [LXXXIX klasy] z gwiazd etc. etc. etc.

*Aegri somnia.*

Przełożył z francuskiego

W. K.

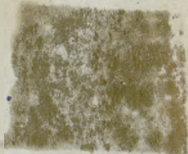

L W Ó W,

Nakładem Wydawnictwa Dziennika Literackiego.

1867.

3514

Z DRUKARNI E WINIARZA.



Biblioteka i Muzeum  
Zw. Nar. Pol. w St. Zjedn. P. A.

Chicago, Ill.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

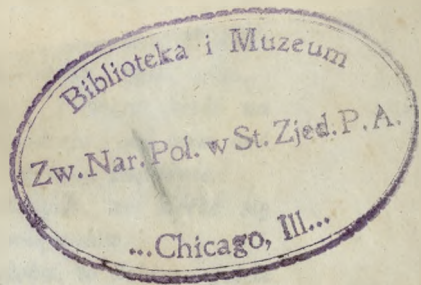
	<i>Stronnica</i>
I. Spirytysta amerykański . . . . .	5
II. Czy to sen? . . . . .	13
III. Zambo . . . . .	17
IV. <i>At home.</i> (U siebie) . . . . .	23
V. Bez posagu . . . . .	30
VI. W którym się zaznajamiamy z panem Alfredem Rose i sąsiadem Green . . . . .	40
VII. Pożar . . . . .	49
VIII. Truth, Humbug, and C <sup>o</sup> . . . . .	62
IX. W którym prawda dostaje za swoje . . . . .	72
X. Piekielna kuchnia . . . . .	88
XI. O zasadzie protekcyjnej, że życie prywatne po- winno być obmurowane . . . . .	101
XII. Wybory w Ameryce . . . . .	113
XIII. Canvassing . . . . .	121
XIV. Vanitas vanitatum . . . . .	132
XV. Wspomnienie nieobecnej ojczyzny . . . . .	143
XVI. Wybory. Sabat . . . . .	156
XVII. Podróż dla znalezienia kościoła . . . . .	171
XVIII. Chińczyk . . . . .	183
XIX. Kazanie Kongregjonalistów . . . . .	191
XX. Śniadanie pastorów . . . . .	203
XXI. Szkołka niedzielna . . . . .	225
XXII. Kłopoty urzędnika amerykańskiego. . . . .	237
XXIII. Posłuchanie u sędziego pokoju . . . . .	250

	<i>Stronnica.</i>
XXIV. Prokurator jeneralny . . . . .	266
XXV. Dinah . . . . .	283
XXVI. Dobroczynność . . . . .	297
XXVII. Szkoła . . . . .	316
XXVIII. Wyruszenie ochotników . . . . .	334
XXIX. Przyjemna Podróż . . . . .	346
XXX, Najkrótszy z całej książki i najbardziej interesu- jący dla czytelnika . . . . .	359
XXXI. Niektóre niedogodności podróży do Ameryki . . . . .	360
XXXII. Rodzina paryska . . . . .	378
XXXIII. Doktor Olybrius . . . . .	387
XXXIV. Warjat . . . . .	404
XXXV. Mędrzec . . . . .	413



C 1236

# PARYZ W AMERYCE.



PARYZ W AMERYCE.



## Do czytelnika.

Ofiaruję ci kochany czytelniku tę książkę napisaną dla twojej i mojej przyjemności. Nie spodziewam się dla niej ani sławy, ani też powodzenia; powodzenie jest to kobieta, która od sześciu tysięcy lat uśmiecha się jedynie do młodych; sława, to markietanka, znajdująca przyjemność jedynie wśród żołnierzy.

Ja jestem stary; nie zabiłem nikogo, to też jedynym mojem pragnieniem jest szukanie prawdy, takiej jak ją rozumiem, i wypowiedanie jej po mojemu. Wybacz mi, że nie mam uroczystej powagi wołu, gęsi, albo... wybierz nazwę jaką ci się podoba. Pierwsze kroki na drodze tego życia dosyć nas też kosztują, aby nam dać prawo naśmiania się dowoli nim kurtyna zapadnie.

Po stracie złudzeń młodzieńczych, nie bierze się już na serjo ani komedji, ani komedjantów.

Jeżeli ta książka ci się spodoba, to dobrze, jeżeli zaś cię oburzy, to tem lepiej. Jeżeli ją rzucisz precz, to źle zrobisz, a jeśli ją zrozumiesz, to będziesz mędrszym od Machiawela. Niech ci ona zapełni chwile wolne od zajęcia, a nie pożalujesz tego. *Non est hic piscis omnium.*

*To, co wczoraj było paradoxem, jutro będzie prawdą.  
Mądroj głowie dość na słowie.*

*Może kiedyś przy świetle mojej latarni ujrzysz całą  
brzydotę bożków, których dziś uwielbiasz; może spostrzeżesz  
rysującą się w cieniu, w całym blasku swego nieśmier-  
telnego uśmiechu wolność, tę córkę ewangeliczną, siostrę  
sprawiedliwości i miłosierdzia, matkę równości, dobrobytu  
i pokoju. Wówczas czytelniku nie pozwól zagasnąć po-  
chodni, którą ci powierzam. Oświecaj! oświecaj tę mło-  
dzież, która z takim zapalem i niecierpliwością żąda,  
abyśmy jej wskazali drogę przyszłości; niech będzie ona  
bardziej szaloną niż jej ojcowie, ale w inny sposób,  
to jest mojem pragnieniem i moją nadzieją.*

*A ja tymczasem proszę Boga, aby cię zachował  
od nieoświeconych i głupców, bo co do złych, to twoja  
rzecz ich się pozbyć.*

*Życie jest walką, urodziłeś się żołnierzem, więc  
się broń, albo co jeszcze lepiej, weź od Amerykanów  
dawne francuskie hasło: „Naprzód! zawsze i wszędzie  
naprzód!”*

*Bądź zdrów przyjacielu!*

**René Lefebvre.**

*New Liberty (Virginia) 4. Lipca 1862go roku.*



## ROZDZIAŁ I.

### SPIRYTYSTA AMERYKAŃSKI.

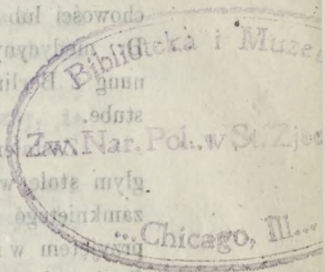
„Jonathan Dream, spirytysta i medium z Salem (Mass), zaprasza pana na wieczór fizyczny i medianimiczny, który będzie miał honor dać we wtorek pierwszego kwietnia w swoim domu, ulica de la Lune, Nr. 33.

„Lunatyzm, zachwycenie, wizja, przewidywanie, prokowanie, jasnowidzenie, widzenie na wielką odległość, zgadywanie, odgadywanie, zgadywanie myśli, wywoływanie duchów; rozmowa, poezja, pismo nadnaturalne; myśli z po za grobu; tajemnice życia przyszłego odkryte, etc. etc.

„Przy drzwiach zamkniętych o godzinie 8. punkt.“

— Do licha! — pomyślałem sobie czytając to zaproszenie — wcale byłbym nie od tego, aby się poznać z medium amerykańskim, z kolegą w pneumatologii pozytywnej i doświadczalnej, bo i ja także jestem spirite!

Chociaż jestem tylko prostym mieszczaninem paryskim, równie jednakże jak każdy inny wywoływałem Cezara, Napoleona, Woltera, panią de Pompadour, Ninon, Robespiera i t. p., i nawet muszę się przyznać, chociaż to rani moją





skromność, że te znakomitości wcale mnie nie olśniły swoim geniuszem; odpowiadały mi one tak, jakbym ja sam im podpowiadał. Zobaczymy, czy pan Jonathan Dream ze swojemi pretensjami z po za oceanu, będzie miał więcej duchowości lub więcej rozumu jak wasz sługa Daniel Lefebvre, Dr. medycyny, który się uczył spirytualizmu od pana Hornung z Berlina, od pana Reichenbach i od barona Guldenstube.

Zastałem pana Jonathana Dream siedzącego przy okrągłym stole w pięknym apartamencie, w głębi hermetycznie zamkniętego lecz rzęsiście oświetlonego salonu (co nie jest przyjętem w naszych zwykłych zebraniach spirytystycznych). Spojrzenie jego było melancholijne, a twarz natchnioną jak u starożytnej Sybille. Naprzeciw niego siedziało z pół tuzina adeptów o twarzach zamysłonych. Na podobnych zebraniach zawsze jest ta sama publiczność: mężczyźni nerwowi, kobiety zapoznane i niezrozumiane, panny pełnoletnie lub dymisjonowane wdowy. Każdy wypisał na kawałku papieru imiona umarłych, których chciał zapytywać, i ja też zrobiłem to samo.

Wszystkie te kartki pomieszano i włożono w kapelusz; najprzód wydobyto z niego imię Józefa de Maistre. Jonathan zastanowił się chwilę, potem przyłożył rękę do ucha, aby lepiej usłyszeć głos, który mówił do niego po cichu i szybko napisał co następuje:

„Nie ma wiadomości jałowych; każda wiadomość podobna jest do tej, o której mówi biblja: Adam poznał Ewę i prodziła.

„Bez Credo (wierzę) nie ma kredytu (wiary).“

— Otóż paroxy — pomyślałem sobie — które mają nie złą minę; przypominają one zupełnie swego ojca; lecz

zdaje mi się że to moja dawna znajomość, i jeżeli się nie mylę, to je czytałem w Baaderze. Ale mniejsza o to, może tam w górze nie ma własności literackiej, i może też istnieje zwyczaj wykradania sobie wzajemnie idei, tak dla zabawki.

Drugi wystąpił Hipokrates i był tak grzeczny, że mówił po francuzku; napisał on co następuje:

„Człowiek, który najwięcej myśli, najmniej trawi. Zresztą wszystkie rzeczy są sobie równe; kto najmniej myśli, ten najlepiej trawi.“

— Niestety! — odezwała się małeńka kobietka, której wychudła twarz nikła prawie w puklach siwiejących włosów — to prawdziwa odpowiedź doktorska, odpowiedź grubiańska, odpowiedź mężczyzny i dla mężczyzn. Bo to przecież nie myśl nurtuje serce, to...

I westchnęła.

Potem wezwano Nostradamusa i pytano go o przyszłość Polski, Francji i Włoch.

Oto odpowiedź wielkiego przepowiadacza, tego wspańiałego geniusza, który zawsze każe innym zgadywać to, co mówi:

„We francuzkim, włoskim i polskim kraju

Wiele rozumu, mało obyczajaju.

W polskim, francuzkim, włoskim narodzie

Jest się rozumnym, ale po szkodzie.

Co Francuz, Polak albo Włoch skleci,

W tem mało szczęścia, więcej nadziei.“

Musieliśmy się zadowolnić tą przepowiednią, za bardzo głęboką, aby ją można było zrozumieć.

Po czarowniku prowensalskim przyszła kolej na Kościuszkę. Tego wieczora wyraźnie Washington polski był

w złym humorze; nie można było z niego wydobyć nic więcej nad tę łacińską dewizę: *In servitute doler, in libertate labor* (w niewoli boleść, w wolności praca). Po trzykroć go zapytywano, i po trzykroć dał nam tę samą ponurą odpowiedź, rzucając ją nam w oczy jakby wymówkę, żeśmy jej od razu nie pojęli.

Ostatnia kartka żądała, aby zapytano don Quichota, Tom Jones, Robinsona albo Werthera, co pobudziło do śmiechu całe zgromadzenie, chociaż prawdę mówiąc nikt nie miał ochoty śmiać się. Muszę wyznać ze wstydem, że autorem tej impertynencji byłem ja.... Umarli i żywi tak mnie już od dawna znudzili, że nadzwyczajnie radbym był wiedzieć, co się dzieje w głowach ludzi, którzy nigdy nie istnieli.

Jonathan Dream wrzucił niefortunną kartkę do koszyka, ogłosił posiedzenie skończonem i odprowadził nas do drzwi z nadzwyczajną grzecznością. W chwili, gdy miał próg przestąpić, położył on rękę na mojem ramieniu, prosząc, abym się z nim nieco zatrzymał.

Gdyśmy pozostali sami, odezwał się do mnie z dziwnym uśmiechem:

— To pan, panie kolego, uczyniłeś mi pytanie, które ci profani wzięli za niedyskrecję; może i pan sam podzielasz ich zdanie. Słupy, coś nigdy nie zgłębił tajemnic wielkiej prawdy, sądzisz zapewne, że don Quichot i Sancho, Robinson i Piątek, Werther i Karolina, Tom Jones i Zofja nigdy nie istnieli?

— Jak to, więc sądzisz, że człowiek, który nie jest w stanie stworzyć jednego atomu materji, mógłby stworzyć sam przez się dusze, które wiecznie żyć będą?

— Czyż pan wierzysz mniej w don Quichota niż w Artaxerxesa? Czyż dla pana Robinson nie jest istotą równie prawdziwą jak Drake lub Magellan?...

— Jak to, więc genialny don Quichot istniał rzeczywiście! Więc mogłem być porozmawiać z mądrym prefektem wyspy de Baratarie?

— Bez wątpienia. Czy wiesz pan, co to jest poeta? To jasnowidzący, to prorok, który się wznosi aż w świat niewidzialny. Tam z pośród milionów istot, które żyły kiedyś na tej ziemi, a których wspomnienie zagięło, wybiera on te, które chce wskrzesić w pamięci ludzi. Wywołuje on je, mówi do nich, słucha ich, i pisze to, co mu one dyktują. To co głupia ludzkość bierze za wymysł artysty, jest w samej rzeczy spowiedzią nieznanego zmarłego; ale jak się to dzieje, że pan, spirytysta, a który przynajmniej masz się za takiego, nie umiesz poznać nadnaturalnego głosu? Jak pan możesz dać się tak oszukiwać jak ogół. Czyż pani tak mało jeszcze postąpiłeś na drodze tak zwanej pośredniej (medianimiste)?

Mówiąc to, Jonathan Dream zadarł głowę, i zbliżał się ku mnie machając rękami, to je zamykając to otwierając naprzemian, jak gdyby mnie chciał zalać swoim prądem magnetycznym.

— Kolego! — odezwałem się — widzę to dobrze, że jakkolwiek spirytysta, jesteś jednakże człowiekiem rozumnym; nie wątpię, że gdybyś zechciał, tobyś mógł nam napisać jaką mówkę a la don Quichot, albo zaimprovizować jakie nowe przysłowie godne Sancha. Ale na co nam udawać, jesteśmy sami a do tego obadwaj augurami, mamy prawo patrzeć otwarcie na siebie, a nawet i śmiać się przy-



patrując się sobie. Dajmy więc pokój komedjom; co do mnie, to życzę panu jak najlepszego powodzenia. We Francji o to nie trudno; lud, który się uważa za najmądrszy na świecie, już przez to samo najłatwiej daje się wywieść w pole. Zapytaj o to Paryżanek.

— Dosyć tego! — zawołał silnym głosem magik. — Czyżbym się miał omylić, czyż miałbym do czynienia z fałszywym bratem?... Cóż to, czy mnie pan masz za szarlatana, mistyfikatora lub kuglarza? Wiedz pan o tem, że Jonathan Dream nigdy nie wyrzekł słowa nieprawdy. Ah, więc pan wątpisz o mojej potędze, mój mędrze! Jakiegoż dowodu pan żądasz?... Czy chcesz, abym cię pozbawił wszystkich twych myśli, co zresztą nie przedstawiłoby zbyt wielkich trudności; może chcesz, aby cię uspić, dać ci uczuć zimno, gorąco, wiatr, deszcz; może...

— Daj pan pokój magnetyzmowi — odezwał się. — Wiem, że to jest siła czysto naturalna, lecz mało dotąd znana, a której wy nadużywacie. Jeżeli pan chcesz mnie przekonać, to nie zaczynaj od uspienia mnie. Nie jesteśmy przecie na przedstawieniu.

— No, a cóżbyś pan powiedział — odrzekł wlepiając we mnie swe błyszczące oczy — gdybym cię przeniósł do Ameryki.

— Co mnie? Musiałbym to ujrzeć, aby uwierzyć.

— Tak, pana — zawołał — i nie tylko pana, ale i twoją żonę, twoje dzieci, twoich sąsiadów, twój dom, twoją ulicę, a jeżeli chcesz to i cały Paryż... Tak — dodał z gorączkowym wzruszeniem — tak, jeżeli zechcę, to jutro cały Paryż będzie w Massachuset, a na brzegu Sekwany zostanie się tylko bezludna płaszczyna...



— Trzeba było, mój kochany czarowniku, sprzedać twój sekret panu prefektowi Sekwany; to by nam było może oszczędziło z kilka milionów. Podczas niebytności Paryżan byłoby im się postawiło Paryż zupełnie nowy, porządny, monotenny jak New York; Paryż bez przeszłości, bez pomników i wspomnień; wszyscy nasi budowniczcy i administratorowie byłiby się nie posiadali z radości!

— Pan żartujesz — rzekł Jonathan — bo się pan boisz. A ja panu powtarzam, że jutro gdy zechcę, Paryż będzie w Massachusct. Czy przyjmujesz pan wyzwanie?

— Niezawodnie, że je przyjmuję — odpowiedziałem śmiejąc się. Jednakże pewność tego djabelskiego człowieka, zmieszała mię nieco. Znam się na samochwalstwach; co dzień przecież czytam ze dwadzieścia dzienników, i nie jednego ministra widziałem na mównicy; lecz ten głos jakby natchniony zaimponował mi pomimo mej woli.

— Weź to pudelko — rzekł czarodziej głosem rozkazującym — otwórz je; oto dwie pigułki: jedna dla mnie, druga dla pana, wybieraj i nie pytaj mnie o nic więcej.

Za daleko się zapędziłem: cofnąć się nie było sposobu. Połknąłem jedną pigułkę, Jonathan zażył drugą, i pożegnał mnie, dodając głosem podziemnym:

— Do jutra, z drugiej strony oceanu!

Wyszedszy na ulicę uczułem, że się coś nadzwyczajnego ze mną dzieje. Pobiegłem na pola elizejskie jednym tchem, i anim się obejrzał, gdym się na nich znalazł. Uczułem się żywszym, lżejszym, elektryczniejszym, niż wszyscy inni ludzie; zdawało mi się, że podskoczywszy schwyciłbym za rogi wschodzący księżyc. Wszystkie moje zmysły nabrały delikatności nie do uwierzenia. Z placu Konkordji

widziałem powozy przejeżdżające około łuku l' Etoile, sły-  
szałem szmer, jaki sprawiała wielka igła wskazująca go-  
dziny na zegarze w Tuillerjach. Krew krążyła w mych żyłach  
z nieznaną mi dotąd gorączkową szybkością; zapytywałem  
sam siebie, czy czasem jaka ręka niewidzialna nie przeni-  
osiła mnie już po za Atlantyck. Ażeby się uspokoić, spoj-  
rzałem na nowy księżyc, który powoli wznosił się w górę;  
przekonawszy się, że nie zmieniał południka, powróciłem  
do domu, wstydząc się sam przed sobą mej łatwowiekości,  
i zasnąłem śmiejąc się z pana Dream i jego szalonych  
pogróżek.

## ROZDZIAŁ II.

### CZY TO SEN?

W nocy miałem sen. Ale byłże to sen zwyczajny? Jonathan siedział w głowach mego łóżka, i patrzył na mnie z miną drwiącą.

— A więc! — mówił on — jak się pan masz, panie niedowiarku, po przebyciu oceanu? Podróż nie nazbyt pana zmęczyła.

— Jaka podróż — wyszeptalem — wszak ja ani na chwilę nie ruszyłem się z łóżka.

— To prawda, ale pan jesteś w Ameryce. Nie wyskakuj pan jak warjat ze swego łóżka! Poczekaj; niech ci dam niektóre objaśnienia, aby cię przerażenie nie zabiło. Najprzód, trzeba ci wiedzieć, żem wywrócił twój dom. W kraju wolnym nie mieszka się w komodach, pomieszani wszyscy razem, bez żadnej godności i gdzie nikt nie ma spokoju. Z każdej z szuflad, które wy nazywacie piętrami, zrobiłem osobne mieszkanie na sposób amerykański, urządziłem je i umeblowałem po swojemu, i do każdego dodałem mały ogródek. Musiałem poświęcić całe dwie go-

dziny, których z resztą wcale nie żałuję na urządzenie w ten sposób czterdziestu tysięcy domów Paryża; teraz przynajmniej, jesteś pan prawdziwie panem u siebie, a to jest najpierwsza ze wszystkich wolności. Odtąd sąsiedzi nie dadzą się więcej panu we znaki, jak również i pan ich nie będziesz niepokoił. Odory kuchenne i stajenne, krzyki dzieci, kobiet i służących, szczekanie psów, miauczenie kotów i fortepianów — wszystko to już się skończyło. Przestałeś pan być numerem jak na galerach, lub w szpitalu, przestałeś być śledziem w baryłce, a stałeś się człowiekiem; masz familję i dom, w całym znaczeniu tych wyrazów.

— Mój dom wyrócony! — zawołałem. — No, to jestem zrujnowany; cóż pan zrobił z moimi lokatorami?

— Bądź pan spokojny, są oni tu obok; każdy w osobnym małym lecz wygodnym domku. Stali się oni teraz prawie stałymi mieszkańcami, i będą ci płacić regularnie komorne, przynajmniej przez pół wieku, i niebędziesz miał potrzeby co trzy lata odnawiać kontraktu najmu, przy czem dawniej zwykle staraliście się wzajemnie wywieźć w pole. Na prawo umieściłem kupca korzennego, pana Levert, który obecnie nazywa się M. Green. M. Petit bankier, który mieszkał na pierwszym piętrze, stał się panem Little, co mu jednak nie przeszkadza być nader ważną figurą, z powodu swoich milionów. M. Renard, adwokat z drugiego piętra nazywa się pan obrońca Fox, przez co jednak nie stracił nic ze swej przebiegłości. Na lewo masz pan sąsiada, dzielnego pułkownika Saint Jean z czwartego piętra, ze wszystkimi jego reumatyzmami i artrytyzmami, który obecnie nazywa się: the gallant collonel Saint John, a obok niego aptekarz Rose, który nic nie stracił na swojej powadze od czasu jak się nazywa M. Rose *apothicaire*.



Co się tyczy pana, kochany panie Lefebvre, to na zasadzie prawa emigracyjnego, nazywasz się pan tu doktor Smith, i jesteś członkiem jednej z najliczniejszych familji anglosaksońskiej rasy. Życzę ci, abyś zrobił majątek zabijając lub uzdrawiających swoich pacjentów w nowym świecie; co do kuzynów, to tych ci pewnie nie zabraknie.

Chciałem zerwać się z łóżka i krzyczeć, lecz oczy mego straszego gościa, wlepione we mnie, nie dozwoliły mi się z miejsca poruszyć.

— Ale, ale — dodał on, śmiejąc się — zapewne pan będziesz zdziwiony słysząc swoją żonę, swe dzieci i swych sąsiadów mówiących po angielsku, a do tego przez nos. Zostawili oni swą pamięć w starym świecie, i od razu stali się Jankesami czystej krwi. Cudowny skutek klimatu, który już przed wiekami zauważał był wielki Hipokrates, książę wszystkich spirytystów. Psy przestają szczekać zbliżając się do bieguna; a zboże pod równikiem zamienia się w pyż jałowy. Jankesowi w Paryżu zdaje się, że jest szlachcicem, ale za to Francuz w Stanach Zjednoczonych traci wstręt do wolności. Tobie jednak panie niedowiarku zostawiłem wszystkie twe paryzkie przesady i wspomnienia; tym sposobem będziesz pan mógł lepiej osądzić i ocenić moją władzę. Przekonaj się pan, czy Jonathan Dream jest rzeczywiście spirytysta; otoż zaszyłem pana w skórę amerykańską, z której nie wyleziesz aż wtenczas, kiedy mnie się spodoba.

— *But, I cannot speak English* (ależ ja nie umiem po angielsku) — zawołałem i zatrzymałem się nagle, przerażony mym ptasim akcentem.

— Wcale nie źle, jak na początek — odezwał się drwiąco mój prześladowca. — Najdalej za dwa dni będziesz



pan wymawiał po angielsku z całą łatwością i wdziękiem Szkota. Do widzenia — dodał wstając — do widzenia; o północy czekają mnie w Konstantynopolu, w haremie sułtańskim u pierwszej Sułtanki; o drugiej w nocy muszę być w Londynie, a wschód słońca ujrzę w Pekinie. Oto ostatnia rada, jakiej mam panu udzielić: pamiętaj, że mędrzec niczemu się nie dziwi. Jeżeli n. p. ujrzysz pan koło siebie jaką dziwną postać, to nie krzycz gwałtu, bo by cię zamknięto wraz z naszymi lunatykami, coby ci przeszkadzało w robieniu spostrzeżeń.

Zerwałem się na równe nogi; lecz trzy garście prądu magnetycznego rzucone prosto w twarz, uczyniły mnie nieruchomym i niemym. Wtedy mój prześladowca ukłonił mi się ze złośliwym uśmiechem; schwycił błyszczący w pokoju promień księżyca, opasał się nim, otworzył okno i rozpląnął się w powietrzu. A ja, czy to skutkiem przerażenia, magnetyzmu lub senności, wpadłem w jakąś dziwną bezwładność.

*I venni meno, come s' io morisse,*

*E caddi, come corpo morto cade...*

(Omdlałem tak, jakbym umierał,

I upadłem, jak pada ciało martwe.)

(Dante, *Pieśń p. V.*)

### ROZDZIAŁ III.

#### ZAMBO.

Gdym przyszedł do siebie, słońce było już dosyć wysoko. Syn mój śpiewał na cały głos *Miserere* z *Trovatore*, a córka, uczennica Thalberga, grała z nieporównanem życiem warjacje *Sturma* przerobione przez *Donnera*. W oddali żona moja klóciła się ze służącą, która jej krzykliwie odpowiadała. Wszystko działo się po dawnemu, życie moje nie uległo więc żadnej zmianie, widzenia nocne były więc snem tylko. Otrząsnąwszy się więc z urojonego przestachu, zacząłem podług słodkiego przyzwyczajenia marzyć z otwartymi oczami, czekając na śniadanie. O siódmej, jak zwykle, przyszedł służący i przyniósł mi dziennik; następnie otworzył okno i podniósł żaluzie: blask słońca i świeże powietrze przyjemne na mnie zrobiły wrażenie.

Odwróciłem się ku oknu — lecz o nieba! włosy powstały mi na głowie; chciałem krzyknąć, lecz głos mi zamarł w piersiach. Przedemną stał uśmiechnięty murzyn, z zębami jak klawisze u fortepianu; dwie ogromne, czerwone, wywrócone wargi zasłaniały mu zupełnie nos i brodę. Zwierzę

to, całe ubrane biało, jakby się obawiało nie wydać dosyć czarnem, zbliżyło się do mnie potrząsając swą fryzowaną głową i przewracając nieustannie swemi wielkimi oczami.

— Massa \*) dobrze spał — odezwał się — Zambo z tego kontent.

Zamknąłem oczy, aby odpędzić od siebie tę marę; serce biło mi jak młotem; gdym odważył się otworzyć oczy, byłem sam.

W mgnieniu oka wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do okna, macając się po głowie, aby się przekonać, że jest na swoim miejscu. Przedemną ciągnął się szereg małych domków, zupełnie jeden do drugiego podobnych, ujrzałem trzy drukarnie, sześć redakcyj dzienników i pełno na wszystkie strony afiszów. Rynsztokami płynęła czysta źródłana woda. Na ulicy pełno ludzi zamysłonych, milczących, idących szybkim krokiem, z rękami w kieszeniach, niezawodnie dla ukrycia tam rewolweru; ani hałasu, ani krzyków, ani przechadzających się z cygarem w ustach próżniaków, ani kawiarni, a co jeszcze dziwniejsza, że tak daleko, jak mogłem okiem zajrzeć, nie spostrzegłem ani jednego policjanta, ani jednego żandarma. — Stało się! Jestem w Ameryce, nieznany, sam jeden, w kraju bez rządu, bez praw, bez wojska, bez policji, w pośród ludu dzikiego, gwałtownego i chciwego. Jestem zgubiony! Bardziej opuszczony i bardziej też zrozpaczony niż Robinson po rozbiciu, na wpół bezprzytomny rzuciłem się na fotel, który natychmiast zaczął tańczyć podemną. Zerwałem się cały drżący i pobiegłem do lustra, lecz niestety, nie poznałem sam siebie. W lustrze ujrzałem człowieka chudego, z łysą

---

\*) Massa, Master (pan, w narzeczu amerykańskim).

głową, gdzieśgdzie pokrytą czerwonym włosom, o twarzy bladej, otoczonej rudymi, aż na ramiona spadającymi faworytami. Otóż, co złośliwy los zrobił z Paryżanina z Chaussée d'Antin! Byłem blady, zęby mi dzwoniły jak w febrze, zimno przejęło mię aż do szpiku.

— Odwagi! odwagi! — rzekłem sam do siebie — nie zapominaj, że masz rodzinę i że powinienes podtrzymać honor imienia francuzkiego. Trzeba przewyciężyć samego siebie, wszak to przeciwności tworzą bohaterów.

Chciałem zawołać służącego, ale cóż kiedy nie ma dzwonka; nareszcie spostrzegłem w ścianie guzik miedziany i przycisnąłem go na chybił trafił. W tej chwili zjawił się Zambo, jakby jeden z owych djabłów, co wyskakują z puszeki i kłaniając się pokazują język.

— Chcę ognia — zawołałem — zapal mi zaraz w kominie.

— A czy Massa nie ma zapalek — rzekł Zambo wskazując na paczkę takowych leżącą na kominku. — Massa więc nie może się schylić — dodał tonem ironicznym.

I mówiąc to zakręcił kurek rury wewnątrz komina się znajdującej, przytknął do niej zapalkę, a natychmiast w kominie błysnął ogień kilkunastu promieniami.

— Czy też to się godzi, mój Boże — mruknął wychodząc — przeszkadzać murzynowi grzać się na słońcu dla takiej bagateli.

— Ludzie dziki — pomyślałem sobie zbliżając się do ognia i rozkoszując się jego łagodnem i jednostajnem ciepłem — ludzie dziki, który obchodzisz się bez łopatki, szczypczyków i mieszka, bez węgla i dymu; ludzie barbarzyński, który nie znasz nawet przyjemności grzebania w kominie! Urządzić w ten sposób komin, aby przez zakręcenie



kurka zapalić ogień, aby przy pomocy tego kurka mózgo powiększyć, zmniejszyć lub zagasić, mogła tylko rasa ludzi pozbawionych zupełnie poezji, u których wszystko jest obrachowaniem, którzy boją się stracić napróżno jedną minutę, ponieważ czas to kapitał — pieniąż.

Rozgrzawszy się dobrze pomyślałem o ubraniu. Przed sobą miałem stół mahoniowy, cały pokryty miedzianymi głowami łabędzi i tym podobnymi cackami, bez żadnego gustu, lecz ozdobiony przytem licznymi naczyniami z angielskiego fajansu, które przyjemnie bawiły oko swą świeżością, bogactwem kolorów i rysunku. Oprócz tego znajdowało się na tymże stole szczotek, gąbek, mydeł, octów i pomad aż do zbytku, ale za to nie było ani kropli wody. Przycisnąłem guzik i wnet pokazał się Zambo, ale jeszcze w gorszym niż poprzednio humorze.

— Wody ciepłej i zimnej — zawołałem — tylko prędko, bo nie mam czasu.

— A! co tego, to już zanadto — mruknął Zambo. — A czy to Massa nie może sam zakręcić kurka od wody zimnej i drugiego od wody gorącej, które są tam w kącie. Słowo honoru, że to nie do wytrzymania, nie podobna dłużej zostać w służbie u pana, który sam nic nie robi.

I wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— Mieć wodę ciepłą wszędzie i w każdej chwili, to dosyć wygodnie — pomyślałem sobie — ale wszystkie te wynalazki dowodzą, że to jest lud zajęty jedynie swoją wygodą; my dzięki Bogu dalecy jesteśmy od tego. Nie jeden wiek minie, zanim szlachetna Francja upadnie tak nisko, aby miała się starać o tę czystość i zniewieściałą wygodę.



Nic tak nie otrzeźwia myśli, jak ogolenie się. Przeprowadziwszy do porządku mą brodę, uczulem się zupełnie innym człowiekiem; zacząłem nawet godzić się z mą długą twarzą i wystającymi naprzód zębami. Gdyby to wzięść kąpiel, pomyślałem sobie, tobym się do reszty uspokoił i nabrał dosyć odwagi, aby się zdecydować na zobaczenie żony i dzieci, które niestety może równie jak i ja zmianie uległy.

Zadzzwoniłem; wszedł Zambo z wyrazem twarzy nie do opisania.

— Bądź tak dobry, mój przyjacielu, i wskaż mi drogę do jakich łazienek.

— Co, do łazienek Massa, a to na co?

— Prawdopodobnie, aby się wykapać, ośle — rzekłem wzruszając ramionami.

— Massa się chce kąpać — rzekł Zambo, patrząc na mnie wzrokiem zdziwionym i przerażonym zarazem. — I to dla tego Massa kazał mi tu przyjść z głębi ogrodu?

— Bez wątpienia.

— A to okropne! — krzyknął murzyn, wrywając sobie garść kędzierzawych włosów. — Jak to! obok każdej sypialni jest łazienka, a Massa każe przychodzić Zambie, aby mu powiedzieć: „Mój przyjacielu, gdziebym się to mógł wykapać?“ Nie godzi się tak drwić sobie z Amerykanina!

I pchnąwszy małe drzwi ukryte pod obiciem wprowadził mnie do eleganckiego pokoiku, pośrodku którego stała wanna z białego marmuru.

— Dalej Zambo — krzyknął murzyn głosem wściekłym i zarazem komicznym — zakręć kurek dla Massa :

kurek od wody zimnej, potem kurek od wody gorącej; nalej wody w wannę, nagrzej prześcieradło — bądź nianką Zambo; Massa nie umie się posłużyć własnymi rękami.

Nie miałem co na to powiedzieć — milczałem więc, pozwalając Zambie wylać całą złość, jaką był przejęty; lecz w duchu przeklinałem te obrzydliwe domy amerykańskie, te nieznośne mieszkania, prawdziwe więzienia, z których wyjść nie można, ponieważ znajduje się w nich pod ręką to wszystko, czego w Paryżu mamy przyjemność iść szukać po za domem, wprowadzić trochę za drogo, ale za to daleko.

#### ROZDZIAŁ IV.

### AT HOME (U SIEBIE).

Po kąpeli, która mnie wcale nie uspokoiła, zszedłem na dół cały pogrążony w myślach. Mój Boże, co też zrobiono z mym domem? I w jaki sposób zmienioną ujrzę mą rodzinę? Wszedłem do pokoju jadalnego, lecz nie zastałem w nim nikogo; przeszedłem do małego saloniku, i tam nikogo nie było. Zacząłem więc, czekając póki kto nie nadejdzie, oglądać te dwa pokoje, ażeby się oswoić z nowem mojem mieszkaniem.

Pokój jadalny wysłany był dywanem; całą ozdobę jego stanowiła stara i ciężka serwanka hebanowa, napełniona filiżankami z chińskiej porcelany i imbryczkami z bardziej niż srebro błyszczącej angielskiej cyny. Naprzeciw tego kredensu wisiały trzy sztychy miernej wartości. Środkowy przedstawiał Penna rozmawiającego z Indjanami pod cieniem Shakamacon; po prawej jego stronie wisiał portret Washingtona na koniu z nieodstępnym murzynem, a na lewo portret czasowego władcy, szlachtetnego i starego Abe, czyli inaczej mówiąc poczciwego Abrahama Lincoln, niegdyś drwała a obecnie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Otóż to — zawolałem — są gieniusze opiekuńcze, które mają się odtąd mną opiekować, mną, Francuzem, wychowanym w czci dla siły i powodzenia! Spokojny kwaker — generał, który mogąc ogłosić się cesarzem nowego świata, poniżył się do tego stopnia, że wolał zostać pierwszym urzędnikiem wolnego ludu — prosty robotnik, który skutkiem wyższych zdolności i niez mordowanej pracy został adwokatem a potem prezydentem Rzeczypospolitej: oto są bohaterowie amerykańscy!

W tym na wpół dzikim kraju moralność prywatna nie przestała być moralnością wielkich ludzi. Cóż można spodziewać się po narodzie o takich przesądach! Można być pewnym, że nie da on światu Cezara!

W saloniku znajdował się palisandrowy fortepian, biórko pokryte papierami i biblioteka pełna książek. Trzy czy cztery biblje znajdowały się tam wpośród dzieł Franciszka Quarles, Bunyan, Jeremjasza Taylor, Lawa, Jonathana Edwards i Channinga; musieli to zapewne być bardzo zacni ludzie, lecz przyznam się, że teraz dopiero po raz pierwszy w życiu spotkałem się z ich imionami. Nie dotknąłem żadnej z tych książek, ponieważ z natury mam mało zamiłowania do teologii, nawet wieczorami, gdy zasnąć nie mogę. Oprócz tego znalazłem kilku historyków i moralistów, jak np. Franklina, Emersona, Marshalla, Washington-Irvinga, Prescottta, Bancrofta, Lothrop - Motlej, Ticknora itp., przytem kilka romansów serjo i mnóstwo dzieł poetów angielskich, amerykańskich, niemieckich a nawet hiszpańskich. — O! moja Francjo, pomyślałem sobie, gdzie ty jesteś? Niestety, jedynym przedstawicielem mej drogiej ojczyzny był Telemak, i do tego napisany najokropniejszą zangielszczoną ortografją. Aż mnie dreszcz przeszedł, gdy



sobie pomyślał, że może kiedyś w dzień moich imienin moja córka, moja kochana Zuzanna, zadeklamuje mi swemi ślicznemi usteczkami: *Calepso ne povait se consolere diou departe d'Joulis.*

Ze złością rzuciłem na stół Telemaka i wyszedłem do ogrodu; był to mały kawałek ziemi otoczony z czterech stron murem, niknącym prawie zupełnie pod festonami bluszczu i powoju; w ogródku pełno bżów, róż i innych nieznanym mi kwiatów; w głębi znajdowała się mała cieplarnia i altanka chińska, wyborne miejsce do picia herbaty, palenia cygara lub przypatrywania się gwiazdom. W ogrodzie nie było nikogo oprócz Zamby, wyciągniętego na białym marmurowym stole, jakby posąg z brązu. Z twarzą obróconą ku słońcu i całą pokrytą muchami, wypoczywał on chrapiąc po tyłu nieprzyjemnościach, które mu sprawiłem. Próżniak, korzystał z tego że służył u mnie, aby nic nie robić i spać sobie w najlepsze.

Ta samotna przechadzka wśród drzew i kwiatów zaczęła mnie nudzić i już chciałem obrudzić Zambę, aby mieć przyjemność posprzeciwiania mu się trochę, gdy w tem usłyszałem głosy, wychodzące z suterenu domu.

Zszedłszy kilka schodów znalazłem się w wielkiej kuchni, gdzie ujrzałem dwie kobiety tak zajęte, że nawet nie usłyszały szelestu mych kroków. Pierwsza, tyłem do mnie obrócona, którą jednakże poznałem po głosie, była moje droga Jenny, matka mych dzieci; drugą była ogromna blondynka, na pięć stóp i ośm cali wysoka, wyglądająca raczej na szkockiego grenadjera niż na córkę Ewy. Była to Marta, kucharka, pochodziła ona z Pensylwanji i należała do sekty religijnej tunkierystów (rodzaj kwaków reformowanych), zresztą wyborna istota, której usta ani na

chwile się nie zamykały. Miała ona jedną tylko wadę; uważała za poganina i bezbożnika każdego, kto miał choćby jeden guzik przy swoim ubraniu. Symbolem prawdziwego chrześcijaństwa dla tej wzniosłej duszy nie był bowiem krzyż lecz sprzączka.

Widząc je tak pilnie zajętemi i słysząc urywaną ich rozmowę, jaką między sobą prowadziły, domyśliłem się, że spełnia się w tej chwili jakiś ważny akt sztuki kuchennej. Jenny (w której z trudnością przychodziło mi poznać dawną panią Lefebvre) zarabiała w serwecie jakieś ciasto i starannie wkładała je w rondel napełniony wodą. Marta ze swojej strony zajęta była wstawianiem drogocennego rondla w ogromny piec z lanego żelaza, który zajmował czwartą część całej kuchni. Monumentalny bo też to był ten piec; o kilku piętrach, jakby dom jaki, a przytem zaopatrzony w niezliczoną ilość szuflad i szaf, wyziewających gęstą parę. Tygle, brytwanny, przedział do pieczenia chleba i ciast, kocioł z wodą gorącą, rezerwoar na ogrzanie powietrza itp., wszystko to mieściło się w tym monstrualnym piecu, nad otworem którego błyszczał wielkimi literami w fornieniu wyrzeźbiony napis:

G. Chilson's cooking range, Boston.

Bardzo wątpię, by nawet sam szatan przy pomocy wszystkich środków, jakimi rozporządza, był w stanie wynaleźć piec lepiej urządzone i ogrzany. Włożywszy ciasto w piec i ustawiwszy porządnie długi szereg rondli i garnków, Jenny odwróciła się i na mój widok wydała okrzyk zadowolenia.

— Dzień dobry ci, moje kochanie -- rzekła -- spodziewam się, żeś dobrze noc przepędził. Przypatrujesz się naszemu zatrudnieniu; właśnie robiłyśmy pudding, taki sam,

jak ten, który ci tak smakował przed kilku dniami. Znam lepiej niż Marta twój gust, i dlatego też sama go posiekałam i przyprawiłam. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony ze mnie i że mnie podziękujesz za trud mój, a raczej za przyjemność, jaką mi sprawia możność dogodzenia ci.

Mówiąc to zbliżyła się do mnie i dała mi swe czoło do pocałowania. Rzecz dziwna! była to moja żona, ale jakos zupełnie do paryzkiej niepodobna. Ta sama twarz, którą miała w starym świecie, te same rysy (z wyjątkiem zaczerwienionego nieco końca nosa) ale obok tego coś tak spokojnego i łagodnego w spojrzeniu, tak słodkiego w głosie i szlachetnego w ruchach, czego dotąd przez cały ciąg naszego pożycia w mojej żonie nie zauważałem. Serce moje zadrżało z radości, uczułem bowiem, że jestem kochany i starannie pielęgnowany. Nie zwracając więc uwagi ani na obecność Marty, ani na dwudziestoletnie nasze pożycie, uściśnałem serdecznie panią Lefebvre a raczej mistress Smith. Wybaczcie mi, paryzcy małżonkowie, to zapomnienie się, którego dopuściłem się w Ameryce!

— Bądź tak dobra, kochana Marto — rzekła moja żona odpasując fartuszek kuchenny i opuszczając swą jedwabną suknię — i pójdz do pana Green: powiedz mu, że przysłał mi wczoraj kawę Brazylijską zamiast Mokka, a przecież wie, że mój mąż tylko tę ostatnią pija. Nie zapomnij wziąć ten gatunek, co to ma małe okrągłe ziarnka; ja sama ją upalę. Kup przytem świeżych poziomek, które dziś rano widziałam na targu, do ubrania tortu, który tak doskonale umiesz robić, a który kiedyś tak smakował memu mężowi i dzieciom. Jeżeli spotkasz ogrodnika Hofmana, to mu powiedz, że już wszędzie z wyjątkiem naszego ogrodu są gwoździki i że mąż mój niecierpliwie czeka na trzy nowe

gatunki takowych, które od dawna był nam przyrzekł przynieść. Nie zapomnij też o liljach, które wybrałam dla Zuzanny i o Geranium, jakie zamówiłam dla Henryka. Na koniec przynieś od naszego księgarza ostatnią mowę szanownego doktora Bellows o położeniu ludu. Jest to utwór znakomity i patrijotyczny; mąż mój, który tak dobrze czyta, przeczyta nam ją głośno dziś wieczór. Niemalą to przyjemność sprawi tak mnie jako też i dzieciom.

O! wrażliwości serca ludzkiego! Pomimo woli uczułem się wzruszonym i zachwyconym tą nową dla mnie melodją, w której co moment słyszałem powtarzane naprzemian to moje imię, to imię moich dzieci. W Paryżu, we Francji, nigdy nic podobnego nie słyszał. Moja żona posiadała wprawdzie wszystkie zalety, lecz nadzwyczajna jej skromność nie pomalą mi życie zatrzymała. Dewizą pani Lefebvre było: robić tak, jak robią wszyscy.

Bogu tylko wiadomo, co mię kosztowała ta chęć nie wyróżnienia się niczem od ogółu. Ażeby być pomieszczeni jak wszyscy, mieszkaliśmy w środku miasta w wykwintnym, prawdziwie książęcym pałacu, ale za to na czwartym piętrze, na które prowadziło sto dziesięć marmurowych schodów. Szwajcar pałacu, wielki pan, który miał dwóch służących do usługi, kpił sobie ze mnie i zaledwie że raczył mi odpowiadać na czynione mu zapytania. Aby mieć taką służbę jak wszyscy (rozumie się wszyscy z dobrego towarzystwa) trzymaliśmy lokaja, ogromnego drąga, w aksamitnych pantalonach i czerwonej kamizelce, wielkiego pijaka, łgarza i próżniaka, który kosztował mnie bardzo drogo, a nietylko że nic nie robił, ale nadto nie dał mi się ani ubrać, ani zjeść spokojnie. Aby ubierać się jak wszyscy, moja żona i córka nosiły suknie bajecznie drogie, a kryno-



liny takie, że każda z nich zapełniała cały powóz tak, że ja musiałem mieścić się na koźle; nakoniec, aby bywać tam gdzie bywają wszyscy, musiałem na wszystkie strony starać się o zaproszenia i uśmiechać się do ludzi, którymi w głębi duszy pogardzałem. Ale cóż było robić, kiedy tego wymagała moda. Dobry ton nakazywał czcić majątek i rujnować się dla pokazania się bogatym. Nie mogłem przecie odsunąć się od dobrego towarzystwa. Byłaby to oryginalność, wada nader ordynarna, którą można jeszcze wybaczyć Anglikom, tym gburowatym wyspiarzom, ale nigdy Francuzom.

Dzięki mojej żonie i jej rozsądnym radom spełniliśmy z godnością to trudne zadanie; przyznawały nam to te wszystkie osoby, które nas widywały co dzień o tejże samej godzinie bez względu na pogodę w lasku Bulońskim. Mogę śmiało powiedzieć, żeśmy umieli utrzymać się na naszym stanowisku w Paryżu i żeśmy prowadzili życie nad wszelki wyraz mozolne; co rano oddawaliśmy ze dwadzieścia wizyt i nie opuściliśmy nigdy żadnego wieczoru.

Wszystko to było bardzo pięknie, jednakże muszę się przyznać, że w tym dzikim kraju moja prosta natura przewyciężyła; byłem uszczęśliwiony, że nie słyszałem więcej tego nieszczęsnego: „wszyscy tak robią“; cieszyłem się, że moja żona wyłącznie oddaną była mnie, dzieciom i gospodarstwu. Czulem się królem u siebie, i tak byłem zadowolony mymi poddanymi i ich posłuszeństwem, że wychodząc wzięłem przez pół Jenny i pocałowałem ją po raz drugi, co wywołało na jej twarz silny rumieniec

— *For shame, mister Smith* (wstydz się, panie Smith) wyszeptala ona takim tonem, że mi się przypomniały owe czasy, gdyśmy oboje o dwadzieścia lat byli młodszy.

---

ROZDZIAŁ V.

BEZ POSAGU.

Podczas gdy Zambo spał jak zabity a żona moja wraz z Martą zajęte były przygotowaniem śniadania, wziętemi się do czytania ogromnego i taniego dziennika *Paris-Télégraphe*, który wziął sobie za dewizę to głupie zdanie: *The world is governed too much* (świat jest za nadto rządzonem). Grubijański ton tego dziennika wcale mi się nie podobał. Dzięki Bogu, nam Francuzom dają lepsze wychowanie; nasz opiekuńczy i pełen dobrego gustu rząd nigdyby nie dopuścił, abysmy nabrali szkaradnego przyzwyczajenia nazywania wszystkiego właściwem imieniem, powiedziec np. że kot jest kotem, a Rollet łotrem\*).

Któżby to temu na przykład uwierzył, że *Paris-Télégraphe* śmiał nazwać złodziejem a nawet rozbójnikiem zacnego milionera, który, niezawodnie jedynie przez godną

---

\*) Appeler un chat un chat, et Rollet un fripon. Epigramat napisany przez Boileau na jednego z współczesnych mu a niezbyt dobrego imienia używającego autora Rollet. Odtąd epigramat ten wszedł we Francji w przysłowie. Prz. Tł.

pobłażania pomyłkę, dostarczył armji północnej sześćdziesiąt tysięcy par trzewików o tekturowych podeszwach, które oczywiście nie mogły się oprzeć biwakowej wilgoci. I prowadźże tu jakie interesa w kraju, gdzie nie umieją nawet uszanować wielkiego przedsiębiorstwa!

Cały dziennik był napisany w podobnym tonie. Nic nie uszło krytyki tego bezczelnego i gburowatego dziennikarza. Ten artykuł prawa był podług niego obrzydliwym, ponieważ naruszał swobodę działania obywateli; ów urzędnik, to Jefferies<sup>1)</sup>, to Laubardement<sup>2)</sup>, ponieważ wciągnął w niewinną pułapkę jakiegoś prostaka, który szukał sprawiedliwości; ten znów burmistrz to Verres<sup>3)</sup> albo głupiec,

<sup>1)</sup> Grzegorz Jefferies, wielki kanclerz angielski za czasów Karola II. i Jakóba II., znany z nieubłaganego wykonywania rozporządzeń rządowych bez względu na prawo i sprawiedliwość. Nienawidzony przez lud, został wtrącony do więzienia przez księcia Oranji, w którym też i umarł 18. kwietnia 1681 roku. Prz. Tł.

<sup>2)</sup> Laubardement, zauszniak kardynała Richelieu, ślepy wykonywacz wszystkich jego krwawych rozkazów, wzór prawdziwego siepacza. Prz. Tł.

<sup>3)</sup> Verres, najsztywniejszy złodziej grosza publicznego w historii rzymskiej, urodzony na 119 lat przed Chrystusem. Z początku był stronnikiem Marjusa, a następnie przeszedł na stronę Sylli, w roku 76. przed N. Ch. został mianowany prefektem miasta Rzymu, na której to posadzie dopuszczał się niesłychanych nadużyć, po roku przeniesiony został na tenże sam urząd do Sycylii, którą wkrótce kompletnie zrujnował, kradnąc bezczelnie na wszystkie strony. Był to człowiek najgorszych obyczajów, okrutny jak tygrys a chytry jak lis. Sławny jest proces wytoczony mu przez mieszkańców Sycylii, których bronił Cycero, skutkiem którego Verres musiał zwrócić część skradzionych pieniędzy i udać się na wygnanie. Po skończonym procesie Cycero ogłosił pięć rozpraw, opisujących dokła-

ponieważ ustąpił dobrze myślącym akcjonariuszom monopol korzystny dla ogółu, jakiemi są jak wiadomo wszystkie monopole. I zadaj że tu sobie mozolną pracę rządu ludźmi, poświęć się cały dla ich szczęścia— a w nagrodę za to będziesz miał do zniesienia podobne nieprzyjemności!

— Gdybyś ty miał zaszczyt, przekłety paszkwilarzu — zawołałem — żyć wśród ludu najcywilizowanego i najoświecenijszego na kuli ziemskiej, tobyś wiedział od urodzenia, że krytykowanie prawa, sędziego lub urzędnika jest zbrodnią obrazy majestatu społecznego! Pierwszym artykułem wiary ludu naprawdę ucywilizowanego jest nieomylność władzy. Niech będzie przekłety wynalazca dziennika, a przede wszystkim dziennika niezależnego i taniego! Dziennikarstwo jest jak gaz: jego światło od razu cię i truje i oczy ci wypala.

— Dla czego nie ma jeszcze śniadania? — zapytałem szorstko żony, aby się otrząsnąć z tych nieprzyjemnych myśli. — Gdzie są dzieci? czemu nie przychodzą na śniadanie?

— Dzieci nie ma w domu, mój drogi, ale zapewne zaraz powrócą. Henryk ma mieć dziś wieczór po raz pierwszy mowę w akademji młodych czytelników; poszedł więc przekonąć się o akustyczności sali, w której ma przemawiać publicznie.

---

dnie wszystkie zbrodnie tego łotra, pod tytułem: „Secunda actio in Verrem“. Po 24 latach wygnania, korzystając z amnestji ogłoszonej przez Cezara, powrócił Verrés do Rzymu, a w roku 43. przed N. Ch. został skazany na śmierć przez Antonjusza. — Ostatniemi czasy l'Abbé Treguier, opierając się na Cyceronie, wydał bardzo ciekawe dzieło pod tytułem: „Gallerie de Verrés“.



— I o czem że to będzie mówił nasz szesnastoletni Ciceró dziś wieczór?

— Oto masz jego rozprawę — rzekła Jenny podając mi z macierzyńską dumą papier, pełen popodkreślanych wyrazów, wykrzykników i znaków zapytania.

Tytuł wypisany wielkimi literami wydał mi się więcej poważnym aniżeli jasnym: „*O moralizowaniu kobiet, uważanych jako nauczycielki rodu ludzkiego.*“

— Powieś się Cherubinie — zawołałem — świat skończy się przez zbytek cnoty! Jeżeli mając lat szesnaście myśleliśmy o czem, to zapewnie nie o tem, co mój pan syn; pewnie nie o moralizowa...

— Wiesz co, mój drogi... — odezwała się Jenny. Jej głos przerwał w samą porę moje rozumowanie, ugryzłem się w język nie dokończywszy wyrazu i uczulem, że się zaczerwienił.

— Wiesz co, mój drogi — mówiła dalej Jenny, nie spostrzegłszy mego pomięszania — iż mi się zdaje, że nasz Henryk ma zamiar obrać sobie nowy stan. Powtarza mi on co dzień, że już za długo jest nam ciężarem, co musi niezawodnie nudzić guwenera.

— Co to jest guwerner?

— Wiesz przecie, że to jest przyjacielskie imię, które dzieci dają swemu ojcu. No, a cóż mówisz o zamiarze Henryka?

— Cierpliwości, pani Smith, cierpliwości; mamy dosyć czasu, a zresztą to moja rzecz.

— Nie zapominaj mój drogi, że nasz syn ma już szesnaście lat; wszyscy jego koledzy mają już stanowisko w kraju, trzeba więc żeby i on o sobie pomyślał. Pomów z nim o tem; wiesz, że posiadasz najkompletniejsze jego

zaufanie, i zresztą nikt lepiej nad ciebie pokierować go nie potrafi.

Zacząłem przechadzać się wzdłuż i wszerz pokoju, a żona moja patrzyła tymczasem przez okno, czy nie idą nasze dzieci.

— O mój synu! — myślałem sobie — do mnie należy zająć się zapewnieniem ci przyszłości. Już od dawna przygotowałem wszystko, aby ci zapewnić powodzenie. Wszakże nie napróżno jeszcze przed szesnastu laty wybrałem ci za przełożonego mego przyjaciela Regelman, wówczas podnaczelnika a obecnie już naczelnika biura w ministerstwie skarbu w wydziale celnym. Tak mój drogi Henryku, ty nie nie wiesz, że już jesteś kandydatem na aplikanta nadliczbowego w ministerstwie skarbu. Za dwa lata będziesz kancelistą, a za trzy, jeżeli ci się dobrze powiedzie, a do tego przy pomocy potężnej protekcji, etatowym urzędnikiem. W trzydzieści pięć lat będziesz tak jak i dzisiejszy twój przełożony podnaczelnikiem biura, z pensją dwóch tysięcy czterysta franków i orderem! Zdaje mi się, że już cię widzę takim samym jak ten, którego ci za wzór dałem: słodkim, pokornym, grzecznym, uprzedzającym dla swych zwierzchników, ostrym, cierpkim, imponującym dla swych podwładnych. I jeżeli mnie nie myli przecucie ojcowskie, to mając lat pięćdziesiąt, będziesz postrachem a zarazem nadzieją dla dziesięciu tysięcy zielonych mundurów. Co za szczęście i co za przyszłość!

— Otóż i Henryk — zawołała Jenny nie odchodząc od okna. — Rozmawia on z panem Green; jestem pewna, że go prosi o radę, albo co jeszcze prawdopodobniejsze...

— Co mówisz, moje życie? — zawołałem -- z panem Green, kupcem korzennym! Czyż mój syn wdaje się w rozmowy z takimi ludźmi?

— Jakto z takimi ludźmi? — rzekła ze zdziwieniem Jenny. — Pan Green powszechnego doznaje szacunku; jest to człowiek zacny i dobry chrześcijanin. Ma wartości trzykroć sto tysięcy dolarów\*), i na dobre używa majątku, który zawdzięcza własnej pracy.

— A to bardzo pięknie z jego strony -- zawołałem. — Szczęśliwy to kraj zaprawdę, w którym kupcy korzenni posiadają miliony, udzielają rad jak adwokaci, a może do tego i rozdają urzęda jak ministrowie. Zostawmy więc mojego syna zasięgającego rady u Jaśnie Wielmożnego Pana pieprza lub imbiera. Ale gdzież jest Zuzanna; sądzę, że ona przynajmniej nie ma nic wspólnego z zacnym panem Green?

— Zuzanna jest na lekcji higieny i anatomji.

— Co? anatomji!... Wielki Boże! dziewiętnastoletnia dziewczyna uczy się anatomji! Może przy tem robi także sekcje?

— Cóż ci się stało mój drogi — przerwała mi żona głosem spokojnym, który mnie wstrzymał w zapale. — Zuzanna będzie kiedyś matką. Chcesz więc, aby wychowywała i pielęgnowała swoje dzieci na ślepo, nie znając ich ustroju fizycznego? Wszakże sam ze sto razy mówiłeś, że nauka anatomji ludzkiej, jest nierozłączną częścią dobrego wychowania!

— I któż jest tym doktorem, którego przezorności powierzacie staranie wykładania anatomji młodym dziewczętom?

— Jest nim pani Hope, jedna z naszych znakomitości lekarskich.

\*) To jest 1.600.000 franków czyli przeszło półtrzecia miliona złotych polskich.

— Jakto? kobieta doktorem! gdzie ty jesteś o Mollereze? Więc w tym kraju wszystko się dzieje na opak! To tu nie mężczyźni pielęgnują nasze matki, żony i córki! Może także kobiety służą tu za akuszerki osobom dobrego towarzystwa? Tego przecież nigdzie na świecie nie ma; to nieprzyzwoicie, pani Smith, to nieprzyzwoicie!

— Mnieby się zdawało przeciwnie, mój drogi, ale ty musisz to lepiej odemnie wiedzieć. Więc jeżeliby np. nasza córka wpadła w jedną z tych chorób, do której skromność zaledwie samej przed sobą przyznać się pozwala, to wołałbyś wezwać lekarza niż lekarkę?

— Wcale nie! Złeś mię zrozumiała moje serce. Ja chciałem tylko powiedzieć, że stare zwyczaje są godne poszanowania również jak i stare wady. To jest... nie.. jeszcze nie to; wytłumaczę ci to kiedy indziej, a tymczasem powiedz mi, kto towarzyszy Zuzannie na te lekcje anatomji?

— Nikt.

— Jakto nikt? Więc nasza dziewiętnastoletnia i piękną jak anioł córka chodzi po ulicach sama, bez opiekuna?

— A dlaczegożby miała odróżniać się od swoich towarzyszek, i jakieżbo zresztą, niebezpieczeństwo jej grozi?.. Czyż przypuszczasz, że w Ameryce znajduje się choć jeden człowiek tak dalece zepsuty lub głupi, aby miał aż zapomniać o uszanowaniu należnem młodości i niewinności! Wszyscy ojcowie, mężowie, bracia i synowie, rzuciliby się razem na takiego nędznika; lecz nikt dotąd nie dopuścił się podobnej niegodziwości w tym szlachetnym kraju. Takie podłości i zbrodnie są wyłączną własnością starego świata.

— Przy tem — dodała ze słodkim uśmiechem — sądzę, że Zuzanna jest dobrze pilnowaną. Najmłodszy syn



pana Rose, Alfred, już powrócił z Indyj; widziałam go wczoraj przechadzającego się w towarzystwie ojca i ośmiu braci. Nikt mi tego nie zdoła wybić z głowy, że się oni kochają z Zuzanną i że już od dawna są z sobą po słowie.

— Jakto, po słowie? To moja córka ma być zakochaną w dziewiątym synu aptekarza? I to jej własna matka udziela mi z zimną krwią podobną nowinę?

— A dlaczegożby ona nie miała poślubić tego, którego kocha — rzekła Jenny wlepiając we mnie swe piękne niebieskie oczy. — Czyż ja nie postąpiłam tak samo, i wcale się nie żałę? Czyż ty byś miał tego żałować?

— Lecz jakież jest stanowisko, jaki majątek tego młodego człowieka?

— Pod tym względem możesz być spokojny, mój drogi. Alfred jest człowiekiem zacnym, nie ożeni on się z Zuzanną jak wtenczas, gdy będzie mógł jej zapewnić przyzwoite utrzymanie. Jeżeliby było potrzeba, to Zuzanna i dziesięć lat na niego czekać będzie.

— A posag, pani Smith, czyś pani zapomniała o posagu? Czy wiesz, jakie są pod tym względem wymagania tego młodego człowieka, który tymczasem kompromituje naszą córkę? Czy wiesz, wiele jej będziemy mogli dać, i jaką część naszego szczupłego mienia będziemy musieli na to poświęcić?

— Przyznam ci się Danielu, że cię wcale nie rozumiem. A cóż to, czy my sprzedajemy nasze dziecko? Czyż to trzeba aż płacić zakochanemu młodemu człowiekowi, aby go skłonić do wzięcia za towarzyszkę życia młodą i ładną osobę? Zkąd ci się wzięły te dziwne myśli, o których dotąd nigdy nie słyszałam!

— Co! bez posagu? — zawołałem — i to w kraju, w którym wszyscy od rana do wieczora czołem biją przed dolarem!

— W Ameryce, mój kochany, kochają się i żenią dla tego, że się kochają, i są szczęśliwi mogąc sobie całe życie powtarzać, iż się pobrali jedynie z przywiązania. Każdy przynosi w posagu swe serce i mam nadzieję, że naród wolny, młody, szlachetny, jakim jest nasz, nigdy nie będzie znał innego posagu.

— Bez posagu — pomyślałem sobie — bez posagu! Harpagon ma słuszość, to zmienia nieco postać rzeczy. Małżeństwo przestaje być interesem. Tym sposobem każda narzeczona, czy to uboga czy też bogata, może być pewną, że jest kochaną, i że to dla niej samej ją poślubiają a nie dla jej posagu. A i rodzice, którzy ze drżeniem wydają za mąż swą córkę, nie mają przynajmniej potrzeby obawiać się, aby się nie dostała jakiemu niegodnemu spekulantowi. Bez posagu! Jak widzę, to i ludy dzikie mają niekiedy (nie wiedząc zapewne o tem) taką szlachetność, któraby i narodom cywilizowanym zaszczyt przyniosła.

— Otóż i Zuzanna — zawołała żona, która powróciła była do okna. — Alfred jej towarzyszy; a co, czy nie zgadłam?

Pobiegłem ku drzwiom. Moja córka, moja droga Zuzanna wydała mi się jeszcze piękniejszą niż zwykle. Długie blond włosy, spadające w puklach aż na ramiona, wzrok wesóły, wyraz twarzy otwarty, postawa szlachetna, dodawały jej nowego uroku. Było to uosobienie niewinności dziecka, a zarazem i wdzięku kobiety. Ujrzawszy mnie, rzuciła mi się na szyję jak szalona; przycisnąłem ją z uniesieniem do serca i zaniósłem na rękę aż do jadalni.

Tam dopiero spostrzegłem, że Zuzanna nie przyszła sama. Obok niej był ten niegodziwiec, który miał mi porwać tę moją pieśczętę, to moje szczęście. Zuzanna wzięła go za rękę i przedstawiła mi w sposób najnaturalniejszy w świecie.

— Pan Alfred Rose, czy go nie poznajesz kochany ojczu ?

Poznałem ja go aż nadto dobrze i pomimo woli musiałem przyznać, że był to co się nazywa ładny mężczyzna! Westchnąłem podając rękę temu przyszlemu zięciowi, który mi zrobił ten zaszczyt, że mnie wybrał za swego teścia, nie zadawszy sobie nawet pracy zapytania mnie poprzednio o zdanie. Bez posagu! to było dostatecznem, aby się czuł w prawie poślubienia osoby, którą kochał. I mówić tu o konwenansach tym prostakom, którzy idą zawsze prosto do celu!...

## ROZDZIAŁ VI,

### W KTÓRYM SIĘ ZAZNAJAMIA Z PANEM ALFREDEM ROSE I SĄSIADEM GREEN.

Podczas gdy my z Alfredem w milczeniu patrzyliśmy na siebie, kobiety szeptały między sobą z żywością; matka uśmiechała się, a córka miała wyraz oczu błagający.

— Mój drogi — rzekła Jenny biorąc młodą parę za ręce — oto jest dwoje dzieci, które chcą przy pomocy boskiej utworzyć familję chrześcijańską, i w tym celu proszą cię o błogosławieństwo.

— Co, ja mam błogosławić — pomyślałem sobie. — Widziałem wprawdzie w Rzymie papieża Piusa IX, błogosławiącego światu z taką słodką majestatycznością, że nawet niewierzący padali na kolana; widziałem bogobojnych biskupów udzielających błogosławieństwo niewinnym istotom przystępującym do pierwszej komunji. Było to piękne i wspaniałe; -- ale co ja, grzeszny człowiek, to nie czułem się w prawie pobłogosławić nawet mym dzieciom. Uściskałem Zuzannę, uściskałem Alfreda, połączyłem ich ręce w moich i rozplakałem się. Niewdzię-



cznicy! tak byli szczęśliwi, że nawet nie spostrzegli mych łez; wyrwali się z mych objęć, aby pobiedz ku Jenny, która ich przyjęła następującymi słowami wymówionemi podniesionym głosem:

— Niech Bóg Abrahama i Sary, Izaka i Rebeki, Jakóba i Racheli, błogosławi wam moje dzieci, i niech wam zesze pożycie chrześcijańskie.

— Amen — odpowiedział głos tak poważny, że aż zdrząłem.

Była to Marta, która zbliżyła się do nas z wzrokiem i ruchami Sybilli.

— Mężczyzno — rzekła — ty bierzesz tę kobietę w obec Boga; kobieto, ty bierzesz tego mężczyznę w obec Boga; na całe życie aż do śmierci; czy to w dobrej czy złej doli, w zdrowiu czy też chorobie. Pamiętajcie o tem, Przedwieczny tego nie zapomni.

— Biorę na świadectwo Boga — zawołał Alfred podnosząc rękę do góry — że nigdy o tem nie zapomnę.

Muszę wyznać ze wstydem, że, pomimo wybornego wychowania jakie otrzymałem we Francyi, i chociaż od dzieciństwa przyzwyczajono mnie jedynie żarty brać na serjo, pomimo to wszystko uczułem się wzruszonym aż do głębi duszy uroczystością tych zaręczyn. Zdawało mi się, że dom mój stał się świętym przybytkiem, jak niegdyś dom Abrahama, i że sam Bóg niewidzialny a jednakże wszechobecny zstąpił z nieba, aby pobłogosławić temu związkowi moich dzieci.

Wejście Zamby rozpedziło te poważne myśli. Spustoszył on cały ogród i cieplarnię na olbrzymi bukiet dla narzeczonej, i ofiarował go jej z taką miną i z tak zabaw-

nemi komplementami, że pomimo woli parsknąłem głośnym śmiechem.

— A kiedy wesele, panie młody? — zapytał muryzyn. — Jutro? pojutrze? za tydzień? Zambo chce śpiewać, Zambo chce tańczyć.

— Zuzanno — zawołałem patrząc na nią — wszak dzień jeszcze nie naznaczony?

— Czekamy na twoje rozkazy kochany ojciec — odpowiedziała moja panna córka z fałszywą nieśmiałością, która wywołała z moich piersi głębokie westchnienie.

— I tych nam tylko brakuje — dodał Alfred. — Nająłem i umeblowałem dom niedaleko ztąd, i wszystko już jest gotowe na przyjęcie tej, która raczyła zgodzić się na podzielenie mego majątku i mego nazwiska.

— Mój synu! — rzekłem do Alfreda, a wyraz syn przechodząc przez gardło o mało mnie nie udusił. — Ponieważ Zuzanna cię wybrała, więc i my przyjmujemy cię z zamkniętymi oczami, lecz nie miej za złe kochającemu nad życie swe dziecię ojcu, że ci zrobi parę następujących pytań. Od jak dawna kochasz Zuzannę? a ponieważ wspomniałeś o majątku, to powiedz mi, jakie masz stanowisko, które ma podzielić z tobą nasza córka?

— Bardzoby mi było trudno powiedzieć na pewno, od kiedy kocham Zuzannę — odpowiedział młody człowiek. — Zdaje mi się, że ją kochałem przychodząc na świat. Lecz to pewna, że ją kochałem już wtenczas, gdyśmy chodzili do wspólnej szkoły, i bawili się razem w ogródku, chociaż ona była wówczas jeszcze kompletnem dzieckiem, a ja prawie młodym człowiekiem. Odtąd tyle razy rozmawialiśmy, bawili się i modlili razem; widywałem ją tak często, a zawsze wesolą, dobrą, przyjemną; tyle razy rozmawialiśmy z sobą

otwarcie, tyle razy miałem sposobność przekonać się o całej piękności jej duszy — że pewnego dnia uczułem, iż Zuzanna jest osobą przez Boga dla mnie wybraną na żonę. A gdy Zuzanna skończyła lat szesnaście, objawiłem jej moje uczucie i daliśmy sobie wzajemnie słowo. Oto jest historia naszej miłości.

— Tak więc — rzekłem wzdychając — to na przyjaźni i szacunku opiera się to, co wy nazywacie miłością. Żadnego uczucia nagłego, piorunującego; żadnej poezji, żadnej namiętności.

— Mam dwadzieścia cztery lat — odrzekł młody człowiek — kocham Zuzannę, nigdy nie kochałem i nigdy kochać innej nie będę; szanuję ją jak nikogo na świecie; jest mi ona stokroć droższą nad życie; czy to jest przyjaźń czy namiętność, tego nie potrafię powiedzieć, lecz mam nadzieję, że Zuzanna nie będzie więcej nad to odemnie wymagać i pozwoli, abym ją w ten sposób kochał aż do śmierci.

— Bardzo dobrze, mój synu, jesteś człowiekiem rozsądnym; spodziewam się, że będziesz szczęśliwym jak na to zasługujesz, i będziesz miał liczne potomstwo. A teraz pomówmy nieco o pieniądzach.

— Nie miałem majątku — rzekł Alfred — co stało na przeszkodzie przyprowadzeniu do skutku mych zamiarów. Lecz miałem lat dwadzieścia jeden, postanowiłem więc nie wątpiąc o powodzeniu szybko wyrobić sobie stanowisko w świecie.

— Miałeś zapewne możnych protektorów, obietnicę jakiej korzystnej posady; lub może twemu ojcu udało się zobowiązać sobie kuzyna, kuzynki jakiego senatora?

— Miałem głowę i ręce — odpowiedział Alfred — i to hasło każdego prawdziwego Jankesa: Naprzód! nie zniechęcaj się niczem, i nie rachuj jak tylko na samego siebie\*), a to więcej warte, niż wszystkie razem protekcje na świecie. W kraju, który tak szybko się rozwija jak nasz, dosyć jest nie być głupcem i mieć silną wolę, aby własnymi siłami wyrobić sobie stanowisko. Słyszałem często bogatego kupca indygo, u którego pracowałem jako chemik, żałującego się, że okręta wyprawiane do Indyj zaledwie do połowy są naładowane. Myśl wynalezienia nowego artykułu handlu z Indjami zajmowała wszystkich naszych armatorów. Udało mi się odkryć go i to taki, o którym nikt dotąd nie pomyślał, a którego odbyt był niewątpliwym, to jest lód. Nigdy nie podobna dostarczyć go Indjom tyle, wiele go one potrzebują. Lecz jak go zakonserwować podczas drogi, to było zadanie trudne do rozwiązania. Dzięki memu ojcu, wychowałem się prawie w laboratorium, chemią i fizyką zajmowałem się prawie od dzieciństwa. Potrzebowałem otoczyć paki z lodem ciałem, któreby było złym przewodnikiem ciepła. Spróbowałem użyć do tego trocin, które nie mają u nas żadnej wartości, i próba doskonale się udała. Wynalazek więc był zrobiony; szło już tylko o znalezienie odpowiedniego kapitału. W Ameryce nie trudno o pieniądze a mianowicie wówczas, gdy idzie o wprowadzenie w życie dobrego pomysłu. Udałem się więc do pana Green, który prowadzi wielki handel ryżem, kawą i indygo; pomysł mu się podobał i zaryzykował dosyć znaczną sumę. Zaraz więc popłynąłem z mym ładunkiem do Kalkuty; lód dobrze zniósł podróż, sprzedałem go bardzo korzystnie i zawarłem tam

\*) Go ahead! never mind; help yourself.



kontrakt w tych samych warunkach na dostawę lodu przez przeciąg lat dwudziestu. Gdy tu powrócił, zrobiliśmy ob-  
rachunek skutkiem którego dla mnie przypadło ośm tysięcy  
dolarów, a obecnie stoję na czele domu handlowego Green,  
Rose i pólka. Powodzenie naszego przedsiębiorstwa jest  
niewątpliwe. Gdybym chciał, to zaraz mógłbym zrealizować  
przyszłe zyski, w stosunku dziesięciu do dwunastu tysięcy  
dolarów rocznie. Oto jest majątek, jaki tymczasem jestem  
w stanie ofiarować pani Rose.

— Sześćdziesiąt tysięcy franków rocznie! — zawoła-  
łem. — Piękna to rzecz handel, kiedy się powiedzie! —  
Przyjrzałem się uważnie memu zięciowi i spostrzegłem, że  
ma w sobie coś genialnego. Jego czoło i dolna część twarzy  
przypominały nieco Napoleona.

Zupełnie nawet zapomniałem o sklepie jego ojca, gdy  
w tem Zambo zaanousował pana Rose, który przychodził  
wziąć udział w ogólnej radości. Jakkolwiek był to zacny  
i godny szacunku człowiek ten aptekarz, jednakże nie o  
takim to teściu marzyłem dla mojej córki. Marzyłem przy-  
najmniej o podprefekcie; ale cóż robić w kraju, będącym  
jeszcze w kolebce, który dotąd nie potrafił sobie zdobyć  
tej centralizacji, której Europa tak zazdrości nam Fran-  
cuzom!

Pan Rose wszedł w towarzystwie pana Green i Hen-  
ryka. Aptekarza poznałem od razu, miał bowiem w sobie  
coś takiego, co przypominało jego rzemiosło; ale co kupiec  
korzenny, cały ubrany czarno i z białą chustką na szyi,  
to był dla mnie nieznanym dotąd dziwolągiem. Jego obejście  
i ton mowy były równie dziwne jak i ubranie. Green,  
kupeczący oliwą i kawą, mówił z powagą i zimną krwią  
człowieka, obracającego milionami.

— Sąsiedzie — rzekł mi z przesadzoną obroduszością — i ja też należę teraz trochę do twojej rodziny przez tego młodego człowieka, twego zięcia a mego sędziego. Na tem się jednak nie ograniczymy. Henryk był u mnie; jest to chłopak bardzo zdolny i kompletnie mi się podoba; znalazłem dla niego zajęcie, które mu zapewni stanowisko. Alfred stał się domatorem, nie na to bowiem człowiek się żeni, aby miał latać po świecie; a wiesz, że potrzebujemy mieć zaufanego człowieka w Kalkucie. Wybór mój pał na Henryka pomimo jego młodych lat. Przysłowie powiada, że nigdy nie jest za wcześnie zacząć robić interesa. Trzy lata pobytu w Indjach wyrobią go do reszty; przypuścimy go do udziału w zyskach, a jeżeli mu się zechce pracować, to będzie mógł mieć od czterech do pięciu tysięcy dolarów rocznie. Powierzasz mi go dzieckiem, a za lat trzy oddam ci go człowiekiem. Cóż powiesz o tym projekcie?... Czy ci się podoba?

— O mój synu — pomyślałem sobie — kiedyś zupełnie inną przyszłość marzyłem dla ciebie! Być może, że ta która cię tu czeka, jest odpowiedniejszą dla ciebie; być może, że nie masz ani dosyć geniuszu politycznego ani dostatecznej giętkości w charakterze i karku, abyś mógł kiedyś dojść do stopnia naczelnika bióra. Stało się — będziesz tylko milionerem!

Podziękowałem panu Green, który dodał po cichu:

— Sąsiedzie, na tem nie koniec. Znasz Margaretę, moje dwunaste dziecko, śliczną jak aniołek dziesięcioletnią dziewczeczkę; zdaje mi się, że za sześć lub siedm lat zrobimy z niej małżonkę pana Henryka Smith. Przez ten czas zajmijmy się młodym człowiekiem i jego przyszłością, to jest majątkiem; możesz rachować na mnie.

Tego było za nadto! Jako, ja, doktor Lefebvre, uczony i poddany francuzki, miałbym spokrewnić się z kupcem korzennym, i do tego zaciągnąć względem niego obowiązki wdzięczności! Nie ulega wątpliwości, że kocham równość, jestem przecie Francuzem i zasady 1789 roku są dla mnie ewangelją. Chcę by tę równość wszędzie publicznie głoszono; zgadzam się nawet, by ją zamieszczono w kodeksie praw (któż bowiem dzisiaj myśli o zastósowywaniu praw) ale nigdy nie pozwolę, aby tę równość miano wprowadzić w życie. Człowiek, który nic nie robi, będzie zawsze stał wyżej od tego, który ma zgrubiałe od pracy ręce.

Już miałem wybuchnąć, i odrzucić te upokarzającą mnie propozycję, gdy głos mej żony wzywający do herbaty przerwał naszą rozmowę.

— Danielu — rzekła Jenny — już jesteśmy wszyscy przy stole, bądź więc tak dobry i odinów modlitwę.

— Wyreżz mnie, proszę cię moja droga, bo jestem tak wzruszony, że sam nie wiem co robię.

— Panie Boże! — rzekła Jenny — błogosław temu domowi i wszystkim tu obecnym. Błogosław nadewszystko tym, którzy się mają oddalić. Spraw o Panie! aby ich serca pozostały zawsze czystymi i posłusznymi Tobie.

Wszyscy odpowiedzieli: „Amen“ i to głosem tak szczerym, że od razu znikł cały mój zły humor. Zacząłem uważniej przypatrywać się moim przyjaciółom, dzieciom i żonie. Green, który z taką prostotą zapewniał przyszłość mojej rodzinie, wydał mi się rzeczywiście godnym szacunku człowiekiem; dumny byłem z Henryka, który mając za ledwie lat szesnaście, już chciał z energją mężczyzny i z zapalem dziecka zdobyć sobie własną pracą stanowisko w świecie, i aby dojść do tego celu, nie cofał się ani przed

niebezpieczeństwem, ani nawet przed wygnaniem; widok Zuzanny i Alfreda, kochających się miłością tak czystą i głęboką poruszał mnie do głębi serca; a cóż dopiero mówić o mojej żonie, kochanej Jenny, nie myślącej nigdy o sobie, zupełnie oddanej bliźnim, będącej duszą i życiem swej rodziny, królowej tego ula z którego młody rój ułatywał.

Czemże byłem w porównaniu z nimi ja, truteń nieużyteczny, umiejący jedynie szemrać? Ze smutkiem myślałem sobie, że wkrótce pozostanę sam w tym domu tak dziś ożywionym obecnością Zuzanny i Henryka. Rose miał dziewięcioro dzieci, Green miał ich piętnascioro; Bóg błogosławi licznym rodzinom, a gdy chcemy być mędrsi od Niego, to karze naszą fałszywą przezorność skazując nas na samotność, której szukaliśmy sami.

Spojrzałem na moją żonę, młodą jeszcze, świeżą i pełną wdzięku, i pomyślałem sobie... Sam nie wiem, co sobie pomyślałem, gdyż Zambo otwierając gwałtownie drzwi wpadł do pokoju z wyrazem przerażenia na twarzy, wołając:

— Pali się!... czy słyszycie jak biją na gwałt we dzwony?



## ROZDZIAŁ VII.

### POŻAR.

Na krzyk Zamby aptekarz pobiegł do okna, i odwracając się do pana Green:

— To nas wołają, poruczniku — rzekł — pali się w dziesiątym cyrkułe.

— Jestem na twoje rozkazy sierżancie — odrzekł kupiec wstając z krzesła. — Doktorze — doda! uderzając mnie po ramieniu — spiesz się, powóz nie może czekać.

— Dobrze — pomyślałem sobie, widząc ich wychodzących z Alfredem i Henrykiem — jak widzę, to bawią się tu w gwardję narodową. Gwardja narodowa! to podarunek przysłany nam przez Amerykę, za pośrednictwem obywatela Lafayetta, a która nam się pięknie przysłużyła. Spieszcie na tę nieużyteczną paradę, kochani przyjaciele, Bóg z wami! Co do mnie, to ani myślę ruszyć się z domu. Ale o jakim to powozie mówił Green? Czyż on sądzi, że pobiegnę jak jaki próżniak przyglądać się pożarowi, i to jeszcze w kraju gdzie, jak mówią, co dzień się gdzieś pali.

Zbliżyłem się do okna, kłęby dymu pełnego iskier wzbijały się pod obłoki, ogień wyraźnie się powiększał.

— Spiesz się pan! spiesz się pan! powóz się zbliża — krzyknęła mi nad uchem Marta.

Odwróciłem się, przedemną stał Zambo z siekierą w rękę i w miedzianym hełmie na głowie, Marta trzymała w rękę czarną, sukienną kurtkę i szeroki pas gimnastyczny; był to mój mundur; miałem zaszczyt być pompierem.

Ja! pompierem! Chciałem protestować przeciwko tej nowej zniewadze, ale Marta tak się ostro wzięła do mnie, że w mgnieniu oka byłem przebrany, uzbrojony i wsadzony na wierzch ogromnego omnibusu, wewnątrz którego znajdowała się buchająca dymem machina parowa. I zaraz też para dzielnych karych koni uniosła galopem i pompę i pompierów.

— Nie bój się Danielu! — wołała Marta z ręką w górę wzniesioną — idziesz spełnić swą powinność, Wszechmogący wyprowadzi cię z pośród płomieni, jak niegdyś sługi swoje Sidracha, Misacha i Abdenago.

To biblijne błogosławieństwo nabawiło mnie dreszczu, tak go czuć było spalizną.

— Szczególniejsza myśl — zawołałem — ryzykować swą skórę dla nieznanym, mogąc utrzymać płatną straż ogniową!

— Co mówisz doktorze — przerwał mi głos cierpki, po którym poznałem dawnego mego sąsiada Reynarda a obecnie *attorney* (obrońca) Fox. — Obywatele! — dodał deklamując zapewne wyjątek z jakiej starej mowy — jeżeli chcecie być wolnymi, bądźcie sami dla siebie policją i wojskiem. Przyjąć stróżów, jest to dać sobie panów. Zkąd ci się wzięły sąsiedzie — dodał już głosem więcej natural-

nym — te odwieczne myśli? czyż nie jesteś zwolennikiem wolności?

— Wolność przedewszystkiem! — zawołałem pospiesznie zawstydzony mą słabością. — Spieszyć na pomoc swym współobywatelom, jest to obowiązek i przyjemność zarazem, którejbym nie odstąpił nikomu; jestem dumnym z należenia do straży ogniowej.

— Mniej jednakże niż Green, kochany sąsiedzie — rzekł Fox. — Ten dopiero to lubi iść w ogień! Jest on djabło przebiegły — dodał po cichu — *devilish smart*, djabło przebiegły — powtórzył po kilkakroć mrugając oczami i dając mi znaki porozumienia nosem i brodą.

Otworzył tabakierkę, westchnął, i zażył po dwakroć tabaki.

— Nasz kapitan, dzielny pułkownik Saint-John usuwa się — dodał — Green jest porucznikiem, a do tego ambitnym. Chce zostać kapitanem, aby następnie pójść jeszcze wyżej. To djabło chytry człowiek, lecz niech on jak chce ukrywa swoją robotę, dla mnie będzie ona zawsze widoczną.

Byliśmy na miejscu, nim jeszcze Fox miał czas skończyć swe złośliwe zwierzenia się. Nie zastaliśmy ani policji, ani żadnych ostrożności, zwykle przy pożarach przedsiębranych; tłum ciekawych napełniał chodniki, zostawiając szczęśliwym wypadkiem środek ulicy zupełnie wolnym. W mgnieniu oka machina została ustawiona, i w ruch wprowadzoną. Podczas gdy porucznik wydawał rozkazy, przypatrując się uważnie ogniowi, ja wziąłem się przy pomocy mego sąsiada do kierowania sikawką.

Przed nami wznosił się dom cały w ogniu, płomienie jego buchały wszystkimi oknami. Nagle rozdzierający krzyk

doleciał nas z pierwszego piętra; biała postać, jakby cieniaki mignęła wśród ognia; była to kobieta wołająca o ratunek. Natychmiast Green przystawił drabinę do muru, szybko wdrapał się na nią i znikł wśród dymu.

— Djabło przebiegły — rzekł mi Fox z szatańskim wykrzywieniem twarzy — djabło przebiegły, nie żartem się naraża, a wszystko to w chęci wyniesienia się.

— Tędy dzieci, tędy — zawołał Rose cały zajęty zalewaniem ognia.

Skierowałem więc ciężką rurę we wskazaną stronę, lecz nie mogłem oderwać wzroku od okna, przez które wszedł Green; serce biło mi gwałtownie, niespokojność mnie pożerała.

Nagle pokazał się Green, trzymając na ręku kobietę, i szedł na dół przy okrzykach tłumu. Lecz zaledwie dotknął nogą ziemi, gdy kobieta zerwała się.

— Moje dziecko — zawołała — gdzie jest moje dziecko, gdzie jest moja córka!

Nieszczęśliwa, zalewała się łzami drżąc cała, i wznosiła ręce ku buchającemu ogniem oknu, chcąc się napowrót rzucić w płomień. Napróżno staraliśmy się ją zatrzymać, wyrwała się nam z rąk, i to biegła ku domowi, to znów cofała się odpychana przez płomień, wydając przerażające krzyki i rwąc włosy z rozpacz. Wszyscy spoglądali po sobie w milczeniu; ogień huczał jak huragan, dach otoczony płomieniem co chwila mógł się zapisać, dziecko było zgubionem.

W tej chwili doznałem dziwnego uczucia; co je spowodowało? czy widok nieszczęśliwej matki, czy słowa Marty, przykład Greena, lub myśl, że jestem Francuzem — tego nie wiem; jakiś szal mnie opanował. Pobiegłem ku drabinie



i byłem na górze w pierw, nim pomyślałem o tem, co robię. Rose chciał mnie wstrzymać.

-- Jestem ojcem — zawołałem -- i nie dam zginąć temu dziecku!

Gdym się znalazł w pokoju, strach mnie opanował; płomienie luczały naokoło mnie, belki trzeszczały, szyby pękały z hałasem, co wszystko razem stanowiło ponurą muzykę. Odurzony gorącem, oślepiiony dymem, napróżno wołałem i krzychałem z całych sił, nawet echo mi nie odpowiedziało. Byłem w rozpacz; gdy w tem czerwony, płomienny język wpadł do pokoju i rozpędził ciemność w nim panującą, obejrzałem się w około, i ujrzałem naprzeciw siebie zamknięte drzwi. W jednej chwili rozbiłem zamek uderzeniem siekiery, wpadłem do pokoju, pobiegłem do kołyski, z której rozlegał się płacz dziecka, i z radością nie do opisania schwyciłem na ręce ten mały skarb. Radość jednak moja nie długo trwała. Otoczony dymem, na wół zacządziały, nie wiedziałem gdzie jestem; serce biło mi gwałtownie, w głowie zaczęło mi się kręcić, byłem zgubiony.

— Tędy doktorze, tędy Danielu! ale tyłem — rozległ się głos aptekarza — a teraz baczność.

Rada była zbawienną. Zaledwem się odwrócił, gdy potężny strumień wody, kierowany wprawną ręką aptekarza oblał mnie całego, i o mało nie obalił na ziemię. Dzięki tej strategicznej operacji, która na chwilę wstrzymała postęp płomieni, i rozproszyła dym, ujrzałem okno, rzuciłem się więc ku niemu, wpadłem na drabinę, i zsunąłem się na dół, czarny i dymiący jak zalana głownia. W teje samej prawie chwili dach runął z przerażającym łoskotem. Marta miała rację; Bóg obszedł się ze mną, jak kiedyś z Abdenago.

Nie podobna opisać radości matki, gdy ujrzała swe dziecko ocalonem; lecz najszcześniejszym ze wszystkich byłem ja, uratowałem bowiem dziecię, podtrzymałem honor imienia francuzkiego. Moje szaleństwo jednak dosyć drogo mnie kosztowało; osmalilem sobie połowę włosów, rozdarłem jeden policzek, i oparzyłem rękę od dłoni aż do łokcia; lecz to wszystko było niczem w porównaniu z wewnętrznym zadowoleniem jakiego doświadczałem.

W godzinę może po tem zdarzeniu, ruszyliśmy z powrotem do domu, zostawiając ludowi staranie zagaszenia dymiącego zgliszcza. Wskoczyłem lekko i z podniesioną głową na ten sam omnibus, na który rano tak niechętnie wsiadałem. Zastałem tam Foxa, który rzekł przymrużając oczy, jakgdyby był krótkowidzącym, i trącając mnie w chory łokieć.

— Green jest chytry, ale pan jesteś djabło chytrzejszy od niego. Niech żyje kapitan Smith — dodał zacierając ręce.

Nie odpowiedziałem mu na to ani słowa, ponieważ nowy widok zwrócił na siebie całą moją uwagę.

Tłumy ludu zalegały obadwa chodniki, zachowując porządek niepodobny do uwierzenia. Prawie wszyscy mężczyźni trzymali w ręku jakiś papier, którym zaczęli wywijać w powietrzu za naszym zbliżeniem się.

— Niech żyje dzielny porucznik Green! niech żyje bohaterski pompjer Smith! — wołano ze wszystkich stron.

— Otóż i oni, otóż i oni — powtarzano wskazując na nas palcami; — ten wysoki to Green, a ten ze skalczoną twarzą, to Smith! Niech żyją! — Kapelusze wznosiły się w górę, chustki pływały w powietrzu, kobiety po-

kazywały nas swym dzieciom, które machały swemi małemi rączkami, jak gdyby chciały błogosławić.

Nie mogłem pojąć, jakim cudem całe miasto znało już moje nazwisko i mój czyn; mówią, że człowiek łatwo oswaja się ze sławą, ja jednakże czułem, że wzruszenie coraz to bardziej mnie opanowywa, i pomimo że starałem się spoglądać na tłumy ze skromnością i spokojem bohatera, byłem cały we łzach, jeszcze nimeśmy przybyli do domu. Zostałem Jenny i Zuzannę otoczone tłumem ludu, Martę prawiącą kazanie, a Zambę, tańczącego jak dziecko. Nie zwracając uwagi na to, że wyglądałem jak kominiarz, rzuciłem się w ich objęcia, i Bogu tylko wiadomo, z jakim uczuciem uściśkałem ich. Posmoliłem wszystkich, nie wyłączając nawet, jeżeli się nie mylę, i Zamby.

Nimeśmy weszli do domu, Jenny wskazała mi z uśmiechem na położoną naprzeciwko nas drukarnię „*Paris-Telegraphe*“, tego złośliwego dziennika. Olbrzymi afisz wznosił się po nad domem, i o pół mili można było czytać co następuje:

Piąta edycja

PARIS - TELEGRAPHE.

Okropny pożar.

Dzielny porucznik Green!!!

Bohaterski pompier SMITH!!!

Szczytne zdanie:

Jestem ojcem, nie dam zginąć temu dziecku!

50,000 egzemplarzy sprzedanych.

Szоста edycja w druku.

Oto była świątynia, w której rozdawano sławę! Było to dostatecznem jak sądzę, aby raz na zawsze wyleczyć

się z próżności. Z nicopisaną rozkoszą pobiegłem do łazienki, aby rzucić się do wanny, obmyć swą posmoloną twarz, i ochłodzić oparzone ramię! Teraz dopiero poznałem całą dogodność urządzenia domu w ten sposób, aby mieć zawsze na zawołanie czy to zimną, czy też ciepłą kąpiel. Zambo nie chciał mnie ani na chwilę odstąpić pod pozorem, że Massa potrzebuje ciągle jego usług, i nie może obejść się bez niego.

Pocziwy chłopak chciał porozmawiać ze mną, aby sobie przez to dodać powagi w obec sąsiadów. Moja chwała była jego chwałą; zdawałoby się, że to tylko zastępując Zambę, rzuciłem się w płomień.

Zszedłszy do bawialnego pokoju, ujrzałem biuro Paris-Telegraphe, ciągle napełnione kupującymi, że nie mogło nastarczyć żądaniom; tłumy gromadziły się po pod naszymi oknami dla ujżenia mnie. Dodawszy do tego moją rękę zawieszoną na chustce, mą twarz zarumienioną i osmalone włosy, mogłem uważać się rzeczywiście za bohatera.

Wkrótce, jakby na dopełnienie tego szczęśliwego dnia, muzyka straży ogniowej przyszła wyprawić mi serenadę, a Green, na czele kompanji w komplecie, wystąpił do mnie z mową.

W tej mowie (speech) bardzo zręcznie ułożonej, z rozrzewniającą skromnością, zapomniał on zupełnie o sobie, a mówił jedynie o okazanej przezemnie odwadze, i w imieniu kompanji prosił mnie, abym zechciał przyjąć stopień kapitana.

— Koledzy! przyjaciele! — zawołałem — zawstydzacie mnie waszą dobrocią, lecz niech Bóg zachowa, abym miał kiedyś zapomnieć przykładu, jaki mi dał porucznik Green,



i ratunku, jaki mi przyniósł dzielny sierżant Rose. Pierwszemu z nich zawdzięczam dobry uczynek, a drugiemu życie. Pozwólcie mi więc zachować na zawsze w pamięci dług wdzięczności, jaki względem nich zaciągnąłem; uważać nadal za mych przełożonych zacnego Greena i szlachetnego Rose, i pozostać z wami towarzysze prostym jak wy pompierem. Dumny waszą przyjaźnią i waszem bohaterstwem, nie zamieniłbym naszego skromnego munduru na mundur naczelnego wodza. Niech żyje Ameryka! niech żyje wolność!

Ta moja odpowiedź bardzo się podobała, a szczególnie też jej koniec, który nic nie był wart. Green rzucił się w moje objęcia, Rose poszedł za jego przykładem, a Fox, odprowadziwszy mnie na bok, rzekł po cichu:

— Jesteś djabło przebiegły, kolego; mierzysz wysoko, ale jednakże ja cię odgadłem. — I przymrużył na raz obydwie oczy. Przyznam się szczerze, że wcale nie zrozumiałem doniosłości tej tajemniczej mimiki.

Na znak dany przez Greena rozpoczęła się serenada, i w tejże chwili wywieszono nad drukarnią Paris-Telegraphe wielki afisz, jakby chorągiew na głównym maszcie. Na tym przezroczystym i oświetlonym kolorowemi latarniami afiszu, znajdował się z półlokciowych liter uformowany następujący napis:

Ósme wydanie

PARIS-TELEGRAPHE.

Okropny pożar.

Bohaterski pompier SMITH, nowy Cyncynat!!!

Otóż jak Ameryka wynagradza cnotę.

100,000 egzemplarzy sprzedanych.

dziwiąta edycja w druku.

— Co to ma znaczyć! — zawołałem. — Zambo, idź przynieść mi dziennik; musi w tem ukrywać się jakaś złośliwość.

Gdy przyniesione dziennik, znalazłem w nim ku wielkiemu memu zadziwieniu mowę Greena i moją odpowiedź. Wystenografowano je i wydrukowano, że tak powiem, na oczekaniu. Moją odmową zarobiłem sobie na tytuł Cyncynata. Nigdy nie mogłem dowiedzieć się, z kąd im się wzięło to porównanie, dosyć że słowo Cyncynat dobrze wyglądało na afiszu. To jednak nie żarty, zostać nazwanym nowym Cyncynatem. Po pod moją mową, w rozdziale noszącym śmieszny tytuł: „Jak Ameryka wynagradza cnotę“ znajdowały się dwa następujące listy:

### Ł A B Ę D Ź

Towarzystwo ubezpieczenia od pożaru.

Ulica des Acacias, Nr. 10.

(Kapitał towarzystwa 10 milionów dolarów. Ubezpieczeni są przypuszczeni do udziału w zyskach.)

Panie!

Odwaga, którąś pan okazał przy dzisiejszym pożarze, zwróciła na Ciebie uwagę rady towarzystwa. Miejsce lekarza dla sprawdzania ran i wypadków, zdarzonych przy pożarach, jest obecnie do wzięcia. Mamy nadzieję, że pan zechcesz zrobić nam ten zaszczyt, i przyjąć je. Pensji jest 400 dolarów rocznie.

Dyrektor towarzystwa X. X..

Panu doktorowi Danielowi Smith, pompierowi 7. kompanji.

### O P A T R Z N O Ś Ć

Szpital dla dzieci, utrzymywany ze składek prywatnych, po 10 dolarów rocznie. Ulica des Noyers, Nr. 25.

Panie!

Lekarz, który wypowiedział te piękne słowa: „Jestem ojcem, i nie dam zginąć temu dziecku“ jest niezawodnie tak skutkiem swego talentu, jakoteż i ducha poświęcenia, powołanym do pielęgnowania małych dzieci. Miejsce pierwszego lekarza przy naszym szpitalu jest do wzięcia, mamy nadzieję, że pan raczysz je przyjąć. Dyżur co dzień od 6. do 8. rano. Pensja 2000 dolarów.

Administratorowie szpitalu:

R... T...

Panu doktorowi Danielowi Smith, pompierowi 7. kompanji.

— Zambo? — zapytałem — więc przyniesiono listy dla mnie?

— Nie Massa, listonosz jeszcze nie przyszedł.

— To być nie może; chyba że ten dziennik drwi ze mnie?

— Stukają do drzwi, Massa — rzekł Zambo: — Słuchajmy: raz, dwa, trzy, to poczta, zaraz biegnę otworzyć.

Za chwilę murzyn przyniósł mi czterdzieści listów, cały stos papieru. Jedni z pomiędzy chorych zapytywali mnie, o której godzinie przyjmuję u siebie; drudzy prosili, aby jaknajprędzej przyjść ich odwiedzić; czterech kolegów zapraszało mnie na konsyljum; szczęściu aptekarzy ofiarowało mi współkę; i nakoniec rzecz dziwna, dwa starannie zapieczętowane listy uwiadamiały mnie poufnie o tem, co Paris-Telegraphe już był tak niedyskretnie ogłosił, czego zresztą nie miałem mu bardzo za złe.

Byłem sławnym! Los mi się uśmiechnął! Dzień jeden, jedna godzina odwagi wyrobiła mi imię, i zrobiła więcej dla mnie, niż dwadzieścia lat mozolnej pracy w starym świecie. Lecz pomyślałem sobie (i ta myśl zrobiła mnie nieco pokorniejszym, czego rzeczywiście zacząłem już czuć potrzebę): gdyby nie ten gadatliwy dziennik, gdyby nie ta trąba, która roztrąbiła moje imię na wszystkie strony nowego świata, czyżby mi się było tak poszczęściło? Pierwszą moją myślą było pójść i podziękować dziennikarzowi, jakiby on tam nie był, lecz było już zapóźno, biuro było zamknięte, obraz zagaszony a z nim po części i moja sława. Odłożyłem więc moje odwiedziny na jutro.

Przepędziłem wieczór w towarzystwie mych starych przyjaciół i dzieci. Musiałem im po kilkakroć opowiadać to okropne a zarazem chwalebne dla mnie zdarzenie. Jenny bladła, gdym mówił o niebezpieczeństwie, na jakie byłem wystawiony, a rumieniała się, gdym opowiadał radość matki z odzyskania dziecka. Zuzanna ścisnęła mi rękę patrząc na Alfreda.

Rozmowa byłaby prawdopodobnie ciągnęła się noc całą, gdyby jej nie przerwała Marta, kładąc na stole ogromną, czarno oprawną i na wielkie miedziane sprzączki zapiętą biblię.

— Czytaj — rzekła do mnie — i poskrom twą próżność; nie zapominaj historii Amana, syna Amadateuszowego, z pokolenia Agag; i pamiętaj, że jest Mardocheusz, który nie zegnije przed tobą kolana.

— Bądź spokojna Marto — odpowiedziałem śmiejąc się — nie ma przed memi drzwiami na pięćdziesiąt łokci wysokiej szubienicy, i nie myślę wieszać nikogo.



Jenny otworzyła biblię, i przeczytaliśmy trzeci rozdział z Daniela, który zachwycił Martę, niemniej podobał się Zambie i dał mi do myślenia nad dobrocią Boską dla mnie. Już było bardzo późno, gdyśmy się rozeszli, po dniu tak dobrze spędzonym.

Rzuciłem się na łóżko zmęczony, nieco cierpiący, ale zadowolony z siebie, i całą noc marzyłem o serenadach, afiszach, wiwatach i mowach.



Wielkie Nowiny Europejskie  
Wydawnictwo Księgarskie  
Londyn, Great Street, 20 nr 100  
Wydawnictwo Księgarskie (Glasgow), 1000 Great Street  
po 14 dniach  
— Jest to czas, gdy kolonialni  
Cztery pięćset tysięcy, w całym kraju, wzmocniło  
Wzrost się do 100,000,000  
70 William Street  
Wielkie Nowiny Europejskie — to jest  
Wielkie Nowiny Europejskie — to jest

ROZDZIAŁ VIII.

TRUTH, HUMBUG, AND Co.

Jak tylko się obudziłem, zaraz pobiegłem do okna : chciałem jeszcze nacieszyć się moją rodzącą się sławą, i przypatrzeć się memu bujającemu po nad dachami imieniu. Afisz był na tem samem miejscu, wszyscy przechodzący przed nim się zatrzymywali, lecz—o znikomości sławy ludzkiej! — oto co się na nim znajdował za napis :

Przybycie statku Persja.

WIELKIE NOWINY Z EUROPY

Londyn, Consol. 92<sup>3</sup>/<sub>4</sub>

Liverpool, bawelna, podwyżka 20 na 100.

Więprzowina solona (*Cleveland*), 4000 beczek, żądają po 14 dolarów.

Jedyna sposobność dla rolników!!!

Cztery piękne osły włoskie, wszystkie ogiery wyborowe.

Zgłosić się do pp. Ginochio bracia i Com.

70. William street.

— Narodzie handlowy! zawołałem oburzony grożąc pięściami przechodzącym — raso prostacza, która w parze

iść każesz interesom i bawelnie z uczuciami i z ideami, dziękuję Bogu, że nie należę do ciebie. Niech żyje kraj idealny! niech żyje Francja, którą zawsze można porwać pięknie brzumiącym słowem, ta Francja, która dzięki Bogu dopiero wtenczas myśli o swych interesach, gdy już jest zapóźno. Nasze głupstwo bez porównania więcej warte, niż porządek Jankeśów; nasza nędza jest o wiele szlachetniejszą od ich dobrobytu. Cztery osły włoskie i cena wieprzowiny, oto są dla tych niecoświeconych chłopów wielkie nowiny z Europy. A o Francji, o nowych modach, o balu dworskim, o ostatnim romansie; o najnowszej komedji to ani słowa! Dzicy Wandale, pogardzam wami.

Jakkolwiek rozgniewany do najwyższego stopnia, nie zrzekłem się jednakże zamiaru podziękowania dziennikarzowi, który wczoraj mówił o mnie. Jakiby on nie był ten gazeciarz, to nie wypadało mi pozostać jego dłużnikiem; zaszczycając go memi odwiedzinami, już tem samem kwitowałem się z nim zupełnie.

Wszedłem do domu o biednej powierzchowności, któremu za szyld służyła przybita do muru tabliczka miedziana z napisem: „Paris-Telegraphe. Truth, Humbug i Com., właściciele i wydawcy“. Spostrzegłszy przed sobą niewielkie, na zielono pomalowane drzwi, pchnąłem je i wszedłem do pokoju skromnie urządzonego, znalazłem się w obec maleńkiego jegomości, ubranego zupełnie czarno i zapiętego aż pod szyję; był to pan Truth. Siedział on przed wielkiem machoniowem biórkim, i przy pomocy ogromnych nożyczek wycinał długie artykuły z jakiegoś angielskiego dziennika, i wrzucał je w rodzaj skrzynki na listy, przez którą dostawały się do drukarni. Było to wydawnictwo tanim kosztem.

— Czego sobie życzysz? — zapytał nie podnosząc głowy i nie przerywając swego zatrudnienia.

— Jestem doktor Daniel Smith, pompier siódmej kompanji, ten sam, którego pan raczyłeś pochwalić w swym dzienniku wczoraj wieczór — odpowiedziałem głosem poważnym i protektorskim.

— To dobrze — rzekł dziennikarz nieprzystając cię dziennika. — Czemże można panu służyć?

— Przyszedłem aby panu podziękować, i choć tym sposobem spłacić mój dług wdzięczności.

Spojrzał na mnie z zadziwieniem.

— Pan mnie nie winieneś doktorze — odrzekł.

Ogłaszając piękny czyn pański, spełniłem tylko mój obowiązek, a do tego przyniosłeś mi pan wczoraj przeszło dwieście dolarów. Więc to nie pan jesteś moim dłużnikiem.

Powiedziawszy to zabrał się napowrót do roboty, nie poprosiwszy mnie nawet siedzieć.

— Panie Truth — rzekłem tonem suchym, w którym przebijała obrażona godność — nie moja rzecz wchodzić w powody, które wywołały wczorajszy pański artykuł; dosyć że oddałeś mi pan przysługę, jestem więc i pozostaję pańskim dłużnikiem.

Już miałem wychodzić, gdy Truth podniósł głowę i wlepiwszy we mnie swe wielkie czarne oczy, w których malujący się wyraz cierpienia uderzył mnie głęboko:

— Doktorze — rzekł głosem przerywanym — jeżeli chcesz koniecznie pokwitować się ze mną z tego urojonego długu wdzięczności, to powiedz mi, ale szczerze, na co jestem chory, i wiele mi jeszcze pozostaje czasu do życia.

Mówiąc to podniósł się, lecz nagle zatrzymał się i schwyił się obydwoma rękami za rękę. Był to silny atak



astmy. Wziąłem go za puls, przysłuchałem się oddechowi, i wyoskultowałem go, nie było żadnej wątpliwości co do rodzaju choroby.

— Doktorze — rzekł Truth — żądam od pana prawdy. Kto ma tak jak ja zwyczaj mówić ją wszystkim, ten będzie miał dosyć siły, aby ją i sam usłyszał. Potrzebuję konieczne znać dokładnie mój stan.

— Masz pan — odrzekłem — chorobę sercową, wcale nie trudną do wyleczenia. Cygara ze stramonium przyniosą panu ulgę. Lecz do zupełnego wyleczenia, to niezbędnie panu jest potrzebnem świeże powietrze, życie spokojne i odpoczynek tak fizyczny jak też i moralny; a nic z tego wszystkiego nie możesz pan znaleźć w redakcji dziennika.

— Dziękuję doktorze — rzekł — pańska rada zupełnie zgadza się z tem, co mi dziś rano powiedział mój doktor. Trzeba rzec się kłopotów, nieodłącznych od mego powołania, i to czem prędzej, tem lepiej. Jankes nigdy nie ogląda się po za siebie. Doktorze, kup sobie mój dziennik, sprzedam ci moją część za dwadzieścia tysięcy dolarów; zaręczam ci, że w przeciągu sześciu miesięcy je sobie od bierzesz. A co, zgoda?

— Do licha! — zawołałem — jak widzę, to pan nie tracisz czasu! Więc ja mam być dziennikarzem? jest to zaszczyt, o którym nigdy nawet nie pomyślałem.

— To pomyśl pan teraz. Dla człowieka porządnego jest to najpiękniejsze powołanie. Czyż może być co szczytniejszego, nad przewodniczenie swym braciom na drodze sprawiedliwości i prawdy?

Dziennikarstwo jest to powołanie, którego z daleka wcale nie szanują, lecz z bliska każdy nie wiem dla czego chce go się dotknąć. Dziennikarze należą do tej samej

rodziny co i komedjanci: pogardzają nimi lecz im zazdroszą zarazem. Ci cyganie mają rozum, każdy ma ochotę chociaż otrzeć się o nich. Nie ma pięknej damy, któraby nie była rada zbliżyć się do wielkiej kokietki; nie ma człowieka stanu, któryby w danej chwili nie podchlebiał gazetiarzowi, albo i sam nie zaciągnął się skromnie pod chorągiew dziennikarską.

Propozycja uczyniona mi przez p. Truth, pomimowolnie łechtala moją próżność, myśl kierowania opinią publiczną uśmiechała mi się. Wieleż to rzeczy taki człowiek jak ja może nauczyć ten tłum ograniczony i głupi, który się nazywa publicznością. Jedynie uczucie własnej godności przeszkadzało mi zgodzić się na to szaleństwo.

— Kierownictwo dziennika — odpowiedziałem memu choremu — jest to rzecz zbyt trudna dla tego, kto, że tak powiem, nie urodził się w tem rzemiośle.

— Ale gdzież tam! jest to rzecz najprostsza w świecie. Siadaj pan tu koło mnie, i posiedź ze dwie godziny, a poznasz cały sekret rzemiosła. W gruncie wszystko się sprowadza do tego jedyne go prawidła: mówić prawdę, zawsze prawdę i całą prawdę.

Ciekawość przewyższyła. Rzuciłem się w wielki fotel żółtą skórą wybity, i urządziłem sobie w ten sposób łaskę, żem mógł oprzeć o gałkę mą chorą rękę; tak się usadowiwszy, otworzyłem zapomnianą na stole tabakierkę, i rzekłem patrząc w oczy panu Truth:

— Pańska dewiza, mój kochany Arystydie, jest bardzo piękną; ale mówiąc między nami, czy nie jest ona tylko za bardzo piękną? Zawszem sądził, że w dziennikarstwie kłamstwo jest prawidłem a prawda wyjątkiem.

— A gdzieżeś to widział machjawelski doktorze? Chyba w starej Europie. Może w Hiszpanji, Francji, Rosji lub Turcji, wszędzie tam, gdzie dziennikarstwo jest monopolem w ręku rządu, gdzie biednym dziennikarzom wolno jest nic nie powiedzieć przez sześć dni, pod warunkiem kłamania urzędowego w dniu siódmym; ale w kraju wolnym, gdzie każdy może myśleć co mu się podoba, i drukować to co myśli, na cóżby się przydać mogło kłamstwo? Prawda, to jest towar, który publiczność od nas kupuje. Kłamać, byłoby to stracić odbyt, i zrujnować się haniebnie. Możemy mieć wszystkie wady, wyjąwszy tej jednej. Weź pan n. p. angielski *Times*; — jest on niestałym, gwałtownym, grubiańskim, ale nigdy kłamliwym. Gdyby raz jeden został złapany na gorącym uczynku kłamstwa, toby jego właściciel stracił sto tysięcy dollarów rocznego dochodu. Jak pan widzisz, to kłamstwo za drogoby kosztowało; jest się więc prawdopodobnym przez wyrachowanie i cnotliwym przez interes.

Ta cnota amerykańska nie olśniła mnie wcale, szukałem w myśli odpowiedzi, gdy w tem ujrzałem we drzwiach twarz pomarszczoną i żółtą jak stary pergamin. Był to mój zacny towarzysz broni i sąsiad *sollicitor* (obrońca) Fox, który zbliżył się na palcach ku stołowi, i uściśnął nas nader czule za ręce.

— Dzień dobry kochany Truth — rzekł uśmiechając się do dziennikarza. — Przychodzę od bankiera Little, porozmawiać z panem o grubym interesie. Idzie tu o dwa tysiące dollarów, które może zarobić twój dziennik, dwa tysiące dollarów — powtórzył z przyciskiem.

— Dobrze — odrzekł zimno dziennikarz — to należy do mego współnika.

Zadzwonil. Małe drzwiczki się otworzyły, i z trudnością przecisnął się przez nie gruby mężczyzna, który z powodu olbrzymiej budowy ciała, łysej głowy, wielkich uszu, i naprzód wystających zębów, wyglądał na ubranego słonia.

— Dzień dobry doktorze Smith — zawołał wybuchając głośnym śmiechem — dzień dobry, poznałem cię po ręce zawieszanej na chustce. No i cóż powiesz kochany Cyncynacie o moim wczorajszym afiszu? czy nie wart był dzisiejszego? Wiesz Truth, że cztery osły już zostały sprzedane; Ginocchio dał znać, aby zdjąć ogłoszenie. Dzień dobry Fox, jesteś tak cienki, że cię z początku wziął za cień doktora. Wy *solicitors* macie sumienie tak delikatne, że skrupuły was czynią chudymi. No i cóż nam przynosisz nowego?

— Oto o co chodzi — rzekł Fox, któremu nie zbyt pochlebiali grzeczności pana Humbug — Dom Little podjął się małej pożyczki meksykańskiej, dziesięć milionów dolarów na początek. Akcje są dwustodollarowe, puszczone w kurs po sto sześćdziesiąt, i wypłacalne *al pari* przez coroczne ciągnięcie. Dziesięć od sta procentu, dwadzieścia na sto zysku na samym kapitale, wszak prawda że to piękny interes.

— Dla pana Little — dodał Humbug śmiejąc się. — Więc potrzebujecie ogłoszeń: *Mundus vult decipi, ergo decipiatur* \*). Bądź spokojny Fox, damy wam doskonałe miejsce w naszym dzienniku. Wasza pożyczka meksykańska będzie rudownie wyglądać pomiędzy smarowaniem Hollowaja i pigułkami Morisona.

---

\*) Świat chce być oszukany, oszukujmy go więc.



— Przeszedłem porozumieć się z panem co do ceny — rzekł Fox.

— Jak to, pan pytasz się o cenę ogłoszeń? Wyraz po centymie \*), za sto wyrazów dollar; wiesz pan przecież dobrze, że w tym wspólnym lesie łąże się po stałej cenie.

— Przepraszam cię kochany Humbug — przemówił Fox przymrużając oczy — lecz jak widzę, to mnie nie rozumiałeś. Mówiąc o cenie, nie miałem wcale na myśli ceny ogłoszeń. Little życzyłby sobie, aby projekt tego pożytecznego i patriotycznego przedsięwzięcia został umieszczony w środku dziennika, tak aby to wcale nie miało miny ogłoszenia. Zapłacimy tyle, wiele będzie trzeba. Pojmujesz mnie teraz?

— Aż nadto dobrze panie lisie — odrzekł gruby Humbug nie przestając się śmiać. — Ale jak mówi stary Plaut: *Stultitia est venatum ducere invitos canes* (głupstwem jest, chcieć zmusić psy do polowania, pomimo ich woli). Za późno wstałeś mój kochany Fox. Z tej strony Oceanu nie łapie się głupców w tak ordynaryjne sidła; to się jedynie może udać z niewiniątkami drugiej półkuli. Zresztą, jak tylko nie chodzi o ogłoszenie, to udaj się do mego współnika. Zrozumiałeś kochany przyjacielu, czego od nas żądają?

— Doskonale — odpowiedział Truth głosem drżącym — Little potrzebuje mego honoru dla umieszczenia swej pożyczki, i przysłał pytać się, co za niego żądam?

\*) Dollar amerykański dzieli się na sto centymów, z których każdy ma wartości centimów francuskich  $5\frac{1}{3}$ , prawie trzy grosze nasze.

— Truth, mój przyjacielu, ty ze złej strony bierzesz rzeczy — rzekł Fox słodziutkim głosem — jesteś większym purytaninem niż pielgrzymi z Plymouth. My nie od ciebie nie żądamy innego nad to, co już inne dzienniki nam przyrzekły. Ostrowidz, Słońce, Trybuna poprą naszą pożyczkę, przynajmniej tego się spodziewamy, jesteśmy w trakcie układów.

— Ponieważ macie za sobą te dzienniki — przerwał Truth — więc po cóż przychodzicie tutaj? Na cóż więc wam ja potrzebny jestem?

— Z bardzo prostego powodu, mój drogi przyjacielu — odrzekł Fox miodowym głosem. — Na bursie mają zaufanie jedynie w Paris-Telegraphe; więc to jest rzecz naturalna, że chcemy mieć was po naszej stronie. I nie będziemy żałować żadnych ofiar, aby dojść do tego celu.

— Panie Fox — zawołał dziennikarz błady ze wzruszenia — oto są drzwi.

— Sługa pański, panie Truth — rzekł obrońca wynosząc się czem prędzej.

— Ja wcale pańskim nie jestem — odrzekł Truth — Jutro dowiem się i ogłoszę, co to jest ta wasza pożyczka.

— Mój kochany panie — rzekłem z doktorską powagą — samo chcący szkodzisz swemu zdrowiu, a przy tem pewno nie wyprowadzisz z błędu nikogo, a tylko narobisz sobie śmiertelnych nieprzyjaciół.

— Nieprzyjaciele, to nasza sława; jesteśmy żołnierzami i nasze miejsce jest w ogniu.

Mówiąc to, chwycił się obydwoma rękami za piersi i upadł na fotel.

— Doktorze! — zawołał Humbug - ratuj go! przecież widzisz że się dusi. Czy też to się godzi tak się wzru-

szac z powodu takich łotrów! Truth, podły samolubie, ty naumyślnie się zabijasz, aby mnie zgubić, mnie twego dawnego przyjaciela. No cóż, spojrzysz że na mnie.

Truth wyciągnął ku niemu rękę ze smutnym uśmiechem na ustach. Uczułem pomimo woli rodzaj politowania dla tego biednego marzyciela, który poświęcał swoje życie najfantastyczniejszemu i najniewdzięczniejszemu rzemiosłu.

zaszła z powodem takim samym! Truth podły zamieszanie i  
 namyślał się, że jeżeli Truth, który miał trudzić, miał twój do-  
 wrogi przysięgał, że coś słęczył, to on może...  
 Truth wysiadł na swoim łóżku, nie mógł spać...  
 zaszła na niego... Truth, który był...  
 dla tego... Truth, który...  
 Truth... Truth... Truth...

## ROZDZIAŁ IX,

### W KTÓRYM PRAWDA DOSTAJE ZA SWOJE.

Po przejściu ataku, gdy chory zaczął nieco swobodniej oddychać, Humbug opierając się na stole, rzekł głosem, który napróżno starał się uczynić wesolym :

— Nie opieraj się dłużej, kochany Truth twemu powołaniu ; i zostań pastorem. Występki są tak potulne, że pozwalają się chłostać bez oporu. Co niedziela smaga się je potężnie u swych bliźnich, po czem śniada się najspokojniej w świecie i objaduje podobnie. Lecz do tych istot dwunożnych, które się mają za ludzi, ponieważ chodzą na dwóch łapach, do tych wilków w okrągłych kapeluszach, do tych lisów w okularach, tych małp w krawatkach i tych gęsi czarno ubranych, należy się zbliżać chyba jedynie dla tego, by się naśmiać z ich drapieżności, chytrości i głupoty. Ten kto ich bierze na serjo, umiera z rozdartem sercem.

— Oto mój następca — rzekł Truth, biorąc mnie za rękę — będziesz miał wybornego współnika z doktora, kochany Humbug.



— Co, z doktora? — rzekł Humbug — to nie podobna; wygląda on za bardzo na jagniątko.

— Jakiż to więc jest gatunek zwierząt — zawołałem — który dostarcza dziennikarzy?!

— Ażeby być dobrym dziennikarzem — rzekł Humbug z komiczną powagą — trzeba mieć psią powierzchowność, psie powonienie, psie zuchwalstwo, psią odwagę i psią wierność. Psią powierzchowność, aby przerażać łotrów; psie powonienie, aby ich poczuć z daleka; zuchwalstwo psie, aby na nich szczekać nie zważając ani na ich miny, ani też na groźby; psią odwagę, aby im w razie potrzeby skoczyć na kark; nareszcie psią wierność, aby być zawsze na rozkazy prawdy, i nie znać nad sobą innego nad nią pana.

— Nie przypuszczałem — rzekłem zniecierpliwiony — że pan dyrektor ogłoszeń pałasz taką żywą bezinteresownością dla prawdy.

— I dla czegoż to, uczony Eskulapie? — przerwał on tonem drwiącym. — Czy sądzisz, że ja nie wiem, iż dwa a dwa jest cztery? Co stanowi cenę ogłoszeń? Oto liczba czytających dziennik. A co sprowadza czytających? Opinia. A czyż można sobie zjednać opinię, oszukując ją? Prawda, to ciało dziennika — ogłoszenia, to jego krynolina, śmieszne ubranie, sprawione przez kłamstwo i próżność. *Desinit in pisces mulier formosa superbe!* A czyja w tem wina? Rozumu i dobrego gustu publiczności.

— Panie — rzekłem, obracając tabakierkę w rękę, dla dodania powagi mym słowom — nie każda prawdę godzi się mówić. Znajdują się bowiem takie, które niepokoją i rozdzierają społeczeństwo.

— Masz rację kochany doktorze, prawda jest rewolucjonistką.

— A więc — zawołałem — pan sam to przyznajesz!

— Bez wątpienia, nic się nie da przeprowadzić bez ofiar. Weź pan np. reformę religijną, jakimże to okropnym kosztem, wyswohodziła ona sumienie.

— Otóż to właśnie — rzekłem stukając łaską — otóż to właśnie.

— A Ewangelja — przerwał Humbug. — Jakie gwałtowne przemiany! Stara cywilizacja zniszczona, Jowisz zrzucony z tronu, Cezarowie sponiewierani i obaleni. Jakby to było szczęśliwie, gdyby była została zgniecioną w samym zarodku ta prawda, która zabiła świat stary, a dała początek nowemu. I cóż kochany Hipokracie, jakoś nie mówisz. A rewolucja francuska?

— Panie! — zawołałem — nie dotykajmy się rzeczy świętych. To opieranie się przywilejów było przyczyną wszystkiego złego. Przyznaj pan sam, że są prawdy, które przerażają.

— Tak jak światło przeraża złodziei.

— Niektóre są wstrętne tym, którzy je słyszą.

— Tak, jeżeli wytrzeźwiają z pijaństwa lub rozbudzają wyrzuty sumienia.

— Inne znów są niebezpieczne dla tych, którzy je głoszą.

— Wtenczas, gdy mają oni niewolnicze lub lokajskie serce.

Obróciłem się tyłem do tego bezczelnego sofisty — który odważył się uderzać na rozsądne przesady, i wstrząsać poduszką, na której od dwóch tysięcy lat świat spieszem sprawiedliwego — i zwracając się do Trutha, który

wziął się napowrót do swego poprzedniego zatrudnienia, i zdawał się wcale nie słuchać naszej rozmowy:

— O czem pan myślisz kochany pacjencie? — rzekłem — może nasza rozmowa cię męczy?

— Doktorze — odpowiedział uśmiechając się — daj mi niedelikatności mej wyobraźni; myślałem o Piłacie... Słyszałem tego poważnego administratora, mówiącego do Chrystusa: „Co to jest prawda“ i wychodzącego nie czekając odpowiedzi. Byłby z pana doskonały gubernator Judei za czasów cesarza Tyberjusza.

— Jakto? — dodał ożywiając się — więc pan nie czujesz tego, że dla nas, ludzi wolnych, prawda to życie, a kłamstwo, to śmierć. Popatrz pan tylko, jakie kraje są najbardziej kwitnące, oświecone, szlachetne i litościwe — jeżeli nie te, gdzie każdy ma prawo mówić prawdę, i to całą prawdę, bez żadnego względu na osoby, bez żadnej czei dla przesądów, przywilejów i nadużyć. A popatrz z drugiej strony, jakie są najbiedniejsze, najmniej oświecone, i najniemoralniejsze, jeżeli nie te, w których panuje pod wszystkimi formami kłamstwo urzędowe. Przypatrz się wielkości Anglii, szybkiemu rozwojowi Ameryki, i powiększającej się codzień pomyślności Australii. Jakaż to siła podniosła ludność naszych Stanów Zjednoczonych w przeciągu lat ośmdziesięciu, z trzech miljonów do trzydziestu jeden? Nie wątp pan o tem, że tą siłą jest prawda. Zostaw pan politykom układanie i przekształcanie formy rządu, a zobacz jakie są najżywotniejsze instytucje ludów wolnych. Oto: szkoły, stowarzyszenia, mownica i dziennikarstwo; czemże są te wszystkie instytucje, jeżeli nie narzędziami do szerzenia prawdy, i zjednywania jej wszystkich serc? Policz dzienniki jakiego ludu, a będziesz wiedział,

jaki on stopień zajmuje pomiędzy oświeconemi narodami; jestto termometr, który nie zawodzi nigdy. I dla czegoż to? Oto dla tego, że prawda jest inaczej mówiąc prawem, które rządzi światem moralnym, że pomiędzy ludźmi również jak i pomiędzy rzeczami, istnieją stosunki naturalne. Poznać i uszanować te stosunki, jestto poznać i uszanować prawdę, czyli jaśniej mówiąc, samego Boga, obecnego na świecie, przez swą wszechmocną wolę.

— Drogi panie Truth — rzekłem wzruszony nieco tym potokiem słów — Humbug ma rację, pan jesteś stworzony na kaznodzieję. Ale doświadczenie mnie od dawna nauczyło, że praktyka jest wprost przeciwną teorji... Że prawdy prześlicznie wyglądają z daleka, lecz że na nie-szczęście nie mogą wytrzymać próby, przy wprowadzeniu ich w życie. Codzień słyszę wszystkich powtarzających, że ludzie są braćmi, że kobieta jest równą mężczyźnie, że rządy istnieją dla ludów, że...

— Lecz pan o tem wątpisz — przerwał Truth.

— Nie, teoretycznie nie wątpię o tem; lecz spróbuj wprowadzić w praktykę te piękne zasady, a zobaczysz gdzie cię one zaprowadzą.

— Do panowania Ewangelji — odrzekł dziennikarz z dziwną powagą. — Jeżeli pan znasz szlachetniejszy ideał, to go powiedz, lecz jeżeli nie masz nic do postawienia na jej miejsce, to nie graj smutnej roli Mefistofelesa. Ludzkość potrzebuje wiary i nadziei.

— A to paradny ten pan doktor, który nie wierzy w teorjã! — zawołał Humbug z impertyneuckim śmiechem — czy jak pan rozmawiasz, to wiesz co mówisz? czy dając lekarstwo chorym wiesz co robisz?... Niech pana nie obraża, lecz, jeżeli wiesz, to przez to samo zastosujesz teorję,



jeżeli zaś nie wiesz, to i jakąż masz rację być dumnym z tego że nic nie rozumiesz?

Wyciągnąłem się w fotelu, założyłem nogę na nogę, skrzyżowałem ręce na piersiach, i patrząc prosto w oczy panu Humbug, rzekłem:

— Posłuchaj mnie pan serjo, jeżeli jesteś w stanie brać cokolwiek na serjo. Powtarzam raz jeszcze, że w teorii kocham prawdę, i kocham ją pewnie nie mniej od pana, ale dziennikarstwo nie jest prawdą. Jest to mieszanina namiętności, oszczerstw i kłamstw, które oburzają delikatne serce. Szalona wolność, która panuje w tym kraju, wcale mi się nie podoba; długo zastanawiałem się nad tym przedmiotem, i jeżeli zechcecie mnie pojąć, to wam wyłożę, jakby można urządzać dziennikarstwo, rozsądnie rozpoznać prawdę, ukrócić cugłę złemu, a zostawić jedynie wolność dobremu.

— Zabronić psom szczekać! — zawołał Humbug wybuchając głośnym śmiechem — więc kwadratura koła została wynaleziona.

— Mam tu na myśli — mówiłem dalej, nie zważając na ten głupi koncept — rząd oświecony, uczciwy, ojcowski, zajęty jedynie zapewnieniem szczęścia swoim poddanym...

— Doktorze, to teoria.

— Nie panie, to przypuszczenie. Rząd ten składa się z ministrów zdolnych...

— Rozumiem — rzekł nieznośny kpiarz — z ministrów wykształconych, uczciwych, ojcowskich i zajętych jedynie zapewnieniem szczęścia rządzonego przez siebie.

— Tak panie, ci ministrowie mają pod swemi rozkazami tysiące agentów...

— Wszystkich, równie wykształconych, uczciwych, ojcowskich, itd. jednym słowem, legjon aniołów czarno ubranych...

— Cicho bądź Humbug! — zawołał Truth. — Daj mu skończyć, to opowiadanie z tysiąca i jednej nocy; zdaje mi się, że słyszę Francuza, który wystawia sobie, że rozumuje, ponieważ sady paradoksami, i sypie wyrazy jakby z rękawa.

— Słuchaj pan dalej, panie Truth — odpowiedziałem sucho — bo to doświadczenie i rozsądek przemawiają przezemnie. Otóż, temu rozsądnemu rządowi, który wie wszystko, wszystko widzi i wszystko słyszy, który nie ma ani przesądów, ani namiętności — temu rządowi mówię, poruczam szerzenie prawdy, nie dając mu bynajmniej przez to monopolu takowej, jestem przecież zwolennikiem wolności, uporządkowanej, ograniczonej i umoralnionej... Zmniejszyłbym ilość drukarni, aby łatwiej było pozostałe opatrzyć cenzurą przezorną i umiarkowaną; dalej ograniczyłbym liczbę dzienników, w ten sposób, aby pozostała się jedynie mała ilość tych mownic: tylko prawdziwe ambony, któreby musiały zachowywać najwyższą przyzwoitość i umiarkowanie. Dziennikarze byłiby jak księża kapłanami prawdy, której wskazówki otrzymywaliby od rządu. A jeżeliby pomimo rozumnego zarządu, jaki nikczemny dziennikarz, zapominając o świętości swego powołania, zapomniał i o uszanowaniu, jakie jest winien władzy, uosobieniu sprawiedliwości i prawdy, wówczas, nie sądom przysięgłym, które mają rękę zbyt powolną i nieraz pozwolą pomiędzy jej palcami prześliznąć się niejednej wątpliwej niewinności, ale administracji, zawsze ojcowskiej i opiekuńczej, powierzyłbym świętą misję zgnębienia kłamstwa, a nawet w razie potrzeby wstrzyma-

nia go, nimby jeszcze przyszło na świat. Ta to administracja, zawsze przezorna, oświecona i bezinteresowna, wiedząca lepiej jak ktokolwiek inny, co jej pomaga a co przeszkadza, karałaby zuchwałstwo i ciemnotę, ona to zgniatałaby rodzącą się opozycję, jak Herkules w kolebce dusił węże. Dzięki tej genialnej hygienie, dzienniki stałyby się niewinnym pokarmem, byłyby lekarstwem, zamiast być trucizną; a dziennikarstwo byłoby pochodnią w rękę władzy, i nikt nie miałby potrzeby obawiać się pożaru. Oszczędzilibyśmy pożyteczne przesady i zbawienne błędy, udzielano by prawdy w stosunku do potrzeby rządu i sił ludności; a jeżeliby jaka nowa doktryna pokazała się zagranicą, to zamiast zaniepokajać nią zaraz spokojne i wzdychające do spoczynku umysły, czekano by na skutki, jakie ona sprawi w swym rodzinnym kraju. Oto moja teoria, cóż pan o niej panie Humbug?

— D...d rascal! — zawołał uderzając mnie po ramieniu tak lekko, że o mało nie spadłem z fotelu. — Jak to dobrze mieć rozum. zawsze się ma jakieś głupstwo do powiedzenia! Ktoby się spodziewał żeby nasz gość, który ma tak poważną minę, chciał sobie zażartować ze starego jak ja Jankesa!

— Panie Humbug — rzekłem rozcierając sobie ramię — ten grubiański sposób dowodzenia wcale mi się nie podoba. Zabić, to nie jest odpowiedzieć.

— Również jak i zadusić! — zawołał dziennikarz śmiejąc się. — Mów dalej doktorze, wierzaj mi, że jesteś daleko zabawniejszy niż sam sądzisz! *Verba placent, et vox!* \*) Lecz muszę już pana pożegnać, bo to właśnie go-

---

\*) Podoba mi się i głos i słowa.

dzina drukowania dziennika; czas to pieniądze, pan mnie rujnujesz.

Zostawszy sam z panem Truth zapytałem go, czy nie jest równie jak ja przekonany o głębokości systemu, który mu wyłożyłem, i czy chaos i bezład dziennikarstwa amerykańskiego, mogłyby wytrzymać porównanie z tym silnym mechanizmem, który w bardzo krótkim czasie musiałby okiełznać najszaleńszy naród na świecie, przyzwyczać go do umiarkowania, i wpoić weń zamilowanie niewinnej wolności.

— Doktorze — odrzekł on cichym głosem — ja podzielam zdanie Humbuga, pan sobie żartujesz z naszej prostoty. Oddawna znam doktrynę, którą nam przedstawiasz za nowo wynalezioną. Jest to zasada inkwizycji; prawda powinna się stać rzeczą urzędową (*instrumentum regni*) i być przywilejem kościoła i rządu. Przed trzema już wiekami Luter dmuchnął, i rozwiął tę chimere, i przywrócił każdemu chrześcijaninowi posiadanie sumienia i praw. W pierwszych czasach po stworzeniu świata prawda wyszła z puszki Pandory, a z nią wiele innych rzeczy nader pożytecznych, które także stają się szkodliwymi w niezgrabnych rękach; prawda jest własnością ogółu, dopóki każdemu wolno jej szukać, lecz gdy ją ktoś sobie przywłaszcza, to wówczas przestaje do kogokolwiekbaż należeć. Nie łudź się pan słowami. Któż bo to jest rząd, ministrowie, urzędnicy, jeżeli nie ludzie, ani nieomylniejsi ani też mędrsi od nas. To czyste marzenie, chcieć ich zrobić szafarzami prawdy; prawda jest własnością ogółu, jak powietrze lub światło; ograniczyć jej nie podobna, można tylko ją stłumić, i nie mogąc zabronić ludziom myśleć, zakazać im przynajmniej mówić. I któż korzyść odniesie



z tego szkaradnego wynalazku? Władza może? nie, bo ona będzie pierwszą jego ofiarą. Będą bowiem ją oszukiwać nieustannie, i garstka intrygantów będzie w stanie wywieść w pole najuczciwszego urzędnika, i skłonić go do popelnienia największych nadużyć. Czyż pan nie widzisz, że twój rząd będzie miał prawo fałszywie postępować, byleby tylko umiał fałszywie lecz zręcznie rozmawiać. Cóż na tem skorzystają obywatele kraju? Od chwili gdy ich pozbawiasz życia publicznego, odejmujesz im to co jest najszlachetniejszego, najpiękniejszego, i największego na świecie: miłość ojczyzny i przywiązanie do wolności. Odejm ruch dziennikarski i wolność słowa, a społeczeństwo stanie się stojącą wodą, która wydać z siebie może jedynie zgniliznę i śmierć. Czyż zapewnisz przez to przynajmniej dobrobyt materialny, jedyną ponętę, na którą złapać można massy? Wcale nie: bogactwo bowiem jest owocem wolności. Bezpieczeństwo osobiste, kredyt, przemysł i handel, mogą jedynie kwitnąć w kraju obfitującym w dzienniki, których głos tak pana niepokoi. Milczenie, jestto tryumf głupców; uczciwi ludzie nienawidzą ciemności; zostaw więc nam światło, ruch i życie... Przypomnij pan sobie, że w Rzymie także powstawano na gadatliwość trybunów; że pewnego dnia Sylla zakazał im mówić ku wielkiej radości mędrków, i że odtąd zaczyna się upadek świata, z którego nawet chrześcijaństwo nie potrafiło go podnieść.

— Za pozwoleniem — rzekłem zdziwiony obrotem, jaki przybrała rozmowa — ja wcale nie sądzę, żem wynalazł kamień filozoficzny polityki. Każdy systemat może prowadzić do nadużyć, jestto kwestja zastosowania go właściwie. Lecz przyznaj pan, że język waszych dzienników,

jest przerażającym, i że nie ma nic gorszego nad tę ich szalną wyuzdanosć.

— Znasz zapewne doktorze słowa Ewangelji, że po owocach ich poznacie ich. Znajdź mi proszę kraj, w którym by było więcej oświaty, więcej miłosierdzia, i więcej dobrobytu materialnego, jak w Ameryce.

— Ja na wszystkie strony widzę tu skandale — odpowiedziałem. — Nawet podstawy społeczeństwa są tu oparte na ruchomym piasku, który nazywacie demokracją. I cóż bo wy tu szanujecie? Niby religję. A jednakże niech tylko jaki pastor nie spełnia swych obowiązków, niech np. jego prowadzenie się będzie lekkim, zaraz dwadzieścia dzienników zamiast starać się ukryć przed oczami ogółu słabości, których hańba spada na kościół, wysmiewają je, jak niegdyś niegodny syn Noego.

— Hańba spada na kościół, który ujmuje się za winnym; ale nie może dotknąć kościoła, który precz od siebie odrzuca zepsutego członka.

— Czyż szanujecie choć sprawiedliwość? Nie dalej jak wczoraj, dziennik wasz napadał z cyniczną złośliwością na sędziego, który w przystępie złego humoru skrzywdził jakiegoś tam biedaka. Jakżeż chcecie aby szanowano sędziego, jeśli go nie uważają za nieomylnego.

— Sprawiedliwość — rzekł Truth — istnieje dla obwinionego, a nie obwiniony dla sprawiedliwości.

— Niech np. — mówiłem dalej — podwładny przekroczy zakres swych atrybucyj; niech wypadkiem nadużyje prawa; niech przez pomyłkę przyaresztuje niewinnego — a natychmiast mnóstwo dzienników zaczyna hałasować na despotyzm, jak te psy co czekają na księżyc; gotowe one poruszyć kraj cały, za sprawę jakiegoś tam nędzarza, że-

braku, lub nawet jakiegoś złodzieja, wtrąconego do więzienia z pominięciem formalności prawnych.

— I będą miały słuszość — rzekł Truth — wolność najostatniejszego nędzarza jest sprawą ogólną. Jak tylko formalności prawne są pogwałcone, skoro choćby jeden obywatel jest niesłusznie prześladowany, już tem samem wszyscy są zagrożeni. Kto tego nie pojmuję, ten nie rozumie, co jest wolność.

— Czyliż czasami nie zdarza się konieczność zakrycia posągu prawa, i ocalenia kraju, z pogwałceniem fałszywej prawności?

— Jak widzę doktorze, to masz wyraźną słabość dla Pilata. Jego także nie wstrzymywała fałszywa prawność; wolał on potępić niewinnego, jak narazić się na utratę swej posady. Był to człowiek nader zręczny, i nie pojmuję, dla czego świat jest tak surowym dla niego.

— I do czegoż to was doprowadzi? — mówiłem dalej, coraz to bardziej rozdrażniony zimną krwią Trutha. — Chyba do tego, że dziesięć lub dwanaście dzienników będzie panami opinii publicznej i rzeczypospolitej.

— Dwanaście dzienników? — rzekł Truth z zadziwieniem — co pan przez to rozumiesz? My tu mamy ich trzysta, i to jeszcze jest za mało dla półtoramiljonowej ludności. Boston ma ich sto dla mniej niż dwóchkrościosięcy mieszkańców; to prawda, że Boston jest miastem purytańskim, inaczej pojmują w nim wolność i cywilizację niż w Paryżu.

— Trzysta dzienników! — zawolałem zdziwiony tą ogromną liczbą. — Któż więc kieruje i rządzi opinią publiczną? Więc pierwszy lepszy człowiek bez posłannictwa może wystąpić jako prorok i prawodawca? więc każdy ma-

rzyciel może powiedzieć wszystko, co mu się podoba, i narzucić swe przekonania masom? A! to okropny despotyzm.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Truth zniżając głos, aby mnie sprowadzić z zanadto podniesionego tonu — bądź tak łaskaw i nie rozpoczynaj swych żartów; bawią one Humbuga, lecz mnie prawdziwą przykrość sprawiają. Gdzie wszyscy mogą mówić i pisać, tam nie ma ani posłannictwa, ani proroków, ani pierwszych lepszych; jest tylko prawo, które przysłuża każdemu obywatelowi, i z którego każdy obywatel może korzystać, czy to w swoim własnym, czy też w ogólnym interesie. W narodzie wolnym nikomu nigdy na myśl nie przyszło, chcieć kierować i rządzić opinią. Każdy Jankes sam sobie wytyka drogę którą ma postępować, i obiera sobie stronnictwo i chorągiew, dokładnie wiedząc co robi. Dziennikarstwo jest niczem innym, jak tylko echem, powtarzającym idee ogółu. Jedyne zajęciem tych niezliczonych dzienników jest: zbierać fakta, wiadomości i idee, to jest mnożyć i rozszerzać światło. Czem ich jest więcej, tem łatwiej jest każdemu obywatelowi czytać, zastanawiać się, i wyrobić sobie swój własny sąd. Naszem dążeniem jest, uczynić prawdę przystępną dla ogółu; a despotyzm wywierany przez dzienniki, istnieje jedynie w pańskiej wyobraźni. Mógłby on chyba istnieć tam, gdzieby nierozsądny rząd, nie pozwalając na istnienie więcej niż dziesięciu lub piętnastu dzienników, już przez to samo stworzył z dziennikarstwa monopol przeciwko samemu sobie, zmuszając do łączenia się z sobą stronnictw, które już z samej swej natury dążą zwykle do rozdrabniania się. Lecz w Ameryce, gdzie istnieje ośmset lub dziewięćset dzienników, i gdzie codzień jeszcze nowe powstają, ta ogromna ilość tyranów zabiła tyranję.



— Niech i tak będzie; jest demokracja papierowa, stan, którego nie przewidział Aristoteles. W tym szczęśliwym kraju wszystko jest rządem, z wyjątkiem samego rządu. Wy dziennikarze (a i któż tu nie jest dziennikarzem), jesteście wyżsi nad kościół, nad sprawiedliwość, nad rząd. Czemże więc jesteście?

— Odpowiedź na to jest więcej niż łatwa — rzekł Truth — jesteście społeczeństwem.

— Lecz jeżeli społeczeństwo, jeżeli lud rządzi, któż więc jest rządzonym?

— Powiedz mi doktorze — odpowiedział dziennikarz uśmiechając się — gdy sam siebie prowadzisz przez ulicę, któż jest prowadzonym? Czyż przez miłość dla teorii potrzebujesz pan paska? Kiedy rządzisz swemi namiętnościami (co nie zawsze czynisz), któż jest rządzonym? Przecież istnieje pełnoletniość dla ludów tak samo jak dla pojedynczych ludzi. Jeżeli Chiny starzeją się w swem wiecznem dzieciństwie, to ich mocno żałuję; ale my chrześcijanie, my obywatele wielkiego kraju, nie jesteśmy wcale ani ludem idiotów, ani też małoletnich, już od dawna wyszliśmy z pod opieki, i sami zajmujemy się swemi interesami. I czemże jest to wielowładztwo ludu, które od lat siedmdziesięciu umieszczamy na czele naszych konstytucyj, jeżeli nie uznaniem jego pełnoletniości?

— Porównania niczego nie dowodzą — rzekłem oschle — to co jest prawdą w zastosowaniu do pojedynczego człowieka, nie jest prawdą w zastosowaniu do narodu.

— Znowu tylko słowa doktorze. Naród jest zbiorem pojedynczych ludzi. To co jest prawdą dla dziesięciu, dwudziestu lub tysiąca ludzi, będzie również prawdą i dla miliona. Od jakiejże to liczby zaczyna się nieudolność?

— Nie — rzekłem — to nie prawda, aby naród miał być prostem połączeniem pojedynczych ludzi, jest on zupełnie czem innym.

— To jest, że suma wynika z dodawania jest czem innym, jak suma wszystkich jedności.

— To błąd — zawolałem zmęczony rozprawianiem z umysłem tak ograniczonym. — Istnieje tu bijąca w oczy różnica. Kiedy np. idzie o poświęcenie interesów prywatnych, jakiegoż słowa magicznego używają wszyscy ludzie stanu? Interes ogólny. Kiedy trzeba unieważnić jakie prawa albo pretensje niedogodne rządowi, na cóż się on powołuje? Na interes wyższy, interes społeczny. Użytek publiczny, to zaprzeczenie praw osobistych: w taki przynajmniej sposób rozumują i działają we wszystkich krajach cywilizowanych. Gdyby dosyć było słuchać woli większości i stosować się do jej interesów i życzeń — czemużby się stała wówczas polityka? rzemiosłem kupieckim, zadaniem którego mógł spełniać pierwszy lepszy uczciwy człowiek. Możesz pan sobie wyobrazić Cezara, kardynała Richelieu, Kromwela lub Ludwika XIV radzących się chłopa, albo zasięgających zdania kilku miljonów mieszczan? W cóżby się zamieniły kombinacje, przymierza, wojny, podboje, te wszystkie świetne czyny i igraszki fortuny, w których tryumfują bohaterowie? Pociągnąć naród do zwycięstwa i chwały, narzucić masom obce im idee, zmusić je do służenia ambicji i projektom, które ich w niczem nie obchodzą — oto jest dzieło genjuszu. To właśnie podoba się ludom; wielbią one tych którzy je depczą nogami. Zostaw tych pocziwców samym sobie, a będą sadzić kapustę; dzieje ich będą zajmować dwa wiersze jak sens moralny bajek: Żyli długo, byli szczęśliwi i mieli wiele dzieci. Przy tym pięknym sy-

stemacie czemużby była historia? I czegożby uczono nasze dzieci w retoryce?

Byłem wymownym, sam to czułem. Truth zmięszany spoglądał na mnie w dziwny sposób.

— Doktorze — rzekł mi — nie lubię sofizmów, lecz ze wszystkich tych gier słów, najobrzydliwszymi dla mnie są tak zwane niegdyś paradoksa, które od dawna stały się martwymi kłamstwami. Robią one na mnie wrażenie starej zalotnicy, która zapomniała się kazać pogrzebać, i przechadza się ze swymi zmarszczkami, różem i fałszywymi włosami, wśród wstrętnej spoglądającej na nią młodzieży. Washington pokazał światu co to jest szlachetny człowiek, stojący na czele wolnego ludu; próba zrobiona, czasy politycznego egoizmu już minęły, zostawiając miejsce poświęceniu. Kto nie pojmuje tego, kto nie słyszy głosu nowych pokoleń, kto nie widzi że: przemysł, pokój i wolność rządzą teraźniejszym światem, ten jest marzycielem lub warjatem. Nie okryje się on chwałą, lecz śmiesznością.

— Skończmy już tę rozmowę — zawołałem wstając z fotelu, i szukając pomimowoli rękojeści szpady. Gdybym był miał na sobie mundur chirurga gwardji narodowej, to byłbym zmusił tego gbura wziąć broń do ręki, i przesywając go na wylot szpadą byłbym mu dowiódł bez repliki, że Ameryka nie wie nawet co to jest cywilizacja, i że Francuz ma zawsze słusność.

## ROZDZIAŁ X.

### PIEKIELNA KUCHNIA.

Podczas gdy Truth, zdziwiony mojem uniesieniem, spoglądał na mnie niespokojnym wzrokiem, wszedł Humbug obciążony mnóstwem próbek, które położył na biurze.

— Bacność! — zawołał swym grubym głosem — rozpoczyna się robota. *Nunc animi opus, Aenea, nunc pectore firmo* \*). Pomóż mi doktorze, wszak masz prawą rękę wolną, weź ten papier i przygotuj afisz.

— Pisz: Kłeska wojsk związkowych. To zajmuje całą naszą pierwszą stronicę. — I rzucił próbkę w skrzynkę na listy.

— Kłeska — rzekłem — więc chcecie uwiadomić kraj że został pobity? Powiedzcie: Odwrót z powodów strategicznych, zręczny ruch wojsk — jeżeli nie chcecie aby wasza nierozwaga nie sprawiła ogólnego popłochu i przerażenia.

---

\*) Teraz właśnie Eneaszu potrzeba całej energii i zdecydowanego serca.



— Jesteś niepoprawiony doktorze — przerwał Truth — jeszcze raz ci powtarzam, że obowiązkiem jest naszym mówić całą prawdę krajowi. Czy sądzicie że niepowodzenie przeraża Jankesów, że są oni dziećmi dającymi się zaślepić powodzeniem? Zwycięstwo przyjęlibyśmy obojętnie, klęska podnosi naszą energję, liczbę żołnierzy i pieniędzy. Wielu zabitych?

— 3000 zabitych, 6000 rannych, 2400 nieobecnych — rzekł Humbug.

— Pisz cyfry — rzekł Truth — a nie zapomnij o nich doktorze na afiszu. A teraz co robi kongres?

— W senacie — rzekł Humbug — długie rozprawy nad niewolnictwem. M. Summer zniósł niewolnictwo w związkowych obwodach Kolumbji. To pierwszy krok na drodze wyswobodzenia murzynów. Pisz doktorze: Świetna mowa znakomitego senatora z Massachuset. Otóż i cały numer wypełniony, przejdźmy teraz do dodatku.

— Izba przedstawicieli ludu nic interesującego; trzy przywołania do porządku, cały czas stracony na kłótniach z prezydentem.

— Podług zwyczaju — rzekł Truth — idźmy dalej. Oto artykuł treści politycznej, pisz doktorze: Powrót panowania prawa i wolności — *Habeas corpus* przywrócone.

— Jak to — rzekłem zdziwiony — więc przywracacie wolność cywilną ze wszystkimi jej niebezpieczeństwami w chwili poniesionej klęski, kiedy właśnie potrzeby skoncentrować całą władzę w jednych rękach; i rządzić *manu militari* \*). Powinniście przecież wiedzieć, że

---

\*) Po wojskowemu.

w takim razie zawiesza się wszystkie prawa. Nic tak nie uspokaja ludu jak to, że się zupełnie czuje w ręku władzy. Wy tu nawet wyobrażenia nie macie o polityce!

— Despotyzm nie jest siłą — odrzekł Truth — czem lud jest swobodniejszym, tem jest łagodniejszym, posłuszniejszym i bardziej usposobionym do ofiar. Jeżeli chcesz aby cię podtrzymywał, to mu zaufaj. Idźmy dalej: Uwiadomienie narodu o kradzieżach popełnionych w marynarce. Pisz doktorze, i podkreśl te słowa, aby je uczyniono wydatniejszymi na afiszu.

— To zbyt wielkie zuchwalstwo — zawołałem — Pomyślcie o osobach, które kompromitujecie, o skargach jakie się z tego powodu przeciw wam podniosą.

— Niech się złodzieje skarżą — rzekł Truth — czekam na nich z dowodami w ręku.

— Dowody! — rzekłem — a któż wam ich dostarczył?

— Wszędzie gdzie istnieje wolna mownica — rzekł Truth — znajdzie się taki który chce mówić. W narodzie któremu narzucają milczenie, złodzieje działają a okradzeni milczą; w narodzie zaś, którego każdy obywatel jest czynnym członkiem i ma prawo oskarżać w imię dobra ogólnego, złodzieje się kryją a okradzeni krzyczą i działają. W Rosji dwadzieścia miljonów, płacących policji, nie przeszkadzają kraść miliardów i przekupywać samejże policji; u nas gdzie ogół jest policją, nie ukradnie nikt i grosza bez drzenia ze strachu. Zniesienie złodziejstwa na wielką skalę jest jedną z ważnych korzyści wolności. Przejdźmy do nowin zagranicznych.

— Oto są — rzekł Humbug — trzy korespondencje z Londynu.

— Dla czegoż aż trzy z jednego miasta? — zapytałem zdziwiony tym niepotrzebnym zbytkiem.

— W Anglii jest trzy stronnictwa — odrzekł Humbug — aby więc móżdż powtórzyć wszystkie krążące wieści, potrzebujemy mieć trzy echa.

— Pierwsza korespondencja odcień starego Pam \*): „Wojna amerykańska; sprawiedliwość warta jest bardzo wiele, ale bawelna warta więcej; spalmy świat aby ogrzać Anglję.“ Druga korespondencja odcień Derby. „Stary Pam drwi sobie z publiczności, krzyczy: do broni! pakuje w kieszeń fortyfikacje i statki pancerne. bawi się w żołnierza a pragnie tylko dwóch rzeczy: zachować pokój i swoją posadę. Niech nas zrobią ministrami, będziemy robić to samo, a kosztować mniej.“ Trzecia korespondencja odcień Bright i Cobden. „John Bull, mój przyjacielu! twój rząd kpi sobie z ciebie. Podchlebia on twojej próżności, aby wyludzić od ciebie ostatni szylling. Bądźże przecie człowiekiem, naśląduj swego kuzyna Jonathana \*\*), i zajmij się sam swemi sprawami; od dnia, w którym ludy przestaną być pielęgnowane przez zrujnowanych oszustów, zwanych dyplomatami i wielkimi politykami, zaczną żyć między sobą jak bracia! będą miały pokój i dobrobyt.“

— Spodziewam się — rzekłem do Humbuga — że umieszczając te trzy korespondencje wyrazicie także i swoje zdanie.

---

\*) Stary Pam, jest to przydomek poufny, jaki Anglicy dawali swemu pierwszemu ministrowi lordowi Palmerston.

\*\*\*) Jonathan jest to przydomek ludu amerykańskiego, John Bull zaś angielskiego.

— Wcale nie — odrzekł Humbug — Jonathan ma zwyczaj sam sobie wyrabiać przekonanie, ma on za nadto dobre oczy, aby miał się posługiwać naszymi okularami.

W tem drzwi nagle się otworzyły i trzy młode i wykwintnie ubrane kobiety zbliżyły się do nas. Najstarsza z nich, mająca zaledwie dwadzieścia pięć lat, zabrała głos.

— Panie — rzekła do Humbuga głosem skromnym lecz pewnym — zostałyśmy wysłane przez szwaczki, aby prosić o ogłoszenie że jesteśmy *en grève* \*), i że w przyszły poniedziałek będziemy miały meeting (zebranie), aby wynaleść sposób wydobycia się z pod jarzma jakie znosimy. Chcemy odzyskać i zapewnić nasze prawa.

— Krawcy są bogacze — rzekł Humbug. — Zanim ich zmusicie do ustępstw, będziecie musiały zjeść swoje oszczędności. Macież przynajmniej z miljon do wydania?

— Panie — rzekła najmłodsza z minką skromną — dosyć nam jest mieć sto dolarów na ogłoszenia. Pokażemy my panom krawcom, i całemu światu, co może pięćset kobiet, które postanowiły postawić na swoim. Będzie to lekcja, która posłuży za naukę przywłaścicielom i tyranom, lekcja, od której zbledną na tronach despoci starego świata. Bądź pan tylko tak łaskaw i umieść jutro w swym dzienniku odezwę do publiczności, ułożoną i zredagowaną przez nasz komitet.

---

\*) *Se mettre en grève*, jest to wyrażenie techniczne francuskie, którego pochodzenie dotąd zapewne zdeterminowaniem nie zostało, a które oznacza, że robotnicy czyli czeladnicy jakiego rzemiosła, porozumiewszy się z sobą, zażądali wspólnie od swych majstrów czy to podniesienia zapłaty, czy też zmniejszenia godzin dziennej pracy, wstrzymując się zupełnie od roboty, dopóki majstrowie na podane warunki nie przystaną. P. T.



I mówiąc to nasza amazonka, podała dziennikarzowi we czworo złożony papier. Humbug otworzył go i przeczytał głośno tę impertynencką i śmieszoną odezwę, ten pomnik szaleństwa i przewrotności kobiecej, w kraju, gdzie nawet kobiety wierzą w wolność:

Do mieszkańców Paryża w Mussachuset,  
Szwaczki.

„My szwaczki ubrań męskich miasta Paryża w Mussachuset, dla pomszczenia naszych praw zapoznanych i otrzymania sprawiedliwości, ogłaszamy się *en greve*. Za ośm dni albo nasi tyrani ustąpią, albo też my zostaniemy bez miejsca. Kto więc chce dać nam robotę? my nie lubimy siedzieć z założonemi rękami, lecz jesteśmy zdecydowane, nie pracować darmo dla ludzi, którzy mogą płacić. Kto potrzebuje ręcznej roboty? Umiemy szyć kapelusze i ubrania, robić puddingi, ciastka i torty; umiemy szyć, haftować, robić na drutach, pieć i gotować. Umiemy doić krowy, robić sэр, masło, tuczyć kury, zajmować się ogrodem. Umiemy myć podłogę, zamiatać, słać łóżka, rąbać drzewo, palić w piecu, prać i prasować, a przytem nadzwyczaj lubimy dzieci. Jednem słowem, każda z nas może być doskonałą gospodynią domu. Co do naszego wykształcenia i rozumu, to prosimy się zgłosić po informacje do naszych dawnych majstrów. Decydujcie się prędko panowie! Kto życzy sobie czarnych oczu, ładnych twarzy, włosów w lokach lub puklach, wdzięku i młodości Heby, głosu serafina, uśmiechu anioła?

Starzy panowie, potrzebujący dobrej służącej i opiekunki, piękni, młodzi ludzie, szukający czynnych i poświęconych żon, przybywajcie! licytacja się zaczęła.

Raz, dwa, trzy: przysądzona. Któż jest tym szczęśliwym śmiertelnikiem?...

Zgłosić się do komitetu szwaczek.

Ulica Topolowa, Nr. 20.

— Bardzo dobrze — rzekł Humbug — jeszcze tego wieczora ogłoszenie ukaże się w dzienniku, i aby prędzej wszystkich o tem uwiadomić, umieścimy je na afiszu.

Powiedziawszy to, uklonił się z uszanowaniem, i odprowadził do drzwi te awanturnice, z taką grzecznością, jakby jakiego prefekta.

— Czyż to być może! — zawołałem — aby w Ameryce kobiety robiły co im się podoba? Czyż to nie jest zadaniem kłamstwa doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi? Meetingi (zgromadzenia) szwaczek, koalicje praczek, akuszerek? Rewolucja surdutów jest obrzydliwą, rewolucja zaś spodnic śmieszna.

— Co jest śmiesznem — odrzekł Truth ze swoją zwykłą zimną krwią — to to, że surduty przypisują sobie prawo uciemężania spodnic.

— To bardzo dobrze — rzekłem — lecz natchnij te szalone głowy szalem wolności, a zobaczysz, że one pierwsze padną jej ofiarą.

— Jesteś strasznie drażliwym doktorze — rzekł Truth — na najmniejsze wstrząśnienie, jakiego doznają twoje zastarzałe przesady, krzyczysz zaraz, że to koniec świata. Kobiety, kochany panie, są połową rodzaju ludzkiego; jestto głęboka prawda, uznana przez Arystotelesa, lecz od dwóch tysięcy lat, nikt, z wyjątkiem Amerykanów, nie zrozumiał tej filozofji. Jeżeli żony będą podzielać nasze nadzieje i obawy, to w takim razie my będziemy musieli podzielać ich śla-

bostki i dziwactwa. My potrzebujemy żon, córek i matek, kochających namiętnie wolność, aby nie pozwoliły ostygnąć temu uczuciu, tej miłości, w sercach swych mężów, ojców i synów. Te szwaczki wydały się panu śmieszniemi; ja zaś je podziwiam, co mi nie przeszkadza śmiać się z ich ogłoszenia; bo kocham dusze szlachetne, które wierzą w sprawiedliwość, i umieją bronić swych praw. Takie to dusze, czynią naród wielkim, i to stanowi właśnie wyższość naszego pięknego kraju.

— Skończmy dziennik — rzekł Humbug — oto są wiadomości handlowe. Bawełna, wełna, węgle, żelazo, mąka, zboże, wieprzowina, baranina, wołowina, siano, skóry, cukier, kawa. Ceny dawniejsze, wyjąwszy mąkę dobrze markowaną, która została sprzedaną o dwa na sto drożej, niż mąka zwyczajna.

— Jakie marki? — rzekł Truth, biorąc do ręki sprawozdanie — *Colfax, Stevens, Pennington*; trzeba podkreślić te nazwiska i wydrukować je dużemi literami. Pan się śmiejesz doktorze, a jednak to jest rzecz nie małej wagi. Odpowiedzialność osobista, to siła i życie rzeczypospolitej. Potrzeba, aby każdy miał wypisane na czole, czem jest, i co zrobił. Wynagrodzić uczciwość dobrem imieniem i majątkiem, ukarać oszustwo hańbą i ruiną, oto jest cała tajemnica moralności i rządu; jestto zadanie, którego żaden prawodawca nie umiał rozwiązać, a które codzień rozwiązuje dziennikarstwo.

— Piękna przemowa, tycząca się beczki mąki!

— A której zastosowanie zaraz pan zobaczysz; oto masz: Targ na wieprzowinę; dwadzieścia baryłek zepsutych, o znakach Thomas i Williams. Podkreślić te nieuczciwe nazwiska, jest to samo, co wypędzić je z targu.

— Nie zrobicie tego! — zawołałem — nie macie do tego prawa! Czyż wam nie dosyć, że jesteście rządem, czyż chcecie jeszcze być i policją?

— Tyś powiedział, szanowny doktorze — przerwał Humbug — my nie tylko jesteśmy policją, ale nadto jesteśmy sumieniem publicznem. My to dajemy dobre imię, i majątek: *Honestus rumor alterum patrimonium est*\*). Zrób wielkie oczy, jeżeli ci się podoba, i krzycz na gwałt, jeżeli ci to sprawi przyjemność. Lecz prawdziwie, jeżeli pan to wszystko mówisz na serjo, to nie jesteś Amerykaninem; musiano cię chyba przemienić, jakieś był przy mamce.

— Ty nie wiesz głupcze — mruknąłem — o ile masz rację. Ty nawet nie domyślasz się, o ile ja pogardzam szalonym don Kichotem, który zajmuje się cudzemi interesami, interesami pierwszego lepszego, i to bez posłannictwa i bez pensji. Otóż to, czem jest kraj bez urzędników! Każdy potrzebuje się zajmować nawet swemi własnymi interesami. Czyż to nie śmieszne? We Francji rozumna i silna administracja uwalnia mnie od tych wszystkich kłopotów; jestem królem, ona mi usługuje; nie potrzebuję oprócz pieniędzy, aby cieszyć się spokojnie pomysłnością i wielkością. To jest prawdziwy tryumf cywilizacji, albo ja nic nie rozumiem.

— Oto bursa — rzekł młody człowiek, wbiegając cały zadyszany.

— Czy nic nie ma nowego? — zapytał Humbug.

— Nic, oprócz pożyczki meksykańskiej.

— Cóż o niej słyhać, Eugenjuszu? — rzekł Truth.

---

\*) Dobre imię, to druga ojcowizna.



— Zupełne fiasco; jestto nowe oszustwo starego Little.

— Jakto oszustwo — rzekłem, czytając sprawozdanie bursowe — pożyczka podniosła się o dollara nad cenę, po jakiej została puszczone w obieg.

— Little kupował jedną ręką to, co sprzedawał drugą — rzekł Truth — stara to sztuka, i u nas się ona już nie może udać. Nie jesteśmy tak dalece baranami... Panie Rose — dodał, zwracając się do nowoprzybyłego — przygotuj mi pan na jutro artykuł o tej sprawie; zobacz się z agentami bursy, i dowiedz się dokładnie o całej prawdzie.

— Zrobię to jeszcze dziś wieczór, nic bowiem łatwiejszego, jak mieć wszystkie potrzebne do tego szczegóły.

— Przyznaj pan — rzekłem do młodego człowieka, w którym domyśliłem się syna aptekarza, i niestety, brata mego przyszłego zięcia — że interesa muszą iść z wielką trudnością, przy tym systemie wydobywania ich na jaw na korzyść ogółu.

— Interesa — odrzekł Eugenjusz ze zdziwieniem — o tyle idą łatwiej, o ile są dokładniej znane. Na bursie kłamstwo jest ruiną, a prawda bogactwem.

— Dobrze — pomyślałem sobie — wszyscy powtarzają te same dzieciństwa. W Paryżu, centrum oświaty, stolicy rozumu, cały świat wie o tem, że publiczność najbardziej interesuje się przedsiębiorstwami, których wcale nie rozumie. Cóż może bo przynieść interes znany? Najwięcej pięć lub sześć od sta; kiedy przeciwnie, nieznanym obiecuje piętnaście lub dwadzieścia, i to jest właśnie tajemnicą bankiera. Tutaj zamieniają wartość na wartość, cóż to za nędzny handel! W Paryżu kupuje się nadzieję.

i to jest poezja gry, to cały urok loterji. Cóż obchodzi Francuza, że straci pieniądze? to proza. Pożerać w myśli bogactwa, zadawałniać we śnie namiętności, kaprysy, dumę, to ideał; prawda, że to dosyć kosztuje, lecz czy można nazbyt drogo zapłacić za złudzenie?...

— Przyjacielu Humbug — odezwał się głos chrapliwy — oto są dwa ogłoszenia, które chciałbym wydrukować w twoim dzienniku; nie każ mi zbyt drogo zapłacić, ciężkie czasy.

Głos ten należał do małego jegomości w długim surducie i ogromnym kapeluszu; jego postawa, jego ruchy i ubranie wyraźnie mówiły:

— Patrzcie na mnie, jestem Kwaker.

Humbug wziął ogłoszenia, i zaczął się śmiać na głos.

— Są one bardzo zabawne — rzekł — lecz ich wcale nie rozumiem. — I przeczytał co następuje:

#### Villa Montmorency.

Seth Doolittle, właściciel hotelu „pod różą“, ma za szczyt uprzedzić szanowną publiczność, że przez ciąg całego lata zakochani, którzy raczą do niego zajechać, będą płacić połowę zwykłej ceny.

-- Dla czegoż ten wyjątek? — zapytałem.

— Przyjacielu — odrzekł mały jegomość, krzyżując ręce na piersiach, i wznosząc oczy ku niebu — nic nie ma piękniejszego i szacowniejszego nad miłość. Posadź młodego człowieka naprzeciw białej sukni i czarnych, lśniących pływających po powietrzu splotów — a uczuje się on zaraz tak nadziejskim, tak eterycznym, że nie zniży się przez cały tydzień do wzięcia do ust pieczeni. Byłoby

więc złodziejstwem, kazać płacić zwyczajną cenę tym aniołom niebieskim, którzy nigdy nie czytają nawet rachunków; moje sumienie sprzeciwia się takiej niesprawiedliwości.

— Te skrupuły zaszczyt ci przynoszą — rzekł wyborny Humbug, przygryzając sobie usta. — Przejdźmy teraz do drugiego ogłoszenia.

### Przyjacielska odezwa.

Dinah D. L. Na wszystko cię prosimy, nie wracaj. Twoja matka ma się doskonale; nic dla ciebie nie można było znaleźć, całej twojej rodzinie jest daleko lepiej, od czasu jak ciebie nie ma.

— To tajemnica rodzinna — rzekłem uśmiechając się — i bez komentarzy.

— Dla publiczności ich nie ma, ale dla ciebie doktorze Smith, to inna rzecz — rzekł kwaker. — Idzie tu o moją siostrę, szaloną głowę, którą przez wzgląd na jej własny interes, na spokój rodziny i moralność publiczną, wyprawiliśmy na przełożoną pensji do Kalifornii. Obawiamy się, aby ta warjatka nie chciała zatrzymać się w drodze, i powrócić do nas. Dla tego też uprzędzamy ją miłosiernie, i w słowach niezrozumiałych dla ogółu, że lepiej zrobi, kontynuując swą podróż, gdyż nie ma dla niej miejsca w domu.

— Jestto godne podziwu miłosierdzie, panie Seth — rzekłem wzruszając ramionami. — Żałuję mocno, że nie miałem przyjemności poznać wpierw tak zacnego człowieka.

— Nie mogłeś mnie poznać — rzekł Seth — ponieważ dotąd nigdyśmy się nie widzieli lecz panna Marta

tak mi dokładnie opisała swego pana, i straszny wczorajszy wypadek, żem cię odgadł od razu.

Cnotliwy oberzysta wymówił imię Marty z dziwnym przyciskiem, co później przyszło mi na pamięć; byłbym zwrócił na to uwagę, gdyby w tej chwili nie był wpadł szybko do pokoju jakiś cały zaczerwieniony jegomość, wołając :

— Wielka nowina panie Truth! wielka nowina panie Humbug: burmistrz został skazany. Złapano go na występnej rozmowie z aktorką z Liceum, i skazano na zapłacenie mężowi dziesięciu tysięcy dollarów, jako wynagrodzenie za wyrządzoną krzywdę....

— Doktorze — rzekł Humbug — weź pióro, i skończmy nasz afisz; dziś mamy dziennik dobrze wypełniony, odbył będziemy mieli niewątpliwy. Zobaczmy :

Kłeska wojsk związkowych.

3000 zabitych, 6000 rannych.

Znakomita mowa wymownego senatora z Massachuset.

Powrót prawa i wolności.

Uwiedomienie narodu o kradzieżach, popełnionych w marynarce.

La Grève szwaczek.

Ukaranie kryminalne burmistrza miasta.

— No — dodał — dzień dzisiejszy darmo nie przeszedł; naujadaliśmy nie mało na łotrów. — I odwracając się do drukarni, zawołał: — dalej dzieci, spieszcie się, za kwadrans trzeba będzie wywiesić afisz.





## ROZDZIAŁ XI.

O ZASADZIE PROTEKCYJNEJ: ŻYCIE PRYWATNE  
POWINNO BYĆ OBMUROWANE,

Zagłębiłem się w fotel, i zacząłem rozmyślać o smutnym widowisku, jakie miałem przed oczami. Straszliwy bezrząd, szpiegostwo powszechne, ogólne zamięszanie, rząd w ręku ogółu — oto są skutki tego tak chwalonego dziennikarstwa! I weźże tu w rygor lud, mając takiego nieprzyjaciela na karku!

— A więc kochany doktorze — rzekł Truth głosem pieszczotliwym — teraz już wiesz, jak się redaguje dziennik. Czy ci się to podoba? chcesz być moim następcą?

— Nigdy! nigdy! — zawołałem, cofając się mimowolnie wraz z krzesłem. — Wszystko to, co tu widzę, przeraża mnie; wy igracie z tem wszystkim, co mnie nau czono od dzieciństwa uważać za godne czci i święte. Gdybyście poprzestali na atakowaniu ministrów lub deputowanych, małoby mnie to obchodziło, rzecz to bowiem zwy-

czajna; od dawien dawna ministrowie służą za cel panom gazeciarzom; najznakomitszym dziennikarzem jest ten, który ich dwóch lub trzech obalił. Jeżeli istnieją kraje i ludy, które znajdują przyjemność w tem burzeniu, to niech ich tam Pan Bóg ma w swojej opiece. Ja z mej strony, aby ich wyleczyć z tej choroby, życzę im dwie lub trzy rewolucje. Ale życie prywatne mój panie, to powinno być murem otoczone, pojmujesz pan, hermetycznie murem otoczone.

— Któż to powiedział? — zapytał Humbug głosem drwiącym, dowodząc przez to swej niewiomości.

— Royer Collard, wielki metafizyk, który nie miał wprawdzie nigdy własnej idei, ale za to umiał odlać z brązu i wryć na stali idee innych. Ten to znakomity uczony wypowiedział te słowa, które powinnyby być wypisane na ścianie każdej redakcji dziennika... Życie prywatne powinno być murem otoczone.

— Wasz wielki metafizyk powiedział wielkie głupstwo — odrzekł Humbug. — Czyż można przeciąć człowieka na dwoje? Czyż można być łotrem w życiu prywatnem, a Fabrycjuszem w życiu publicznem? Cóż to jest życie prywatne? Gdzie się ono zaczyna, a gdzie się kończy? Czy krzyczenie na wściekłego psa jest atakowaniem życia prywatnego, czy też publicznego? Nasza marynarka jest okradaną przez nieuczciwość dostawców, czyż to życie prywatne się atakuje, oskarżając złodzieja? Np. szanowny pan Little, bogaty cudzemi milionami, chce jeszcze raz obdrzeć łatwowiernych na korzyść swej nienasyconej chciwości; czyż to jego życie prywatne się atakuje, nazywając go za to łotrem?

— Nawet się nie domyślasz mój panie — odrzekłem temu zuchwalcowi — tego wszystkiego, cobym ci mógł na to odpowiedzieć, lecz jedno słowo wystarczy. Oto burmistrz Paryża uległ nieszczęsnej słabości. Może nawet wpadł w łapkę zastawioną nań przez jaką teatralną syrenę; a w każdym razie, popełnił ten błąd jako człowiek prywatny, a nie jako urzędnik municypalny. Na cóż więc ten rozgłos, ten skandal, to zniesławienie człowieka, którego postępek nic a nic się was osobiście nie tyczy?

— Na co? — rzekł Truth, z zimną krwią, godną Robespiera — na to, aby go zmusić do podania się do dymisji. Czyż pan chcesz, abyśmy rodzinom naszym wpajali szanowanie związków małżeńskich i brzydzenie się występkiem, w obec rozpustnika, panującego w ratuszu? To być nie może. Tylko honor w życiu prywatnem, może nam dać pewność cnoty w życiu publicznem. Inaczej polityka byłaby komedją, w której każdy nosi maskę, gra swą rolę, i bawi się mówieniem o sumieniu, o prawach i obowiązkach, nie wierząc wcale temu, co sam mówi. Może być, że ludy dzieci bawią się w te niebezpieczne farsy, które zawsze smutno się kończą; ale u nas w Ameryce, wszystko się robi na serjo. Jeżeli nasi rozpustnicy zechcą, to mogą rujnować swe zdrowie i tracić swój majątek z drugiej strony Atlantyku, lecz w Ameryce, aby być szanowanym, to trzeba być godnym szacunku.

— Oto jest list — rzekł jeden z współpracowników — którym burmistrz podaje się do dymisji.

— Panie Truth! — zawołałem — jeszcze czas wstrzymać drukowanie dziennika, cofnij potępiający sąd, który teraz tyczy się tylko prostego obywatela miasta, który okryje hańbą człowieka i może unieszczęśliwić rodzinę.

Każ wymazać z afisza te obrzydliwe wyrazy, które są tak straszną, nieprzewidzianą przez prawo karą, za godny poślania błąd. Czyż Ameryka składa się z samych Katoń? mówicie zawsze o ewangelji, a czyż żaden z was nie czytał historii jawnogrzesznicy? Na miłość Boską, bądźcież więcej ludzkimi.

— Nie jestem ja ani ludzkim. ani okrutnym — odrzekł Truth swoim lodowatym tonem — ja nie jestem osobą, lecz dziennikiem, to jest echem, fotografią. Afisz zostanie takim jakim jest; żałuję bardzo winowajcę; lecz i ja także mam moje posłannictwo do spełnienia, a nie umiem obwijać prawdy w bawełnę.

— Lecz to posłannictwo — zawołałem zgorszony — sameś pan sobie nadał!

— Czyż przez to mniej ono jest świętem — przerwał dziennikarz. — Chciejże pan zrozumieć rolę, którą spełniam. Jakże się to dzieje, że w społeczeństwie, całkowicie oddanem swym interesom i zajęciom, a które jednakże samo sobą rządzi, utrzymuje się wolność, istnieją i rozpowszeczniają się szlachetne idee, prawo jest szanowanem, a zasługi wynagradzanemi? Oto, za pomocą dziennikarstwa, tego wynalazku, daleko jeszcze szacowniejszego od wynalazku pary lub elektryczności. My dziennikarze, jesteśmy echem społeczeństwa, echem potężnem, trąbą rozgłosną, która wielkim głosem powtarza wszystkie wiadomości, rozgłasza je na wszystkie strony, i musi rozbudzić nawet w najgłębszym śnie pogrążone sumienie. Posługujemy się równie dobrem, jak i złem; dobrem, aby pobudzić do radości i do naśladowania wszystkie serca — złem, aby je oburzyć, i wzbudzić w nich niesmak. Wczoraj np. speł-



nileś pan czyn bohaterski. Gdyby to się stało w Rosji, we Francji, któżby o nim wiedział? kilku przyjaciół, kilku sąsiadów, może jedno miasto wreszcie. Tutaj, dzięki nam, trzydzieści i jeden miljonów ludzi będą powtarzać nazwisko doktora Smith; trzy miliony młodzieży będą ci zazdrościć twej odwagi, i przysięgać sobie naśladować ją przy pierwszej sposobności. Oto jest dzieło tych gazeciarzy, których pan zdajesz się niezbyt szanować. Dziś np. zdarzył się skandal, urzędnik dopuścił się winy. Sprawiedliwość potępia człowieka, dziennikarstwo potępia zbrodnię, i zmusza niejako cały naród do nienawidzenia i brzydzenia się nią. Czem upadek jest większy, tem lekcja skuteczniejsza. Nasza surowość zmartwi jedną redzinę, zrani kilka cichych umysłów — ale wstrzyma za to od podobnych błędów tysiące ludzi, którychby rozzuchwaliła bezkarność. Nie ma wątpliwości, że nasza prawdomówność narobi nam śmiertelnych nieprzyjaciół. Ale mniejsza o to; przecież nie możemy brać na wagę obowiązku z interesem. Bądź więc mniej surowym dla nas doktorze. Powiedz sam, czy jest wielu ludzi stanu, którzyby posiadali zalety, jakich wymaga powołanie dziennikarza, i którzyby potrafili godnie się z niego wywiązać, a wielu z nich zgodziłoby się na przyjęcie dobrowolne wszystkich nieprzyjemności, niebezpieczeństw, z tem powołaniem połączonych.

— Brawo, Truth, brawo! — zawołał Humbug — mówisz jak książka mój drogi, i to jak książka mówiąca prawdę.

— Są pychy, które się ukrywają! — zawołałem wściekły na Trutha i na samego siebie (słowa bowiem tego sofisty nieco mnie zachwiały) — nie jeden z tych co się mają za cnotliwych, ponieważ okazują się nader szczerymi dla

innych, naprawdę, nie wiedząc może sam o tem, kieruje się własnym tylko interesem i szuka korzyści materialnej.

— Majątek — rzekł Humbug — nie jest stworzonym dla dziennikarzy. Świat, mój kochany doktorze, to teatr, na którym występują trzy rodzaje osób: widzowie, aktorzy i autorzy. Widzowie, to: pan, Green, Rose, i ci wszyscy poczciwi ludzie, nie mający ani wał ani też cnót, i żyjący w cieniu swych winnic i drzew figowych. Aktorowie, to stowarzyszenie łakome, podobnie jak wszyscy komedjanci. Pyszny, wymowny, skąpiec, tchórz, tyran, lokaj, odgrywają tam swoją rolę, ku wielkiemu zadowoleniu publiczności, która często przyklaskuje, czasami wygwizdże, lecz zawsze płaci. Ci pierwsi śpiewacy potrzebują pięknych strojów, bogatych pałacy, i złota, dużo złota. Znają oni słabe strony mas, i nadużywają je. Co zaś do pisarzy i poetów, którzy, że tak powiem, stworzyli nowe idee, napisali rozgłośnie pieśni, lub natchnęli ogół do wielkich czynów, to w nagrodę rzucą im, z pogardą prawie, kawałek chleba. Czemże bo jest idea dla zręcznych, jeżeli nie kokardą jedynie; cała rzecz zależy na tem, aby ją umieć użyć właściwie. Krzycz przez lat dwadzieścia, że wolność jest zbawieniem ludów, nie będziesz jednak niczem innym, jak echem nienawistnem dla tych, którzy rozkazują, a obojętnem dla tych którzy służą. Gdy nadejdzie nareszcie dzień, w którym lud do ostateczności przywiedziony, chce zrzucić jarzmo które go przygniata — wówczas, pierwszy zuchwalec, który napisze na chorągwi słowa, któreś ty powtarzał przez lat dwadzieścia, zostanie wybrańcem tłumu; zaszczyty, majątek, władza, staną się jego udziałem. Jedna godzina wystarczy na wyniesienie się tego pierwszego aktora; można też być pewnym, że będzie on

czuł głęboką pogardę dla nieznanego prawie dziennikarza, który przez dwadzieścia lat cierpień i niebezpieczeństw przygotował mu tryumf. Lud podzielił zdanie aktora. Chcesz pan wiedzieć sens moralny tej powiastki? Oto: Paryż ma wybierać burmistrza; bądź pan pewny, że wyborcy pomyślą o wszystkich, z wyjątkiem jednego człowieka, którego wybór zaszczyt by przyniósł miastu; tym człowiekiem jest Truth. Jeżeliby mnie tu nie było w dniu, w którym on umrze z pracy, to zaręczam za to, żeby jego własny dziennik nie zdobył się na dwuwierszowe pośmiertne o nim wspomnienie. Takto Ameryka wynagradza cnoty obywatelskie! a przecież jesteśmy najpierwszym ludem na świecie. *Ab uno disce omnes* Sądź teraz o naszej ambicji. —

— Humbug, mój przyjacielu! — zawołał Truth — a czyż to za nic rachujesz zaszczyt, być kochanym i szanowanym przez ciebie?

Drzwi otworzyły się, i pokazała się w nich po raz drugi lisia twarz, nie mogąca należeć do kogo innego jak do Focha; i w samej rzeczy, był to on, tylko jeszcze bardziej uśmiechnięty niż zwykle.

— Panie Truth — rzekł on słodziutkim głosem — bądź tak łaskaw, i ogłoś w twoim wybornym dzienniku, że szanowny pan Little dał dziesięć tysięcy dolarów na szpital dla dzieci, pięć tysięcy na miejscowych biednych, i pięć tysięcy na bibliotekę miejską!..

— Więc pożyczka meksykańska idzie dobrze — rzekł Humbug — i Little jako żyd prawowitny składa dziesięćcinę panu.

— Pożyczka meksykańska nie istnieje — odrzekł Fox — pan Little przekonał się, że zaręczenia dawane

przez rząd meksykański nie były dostatecznymi, zerwał układy.

— Zkąd więc się wzięła ta podejrzana wspaniałość? — zapytał Humbug — musi w tem ukrywać się jakaś piekielna spekulacja. Oj! drogo nas będą kosztować te dwadzieścia tysięcy dollarów.

— I na cóż zawsze te podejrzania — przerwałem.

— Ponieważ jako stary dziennikarz — odrzekł Humbug — o tyle wierzę w cnotę bankierów, o ile w prostotę kwaków.

— Nawrócimy cię stary grzeszniku — rzekł Fox śmiejąc się.

— Wielka nowina na giełdzie! — zawołał wchodząc Eugenjusz Rose.

— Pożyczka meksykańska cofnięta — rzekł Humbug — wiemy o tem.

— Ale tego nie wiecie, że burmistrz podał się do dymisji, i że forytują na jego miejsce pana Little.

— Prawdziwie? — rzekł Fox — nie, to nie podobna. Pan Little byłby mi przecież coś o tem wspomniał; wątpię nawet bardzo, czy przy licznych swoich zatrudnieniach, mógłby on przyjąć tę ważną posadę.

— Wyborny ten Fox, ze swoją jagnięcą niewinnością! — zawołał Humbug. — Zobaczysz jednak zacny adwokacie, że pan Little zdecyduje się na zrobienie tej ofiary z siebie.

— Lecz my jesteśmy ludzie delikatni — rzekł Truth — z naszej strony nie będziemy chcieli mu narzucić tego ciężkiego obowiązku i dla tego wystąpimy przeciw jego wyborowi.

— I dla czegoż to?! — zawołał Fox.



— To jest tajemnica komedji — rzekł Humbug — i o to się nie pyta.

— Tak więc — rzekł Fox — zawsze będziemy napotykać jako przeciwników was, cnotliwi Purytanie, rasę dumną, i nie do zniesienia; lecz niech mnie djabli wezmą, jeśli kiedy nie przyjdę spalić was w tem osiem guieździe, nieużyteczne baki, które umiecie tylko męczyć nam uszy swoim obrzydliwem brzęczeniem.

— Fox, mój przyjacielu — zawołał Humbug — nie nadużywaj cierpliwości mojej i mojej ręki, bo cię wysadzę przez okno.

Fox nie czekał wykonania groźby, a ja wyszedłem wzruszony i pomięszany tem wszystkim, com słyszał Rozum i nawyknięcie mówiły mi, że dziennikarstwo jest to broń skierowana przeciw władzy i społeczeństwu: przynajmniej razy dwadzieścia kładli mi w uszy tę drogocenną prawdę najmędrsi ministrowie, lecz z drugiej strony byłem uderzony wielkością i szlachetnością w postępowaniu Trutha, odwagą i decyzją w zachowaniu się Humbuga. Jest to przecież rzeczą nie małej wagi, bronić sprawy poczciwych ludzi przeciwko łotrom, których pełno na świecie, a do tego wyszukiwać i prześladować bez odpoczynku kradzież, niesprawiedliwość i kłamstwo. Naród, który ma takich ludzi, nie jest narodem zwyczajnym.

— Ba! — rzekłem sam do siebie wypędzając z myśli próżne skrupuły — to wyjątek. A zawsze najrozsądniej byłoby pozamykać dzienniki. Ktośby może powiedział, żeby to było to samo co usunąć lekarstwo zamiast choroby; lecz cóż robić, jeżeli choroba jest nieuleczona; trzeba się zgodzić z losem, a przynajmniej jeżeli się umrze, to się

umrze bez skargi. A to przecież wielka korzyść dla... lekarzy.

Rozumowanie to przerwał głos wołającej mnie Zuzanny. Jechała ona małym o dwóch kołach powozikiem, powożonym przez Martę. Koń miał nogi pewne, Marta była dziewczyną pełną doświadczenia, i posługiwała się więcej lejcami niż biczem, niebezpieczeństwa więc żadnego nie było; lecz na rogu ulic Taitbout i Helder, mylę się, na rogu siódmego i ósmego zakrętu, znajduje się straszliwy bruk, ułożony przez jakiegoś chciwego weterynarza, gdyż od dziesięciu lat nie ma dnia, ażeby w tem miejscu kilka koni nie upadło. I naszego rumaka czekał ten sam los; właśnie w chwili, gdy się zrównał ze mną, padł biedak na obadwa kolana. Marta została rzuconą aż przez głowę konia, a Zuzanna upadła w moje objęcia, lecz uderzeniem tem powaliła mnie na ziemię, i sama potoczyła się ze mną na ulicę. Podniosłem się wściekły i cały kurzem okryty; Zuzanna miała twarz podrapaną, Marta zaś była cała zakrwawiona.

— Skaleczyłaś się Marto! — zawołałem.

— Eh, to nic panie — rzekła — zbilam sobie tylko koniec nosa; prawica Pańska mnie podtrzymała.

I wszyscy zabraliśmy się do wyprężenia i podniesienia konia.

Ukończywszy to zatrudnienie, nie mogłem się wstrzymać od wykrzyknienia na cały głos:

— A to hańba przez Bóg żywy, ażeby administracja miejska znosiła od dziesięciu lat podobny łomi-kark przed mojami drzwiami i to na jednej z najbardziej uczęszczanych ulic miasta. — I ze złością wszedłem do redakcji dziennika.

— A co ci to doktorze? — rzekł wiecznie śmiejący się Humbug — czyś już zaczął walkę wyborczą z Foxem? Sądząc po stanie, w jakim się znajduje twoje ubranie, trzeba by przypuścić, żeś wyszedł z niej nie bardzo zwycięzko.

— To mi jest — rzekłem — że to niegodziwość zostawić od lat dziesięciu bruk w tak nędznym stanie; to, że koń mój upadł, to, że córka moja zraniła sobie twarz, a kucharka o mało co się nie zabiła; jestem rozgniewany aż do wściekłości, chcę się skarżyć, żądam sprawiedliwości. Jesteśmy przecież w Paryżu amerykańskim, więc otrzymam takową. Publikacja zjedna mi poparcie ogółu. Dajcie mi pióro i atrament, abym mógł napisać do was surowy list, w którym będę tak traktował administrację, jak na to zasługuje.

— Oto pan masz wszystko czego ci potrzeba — rzekł Humbug — a oto prócz tego dolar.

— Dolar, a to za co?

— Płacimy zawsze dolara każdemu, kto nam przynosi jakikolwiek fakt; nie wdrygaj się doktorze. weź go i każ oprawić z wymienieniem daty. Będzie ci to przypominać, że dziennikarstwo jest głosem wszystkich, i żeś pojął tę wielką prawdę w dniu, w którym sam ucierpiałeś.

— Panie Humbug, te słowa które ze zwykłą sobie lekkością rzucasz na wiatr, mają daleko więcej doniosłości, aniżeli sam sądzisz; co do mnie, to ich nie zapomnę nigdy. Każda skarga, którą odtąd znajdę w mym dzienniku, będzie mi przypominać cierpienie, które jutro może mnie spotkać, złe któremu mogę poradzić albo zapobiedz, łącząc mój głos z głosem ogółu.

— Brawo, doktorze, jesteś wielkim filozofem. Gdy ci się oczy otworzą, zawołasz: *Et lux facta est* \*). To pewno, że wkrótce przekonasz się o innej równie wielkiej prawdzie, ponieważ rzeczywiście wolność druku przynosi korzyść jedynie porządnym ludziom. Wystarcza nam ona do przekonania się, kto jest ich nieprzyjacielem.

\* I stało się światło.



## ROZDZIAŁ XII.

### WYBORY W AMERYCE.

Wszystkie te rozmowy nie pomалу mnie zaniepokoiły. To pewna, że nie wyparłem się wiary politycznej, wszczepionej mi przez przewodników mego dzieciństwa; brzydę się odszczepieńcami. Gdy się jest urodzonym w błędzie, to choć sumienie nakazuje wyjść z niego, honor jednakże zmusza aby w nim pozostać; a Francuz zawsze słucha honoru. Byłbym wolał dać się w kawałki posiekać, aniżeli przyznać publicznie słuszność tym Jankesom. Lecz w głębi duszy czułem, że już utracił moją pierwotną niewinność; posłużyłem się dziennikarstwem i nawet nie mogłem się za to rumienić. Niezadowolony z samego siebie spałem nader niepokojnie, i jeszcze noc była, gdym się już przebudził. Sofizmata Trutha i Humbuga weszły mi w umysł jakby strzały w ciało; szukałem leżąc w łóżku odpowiedzi na nie, nie mogąc jej znaleźć, gdy nagle wśród ciemności i milczenia usłyszałem na ulicy głos, który mnie wołał. Był to głos mej córki. Serce ojca nie może się omylić.

W jednym mgnieniu oka wdziałem szlafrok i pobiegłem do okna, wychyliłem się na ulicę aby móżdżek coś obaczyć po nocy. Głowa moja napotkała jakąś przeszkodę która zatrzeszczała. Nagle jasne promienie słoneczne olśniły mnie, i okrzyki radośne powitały moje pokazanie się. Tłumy ludu napełniały ulicę, ogromny afisz przykrywał cały nasz dom — a głowa moja stercząca w olbrzymiem O śmieszne dawała przechodzącym widowisko.

— Zostań tak ojcie — wołała Zuzanna skacząc wesoło i klaszcząc w ręce — cały Paryż będzie czytał afisz.

— *Green for ever* \*) — powtarzali przechodzący Jankesy. — *A very good trick* \*\*) — dodawali śmiejąc się i pokazując swe wielkie zęby.

Ubrałem się i wyszedłem na ulicę. Cały Paryż był jednym afiszem; kandydaci wszystkich kolorów: niebiescy, czerwoni, biali, żółci, zieloni, różowi, porozwieszali na murach swe zasługi i cnoty. Cały mój dom był zielonym. Wznosiło się na nim nazwisko Green, wypisane wielkimi głoskami, wysokimi przynajmniej na trzy stopy; naprzeciw mnie drukarnia wywiesiła aż po pod niebiosą ogromny afisz, na którym czytano co następuje:

Obywatele

pierwszego miasta na świecie:

Precz z bankierami,

Precz z adwokatami,

Precz ze skoczkami!

Wybierzcie syna własnych zasług,

Zacnego patrjotę,

---

\*) Niech żyje Green!

\*\*) To się udało.

Bohaterskiego kupca,  
Dobrego ojca rodziny,  
Dobre dziecko Paryża.

Wybierzcie zacnego i cnotliwego GREEN!!!

Ta demokratyczna farsa bawiła Zuzannę; obok niej był pan Alfred Rose, z szanownym aptekarzem i swymi braćmi. Henryk tańczył z radości jak dziecko, które hałas zachwyca; co do mnie, to przyznam się, że nie podobają mi się wcale te zebrania ludowe, o których można powiedzieć: Dużo hałasu o nic.

— Sąsiedzie — odezwał się do mnie aptekarz — nasz kapitan idzie w ogień; spodziewam się, że mu pomożemy z całych naszych sił; stronnictwo przeciwne jest potężnem: aby je zwyciężyć, trzeba nie żałować ani słów, ani czynów.

— Daruj mi kochany panie Rose — odrzekłem — że pozostanę u siebie. Przyznam ci się, że to wszystko bardzo mało mnie obchodzi. Ja jestem wielki pan, który ma do kierowania swymi sprawami, pewną liczbą płatnych urzędników, nie kłopotując się nawet wybraniem takowych, i nic a nic mnie nie obchodzi to wszystko, co się dzieje pomiędzy moimi ludźmi. I któżbo to jest ten burmistrz Paryża? Jegomość w haftowanym mundurze, który żeni stare panny i niepokieszone wdowy, i dwa razy do roku wsiada do odświętnej karety, ażeby złożyć swe uszanowanie panu gubernatorowi, i jeść obiad w ratuszu. Prawda, że to są wielkie zaszczyty, i że nie można nazbyt drogo je opłacić; ale co to wszystko może mnie obchodzić, mnie prostego mieszczanina, którego jedynym przywilejem jest płacić podatki, których nie nakłada? Nie wiem kogo ma reprezentować burmistrz, ale to pewna, że nie reprezentuje

on tych, którymi administruje. Niech sobie wybierają kogo im się podoba; ja jestem lekarzem i nigdy dla niczego nie odrywam się od mych zatrudnień.

Za całą odpowiedź Rose wziął mnie za rękę i poma-  
cał puls.

— Zawsze tylko przerażasz mnie swemi wiecznemi żartami, okrutny doktorze — rzekł — myślałem, że masz mózg zaatakowany. Czyż to tobie, obywatelowi wolnego kraju trzeba dowodzić, że dzisiaj idzie o najdroższe nam interesa? Czyż burmistrz nie jest pierwszą osobą w mieście, czyż nie jest on przedstawicielem naszych idei, i naszych życzeń? Czyż to nie burmistrz w towarzystwie radców miejskich urządza nieodwołalnie, na zasadzie udzielonej mu przez nas władzy: policję, targi, ulice i szkoły? Ma on zwierzchników w państwie, lecz nie ma ich w mieście. Od nikogo rozkazów tu nie odbiera. Czyż nie jest on naszym prawem ramieniem, naszym organem, naszym ministrem? Przecież jedynie przed nami zdaje on rachunek ze swych czynności i wydatków. I chcesz pan, abyśmy byli obojętnymi na podobne wybory? Co do mnie, to wcale nie wiele mnie obchodzi, co robią w Washingtonie panowie mowcy z Południa lub Wschodu; ale Paryż, to moje dobro, to mój majątek, to grób mojego ojca, to kolebka mych dzieci. Kocham wszystko co tylko jest w Paryżu, kocham jego stare ulice, na których bawiłem się w dzieciństwie, kocham jego nowe bulwary, te szerokie arterje cywilizacji, kocham jego gotyckie kościoły, które mi mówią o przeszłości, koleje żelazne i szkoły, które mi mówią o przyszłości. Dla mnie to czterdzieści pokoleń wzbogaciło ten kątek ziemi; jest to dziedzictwo po mych ojcach, które, upiększywszy jeszcze, zostawię mym dzieciom. Nie chcę



aby bez mojej wiedzy poruszono jeden kamień, naruszono jedną instytucję mego drogiego miasta, tej prawdziwej ojczyzny. Jestem Paryżaninem, Paryż więc do mnie należy!

— Rose! mój przyjacielu! — zawołałem — jesteś Ciceronem aptekarzy; lecz wymowa ma przywilej mówienia tego, co jest przeciwnem prawdzie. To nie może być, żebyś mówił na serjo o powierzeniu jednemu z nas, prostemu obywatelowi, policji podobnego Pandemonium; potrzeba na to ręki silnej i niezależnej, któraby kierowała nami wbrew naszej woli.

— Dla czego, kochany ojcze, dokuczasz naumyślnie panu Rose? przecież wiesz dobrze, że to burmistrz mianuje policjantów; przecież ten, który teraz pilnuje naszej ulicy, dostał miejsce za twojem staraniem.

— Może jeszcze -- dodałem z wyrazem politowania -- powiecie mi, że podatki miejskie ustanawiają ci sami, co je mają płacić?

— Bez wątpienia — rzekł Rose — a któż inny ma prawo stanowić o wydatkach, jeżeli nie ten, który je ponosi?

— Będziecie mieli piękny budżet, postępując tą drogą! To doskonały sposób wydobycia milionów! A gdy otwieracie nową ulicę, to może radzicie się o to mieszkańców, aby nie oburzyć przeciw sobie egoizmu interesów prywatnych?

— A kogożby innego miano się radzić? — zapytał niewinny aptekarz — sądzę, że ulice istnieją dla nas, a nasze interesa prywatne razem wzięte tworzą interes ogółu.

— Wybornie! wybornie! — zawołałem śmiejąc się — wszyscy oni jak widzę ssali tę samą oślicę. Mój Boże!

jakby to było pożytecznem, gdyby można za pomocą młota wbić w te ciasne mózgi idee tegoczesnej cywilizacji. Gdyby ujrzeli oni cuda centralizacji, toby się przekonali, że nasze sprawy nigdy nie są lepiej prowadzone, jak wtenczas, gdy są oddane bez naszego zezwolenia w ręce tych, których bynajmniej nie obchodzą. Więc to może ojcowie rodzin — dodałem — ustanawiają podatki na szkoły i oznaczają cyfrę wydatków? Ciekawy byłbym zobaczyć sumę

— Wydatki na szkoły — rzekł Alfred, któremu pilno było popisać się ze swoim rozumem — naznacza ogół, edukacja to dług ogólny; każdy ma sobie za zaszczyt przyjąć w nim udział. Onegdaj ustanowiono takse na rok 1862, podług której wypada po dwa dolary na każdego mieszkańca, nie rachując to co dają na ten cel Stany.

— Szesnaście milionów franków nałożonych przez milion sześćkroć sto tysięcy mieszkańców! — zawołałem — Jeszcze nikt nigdy nie podobnego nie widział i nigdy nie zobaczy! To jest niemożliwe!

— Kochany ojciec — przerwała żywo Zuzanna — kiedy Alfred to mówi, to musi być prawdą.

— No moi kochani przyjaciele — rzekłem — „kiedy wleziesz między wrony, to tak krakaj jak i one.“ Jeżeli nasze sprawy są rzeczywiście naszymi sprawami, jeżeli Paryż należy do nas a nie do państwa; jeżeli my sami stanowimy o naszych pieniądzech, i sami je wydajemy, co wszystko jest fantastycznym, niepodobnem do uwierzenia, i przeciwnem zdrowemu rozsądkowi — więc i ja biorę udział w ogólnem szaleństwie! Paryżanin nie będący zupełnie obcym Paryżowi, Paryżanin mający głos przy wyborach miejskich, Paryżanin który mówi i którego słuchają, jest to Feniks, którego można widzieć jedynie w Ameryce. Idźmy

więc głosować, i niech żyje Green, burmistrz Paryża.... w Massachuset!

— Niech żyje Green! — zawołał cały tłum kierując się ku domowi korzennego kupca.

— Pocałuj mnie ojcie przed odejściem — rzekła Zuzanna — a czy wiesz — dodała po cichu — że twoje imię jest na liście?

— O jakiej liście mówisz moje dziecko?

— O liście urzędników miejskich. Jeden komitet wyborczy proponuje cię w dzienniku Paris-Telegraphe na inspektora ulic i dróg obok pana Humbug, którego chcą zrobić sędzią pokoju. Zobacz sam ojcie — i z kieszeni swego fartuszka moja panna córka wydobyla dziennik. Cóż to za kraj, w którym zakochane dziewczęta czytują dzienniki i interesują się wyborami!

Wziąłem Paris-Telegraphe; imię moje wypisane wielkimi literami z dodatkiem odpowiednich pochwał znajdowało się na czele listy. Zrobiło to na mnie dziwne wrażenie. Krytykować władzę, jakaby ona nie była, to na tem się znam; przecież jestem Paryżaninem. Ganić i wysmiewać w piosnkach naszych panów, to jedyna część wolności, której nawet wielki król nie mógł nam odebrać; to pociecha i zemsta naszej bezczynności politycznej. Ale radzić i rozkazywać, działać zamiast krzyczeć, wyjść z opozycji na to, aby ją napotkać przed sobą i zmusić do milczenia swoją gorliwością i powodzeniem — była to dla mnie rzecz nieznaną i pełną wdzięku; ambicja zaczęła powoli wkradać się do mego serca. Myślałem sobie, że wczoraj byłem za mało grzeszny z Humbugiem, (a dziennik ma swoje wpływy!) i że dzisiaj mówiłem może nieco za szorstko z Rosem i jego synami, którzy przecież stanowią dziesięciu wyborców!

Z pospiechem więc uściskałem Zuzannę, pobiegłem za aptekarzem i zawiązałem z nim poufną gawędkę o wybornych pigułkach mego wynalazku, pigułkach, których przeznaczeniem było zrobić rewolucję w medycynie, i przynieść majątek lekarzowi który je wymyślił, i aptekarzowi któryby je sprzedawał. Skoncentrowany ekstrakt z rumianku, jest to środek heroiczny, który leczy w przeciągu dni ośmiu nieuleczoną i bolesną chorobę ludzi rozumnych: *la dyspepsie*. Wyjawienie tego cudownego wynalazku zachowywałem dla akademji lekarskiej, jeszcze przed sześciu laty zacząłem pisać rozprawę o tym przedmiocie, lecz cóż — gdy ambicja nas opanuje, to trzeba się pożegnać z rozwagą; Sława akademicka przestała być dla mnie olśniewającą, dozorowanie ulic otwierało mi zawód polityczny, byłem kandydatem!



### ROZDZIAŁ XIII.

## CANVASSING.

Byłeś kiedy zakochanym, kochany czytelniku? przypominaś sobie, jak w czasie tych dni szczęśliwych serce twoje było ożywione, oko namiętne i bystre, myśl szybka, życie lekkie? Wiesz więc co to jest być kandydatem. Pomimo krótkiego wzroku poznawałem o kroków pięćdziesiąt wyborców, których przedtem nigdy nie widziałem; wynajdywałem po różnych kątach mej mózgownicy historję mnóstwa ludzi, z którymi nigdy w życiu nie mówiłem, i to nie tylko ich własną historję, ale nadto historję ich żon i dzieci, ich rodziców, przodków i krewnych. Sympałem na lewo i na prawo obietnice i uściśnienia ręki. Byłem poufałym z maluczkimi a skromnym z wielkimi, naprawiałem wszystkie bulwary i przebrukowywałem wszystkie ulice. Cicero starający się o konsulat nie był bez wątpienia ani wymowniejszy, ani wspańiałomyślniejszym, ani też uprzejmiejszym odemnie.

Green przyłączył się do naszego orszaku; podług mnie był z niego bardzo nędzny kandydat. Wyborcy, którzy go

zapropowowali, nie dali dowodu wielkiego rozumu, mogli byli bowiem zrobić daleko lepszy wybór na tejże samej ulicy. Kupiec korzenny nie mógł otrzymać tego wysokiego wykształcenia społecznego, które pozwala wywodzić w pole ludzi, i umieć wyciągnąć korzyść dla siebie z każdej okoliczności. Green nie mógł też się zdobyć na żadne pochlebstwo dla tłumu, na żadną z tych obietnic, które decydują, zapewniają większość, na żadne z tych przyjemnych kłamstw, które są ogniami sztucznymi, nieodłącznymi od wszelakich wyborów. Zamiast tego wszystkiego był on zimnym i bojaźliwym jak kupiec zawierający interes, i który waży każde zobowiązanie się. Zdawało mu się, że już zrobił swoje, ponieważ ścisnął za rękę tego lub owego wyborcę mówiąc mu: „będę się starał służyć wam jak najlepiej“, lub: „to trudne zadanie“, albo też: „obierzcie pana Little, jeżeli sądzicie że jest zdolniejszym odemnie.“ Na przyjacielskie wymówki, które mu z tego powodu czyniłem, odrzekł tonem lodowatym:

— Sumienie nie pozwala mi czynić większych zabiegów, zresztą nie mogę przyrzekać więcej niż będę w stanie dotrzymać.

Sumienie u kandydata to istny skrupuł przekupnia. Kiedy się chce mieć powodzenie, to w wilję wyborów zamyka się sumienie na dwa rygle, i nie koniecznie zaraz jutro je się ztamtąd wydobywa. Nie ma człowieka we Francji, któryby o tem nie wiedział.

Byłbym umarł z nudów podczas tej wyborczej procesji, gdyby ogromny i jowialny Humbug nie był się do nas przyłączył. Zawsze przytomny, zawsze gotów do odpowiedzi, pobudzał on do śmiechu wszystkich których napotykał. Nie wszędzie przyjmowano nas z równą przychylnością; Sakson objawia tak swoją nienawiść jako też i przyjaźń z równie

szorstką otwartością, sól amerykańska nie jest wcale solą attycką. Lecz Humbug był pod tym względem graczem znamenitym, żadnego konceptu nie zostawił on bez szybkości i przeciwnika na śmieszność wystawiającej odpowiedzi; kto raz został ukąszonym przez niego, ten już nie miał po co wracać do ataku.

— Green kandydatem, to hańba — mówił jakiś giel dzista o twarzy bladej i rysach pociągłych. — Wystawcie sobie kupca korzennego w radzie miejskiej. Gdy usłyszysz głos dzwonka, zerwie się i zawoła: Oto jestem, czem można panu służyć? Niech idzie do piekła on i cała jego klika!

— Do piekła — rzekł Humbug — i cóż mamy tam powiedzieć twemu ojcu bankrutowi? chyba to, że jesteś w trakcie trzeciego bankructwa oczekując na czwarte.

— Green kandydatem — odezwał się subjekt ze sklepu nowości, dandys w lakierowanych trzewikach, przecinający za każdym słowem powietrze swym niewinnym szpicrutem — Green, kupiec, któryby nie potrafił rozróżnić osła od konia.

— Bądź spokojny mój synu — rzekł Humbug — rozróżni on ciebie i wśród tysiąca.

— Piękna odpowiedź i godna człowieka, który żyje ze swego rozumu.

— Gdybyś miał jedynie ten kapitał na utrzymanie swoje mój synu, to z pewnością nie byłbyś tak tłustym jak ja — odpowiedział Humbug, i poszedł dalej wśród ogólnego śmiechu tłumu.

Weszliśmy do hotelu Unji, którego gospodarz był nam przedstawiony jako bardzo wpływowy wyborca miejski. Lecz jeżeli ten pocziwiec trzymał cugle poźycia w swym

ręku, to w każdym razie jego połowica wskazywała mu drogę. Na pierwsze słowo wymówione przez Greena gwałtowna jejność przerwała mu.

— Niech będzie przeklęta polityka — zawołała.

Niech będą przeklęte hotele -- odrzekł Green składając jejności głęboki ukłon.

— Józefie! — zawołała rozkazująco Junona — znieważają twą żonę, ubliżają tobie samemu, a ty obojętnie tego wszystkiego słuchasz; chyba krew gołębia płynie w twoich żyłach.

Na ten głos straszliwy Józef poruszył się z miejsca otwierając swoje wielkie oczy. Sądzę, że na ulicy poczciwy człowiek byłby nam chętnie uściskał rękę, szeroka twarz, obwisłe wargi i ogromny brzuch nie zdradzały w nim wcale wojowniczego ducha, lecz pod okiem swej żony uważał za roztropne z swej strony wpaść we wściekłość. Przenieść wojnę na zewnątrz, był to najlepszy sposób zachowania pokoju wewnątrz domu.

— Niech tu przyjdzie ten piękny kandydat — zawołał głosem grubym, który napróżno starał się uczynić groźnym — mam ja na jego usługi postronek, by go na nim powiesić.

— Bardzo dziękujemy mój przyjacielu -- rzekł Humbug stłudzitkim głosem — lecz mielibyśmy sobie za skrupuł pozbawić was tego rodzinnego narzędzia.

My wszyscy w śmiech, wynosząc się co żywo z tej jaskini Polyphemy, ale zastaliśmy odwrót przecięty. We drzwiach domu zatrzymała Humbuga gospodyni, wyprostowana jak warta pod bronią, i zawołała drżąc cała ze złości:

— Czy wiesz pan kto ja jestem?



— A któżby pani nie znał i nie wielbił — odrzekł Humbug, prostując się z kokieterją — jesteś pani przelicznem dzieckiem, które nie doszło jeszcze do pełnoletności.

I mówiąc to, ukłonił się i wyszedł, zostawiając szanowną jejmość bardziej oniemiałą i ogłupiałą, niż żona Lotha podczas swej ostatniej przemiany.

Lecz dotąd były to tylko utarczki forpocztowe; potem prawdziwej bitwy, która decydowała o zwycięstwie, były zgromadzenia publiczne, na których rozbierano przymioty i zalety kandydatów. Nadeszła chwila, w której musieliśmy się rozdzielić, każdy bowiem z nas powinien był pracować na swoją rękę. Mnie wyprawiono do liceum. Wszedłem do ogromnej sali, po której snuły się tłumy bardzo ożywione. Poznano mnie i zaczęto wołać po imieniu, oczy wszystkich zwróciły się ku mnie; strach mnie przejął, i byłbym chętnie rzekł się tej fatalnej kandydatury publicznie — lecz niestety, było zapóźno!...

Naprzeciw mnie mówił i giestykulował jakiś człowiek, stojąc na wysokiem rusztowaniu; słuchano go w milczeniu, lecz od czasu do czasu wydawano nagle okrzyk hurra, lub jakiś ryk przerażający; tym to sposobem daje się brawo, i wygwizduje się u Saksonów. Tym mówcą popularnym, który wedle swej woli kierował namiętnościami tłumu, był obrońca bankiera Little, Fox, nasz nieprzyjaciel. Przeklinając z całej duszy łotra, byłem jednak zmuszony przyznać mu nie mały dar wymowy, którego też nadużywał. Naprzemian to poważny, to drwiący, umiał w taki sposób obsypywać pochwałami swych przeciwników, że ich one okrywały śmiesznością, a znów żartował ze swych kandydatów tak zręcznie, że ich przez to podnosił w oczach wszystkich. Zakończył szybkim wyliczeniem wszystkich

bogactw, jakie bank rozsypywał w Ameryce. Little stał się u niego Jowiszem, spadającym w postaci złotego deszczu na łono nowej Danae. Na głos adwokata koleje żelazne, kanały, statki parowe uszykowały się naokoło bankiera, tworząc mu sobą orszak wyborczy, podczas gdy mowca ruchem pogardliwym wskazywał na kupca zatopionego w swojej melasie, albo zagłębionego nad rachowaniem swych sardynek lub sztokfisa. „Czyż wy, przyjaciele pokoju — zawołał nakoniec — mielibyście obrać naczelnikiem miasta fabrykanta zapalek chemicznych, którego towar gra tak ważną rolę we wszystkich pożarach? Czyż wy, przyjaciele wolności, mielibyście obrać tego sprzedawca sztokfisa, który żywi niewolników południa, a któryby jutro zbankrutował, gdyby jego klienci wyswobodzeni naszą odwagą przestali potrzebować jego zatrutego towaru? Nie, nigdy nie upadniecie tak haniebnie! Ja, Jankes czyste krwi, przyjaciel ojczyzny, dumny wszystkimi naszemi chwałami, wolałbym zamiast głosować za tym człowiekiem, dać raczej mój głos... tu zatrzymał się mrużąc oczy i zniżając głos dodał... temu, którego nasze kobiety w swej nieograniczonej litości nazywają biednym, upadłym aniołem; nie powiem wam jego imienia“.

Grzmot oklasków okrył mowcę; zszedł on z rusztowania, odbierając na wszystkie strony powinszowania i obietnice. W każdym zgromadzeniu znajduje się stado głupców, którzy idą becząc za tym, kto mówił ostatni.

Nie poprzestał jednak zdrajca na tem pozdrowieniu, lecz przyszedł wprost do mnie, i podając mi rękę, której nie śmiałem odmówić, odezwał się głosem rozlegającym się po całej sali:

— Na ciebie teraz kolej doktorze Smith; gra dla wszystkich otwarta, to dewiza Jankesa.

Powstałem z miejsca cały zimnym obłany potem; ze wszystkich stron wołano:

— Słuchajcie! słuchajcie!

Ten hałas, po którym nastąpiła ogólna cisza, tyle ócz na mnie zwróconych, wszystko to razem sprawiło, żem zupełnie stracił głowę; czerwona mgła przesunęła mi się przed oczami, głos mi uwiązał w gardle, i całe moje ciało drżało pod biciem mego serca. Cóżbym był nie dał, aby kupić pewność siebie tego nędznika! Miałem myśli daleko szlachetniejsze niż on, patriotyzm daleko szczerzy — ale adwokat miał wprawę swego rzemiosła, a mnie obywatela kraju wolnego nie nauczono nawet mówić. Byłem pobity i pobity bez walki.

Zaczęło mi się robić słabo ze złości i wstydu — gdy w tem Henryk, mój syn, spostrzegłszy moją bladłość wskoczył na rusztowanie, i dał znak że chce mówić. W postawie wyprostowanej, z głową w górę podniesioną, założywszy lewą rękę za zapięty surdut, ukłonił się z wdziękiem prawą ręką, i czekał aż się tłum uciszy.

— To jego syn, to jego syn! — powtarzano ze wszystkich stron. — Słuchajcie! słuchajcie!

Wszyscy spoglądali z ciekawością na dziecko, i zrobiło się tak głębokie milczenie, że można było słyszeć przeplatującą muchę.

— Obywatele i przyjaciele — rzekł on głosem czystym i przejmującym — nie myślę ja wcale walczyć ze strasznym Goljatem bankiera Little; wprawdzie kamieni by mi nie brakło, narzucal ich bowiem aż nadto Filistyn do naszego ogrodu; lecz ja mam jedynie młodość Dawida,

nie czuję się więc na siłach do mierzenia się z przeciwnikiem aż nadto w swej sztuce wyćwiczonym. Spróbuję jedynie bronić mego ojca i moje stronictwo, i jestem najmocniej przekonany, że nie znajdzie się ani jedno szlachetne serce pomiędzy wami, któreby nie powiedziało: Ten młody człowiek ma słuszość.

— Słuchajcie! słuchajcie! — wołano ze wszystkich stron — dobrze mówi.

— Szanowny obrońca — mówił dalej mój syn, wymawiając z przyciskiem pierwszy wyraz — nie lubi korzennego handlu. To mnie mocno dziwi. Wypotrzebowywa on bowiem tak wielką ilość grubej soli, żebyśmy byli bardzo radzi mieć jego praktykę. Niech nas nią uszczęśliwi, a damy mu w dodatku nieco cukru, którego tak mu bardzo brakuje. Cukier łagodzi nieco gorycz, a inaczej widzi się wszystko na żółto, i jest się niesprawiedliwym względem swych towarzyszy broni i przyjaciół.

Nie wiem zkad mój pan syn wydobył ten ordynaryjny rodzaj wymowy; lecz wyraźnie podobała się ona nieoświeconemu tłumowi: śmiano się, przyklaskiwano, kobiety machały chustkami, Henryk odpowiadał na wszystko uśmiechem — całe zgromadzenie udało mu się skaptować.

— Nie powiem ja nic złego o bankierach — mówił dalej szesnastoletni mowca — bankiery bowiem są jak dentyści: nie trzeba sobie z nich robić nieprzyjaciół, bo kto wie czy ich się jutro potrzebować nie będzie! Ale czyż to w ich ręce należy złożyć interesa miasta? Przypominam sobie, że nasza babka, święta kobieta z Konnecticut, wnuczka naszych ojców pielgrzymów, powtarzała mi często to, co słyszała od swoich cnotliwych przodków, że bankier



podtrzymuje państwo, jak postronek powieszzonego: dusząc go.

— Trzy ryknięcia dla bankierów! — odezwał się głos szorstki, zapewne należący do jakiego zabłąkanego w tłumie dłużnika.

Krzyk ten nie pozostał bez echa; sala zadrżała od ryku, który głaskał moje ojcowskie ucho, jakby najpiękniejsza sonata Beethowena.

— Moja babka — mówiło dalej dziecię, ośmielone oklaskami — aby nas zabawić podczas długich zimowych wieczorów, spędzanych przy kominku, zadawała nam zagadki. Gdyby np., mówiła ona, wpakowano w jeden worek bankiera, adwokata i krawca, a potem wyciągnięto z worka na chybił trafił pierwszego lepszego, któżby pokazał się prawdopodobnie?

— Złodziej! — zawołało dwudziestu na raz słuchaczy, zachwyconych odnowieniem wspomnień z lat dziecińczych.

Henryk zbliżył się do brzegu rusztowania, położył palec na ustach, i rzekł półgłosem:

— To jest wyraz, którego używała moja babka, lecz dziś mówią: że z worka wyszedłby... szczęśliwy milioner.

— Niezawodnie — dodał on — nie mam ja nic przeciw majątkowi, mam nawet nadzieję przyjść do niego tak dobrze jak i kto inny.

— I zajdziesz daleko, mój mały olbrzymie — odezwał się gruby głos, który wzruszył całe zgromadzenie.

— Pokażcie mi — dodał mój syn ożywiony ogólnem uznaniem — pokażcie mi majątek pocziwie nabyty, okręta wysyłane do Indji, Nowej Ziemi i wysp Moluckich, a uczcę w osobie pana Green dwadzieścia lat pracy, rachunkowości

i oszczędności... Lecz nie mówcie mi o bogactwach nabytych wypadkiem, o milionach wygranych w przeciągu dnia jednego — bo to jest dobro bliźnich, które przeszło do kieszeni najzręczniejszego. Majątek nabyty bez pracy, to majątek wcale zaszczytu nie przynoszący. (Słuchajcie! słuchajcie!)

...A przytem, czyż to majątek macie wynagrodzić kochani współobywatele, a nie odwagę i poświęcenie? Czyż to nie Green jest tym szlachetnym kapitanem, który rzucił się w ogień dla wyratowania może żony lub córki którego z was?... Czyż nie przyjęliście wszyscy za swoje tego dziecięcia, które mój ojciec wyrwał wczoraj z pośrodku płomieni? O wy, nasze sumienie, wy! gwiazdy naszych dusz, wy, matki, żony, córki, siostry, mówcie, za kim należy głosować? (Słuchajcie! słuchajcie!)

— Kocham tych odważnych ludzi, którzy nie obawiają się rzucić w ogień — mówił dalej mój młody Gracchus — lecz nie mam żadnego szacunku dla ludzi, którzy w nim wiecznie żyją. Nie dziwi mnie wcale, że jegomość którego nazwiska nie wymieniam, posiada całą sympatję naszych przeciwników; to rzecz aż nadto prosta, że szanowny Fox wybiera swego przedstawiciela z pośród swej rodziny lub przyjaciół; lecz my, mający mniej bogate związki, potrzebujemy mieć na czele naszych interesów wspólnych człowieka uczciwego. Nazwiska jego nie mamy potrzeby ukrywać, jest nim syn własnej pracy, dziecię miasta: Green.

— Hurra Green! hurra Smith! — krzyknął uniesiony zapalem tłum cały.

Zwycięstwo pozostało przy nas. Henryk szukał mnie oczami wśród tego chaosu. Już miał umknąć przed rodzącą

się sławą, gdy ogromny strzelec z Kentuki, jeden z tych olbrzymów szczyjących się tem, że są pół konia a pół krokodyla, porwał mego syna na ramiona i obniósł go po sali. Witał go nieustannie taki grzmot oklasków, iż zdawało się, że się mury zawalą. Wszyscy mężczyźni ściskali rękę młodemu mowcy, wszystkie kobiety ścisnęły go. Chciałem krzyknąć, że to ja jestem jego ojcem! Lecz strach po raz drugi ścisnął mnie za gardło, i westchnąłem tylko, mówiąc po ciachu: Niestety! czemuż to ja nie jestem mym synem!

ROZDZIAŁ XIV.

VANITAS VANITATUM \*).

Gdy tłum się rozszedł, roznosząc na wszystkie strony sławę i imię przysłego Webstera, ja uściśkałem na uboczu mowcę i ruszyłem z nim ku domowi. Zawstydzony niema rolą, do jakiej mnie zmusiła moja śmieszna nieśmiałość, nie mogłem się oprzeć chęci pożartowania nieś z tego Cicerona w przyszłości.

— No, a powiedzże mi mały hultaju — rzekłem doń — gdzieżeś to nabrał tej łatwości paplania, i tej niczem nie dającej się zmieszać pewności siebie? Improwizować, deklamować, łączyć giesta ze słowami, jestto sztuka zatracona jeszcze przez starożytnych; gdzież to cię jej nauczyło?

— W szkole — odrzekł mój pan syn. — Wiem przecież o tem dobrze kochany ojcze, ponieważ tyle razy kazaleś mi wygłaszać mojego Enfielda. \*\*) Czy nie byłem

\*) Próżność próżności.

\*\*) *The Enfields speaker*, jestto zbiór najpiękniejszych ustępów wymowy i poezji w języku angielskim. Uczą z niego dzieci



pewnym siebie? Czyż nie podnosiłem ręki wyżej głowy? Jesteś zadowolony ze mnie?

— I wszyscy twoi towarzysze paplają tak jak i ty?

— Bez wątpienia kochany ojczcie. Byliby piękni obywatelc z ludzi niemych! Mówić i giestykulować, jest równie potrzebnem jak czytać i pisać. Nie ma ani jednego pomiędzy nami, któryby kiedyś nie był czemiś w społeczeństwie, w gminie, w państwie. Czy to jako członkowie meetingu (zgromadzenie ludowe) lub jakiego stowarzyszenia, czy to jako wyborcy, kandydaci, urzędnicy lub senatorowie, zawsze będziemy zmuszeni odzywać się do publiczności; przyzwyczajają więc nas do tego już w szkole. Improwizowanie, to rzecz wcale nie trudna a bardzo zabawna. Zabawą i rozkoszą naszych chwil wolnych jest rozprawianie; ja sam miałem już ze sto mów do mych przyszłych wyborców. Lecz główną moją siłę stanowią giesta. „Czynu, mówi Demostenes w moim Enfieldzie, czynu! czynu!“ Patrz na mnie ojczcie.

I oto mój urwisz zaczyna się przechadzać, deklamując jakąś mowę lorda Chatham przeciwko wojnie amerykańskiej. Chodzi, zatrzymuje się, wznosi oczy ku niebu, składa ręce, podnosi pięść zamkniętą, kładzie rękę na sercu, a na zakończenie rzuca mi się na szyję śmiejąc się do rozpuku, gdy tymczasem ja jego ojciec, nie byłem zdolny wymówić słowo, lub poruszyć palcem; byłem zmieszany i zgorzszony

---

w szkołach amerykańskich wygłaszać na pamięć, a raczej deklamować. Dzieło to poprzedza rozprawa o mimice i giestach z figurami, które wskazują, jaką powinna być postać ciała, położenie głowy i rąk, dla wyrażenia każdej namiętności.

tą przedwczesną przewrotnością, owocem chorobliwego wychowania.

Syn mój nie był żadnem nadzwyczajnem zjawiskiem. Był on poprostu Jankesem, nadto zręcznie ułożonym.

— Na cóż ci się przyda biedne dziecię ta sztuka histrjonów, kiedy jedziesz do Indji? Pół biedy jeszcze, gdybyś był adwokatem.

— Będę nim kiedyś ojcze — odpowiedział Henryk. — Pozwól mi tylko zarobić tam dziesięć tysięcy dollarów, a za powrotem skończę prawo, i wejdę w spółkę z jakim doświadczonym prawnikiem.

— A następnie? — rzekłem przerażony tą młodą ambicją.

— Następnie kochany ojcze, postaram się, aby mnie wybrano przedstawicielem stanu Massachusetts, i zostanę tu-tejszym senatorem.

— A potem?

— A potem ojcze, zostanę deputowanym na kongres a następnie senatorem Unji.

— A potem?

— Potem ojcze, będę ministrem jak pan Seward, albo jeżeli to mi się nie uda, to zostanę prezydentem jak pan Lincoln.

— A potem! — zawołałem — zajmiesz bez wątpienia miejsce Lucypera, masz bowiem ambicję i pychę prawdziwie szatańską!

— Kochany ojcze — przerwało dziecię, przerażone moją żywością — przecież wszyscy moi towarzysze myślą tak samo jak ja. Nasi nauczyciele powtarzali nam zawsze, że jesteśmy nadzieją ojczyzny, i że Rzeczpospolita rachuje na nas. Wchodzi się w życie polityczne nie przez ambicję,

lecz przez poczucie obowiązku. Ten obywatel idzie najwyżej, który najlepiej służy swemu krajowi.

— O! poganie, poganie! — zawołałem — jak widzę, tośmy powrócili do skandalów Ateńskich i Rzymskich. Najpierwszym obowiązkiem chrześcianina jest pozostać w swej pokorze, uciekać od polityki, i nie mięszać się nigdy do spraw własnego kraju — chyba że władza go do tego upoważni.

— Ojczy! lecz to całkiem co innego wykładają nam z ambony. Ostatniej niedzieli stawiano nam za przykład papieża Piusa VII, jeżeli się nie mylę, który mawiał, będąc wprawdzie jeszcze biskupem: „Bądźcie dobrymi chrześcianami, a będziecie dobrymi republikanami“. Wszystkie nasze swobody biorą swój początek w Ewangelji. Powtarzają nam nieustannie, że moralność Chrystusowa prowadzi do demokracji, to jest do równości, braterstwa i poszanowania najmniejszej nawet osobistości. „Kochajcie się wzajemnie“, rzekł Chrystus; cóż te słowa mają znaczyć, jeżeli nie to, że silniejszy powinien przychodzić w pomoc słabszemu swym majątkiem, swymi radami i poświęceniem?

Schwyciłem za rękę Henryka.

— Patrz biedne dziecię, oślepięone szaleństwem nauczycieli — rzekłem doń — patrz, dokąd prowadzi demokracja!

Przed nami szedł miarowym krokiem człowiek zapakowany w rodzaj skrzyni drewnianej. Na tej ruchomej tablicy czytano następujący, wielkiem i literami nakreślony napis:

OSTROWIDZ

Dziennik demokratów.

Obywatele!

Strzeżcie się intrygantów i głupców!!

GREEN  
SMITH  
HUMBUG } czyli śmieszne trio zdemaskowane!

— Proszę o Ostrowidza — rzekłem do przekupnia dzienników.

— Oto jest panie — odrzekł przekupień głosem drwiącym — lecz jeżeli pan chcesz uśmieć się do woli, to pan kup sobie Słońce i Trybunę; w nich to dopiero znajdziesz pan trio, wychłostane co się nazywa.

Dosyć mi było na Ostrowidzu; otworzyłem ten obrzydliwy dziennik, i zacząłem go czytać. Greena wydrwiwano w nim delikatnie, Humbugowi wypowiedziano grube prawdy; ale ja, w elki Boże, jak okropnie byłem traktowany, jakimież kłamstwami, jakimież obelgami i obrzydliwościami mnie obsypano!

Zmiałem w rękę ten nędzny paszkwil, i miałem go już wrzucić w błoto jako najwłaściwsze dla niego miejsce, gdy wtem na progu mego domu spostrzegłem twarz rozjaśnioną i wyzywający śmiech Humbuga.

— Pan tryumfujesz, mości dziennikarzu — rzekłem podsuwając mu pod nos Ostrowidza. — Wybory, te wasze święta, to saturnalje potwarzy!

— Potwarz — rzekł grubas wzruszając ramionami — jest jak odra; gdy wychodzi na wierzch, to się z niej ła two wyleczyć, a gdy wchodzi wewnątrz, to zabija.

— Jedynie w waszej demokracji drukują podobne podłości!

— Bardzo temu wierzę — odrzekł sofista, rad że mu się udało schwytać w powietrzu ten nowy paradox. —



W państwach starego świata, wystrzegają się drukować potwarze, lecz je sobie mówią do ucha; jest to sposób daleko zdradliwszy i daleko pewniejszy. Nie uderzają tam na ludzi z przodu, boby się mogli bronić; lecz zarzynają ich z tyłu. Tam to właśnie panują bez przeszkody: podstęp i kłamstwo, i tam to panujący staje się najpierwszy ofiarą trucizny, której nie pozwala się ulotnić. *Summa petit livor* \*). Potwarz doktorze, to plaga i kara despotyzmu; w kraju wolnym zaś, staje się ona ukąszeniem osy — i najdalej nazajutrz o niej się zupełnie zapomina.

— Przeczytaj dziennik panie mędrco — rzekłem sucho — jest tam mowa o tobie.

— To jeden powód więcej aby go nie czytać. Zawsze to jeden i ten sam temat, z dodatkiem ośmiu lub dziewięciu rzeczowników, i przydomków przesadzonych, dla zmiany zwrotki. Masz zuchwałość nie iść w ślady potulnych baranów, prowadzonych przez zręcznych kierowników? odważasz się mieć własne zdanie i własną wolę? — a nazwą cię zaraz pysznym marzycielem, i dumnym fanatykiem. Mówisz prawdę swoim współobywatelom, chcesz ich oświecić co do warunków wolności i zabezpieczyć przeciw niebezpieczeństwu bezrządu? — to jesteś podłym arystokratą, nikczemnym wielbicielem zdradliwego Albionu. Inaczej mówiąc: otwierać oczy ludowi, jest to rujnować tych co prowadzą ślepych, i odbierać zarobek tym zacnym ludziom, którzy nie mają zwyczaju przebaczać. Mówisz pan otwarcie, nazywasz nadużycia ich właściwym imieniem, wymieniasz po nazwisku tych, którzy się takowych dopuszczają — to jesteś pochlebcą tłumu i podłym demagogiem. Ironiczne

---

\*) Zawieść uderza najprzód od góry.

pochwały, gdy twoja kandydatura źle idzie, grubiańskie i płaskie obelgi, jeżeli idzie dobrze — oto odwieczna piosnka dzienników i dziennikarzy, którzy się sami siebie nie szanują. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni jak do drapiących uszu katarynek. Jest to przyjemność zawistnych kumoszek i poczciwych ludzi o fałszywym uchu. Trzeba być wyrozumiałym na małe słabostki ludzkości.

— Przeczytaj pan artykuł — rzekłem zniecierpliwiony — a zobaczymy, jak daleko sięga pańska pobłażliwość.

Weszliśmy do pokoju, gdzie na szczęście nie zastaliśmy nikogo, a Humbug zabrał się do czytania tej złośliwej krytyki, gdy Henryk pobiegł tymczasem po nowiny.

— Green nie ma czego się żalić — rzekł śmiejąc się gruby dziennikarz. — Ze zjadliwego sposobu w jaki go traktują, widać jasno że jego papiery idą w górę. Moje również nie źle stać muszą. *Falstaff bezwstydnny*, to wcale piękne, a ten *spity Sileniusz, któremu nic nie brakuje, nawet charakterystycznego osła, gdy doktor przy nim się znajduje*, to głęboka mitologja przynosząca zaszczyt erudycji piszącego. Wszystko to razem wzięte jest *telum im-belle, sine ictu* dogorywającego stronnictwa.

— I dla czegoż nie zabronią tym nędznikom pisać?

— Czyś wynalazł doktorze kamień filozoficzny. Wiedzieć naprzd co kto ma powiedzieć lub napisać, to tajemnica, którą dotąd napróżno odkryć się staramy; jedynym sposobem uniknięcia tego zgorzenia które cię tak przeraża, jest zakneblowanie ust wszystkim — lekarstwo heroiczne, które zabija ludzi aby im przeszkodzić żyć źle. Czy takich lekarstw pan używasz? Te łotry, powiesz pan, biorą pieniądze za zajmowanie się podłem rzemiosłem; nadużywają

oni wolności i poniżają ją, zgadzam się na to; lecz te to właśnie nadużycia zapewniają nam używanie naszych praw. Znajdują się dziewczęta, które nadużywają prawa przechadzania się po ulicy; czyż dla tego mamy zamknąć nasze żony w haremie? Są ludzie, którzy się zabijają obżarstwem lub pijaństwem; czyżbyś więc dla tego skazał nas na sposób życia jaki prowadził Sancho na wyspie Barataria? Z obawy pożarów zakazałbyś pan wyrób zapalek? Z obawy zbójców odjął byś pan nam prawo najważniejsze, prawo ludów wolnych, prawo posiadania broni? Każda swoboda pociąga za sobą możność nadużycia, również jak każda siła i każde narzędzie. Znieść wolność aby przeszkodzić nadużyciom, zabić dobre dla zabicia złego, jest to zrobić proces samemu Bogu i dowodzić mu, że nic a nic się nie znał na stwarzaniu.

— Jeżeli nie możecie przewidzieć potwarzy — zawołałem — to ją przynajmniej ukarście, wynajdźcie straszne męczarnie i skarście tego, który odbiera honor, jak karście odbierającego życie.

— Trybunały stoją dla pana otworem — odrzekł Humbug — lecz podług mnie pogarda, to daleko szybsza i pewniejsza sprawiedliwość. Jutro wybory pomszczą pana za wycierpiane dziś zniewagi. A czyż to zresztą jest pewnem że nas spotwarzono? Co do mnie, to się wcale nie czuję obrażonym.

— Nie wiem co pan masz w żyłach — rzekłem wyrywając mu z rąk dziennik. — Słuchaj pan, jak podły anonim śmie traktować człowieka mego stopnia i wieku; następnie pokażę ci jak się karze podobne nikczemności.

I głosem drżącym ze złości przeczytałem co następuje:

„Doktor jest potrójnym głupcem. Jest on głupcem od urodzenia, którego trzydzieści lat nauki uczyniły jeszcze głupszym; nie brakowało mu jak tylko nieco ambicji, aby utracił tę trochę rozumu, który mu nauka pozostawiła. Znanem jest szaleństwo tego poczciwca nie widzącego dalej, jak koniec swego nosa. Głupi wielbiciel przeszłości; ideałem jego jest stara Europa; nic u niego nie ma piękniejszego nad to społeczeństwo strupieszale, w którym tradycja rzymska i despotyzm administracyjny zagłuszają wszelką niepodległość i wszelkie życie. Uczony Smith, chwała dwudziestu nieznanych akademij, jest jednym z tych bojaźliwców, którzyby w dzień stworzenia świata gotowi byli wykrzyknąć: „Wstrzymaj się Panie Boże, bo popsujesz chaos.“ Podobnym on jest do tych konduktorów kolei żelaznej, którzy się tyłem obracają do unoszącego ich pociągu. Widzi on i wielbi jedynie to, co ginie i niknie w cieniu przeszłości; nie czuje on, że po za nim wschodzi słońce i świat nowy: panowanie pojedynczego człowieka, tryumf wolności. Niech taka mumja pozostaje w gabinecie osobliwości i tam odbiera hołdy od gapiów, to my nie pójdziemy mięszać jej pokoju; lecz cóż mają do roboty w życiu publicznem te zagasłe oczy, te nieme usta i niedołężne ramię? Nasza świetna rzeczpospolita potrzebuje ludzi tegoczesnych, bankierów, którzy posuwają naprzód cywilizację, tworząc co dzień to nowe przedsiębiorstwa, co dzień to nowe spekulacje, mowców, którzy nas prowadzą ku świetnym losom jakie przyszłość dla nas zachowuje. Pozostawmy umarłym grzebać umarłych, do nas serca przystępne wszystkim wielkim natchnieniom społecznym, do nas głosy zapalające się dla kwestyj drgających rzeczywistością! Niech mazgaje i tchórze głosują za swymi odwiecznymi bałwanami, naszymi



kandydatami są ludzie, których nam Europa zazdrości : zdolny i szlachetny bankier Little , wymowny i znakomity adwokat krajowy Fox!

„Jutro głos ludu, wychodzący z urny wyborczej jak piorun wydobywający się z chmur, ogłosi w obec całej Ameryki zwycięstwo wybrańców demokracji. Niech żyje Little! Niech żyje Fox!“

— Brawo! — rzekł Humbug — trafił ci w słabą stronę doktorze. Wcale ładny ustęp, nie tam nie ma ubliżającego twemu charakterowi; drwiny wprowadzie nieco za ostre, lecz za to co za malowniczość, co za werwa, co za trafność spostrzegawcza, nie mówiąc już o bardzo modnym stylu. Artykuł ten pisał człowiek wcale nie głupi.

— Chodź pan ze mną do redakcji Ostrowidza, a zobaczysz jak potrójny głupiec policzkuje rozumnego człowieka; będzie to lekcja, której ten pan bardzo potrzebuje.

— Czyś pan zwarzował — zawołał grubas zrywając się z miejsca. — Gdyby kto inny oprócz mnie to słyszał, toby kazano panu złożyć z dziesięć tysięcy dolarów kaucji, albo by cię odesłano do domu poprawy. Czy to nas bierzesz za skóry-czerwone\*). Czy nie jesteś chrześcijaninem? To tylko w puszczech Arkansas galernicy rozprawiają z rewolwerem w rękę, w Massachusett istnieje jedynie zemsta wykonywana przez prawo. W narodzie cywilizowanym mówi się wiele, sprzecza się żywo, lecz się nie zamordowuje współzawodnika, ani też się z nim bije.

— Dzicy! — zawołałem — dzicy, którzy nie wiecie nawet co to punkt honoru!

---

\*) Skóry-czerwone (*Peaux-Rouges*) pogardliwy przydomek, jaki Amerykanie dają dzikim amerykańskim mieszkańcom, z powodu miedzianego koloru ich skóry. P. T.

— Sam jesteś dzikim — przerwał Humbug śmiejąc się. — Widocznie puszczenie krwi robi cię okrutnym doktorze. Do czegoż może posłużyć sprawie rozumu i sprawiedliwości, zabijanie ludzi lub pozwolenie zabicia się przez nich? Pojedynek przynosi jedynie korzyść lekarzowi i grabarzom.

— Cóż więc pan robisz, gdy zostaniesz podle znieważonym przez jakiego dziennikarza?

— Mój kochany doktorze — odrzekł ten bezwstydnny kandydat — powtarzam cicho lub głośno przysłowie tureckie, którego głęboką mądrość mam ci honor zalecić: „Kto zatrzymuje się, aby rzucać kamieniem na wszystkie psy, które na niego szczekają, nigdy nie przybędzie do celu swej podróży.“ A tymczasem ruszam popierać tak mój jako też i twój wybór; zrób to samo ze swojej strony, a wkrótce zapomnisz i o Ostrowidzu i o jego rozumowaniu.

*Tu ne cede malis, sed contra audentior ito. \*)*

Do widzenia!

---

\*) Nie poddawaj się niepowodzeniu, lecz przeciwnie staw mu mężnie czoło z większem jeszcze zaufaniem w siebie.

---

ROZDZIAŁ XV.

WSPOMNIENIE NIEOBECNEJ OJCZYZNY.

Przybycie żony i dzieci rozpędziło chmury z mojego czoła; nowiny były dobre. Henryk i Alfred obiegli wszystkie zgromadzenia wyborcze, i wszędzie otrzymali oklaski i przyrzeczenia. Jenny i Zuzanna widziały się ze wszystkimi swemi przyjaciółkami. Dwieście co najprzedniejszych dam miasta nosiły na szyi medaljon z moją fotografią; wybór mój był zapewniony. Wesołość naszego skromnego obiadu do reszty zagoiła moje rany. Zdawało się, że wszyscy mamy jedno tylko serce i jedną duszę. Moja Jenny była więcej ożywioną niż na chrzcinach mego pierworodnego. Uważałem to zawsze, że kobiety z natury już są bardzo ambitne; młody i piękny mąż nie potrafi na długo im się podobać jeżeli nie jest niczem, a stary mążzonek będzie otrzymywał ich najśłodsze uśmiechy, jeżeli powodzenie lub sława ukoronują jego siwe włosy. Gdy miłość złączy się z tą szlachetną ambicją, wówczas żona staje się w całym znaczeniu tego pięknego słowa: naszą prawdziwą połowicą. Żyje się, myśli i marzy we dwoje, i to jest naj-

wyższe na tej ziemi szczęście; szczęście prawie nieznanne we Francji, gdzie moda zabrania kobietom mieć zamiłowania serjo i namiętności szlachtetne, a które są bardzo zwyczajne w Ameryce, gdzie opinja ogólna wzywa kobiety do brania udziału we wszystkim. Zuzanna była jeszcze ambitniejszą od swej matki, ciągle tylko mówiła o mym wyborze; była to prawdziwa moja krew! To prawda, że zrobiła ona z Alfreda jednego z głównych moich wyborców; zajmować się mną, było więc to samo, co zajmować się nim.

Wieczorem nowa demonstracja wyborcza miała miejsce. Cała straż ogniowa w paradnych mundurach, z muzyką na czele i pochodniami w rękę, przedelfowała po pod naszymi oknami. Młodzież miejska przebrana w fantastyczne stroje, z chińskimi latarniami na długich drągach towarzyszyła im. W środku orszaku ogromny sztandar pokazywał zdziwionemu ludowi dwóch czarnych jakoby diabłów wychodzących z płomieni, z dwoma białymi paczkami w rękę. Nazwiska Green i Smith, wypisane u spodu figur, nadawały znaczenie ziemskie tej piekielnej scenie, której na wszystkie strony dawano oklaski. Kobieta i dziecko któreśmy ocalili, postępowali w karecie ciągnionej przez cztery białe konie, i przybranej całkiem w napisy i latarnie. Był to pochód tryumfalny, procesja godna pięknych dni Eleusisa.

Ze wszystkich stron rozlegały się okrzyki i brawa, czasami i pewien rodzaj ryczenia zagłuszonego natychmiast głośniami hurra. Stronnictwo przeciwne zostało zwyciężone i zmuszone do odwrotu pięknnością naszego pomysłu. Trudno było bankierowi Little współzawodniczyć z nami. Cóż mógł on oprowadzać po ulicach? Chyba zrujnowanych akcjo-



narjuszów! Żaden lud nie da się porwać tym codziennym widokiem.

O dziesiątej Jenny zaczęła nam czytać bibliję. Doszliśmy właśnie do piątego rozdziału Daniela, to jest do historii króla Baltazara i mściwej ręki, która napisała na murze wyrok śmierci: *Mane, Tekel, Phares* -- gdy Marta nie mogąc pominąć tak pięknej sposobności zaczęła nam prorokować. Chcąc nie chcąc porównała mnie ona do Nabuchodonozora, i skazała na życie pomiędzy dzikimi osłami i żywienie się trawą pól jak wół, jeżelibym kiedy zapomniał, że Wszzechmocny ma najwyższą władzę nad ludźmi i że wynosi na trony kogo mu się tylko podoba. Lekeja ta wydała mi się nieco za ostrą dla przyszłego inspektora ulic; być może, że nie trzeba być królem, aby mieć pychę i zuchwalstwo Nabuchodonozora. Kto wie czy komisanci w Asyrii nie byli jeszcze bardziej hardzi niż ich wspaniały monarcha?

Żartowałem z Sybilli; byłem jednakże zaniepokojony tą kandydaturą, i niepokój ten odpędził sen od mych powiek. Dla tego to, znalazłszy się w mym pokoju, nałożyłem fajkę doskonałym tytoniem wirginja, i usiadłszy przy oknie starałem się uspokoić me rozdrażnione nerwy.

Ulica była pusta, księżyc oświecając swemi blademi promieniami milczące i pozamykane domy, powiększać się jeszcze zdawał tajemniczość i ciszę nocy: naokoło wszystko spało, wszystko było pogrążone w milczeniu. Jedynie szmer kukulki, stojącej w nogach mego łóżka, przerywał tę ogólną ciszę czyli raczej jeszcze wydatniejszą ją czynił. Kołysany tym monotonnym szmerem, odurzony nieco tytoniowym dymem, puściłem wodze mym marzeniom, gdy w tem zegar nagle się ożywił. Zgrzytanie bloków, warczenie kół i łań-

cuszków uprzedzało, że ma bić godzina. Podniosłem się z miejsca, aby podziwiać z bliska to arcydzieło niemieckiego zegarmistrzostwa. Za mojem zbliżeniem się kogut z kolorowego drzewa umieszczony na zegarze zatrzepotał skrzydłami, i zapiał po trzykroć przeraźliwie. Na ten znak znajdujące się pod kogutem drzwiczki otwarły się nagle, i ujrzałem przez nie Paryż, Sekwanę i ratusz z 1830 roku. La Fayette w jasnej peruce, niebieskim surducie i białych spodniach, ścisnął od razu żołnierza od piechoty, żandarma i trójkolorową chorągiew, na której można było czytać wyszyte złotymi literami słowa: Wolność, porządek publiczny. Jedenaście razy uderzył zegar, i jedenaście razy dzielny La Fayette poruszył głową i powiał chorągwią; po czym drzwi się zamknęły, gallikański kogut zatrzepotał skrzydłami, zapiał jeszcze przeraźliwiej niż poprzednio i widzenie znikło.

To zagubione wspomnienie, ta od dawna zapomniana dewiza, rozbudziły złote wspomnienia mej młodości. Jak silnie serca nasze biły w 1830 roku! Biedni szaleńcy, nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, że wolność tak jak wszystkie kochanki, rujnuje i zdradza tych co ją kochają. Wolność, porządek publiczny, straszne to wyrazy, to *Mane, Tekel, Phares* dawniejszych czasów. Oto zagadka, którą co lat piętnaście sfinks rewolucyjny daje Francji do rozwiązania, zawsze gotów pożreć Edypa, który jej odgadnąć nie potrafi. Możnaby powiedzieć, że wolność i porządek publiczny są to dwa śmiertelne wrogi, którzy naprzemian to zwycięzcy to zwyciężeni, wydają sobie walkę bez końca, której stawką my jesteśmy. Raz zwycięża wolność, niebo drży od okrzyków radości i nadziei; lecz cóż, pod maską tego świetnego bóstwa tryumfuje bezrząd, ciągnąc za sobą wojnę domową,

uderzając na wszystkie prawa, grożąc wszystkim interesom, zmuszając lud przerażony do cofnięcia się z przestachu. Nazajutrz z szablą w ręku ustala się porządek publiczny, zaprowadzając pokój, nakazując milczenie, i połamawszy wkrótce wszystkie zapory, zsuwa się własnym ciężarem w przepaść, w jaką wpada każda władza, której nikt nie doradza i nikt nie podtrzymuje. Zkądże to pochodzi, że lud szlachetny, dzielny, zdolny, buduje od lat siedmdziesięciu same tylko ruiny? zkąd to jego wieczne niezadowolenie i niepokój? Jak się to dzieje, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie wolność zawraca wszystkie głowy, gdzie nikt nie mówi o porządku publicznym, pokój wewnętrzny nie bywa nigdy zakłóconym? Dla czego w tej niespokojnej demokracji, w tych masach pozostawionych samym sobie, bez policji, bez żandarmerji, nie ma ani zaburzeń ani rewolucji? Ameryka nie posiada tak jak my stu tysięcy urzędników w szyku bojowym, nie ma tej doskonałej administracji, która nakazuje wszystko, wszystko przewiduje, wszystkiem kieruje i wszystko urządza; nie ma w obec tej silnej organizacji ludu potulnego, łatwego do rządzenia, cichego, dającego się kierować i urządzać; a jednakże jest ona spokojną i coraz to bardziej rozwija się i kwitnie. Wolność zagwarantowana przez prawo w całej swej rozciągłości, karana przez sądy w swych wybrykach, oto porządek publiczny u Amerykanów. Ich ograniczony umysł nigdy nie był w stanie wznieść się aż do wysokości tej opiekuńczej centralizacji, która stanowi naszą chwałę i naszą jedność. U tego ludu pierwotnego nie oddzielono wolności od porządku publicznego, nie uosobiono jej, i nie otoczono potężnymi okopami i zawsze nabitymi działami. Nie ma tam żadnej hierarchicznej administracji, żadnej policji prewencyjnej (zapobiegającej spo-

dziewanemu, złemu) żadnych rozkazów dziennych, żadnych nietykalnych urzędników, żadnych uprzywilejowanych trybunałów. Nic z tego mądrego mechanizmu, który w narodach cywilizowanych łamie wszelki opór, i na proch zciera każdego pojedynczego człowieka. Tu prawo jest wszechmocnym, obywatel panem swych czynności, urzędnik podlega ogólnym prawom, administracja jest odpowiedzialną przed trybunałami, a sędzia jest jedynym zastosowywaczem prawa, i oto cały system śmiesznej prostoty. Nic nie ma w tym dziwnym rządzie oprócz sędziów i praw, a jednakże pokój i bogactwo panują wszędzie. Dziwna to igraszka losu, której nasi wielcy politycy dotąd wytłómaczyć nie umieli. Jak to się stało, że dotąd nie dowiedziono jeszcze Amerykanom, że są szczęśliwymi wbrew wszelkim prawidłom, i że powinni nam zazdrościć naszych rewolucyj?

Zasnąłem pogrążony w tych pięknych myślach. Nie wiem jak długo spałem, gdy w tem nagle zostałem gwałtownie wstrząśnięty, i uczułem silną rękę na mem ramieniu. Obok mnie przy mem łóżku stał wachmistrz żandarmów. Widok ten sprawił mi żywą przyjemność. Żandarm! więc byłem we Francji, odzyskałem ojczyznę!

— Wstawaj pan, wstawaj panie Lefebvre — zawołał wachmistrz akcentem gaskońskim, który o milę czuć było czosnkiem.

Popatrzyłem uważniej na tego przyjemnego posłaunika; twarz jego nie była mi obcą. Po oczach, głosie i uśmiechu sardonicznym, poznałem w nim strasznego spirytystę Jonathana Dream, mego prześladowcę. Na widok tego zdrajcy radość moja przemieniła się w przerażenie.



— Kto pan jesteś i czego chcesz? — zapytałem. — Jakiem prawem nachodzisz pan podczas nocy spokojnego obywatela? Mój dom, to moja forteca.

— Cicho bądź mój panie — odrzekł żandarm. — Nie bądźmy tak nierozsądni, abyśmy chcieli rezonować z władzą, która nigdy nie rezonuje, ponieważ ma zawsze słuszność za sobą.

Co mówiąc otworzył swą torbę, i wydobył z niej mnóstwo stemplowego papieru.

— Numer pierwszy. Panu Lefebvre we własnej jego osobie. Za bezczelność krytykowania w piśmie publicznem władzy municypalnej z powodu źle wybrukowanej ulicy, udziela się tym razem ostrzeżenie.

— Co do tego, to trochę nadto — zawołałem. — Zamiast przysłać mi ostrzeżenie, władza powinna by raczej przeprosić mnie i przemienić bruk.

— Cicho bądź mój panie — przerwał żołnierz. — Ja sam jako człowiek prywatny przyznaję, że bruk jest tu niegodziwy, nie dawno co podniosłem dwa konie, które upadły przed temi drzwiami, lecz jako żandarm uznaję pańską skargę za równie niedelikatną jak niewłaściwą. Gdyby mi mój pułkownik powiedział: „wachmistrzu, jutro w samo południe będzie ciemno jak w nocy“, tobym odpowiedział: dobrze pułkowniku! i zaprowadziłbym na policję pierwszego paupra, któryby utrzymywał że jest widno. Rozkaz mówi, że bruk jest dobrym — i jedynie ludzie źle myślący przez godną kary złośliwość, naumyślnie kręcą na nim karki.

— Jaktó? — rzekłem zgorszony — więc ja nie mam prawa krytykować władzy, która nie czyni zadosyć swym obowiązkom?

— Przeciwnie mój panie — przerwał wachmistrz — możesz się pan skarżyć; władza we Francji dosyć nawet lubi gdy ją cenzurują; lecz trzeba być bardzo względem niej grzecznym. Nie zapytałeś jej pan o pozwolenie krytykowania jej. Byłeś niegrzecznym mój przyjacielu.

— Ja pana bardzo szanuję, mój zuchu, lecz przyznam się że rozumujesz jak ładownica; jeżeli się nie mylę, to nie my dla władzy, lecz władza istnieje dla nas.

— To ogromny błąd, mój przyjacielu — rzekł żandarm z miną pogardliwą, która mnie do żywego oburzyła. — Ci którzy słuchają, istnieją dla tych, którzy rozkazują, a nie ci co rozkazują istnieją dla tych co słuchają.

— Lecz my jesteśmy Francją, jesteśmy krajem.

— Kraj mój przyjacielu — rzekł nieznamy wachmistrz — składa się z marszałków, generałów, pułkowników, kapitanów, poruczników, prefektów, burmistrzów, i innych haftowanych mundurów, które szanuję; reszta, to massa popisowych i opodatkowanych, którzy powinni słuchać i milczeć....

— Bez narzekania, nieprawdaż? znam ja dobrze tę piosnkę. Ach! gdybyśmy to mieli sprawiedliwość!

— Gdybyś nie miał administracji mój panie, tobyś był Irokejczykiem, jak Anglicy i inni ludożercy. którzy robią co im się podoba. Nie miałbyś zaszczytu być człowiekiem cywilizowanym i Francuzem.

— Numer drugi — ciągnął dalej. — Panu Lefebvre za zuchwalstwo prowadzania od drzwi do drzwi swej śmiesznej osoby, ostrzeżenie ze strony prefekta, który też uwalnia pana od honorowych obowiązków członka komitetu dobroczynności, jak na teraz.

— Wszelka kandydatura jest wolną! — zawołałem

— Bez wątpienia — odrzekł żandarm — jest ona wolna, lecz potrzebuje upoważnienia ze strony władzy.

— Numer trzeci. Temuż panu Lefebvre, za rozdawanie lub kazanie rozdawania bulletynów wyborczych, noszących jego imię, lub też imiona osób również nieznanymi i gorszącymi: polecenie stawienia się w przeciągu ośmiu dni od dzisiaj przed panem prezydującym i sędziami tworzącymi trybunał policji poprawczej, w celu, ażeby wyżej wzmiankowany pan Lefebvre mógł się usprawiedliwić z rozdawania druków bez pozwolenia władzy.

— Jakto, nie mogę więc rozdawać wyborcom moim odezwo noszących moje imię?

— Wszystko możesz mój przyjacielu — odrzekł wachmistrz — lecz za upoważnieniem władzy. Jak widzę, to się panu nie podoba; czyż więc pan sobie wyobrażasz, że ojcowski i opiekuńczy rząd może pozwolić głupcom na robienie głupstw, któreby mogły z łatwością przemienić się w opozycję? Gdybym ja był rządem, tobym pana poprostu zapakował do kozy, zanimby cię co lepszego spotkało!...

— Numer czwarty. Temuż panu Lefebvre, za przyłączenie się do tłumu indywiduów, zebranych na takzwane zgromadzenie wyborcze, co stanowi klub, jeżeli nie stowarzyszenie tajne, polecenie stawienia się przed wyżej wzmiankowanym trybunałem, ażeby wysłuchać wyroku skazującego go tymczasem na zasadzie artykułu 291 kodeksu karnego, na uwięzienie.

— Numer piąty. Temuż panu Lefebvre, za to, że pozwolił swemu małoletniemu synowi mieć w wyżej wzmiankowanym klubie mowę podburzającą przeciw zacnej i szanowanej osobie pana Petit, kandydata rządowego, wezwanie, aby się stawił przed tymże trybunałem, jako sprzyja-

jący spółnik, a przytem cywilnie odpowiedzialny za powyższe przestępstwo.

— Jakto! ja nie mam prawa zgromadzić mych wyborców, i oni nie mają prawa wiedzieć co myśli ich przedstawiciel?

— Mają te wszystkie prawa, mój przyjacielu — odrzekł wachmistrz — lecz zawsze za pozwoleniem władzy. Pięknaby to rzecz była, gdyby wolno było w koszarach żołnierzom zgromadzać się i krzyczyć bez pozwolenia!

— Lecz my nie jesteśmy przecież w koszarach.

— Na głupie pytania nie ma odpowiedzi — odrzekł żandarm. — Jednakże moja pobłażliwość dla waćpana jest tak wielka, że chciałbym oświecić jego głęboką niewiadomość. Każdy Francuz rodzi się żołnierzem i czeka tylko rozkazu. Czem więcej jest on komenderowanym, tem bardziej jest zadowolonym. Nie wolno więc zamącać posłuszeństwa, które jest jego szczęściem. Gdybym ja był rządem, tobym na tymczasem kazał powiesić wszystkich gadułów.

— Numer szósty. Temuż panu Lefebvre za pokrycie lub pozwolenie pokrycia murów nic nieznaczącemi, lecz zbrodniczemi ogłoszeniami; dalej za urządzenie lub pozwolenie urządzenia procesji rewolucyjnej i przygotowanie niewłaściwego zbiegowiska, które byłoby niewątpliwie zamieniło się w wybuch niebezpieczny, gdyby nie pilność i środki ostrożności przedsięwzięte przez policję, która ma zawsze oko otwarte — wezwanie do stawienia się przed powyżej wzmiankowanym trybunałem, ażeby usłyszeć wyrok skazujący go tymczasowo na karę prawem przepisaną.



— Łaski, wachmistrzu, łaski! panie żandarmie! jestem ofiarą omyłki. We Francji byłbym bez wątpienia wielkim winowajcą; lecz jesteśmy w Ameryce, więc jestem niewinnym. To co jest zbrodnią we Francji, jest prawem w Stanach Zjednoczonych.

— Zrób mi pan tę łaskę, i daj mi pokój ze swoim: łaski! łaski! — odrzekł niewzruszony żandarm, wydobywając z kieszeni coś naksztalt kajdanek. — Pochlebiam sobie, że jako człowiek prywatny, nie mam nieczułego serca, lecz w tej chwili jestem organem prawa.

— Prawo więc jest gaskonadą.

— Cicho! buntowniku, dosyć twój gadania. Słuchając go, zdawałoby się że jest niewinnym jak nowonarodzone dziecko. Niewinny lub nie, łotrze, ja cię posądzam, że jesteś podejrzanym, i przez ostrożność aresztuję cię.

Mówiąc to, ścisnął mi rękę tak mocno, że krzyk bólu wyrwał się z mych piersi. Krzyk ten obudził mnie. Dzięki Bogu, był to tylko sen.

Aby odpędzić od siebie tę obrzydliwą marę, zapaliłem gaz. Lecz o okropności! w głębi łóżka ujrzałem cień grożącej ręki i ten piróg, i ten pompon, na widok których najodważniejsi bledną.

Cały zlodowaciały, z drżącym sercem, pozostałem nieruchomy jak zbrodniarz, oczekujący wyroku śmierci. W tej chwili zapiał kogut zegarowy, kogut, który zmusza do ucieczki złe duchy nocne. Odwróciłem się do muru i... wybuchnąłem głośnym śmiechem. Ręka, która mię tak przeraziła, była moją własną; piróg był to poprostu cień mo-

ich najeżonych włosów; a ten przerażający pompon \*) był to kosmyk mej.... Nio mogę dokończyć, przez uszanowanie dla skromności mych czytelniczek. Zagasiłem światło, i zanurzając się pod kołdrę, zawołałem:

— Żandarmie! o dzielny i wierny żołnierzu, serce proste i szlachetne; nikt lepiej nad ciebie nie przedstawia porządku publicznego w narodzie, który nie zna władzy bez munduru, ani pokoju bez miecza w dłoni. Postrachu żebraka i włóczęgi, widmo przerażające złodzieja zwierzyny, sumienie oberzysty i kupca win, religjo i moralności nie szczanina, prawa ręko pana burmistrza, organie pana prefekta, o żandarmie! szanuję cię i kocham! Lecz przebacz zuchwalstwu mej wyobraźni! Ja pragnąłbym ażeby kiedyś nędza przestała być zbrodnią; pragnąłbym, aby policja nie przeszkadzała dobremu które jest zasadą, dla niedopuszczenia złego, które jest wyjątkiem; pragnąłbym, aby wolność powrócona obywatelom wypędziła z naszych praw występki, które nie są takowemi; pragnąłbym nakoniec, (o kapłanie władzy nie wzruszaj ramionami!) ażeby jedynie sprawiedliwość wydawała ci rozkazy o żandarmie, i aby twoje mściwskie powołanie ograniczało się na ściganiu łotrów i areztowaniu prawnie zaskarżonych zbrodniarzy. Wiem o wachmistrzu, o ile ta amerykańska utopia pobudziłaby cię do śmiechu, lecz pomimo to przekazuję ją dwudziestemu pierwszemu wiekowi, jako myśl, która kiedyś uczyni nieśmiertelnem moje imię. Żądam, ażeby wówczas w mojem rodzinnem mieście wśród placu, który zastąpi miejsce mej ulicy i domu, wzniesiono mi popiersie po nad fontanną bez wody, i aby pod niem był następujący napis:

\*) Pompon, jestto gałka na kasku żandarmskim.

MARZYCIELOWI,

który

w r. 1862gim

żądał, aby jedynie sąd

miał

prawo aresztowania obywateli,

i to jedynie na prawne zaskarzenie,

wdzięczna żandarmerja

14 lipca 2080.

I zapisuję moją ostatnią pięciofrankówkę Akademiji napisów i sztuk pięknych, z procentem skapitalizowanym przez dwa wieki, na zredagowanie po hebrajsku, syryjsku, sanskrycku i w mowie Koptów idei, której Francuz z urodzenia złośliwy nie mógł nigdy zrozumieć, i której nawet jego język nie jest w stanie wyrazić: *Sub lege libertas*\*).

---

\*) Wolność pod prawem.

## ROZDZIAŁ XVI.

### WYBORY. — SABAT,

Nareszcie nadszedł ten pamiętny dzień, sobota 5go kwietnia, który z Paryżanina z Chaussé d'Antin miał zrobić członka administracji miejskiej paryzkiej w Massachusetts. O siódmej godzinie z rana, podczas ślicznej pogody, otworzono sto dwadzieścia biur wyborczych wśród uroczystej ciszy. Przy drzwiach każdego biura widać było dwa długie rzędy wyborców, którzy z cierpliwością i rezygnacją prawdziwie saksońską oczekiwali chwili, w której będą mogli wykonywać swoje najwyższe prawo. Wszystkie kłótnie ustały, wczorajsi nieprzyjaciele podawali sobie ręce i żartowali z siebie. Każdy już z góry uchylał czoła przed wyrokiem większości, obiecując sobie zrewanżować się w roku przyszłym.

W południe kreski zostały obrachowane i wybór ogłoszony. Green otrzymał 116,735 głosów przeciw 78,622 danym bankierowi Little. Humbug dostał 146,327, gdy tymczasem niefortunnemu Foxowi zaledwie dostało się 18,124; nakoniec pomimo kilku kartek unieważnionych przez za-



zdrosnych skrutatorów, ja zostałem wybrany 199,999 głosami. Nigdy żaden inspektor ulic nie został wybrany bardziej imponującą większością. Zrobiło to wielkie wrażenie w Massachusetts, a jeszcze większe w Anglii. A ponieważ ceny bawełny podniosły się, więc Times oświadczył, że Jankesy są dzikimi ludźmi, odbywającymi wybory przy wystrzałach pistoletowych, z czego wyprowadził wniosek, że demokracja jest niemożliwą do rządzenia. Stary Pam powrócił do swego ulubionego przedmiotu: dowiódł Anglikom, że są pierwszym narodem na świecie, i że z powodu braku arystokracji dziedzicznej Jonathan nie dochodzi nawet do kostek John Bullowi — prawdy nieco za ostre, które zacytował John Bull strawił ze swoją zwykłą skromnością, uchwalwszy jak największy budżet.

Uprzejmy Truth przyszedł sam uwiadomić mnie o moim wyborze; powiedział mi, iż żałuje mocno że nie może ogłosić publicznie tej dobrej nowiny, ponieważ wczoraj sprzedał swój dziennik panu Eugenjuszowi Rose, i zupełnie usunął się od życia publicznego.

— Bardzoś pan dobrze zrobił — rzekłem mu. — Odpocznij sobie i to przez czas długi, bo bardzo tego potrzebujesz.

— Odpoczywać, to nie jest wyraz amerykański — odpowiedział mi ze słodkim uśmiechem. — Młody czy stary, zdrow czy chory, prawdziwy Jankes pracuje aż do śmierci; praca bowiem jest obowiązkiem człowieka chrześcijanina. Poszedłem za radą Humbuga, i powróciłem do ulubionych nauk mojej młodości. Kościół kongregacjonalistów z ulicy Akacja ofiarował mi u siebie miejsce pastora, które też przyjąłem. Jutro obejmuję moją posiadłość.

— Wczoraj dziennikarzem, jutro pastorem! jesteś więc pan człowiekiem uniwersalnym; zamieniasz stan jak suknie. Czemże będziesz za sześć miesięcy?

— Tem, czem się Panu Bogu spodoba — odrzekł nowy kapłan. — Gdyby tu był Humbug, który był z kolei rolnikiem na Zachodzie, żołnierzem w Meksyku, adwokatem w Filadelfji, dziennikarzem w Paryżu, a który jutro będzie urzędnikiem, toby panu powiedział jedną ze swych ulubionych cytat:

*Homo sum, humanum nihil a me alienum puto.* \*)

A i ty sam doktorze, byłeś niegdyś uczonym, onegdaj pompierem, kandydatem wczoraj, a inspektorem ulic dzisiaj; w poniedziałek zaś będziesz doktorem. Zdaje mi się więc, że z dosyć wielką łatwością przychodzi ci zmieniać rolę. Jest to jedna z największych cnót naszego pięknego kraju. W starej Europie człowiek rodzi się i umiera w skórze jednej i tejże samej osoby komedji. Całe swe życie jest on żołnierzem, sędzią, adwokatem, kupcem, rękodzielnikiem, a nigdy człowiekiem. Z tego powodu ma on zawsze idee ciasne, i nie może się pozbyć przesądów swego rzemiosła. Tutaj bardzo mało obchodzi stan; jest to zwierzchnia suknia, którą się wdziewa lub zdejmuje stosownie do okoliczności; a zawsze i przedewszystkiem jest się człowiekiem. W tem to leży podstawa tej równości będącej naszą chwałą i naszą siłą. Clay był młynarzem w Kentucky, Duglas i Linkoln rolnikami w Illinois, generał Banks zwijaczem bawełny, a wszyscy zostali znakomitymi ludźmi, ponieważ pracowali i cierpieli. Kto nie walczył z życiem, ten nie może znać swej wartości. Walka z przeciwnościami kształci serce, wyrabia

---

\*) Człowiekiem jestem, i nic ludzkiego za obce sobie nie mam.

rozsądek i wolę. Arystokracja jest w stanie wydać jedynie dusze delikatne, wężle, chorobliwe; panowanie nad światem należy do parwenjuszów. Do nas należy przyszłość!

— Cudnie mówisz panie Truth. Gdy cię słyszę mówiącego, czuję że masz rację; lecz gdy w twojej nieobecności rozbieram to co słyszałem, to twoje teorie przerażają mnie. Gdybym chciał cię słuchać, tobyś mnie zmusił do zapomnienia tego wszystkiego, czego mnie nauczali moi profesorowie. Ale mniejsza o to, pójdę jutro na twoje kazanie. Prosty chrześcijanin nauczający swych braci i wykładający im zwyczajnymi słowami Ewangelię, to musi być rzecz nader oryginalna. Nie mogę sobie wystawić chrześcijaństwa republikańskiego.

W tej samej chwili, gdy Truth wychodził odemnie, posłał po mnie dla zainstalowania mnie na nową posadę. Jenny, Zuzanna, Alfred i ja wsiedliśmy do pięknej karety, przyłączyła się do nas i Marta, której chodziło zapewne o mienie oka na mą pychę, w skutek czego Henryk musiał usiąść obok furmana. Zambo przyczepił się z tyłu pojazdu, i dwa dzielne kłusaki, jakie można spotkać jedynie w Ameryce, poniosły nas do Montmorency, najodleglejszego punktu mej jurysdykcji. Trzeba było zatrzymywać się po wielokroć razy; każdy dozorca był na swoim stanowisku oczekując nowego naczelnika; podczas gdy ja zapewniałem tych poczciwych ludzi o mych względach, moja żona i córka obdarzały ich jak najwdzięczniejszemi uśmiechami. Wyraźnie urodziliśmy się aby być książętami. Jedyną rzeczą, która mi się nie podobala, to były w pewnych ustępach pobudowane rogatki. Poznałem w tem tę drobnostkowość demokratyczną, która każe płacić za dogodność korzystającym z takowej, aby o tyle ulżyć z drugiej strony tym, którzy z niej użytku nie

ciągną; postanowiłem sobie naprawić to nadużycie niezauwane w starej Europie, i wszędzie zaprowadzić tryumfującą równość. Niezadowolenie to zresztą znikło w obec pysznych bukietów, ofiarowanych Jenny i Zuzannie przez poborców rogatkowych i głównych dozorców. Pojazd zamienił się w koszyk kwiatów, z pomiędzy których zaledwie nas widać było. Miano do nas mowy jakby do królów. Pocziwi ludzie, którzy nie umieją zapewne po hebrajsku, nie omieszkali porównywać moją Zuzannę do lilji pól. Jenny zarumieniona z radości, wyglądała jak rozwinięta róża. Co do Marty, to ta przypominała piwonję; zdawało się, że krew wytryśnie z jej karmazynowych policzków. Sapała jakby wół w plugu. Prawdziwem waszem imieniem o kobiety, jest: próżność! Ja zaś wygodnie wyciągnięty w wrogu karety, nie pozwalałem się upoić tą rodzącą się popularnością moją, lecz w duszy i sumieniu znajdowałem drogi wybornemi, i gniewałem się na nędzną szkapę, która upadła onegdaj na bruku utrzymywanym przez tak uprzejmych dozorców.

Gdyśmy przybyli do Montmorency, furman nie czekając rozkazu zawiózł nas prosto do hotelu „pod różą“, należącego do Setha, kwakra, oberzysty. Alfred i Zuzanna nie znaleźli łaski u tego przyjaciela pięknej młodości. Zamiast uważać nas za zakochanych, kazał on nam powdójnie zapłacić za bardzo nędzny obiad. Zaprotestowałem przeciw temu zdzierstwu; lecz brat Seth do swej wrodzonej chciwości łączył najnieznośniejsze wady, jakie cywilizacja prowadzi za sobą: hultaj był ekonomistą! Wypalił mi on ogromne kazanie, aby dowieść, że żyć dobrze i tanio, jest to strona ujemna ludów nieznających ani handlu ani przemysłu, gdy przeciwnie drożyzna jest oznaką naj-



wyższej cywilizacji; zwiększająca się bowiem ludność zmniejsza ofiarowanie, a bogactwo powiększa popyt. Przyjdzie dzień, w którym ostatni z Rotszyldów będzie jedynie w możności zapłacenia za jedno jajko, i w dniu tym dobrobyt powszechny stanie na najwyższym szczeblu rozwoju. Zapłaciłem więc czempredzej dla oszczędzenia słów i czasu. Niech mnie Bóg zachowa od wdawania się w rozprawy z tymi fanatykami, mającymi zawsze jedną ideę w głowie. Znam ja tych pielgrzymów. Gotowiby oni oddać sultanowi całą Francję, jej arsenały, marynarkę, jej wojska. chwale i prawa, jeżeliby im tylko przyrzekł dać za to wolność — rzeźniczą.

O godzinie czwartej karawana nasza ruszyła z powrotem do Paryża. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, w chwili naszego odjazdu zaczęto zamykać na żelazne sztaby okna i okiennice hotelu, zupełnie tak jak gdyby była w domu żałoba. Był to szczególniejszy sposób święcenia zbliżającej się niedzieli; lecz w tym kraju, gdzie wszystko dzieje się na opak — nie trzeba się niczemu dziwić. Przyjaciel Seth towarzyszył nam do miasta na wielkim koniu, którego oceniał swym szerokim kapeluszem. Obok niego kłusowała na tłustej siwej klaczy Marta, wysoka, wyprostowana, poważna i majestatyczna, jak karabinier. Były to forpoczty wyprzedzające nas dosyć znacznie, aby uwiadomić wszystkich przechodniów o naszym tryumfalnym pochodzie.

Przy pierwszej rogatce znalazłem spokojnego kwakra kłócącego się z poborcą.

— Mówię panu — krzyczał ten ostatni — że nie przejedziecie tędy aż po zapłaceniu brukowego. Jest was

dwoje, więc nie dwanaście ale dwadzieścia cztery centymów mi się należy.

— Przyjacielu — odrzekł oberżysta — źle robisz że się unosisz, nie jest to ani rozsądnie, ani też po chrześcijańsku. Przypatrz się lepiej swej taryfie, i nie żądaj ode mnie więcej niż ci prawo żądać pozwala, bo inaczej staniesz się winnym zbrodni zdzierstwa.

— Oto taryfa — przerwał rozgniewany urzędnik — przeczytaj ją sam nieznośny gaduło! Ośm centymów od konia, cztery centymy od człowieka; wszak to jasno.

— Bardzo jasno — rzekł kwakier — i dla tego też biorę za świadków te szanowne osoby, żem ci zapłacił dwanaście centymów.

— A ta kobieta — rzekł poborca wskazując na kłusującą naprzód Martę.

— Właśnie — przerwał Seth ze swą niczem nie zmięszaną powagą — że ta kobieta nie jest człowiekiem ani jej klacz koniem, więc od niej nic się nie należy. — I mówiąc to ruszył galopem, zostawiając osłupiałego dozorcę.

— Spodziewam się — rzekłem do tego ostatniego — że spiszesz wywód słowny przeciw temu bezczelnikowi.

— Nie, panie inspektorze — odrzekł — to już nasza strata. Jest to jeden z tych przebiegłych hultai, któryby potrafił przeprowadzić czterokonny powóz wśród naszych praw, nie zaczepiwszy nigdzie. Ma on za sobą literę taryfy.

— Duch prawa go potępia — rzekłem — jego pretensja jest niedorzeczna.

— U nas panie — odrzekł poczciwiec — prawo nie ma ducha. My znamy jedynie osnowę. Mówią, że gdyby sędzia był tłumaczem prawa, już przez to samo stałby się

prawodawcą; w skutek czego prawo i honor obywateli nie miałyby żadnej rękojmi.

Nienki! — zawołałem. Nie nauczono ich więc nawet a b c każdego prawodawstwa! Jeżeli zachodzi wątpliwość w sprawie prywatnego człowieka ze skarbem, toć przecież wątpliwość ta powinna być obróconą na korzyść skarbu, który przedstawia interes ogólny.

— U nas dzieje się wprost przeciwnie — odrzekł poberca. — W takim bowiem wypadku wyrokuja zawsze na korzyść obywatela. Skarb musi mieć po dwakroć słuszność, aby mógł wygrać proces.

— I cóż poradzić z taką dziczą? — Wzruszyłem więc tylko ramionami, i dałem rozkaz furmanowi jechania dalej.

Zdawało mi się, wjeżdżając do miasta, że je całkiem zmienioną w czasie mej nieobecności. Ulice i place były zupełnie puste; za nami rozciągano gruby łańcuch dla przerywania cyrkulacji powozów. Okna przedstawiały dziwny widok: na wszystkich balkonach można było widzieć szeregi butów pokazujących podeszwy przechodzącym, gdyby takowi na ulicach się znajdowali. Przypatrując się pilnie jednej parze tych butów, spostrzegłem nareszcie i nogi ludzkie, dalej i na wpół leżące ciało, a nakoniec i cygaro, którego niebieskawy dymek wznosił się w niebiosy. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jaką to zbrodnię karano podobną męczarnią; Zambo, którego zrecznie o to zapytałem, powiedział mi, że to jest modna przyjemność. Co sobota wieczór Jankesy starają się dostać uderzenia apoplektycznego, co też niekiedy im się udaje. O ileż jesteśmy rozsądniejsi my Francuzi, którzy w naszych salach widowiskowych narażamy się jedynie na początki zacczadzenia.

Przybywszy do domu, nabrałem ochoty zakończyć wesoło ten szczęśliwy dzień, i prosiłem Zuzanny i Henryka by zaśpiewali mi ulubioną arję z Don Juana: *La ci darem la mano* \*). Zuzanna popatrzyła na mnie, i zbladła.

— Co ci jest, kochane dziecko? — zawołałem — czy ci słabo?

— To twoje żądanie ojciec tak mnie przeraziło. Czyż chcesz zrobić zbiegowisko pod naszymi oknami? Czy chcesz zgubić nas w opinji publicznej? Czyś zapomniiał, że sabat się zaczął, i że nic nie powinno mięszać odpoczynku Pana.

— Mój Boże — pomyślałem sobie — czyż ten zdrajca Jonathan przenosząc nas do Ameryki pozamieniał nas w żydów? — Daruj moje dziecko — rzekłem do Zuzanny — to moje roztargnienie; wypadki dzisiejsze odjęły mi pamięć. Idź do biblijoteki i przynieś mi mego wielkiego Hipokratesa; radbym dać wypoczynek głowie czytając trochę po grecku. Nic nie ma bardziej nad to orzeźwiającego umysł.

Za całą odpowiedź Zuzanna siadła mi na kolanach przyłożyła rękę do mego czoła, i pocałowała mnie.

— Biedny ojciec — rzekła — jaki on znużony! kiedy nawet zapomniiał, że w wieczór sabatu czyta się jedynie bibliję.

Wyraźnie byłem żydem, sam nie wiedząc o tem. Co jednakże wprawiało mnie w niejaką pod tym względem wątpliwość, to to, że otworzywszy rodzinną bibliję znalazłem w niej ewangelję, i że mogłem czytać w świętym Marku, że to „sabat został stworzony dla człowieka, a nie człowiek dla sabatu.“ Te słowa dały mi do myślenia; lecz aby nie dotknąć nikogo z obecnych, zachowałem dla siebie

---

\*) Tam podamy sobie rękę.



me spostrzeżenia, i zostawiwszy obie kobiety zagłębione w pobożnem czytaniu, wyszedłem do ogrodu.

Wieczór był prześliczny, drzewa ze swą rozwijającą się zielonością napełniły powietrze świeżością, słońce zachodziło otoczone złotym obłokiem: wszystko jakby wzywało do marzenia. Czując się zmęczonym, wszedłem do chińskiej altanki, rzuciłem się na ławkę i zapaliłem cygaro; obok mnie znajdował się próżny, prosty fotel, oparłem więc nogi na jego grzbiecie i tak się uczulem dobrze, że ze wstydem przyznać musiałem, iż moda amerykańska ma swoją dobrą stronę.

Ukryty za żaluzjami altanki odpoczywałem z oczami machinalnie wlepionymi w Zambę, tłukącego w kącie ogrodu zwir do czyszczenia noży. Biedny chłopak cały był zajęty swą pracą, gdy w tem Marta wyszła z kuchni, i rzuciła się na niego jak pajak na muchę.

— Cóż ty tu robisz, synu Chama? — zawołała wyrwując mu z rąk młotek.

— Jak panna Marta widzi, tłukę kamienie.

— Nieszczęsny — krzyknęła — ty łamiesz sabat!

Zambo uciekł z miną godną politowania, i przeszedł wzdychając koło mego schronienia; potem nagle spostrzegłszy kotkę domową łapiącą mysz polną, zawołał śpiewając:

— Strzeż się polować na szczury w sabat, bo Marta gotowa cię za to powiesić w poniedziałek.

Jeszczem się śmiał z głupiej miny murzyna, gdy w tem dwie osoby usiadły na ławce stojącej przed samą altanką, a tak blisko odemnie, że nie straciłem ani jednego słowa z ich rozmowy. Poznałem przyjemnego Seta, który

korzystał z samotności, sabatu i wieczora, aby powiedzieć kazanie Marcie.

— Kochana siostró — mówił on ze śmieszłą powagą i jakby przysłuchując się każdemu ze swych słów — trzy rzeczy nadzwyczajnie mnie dziwią: pierwsza, że dzieci są tak głupie, iż rzucają kamieniami i kijami na drzewa, aby z nich zbić owoce; gdyby dzieci chciały czekać spokojnie, toby nadszedł dzień, w którymby owoce same spadły. Powtóre, dziwi mnie mocno, że wszyscy ludzie w ogóle, a Amerykanie w szczególności są tak szaleni, lub też tak złośliwi, że nieustannie prowadzą wojny aby się zabijać wzajemnie; gdyby zostali w pokoju, pomarliby i tak naturalną śmiercią. Trzecia i ostatnia rzecz która mnie zadziwia jest ta, że młodzi ludzie są tak dalece nierozsądni, iż tracą czas biegając za młodem dziewczętami które chcą poślubić; gdyby zamiast tego pozostali w domu i zajęli się robieniem majątku, toby dziewczęta same przyszły do nich. Cóż na to powiesz Marto?

— Powiem Secie, że masz mądrość króla Salomona, lecz zarazem i jego próżność.

— Marto — zawołał kwakier czułym głosem — ty jesteś o tyle piękną o ile rozumną.

— Secie — odrzekła zawsze zadyszana Marta — ty nie myślisz tego co mówisz.

— A ty Marto — odparł oberżysta — nie mówisz tego co myślisz.

— Brawo! — rzekłem po cichu — jak widzę to kochają się w Ameryce. Jest to obyczaj sabatowy, o którym dotąd nie pomyślałem. Ten kupiecki naród, który obrachowuje wszystko, i żyje jedynie dla wzbogacenia się, ska-

zał się przez jeden wieczór na tydzień na przymuszony spoczynek, ażeby w ten dzień spłacić dług młodości i miłości. Zobaczymy, w jaki sposób pan Seth wypowie swe oświadczenia. Po tysiącnych zwrotach mowy trafił nareszcie zakochany kwakier na słowo, którego podług wszelkiego prawdopodobieństwa oczekiwano od dawna.

— Marto — rzekł wydając głębokie westchnienie — Marto, czy ty mnie kochasz?

— Czyż nam nie polecono Secie — odrzekła dobra chrześcijanka — kochać się wzajemnie.

— Tak Marto, lecz ja się ciebie pytam, czy nie doznajesz dla mnie coś z tego uczucia wyłącznego, które świat nazywa miłością.

— Sama nie wiem, co mam odpowiedzieć — wyszeptwała skromna gołąbeczka — starałam się zawsze zarówno kochać wszystkich moich braci, lecz jeżeli mam ci prawdę wyznać Secie, to często zastanawiając się nad samą sobą myślałam, że w tem ogólnem uczuciu ty zabierałeś daleko więcej nad twoją cząstkę.

Wyznanie zostało uczynionem, i nie można się go było już wyprzeć; zdawało mi się, że usłyszałam głośny pocałunek, który zapieczętował zaręczyny — gdy w tem Marta krzyknęła przeraźliwie i wskoczyła na ławkę. Ogromny pies terre neuve rzucił się nagle pomiędzy zakochanych, i przerwał to czułe sam na sam. Wstałem z ławki i ujrzałem w cieniu białe zęby Zamby. Hultaj śmiał się na całe gardło: on to bowiem, aby się zemścić nad kwakresą, otworzył drzwi domu i puścił na Martę tego niepotrzebnego świadka, który ją tak przeraził.

Jakkolwiek nie nazbyt lubilem kwakra, nie mogłem jednakże wstrzymać się od podziwiania jego słodyczy i pewności siebie. Zamiast przeleknąć się psa, zawołał go do siebie, i wydobywszy z kieszeni kawałek cukru poczęstował nim poczciwe zwierzę, które też z łatwością dało się ulagodzić i głaskać.

— Przyjacielu — rzekł święty człowiek zwracając się do psa, który patrzył mu w oczy machając ogonem — przyszedłeś zakłócić najśłodsza chwilę mego życia; kto inny na mojem miejscu niezawodnie by cię obił, albo może i zabił, i miałby do tego prawo, lecz ja ci pokażę, jaka jest różnica pomiędzy kwakrem a zwyczajnym człowiekiem. Ja za całą zemstę dam ci tylko brzydki przydomek.

Mówiąc to i głaszcząc psa, który skakał na około niego aby otrzymać drugi kawałek cukru, wyprowadził go delikatnie za bramę, i potem zamykając nagle takową zaczął krzyżeć z całych sił:

— Pies wściekły, pies wściekły!

W mgnieniu oka znikły z okien wszystkie buty, i tysiące głów wyrzało na ulicę grożąc wspólnemu nieprzyjacielowi: kamienie, kije, stolki padały z wszystkich stron jak grad na biedne zwierzę; nareszcie wystrzał obalił je na ziemię, za nim zdążyło dobiec do rogu ulicy. Upadło poczciwe psisko aby się już nie podnieść więcej, wydając do jęku podobne wycie, które mi się odezwało aż w głębi serca.

Rozgniewany do najwyższego stopnia, schwyciłem Seta za kołnierz i wyrzuciłem za drzwi.

— Nędzniku — zawołałem — nie wiem co mnie wstrzymuje od zawołania: wściekły kwakier! aby cię tak zabito jak to biedne zwierzę.



— Jeszcze się spotkamy przyjacielu Daniel — odrzekł Seth podnosząc z ziemi kapelusz.

I odszedł z najzimniejszą krwią.

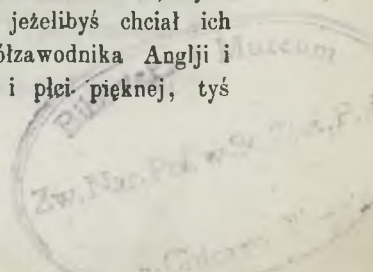
— Idź panna do swego pokoju — rzekłem Marcie. — Coś to porabiała o tej porze w ogrodzie?

— Bóg świadkiem, że nic nie robiłam złego — odpowiedziała płacząc — szukałam tylko zięcia mej matce!

Nie mogłem uspokoić się, i trząsałem się cały ze złości. Ale zawołałem, wieluż to ludzi postępujących jak ten podły obłudnik, uchodzą, a może nawet i sami się mają za cnotliwych! Uważają się oni za zacnych ludzi, za świętych, ponieważ osobiście nie tracą nawet swych nieprzyjaciół, lecz pozbywają się ich, nadając im brzydkie imię. O potwarzy, potwarzy! ty jesteś morderstwem w innej postaci u ludów pyszniących się swoją cywilizacją. Hańba nędznikom, którzy się posługują tą zatrutą bronią, choćby tylko dla zabicia biednego psa.

Położyłem się zmęczony moją samotniczą wymową, nie przestając myśleć o smutnym dniu jutrzejszym, jaki mi zapowiadały pierwsze przyjemności rodzącego się sabatu. O jakże żałowałem szczerzej wesołości paryzkich niedziel!

— Francuzi! — zawołałem — narodzie uprzejmy i rycerski, zostaw narodom nieokrzesanym szczerzenie się swoim fabrycznym przemysłem i męczącą wolnością. Odpędź z daleka od siebie tych dzikich demokratów, tych melancholicznych marzycieli, którzy, jeżelibyś chciał ich słuchać, gotowi z ciebie zrobić współzawodnika Angliji i Ameryki. Zwolenniku wina, chwały i płci pięknej, tyś



wybrał najlepszą cząstkę. Zostaw panowanie nad światem tym cichym pracownikom, którzy biorą życie ze strony poważnej, a zachowaj swą niepoprawną, czarującą lekkość. Baw się Francuzie, prowadź wojny i kochaj się, zapomnij o świecie i polityce; gdybyś zaczął myśleć, tobyś się przestał śmiać.

## ROZDZIAŁ XVII.

### PODRÓŻ DLA ZNALEZIENIA KOŚCIOŁA.

Nazajutrz wstałem o świcie. Człowiek publiczny powinien dać z siebie dobry przykład, a chciałem przytem zmusić Jankesów do podziwiania gorliwości i pilności ich nowego edyla.\*) Przechadzka moja trwała dosyć długo, cały bowiem bruk miejski do mnie należał. Zazdrośnem okiem śledziłem przechodzących, którzy idąc szeregiem jak kaczki postępowali po jednej i tejże samej linii, i przez to wyłabiali moje chodniki. Bezrząd panuje na ulicy, każdy idzie gdzie chce i jak chce, to jest oburzające; nie pojmuję dla czego nie postanowią prawa, któreby obowiązywało wszystkim do chodzenia podług woli rządu. Do Francji to, królowej porządku i przyzwoitości, należy poprawić to ostatnie nadużycie.

Zbliżając się do domu ujrzałem Zambę, ubranego czarno jak jaki elegant, w kamizelce świetnej białości i takiego koloru krawacie, pończochach i rękawiczkach. Wy-

\*) Edyl, urzędnik wyborowy w rzeczypospolitej rzymskiej.

glądał on tak zupełnie jak sroka. Jak tylko mnie spostrzegł, zaczął zaraz biedz ku mnie, machając niecierpliwie rękami.

— Massa — wołał — wszyscy są już na nabożeństwie; spiesz się pan, bo czekają na pana.

I włożył mi w ręce grubą książkę czarno oprawną, zamkniętą w srebrne klamry.

— Czy panie są na mszy? — zapytałem.

— Na mszy? — rzekł z wyrazem zadziwienia. — Przecież moja pani jest chrześcijanką.

— Cóż ty myślisz głupcze, że katolicy to Turcy?

— Massa! mówią przecież, że papiści są jak poganie afrykańscy, i że mają *vaudous*.

— Cóż to jest *vaudous*?

— Jest to mały dobry Bóg, którego sam człowiek sobie robi, a który nie jest prawdziwym Bogiem.

— Czyż jesteś tak dalece ograniczonym, aby wierzyć że katolicy czczą bałwany? Jest to dobrem jedynie dla waszych dzikich Senegalczyków.

— Massa — rzekł on, wytrzeszczając swe wielkie oczy — papiści modlą się do posagów; widziałem ich kłęzących przed takowemi.

— I nie zrozumiałeś więc, że to przecież nie do kamieni się modlono, ale do świętych, których one wyobrażają?

— Nie jestem ja uczonym, Massa — odrzekł Murzyn z miną skruszoną — lecz nasz pastor, który wie wszystko, często nas przestrzega, abyśmy nie robili tak jak papiści, którzy czczą bożków.

— O kaznodzieje! — zawołałem — jak widzę, to wszędzie jesteście jednakowi! Nic nie ma łatwiejszego nad



poznanie wiary katolickiej; dosyć jest otworzyć katechizm; ale nienawiść nie chce się oświecić, stara się ona tylko znieważać największe społeczeństwo na świecie. Prowadźcie dalej to obrzydłe dzieło, godne waszego ojca, szatana. To pewna, że my katolicy nie użyjemy przeciwko wam potwary jako odwetu. Czysta prawda nam wystarcza. Każdy wie, że Luter i Kalwin, to byli złoczyńcy, którzy przez dumę i chciwość zbłąkali umysł ludzki, upajając go pychą i wolnością. Kłamstwo zrodziło reformę; reforma zrodziła filozofję; filozofja zrodziła rewolucję; rewolucja zrodziła bezrząd, bezrząd zrodził....

— Massa — rzekł Zambo, niezdolny pojąć mego świętego oburzenia — jeżeli papiści są chrześcijanami, to tem lepiej, bardzo mnie to cieszy.

— Dla czego, tem lepiej?

— Ponieważ Jezus Chrystus umarł za tych wszystkich, którzy weń wierzą, zbawi więc on papistów, tak jak i innych chrześcijan.

— Zambo, mój przyjacielu — rzekłem z głęboką pogardą dla tak wielkiej prostoty — nie będziesz ty nigdy teologiem. Idź do swego kościoła, nie chcę cię dłużej zatrzymywać... powiedz mi tylko, gdzie są twe panie.

— Pani — odrzekł — wraz z całym wielkim towarzystwem miejskiem, jest w kościele biskupim.\*) Panna jest w kościele prezbiterjanów.

— Pewnie z bratem?

— Nie, Massa, z synem pana Rose. Pan Henryk jest w kościele baptystów.

---

\*) Takie nazwisko nosi w Ameryce kościół anglikański.

— Bardzo dobrze — rzekłem wzdychając — a ty Zambo, pójdziesz pewnie tam gdzie jest Marta?

— Wcale nie, Massa — zawołał — panna Marta należy do kościoła dunkerjanów, a ja jestem metodystą. My biedni czarni, których biali wypędzają ze swych świątyń, jesteście wszyscy jednego wyznania.

— Rozumiem; macie kościół czarny, a chrześcijaństwo kolorowy. Idź mój przyjacielu, i chwal Chrystusa na swój sposób... Pośród tych sekt nieprzyjaznych, które wydzierają sobie nawzajem szmaty Ewangelji, Pan rozpozna swoich.

Zambo szybko się oddalił, a ja szedłem powoli z głową spuszczoną. Odkrycie które zrobiłem świeżo, przeraziło mnie. Dom mój, moja ucieczka we wszystkich zmartwieniach, był po prostu wieżą Babel, przybytkiem wszystkich herezji. Mąż katolik, żona anglikanka, córka prezbiterjanka, syn baptysta, służąca kwakresa, lokaj metodysta — każdy innej religii i przeciwnych dążeń! Co za zamieszanie! co za bezład! To piekło pod moim dachem! A jednakże Jenny kochała mnie namiętnie, dzieci miały się za najszczęśliwsze, gdy mogły być przy mnie, służący mnie szanowali; naokoło siebie widziałem jedynie twarze uśmiechnięte i zadowolone. Każdy czytał bibliję po swojemu. Każdy miał osobne godło, a jednakże nikt się nie kłócił. Żadnej jedności, a przytem powszechna zgoda i miłość. Było to zadanie kłamstwa ideom mego dzieciństwa, tajemnica przechodząca granicę mego rozumu.

— Nie — pomyślałem sobie — nie będę dłużej znosił tego moralnego nieporządku. Spokój którym się cieszę, jest kłamliwym; te kwiaty zakrywają mi przepaść. Jeżeli to czas jakiś jeszcze potrwało, to byłbym zgubionym. Chcę, ażeby każdy u mnie myślał tak jak ja myślę, albo milczał; chcę, aby w moim domu panowała jedność. Nie nie

szkodzi, że ja sam jestem niewiernym chrześcijaninem, lecz jestem katolikiem duszą i umysłem; tak w Kościele i Państwie, jako też i w rodzinie, powinno panować jedno tylko prawo i jedna tylko wola. W razie potrzeby, użyję zbawiennej surowości; przerażę żonę, pogrożę dzieciom, wypędzę służących, poświęcę wszystko dla nakazania posłuszeństwa lub milczenia. Jestem Francuzem. Niech żyje jedność!

Czas upływał wśród tych głębokich rozmyślań, i w chwili gdy wchodziłem na ulicę Akacias, wybiła dziesiąta godzina. Była to ogromna i wspaniała ulica, nie ustępująca wcale tak pod względem okazałości jakoteż i długości ulicy Riwoli, z tą tylko różnicą, że tu co sto kroków jakiś gmach grecki, bizancki lub gotycki wznosił dumnie ku niebu swą kopułę i krzyż. Rzecz to bardzo prosta że w kraju, gdzie każdy tworzy sobie religję, co krok napotyka się jakiś kościół.

Niepodobna było trafić do końca w tym labiryncie. Zwróciłem się więc do jakiejś poczciwej idącej obok mnie z książką w ręku kobiety prosząc, aby mi wskazała kościół kongregacjonalistów.

— Nic łatwiejszego kochany panie — odrzekła starszka z wdzięcznym uśmiechem. — Dosyć to ztąd daleko, lecz przy pomocy wskazówek jakich panu udzielę, znajdziesz go bez trudności. Nie zwracaj pan żadnej uwagi na kościoły znajdujące się po lewej ręce, świątynia bowiem kongregacjonalistów leży po prawej stronie. Rachuj pan kopuły, a nie możesz się omylić. Pierwszy kościół — dodała z szybkością osoby odmawiającej koronkę — który pan napotkasz, będzie święty Paweł katolicki, drugi klasztor Urszulinek, trzeci kościół biskupi, czwarty klasztor Kapu-

cynów, piąty należy do Baptistów, szósty do Holendrów reformowanych, siódmy do Lutrów, ósmy do czarnych Metodystów, dziewiąty bożnica żydowska, dziesiąty świątynia chińska. Widzisz ją pan tam na górze, z podwójnym dachem i z dzwonkami. Ztamąd pozostaje już tylko panu zejść na dół, a napotkasz pan zaraz Menonistów, po Menonistach Niemców reformowanych, po nich przyjaciół czyli kwaków; po kwakrach Prezbjterjanów, po Prezbjterjanach Braci Morawczyków, po Braciach Morawczykach białych Metodystów, po białych Metodystach Unjonistów, po Unjonistach Dunkerjanów. Następnie rachuj pan cztery kościoły; tak zwany kościół arcy-chrześcijański, potem kościół wolny, dalej kościół Swedenborg, i nakoniec kościół powszechnych — co wszystko razem stanowi dwadzieścia trzy kościoły i kaplice — dwódziestyczwarty, znajdujący się prawie w środku ulicy, będzie kościołem Kongregacjonalistów.

Wypowiedziawszy mi jednym tchem to kyryelejson, czarodziejka ukloniła mi się nader grzecznie i poszła dalej.

— Do licha — pomyślałem sobie — jeżeliby wypadkiem djabeł zgubił swą religję (przypuszczam że w piekle mają niejaki powody wierzenia w Boga) toby ją z pewnością mógł odszukać na tej ulicy. Oto kraj, w którym ministerjum wyznań nie jest posadą próżniacką! We Francji, gdzie Państwo ma tylko cztery religje, (nie rachując Algieru) administracja tychże ma niekiedy ciężkie do przebycia chwile; lecz tu, jak zrobić z rozdzieleniem budżetu i zachowaniem równowagi pomiędzy trzydziestu wyznaniami, z których każde ciągnie na swoją stronę, i które bez wątpienia nienawidzą się i wyklinają po chrześcijańsku. Jest to zadanie, którego bym się nie podjął rozwiązać. Niech żyje Hiszpanja! Oto mi naród wierny tradycji, który umiał



zachować prawdziwe zasady! Kraj, jest to szachownica, na której każda rzecz ma swą kratkę, i gdzie ciało i dusza są jednakowe, i równo administrowane. Dzięki skojarzeniu religji z państwem, wszystko to z łatwością przychodzi. Ma się biskupa, tak jak się ma prefekta; proboszcza tak jak mera; tak urzędnicy duchowni, jako też i docześni mają swoje miejsce naznaczone w tychże samych kadrach, i maszerują jednakowym krokiem. Urodzenie, chrzest, kształcenie, komunja, pobór, spowiedź, podatki, dziennikarstwo, śmierć, pogrzeb, wszystko to pozostaje z sobą w ścisłym związku. Kościół jest władzą, władza jest kościołem. Wyklina się dezterterów i dziennikarzy, a pakuje się heretyków na galery. Lud, to wieczne dziecko, jest prowadzony słodyczą albo siłą, sam nie wiedząc dla czego, do celu, który mu wybrano nie zapytawszy go o zdanie. Gdzież się podziła ta wyborna policja, będąca szczęściem chrześcijaństwa, za nim przebrzydły Luter rozkielznał za jednym zamachem wolność religijną i wolność cywilną. podwójną zarazę, z której się świat już więcej nie wyleczy! Od czasu jak zostawiono ludziom staranie o ich duszy i życiu, nie ma ani religji ani rządu.

Ujrzawszy kościół Urszulinek wszedłem do niego. Znać religję mego kraju, było to zbliżyć się do Francji, z której mnie oddalił los zawistny. Kościół, to druga ojczyzna, z której przynajmniej nawet wygnanie nie może cię wypędzić.

Była to mała lecz bogato ozdobna kaplica. W głębi sanktuarjum stała pod baldachimem z czerwonego sukna złotem haftowanym, Matka Boska z marmuru z małym Jezusem na ręku, i patrzyła na Niego z niewymownem uczuciem dziewicy, która porodziła Zbawcę. Rzadkie ro-

śliny, prześliczne kwiaty, pęki bzu białego otaczały ołtarz cały jaśniejący niezliczonemi światłami. Organy wydawały harmonijne tony, dym kadzidła wznosił się w górę kłębamami, poprzerzynanemi promieniami słonecznemi, podczas gdy za zasłoniętą firankami kratą, zakonnice i młode dziewczęta śpiewały głosem słodkim i powolnym: *Inviolata, integra, et casta est Maria*. W tej chwili ujrzałem jakby we śnie mą ubiegłą młodość, mych dawnych przyjaciół; upadłem na kolana i zaplakałem. Nie, wcale nie jest bałwochwalstwem religja, która trafia do serca za pomocą zmysłów, dla czegożby bowiem nasze ciało tak dobrze jak i nasza dusza nie miało służyć Panu!

Wyszędłszy z klasztoru wszedłem do leżącego o kilka kroków od niego kościoła biskupiego. Zastałem w nim mszę katolicką, nieco gorzej wypowiedzianą i gorzej odśpiewaną. Gdy nadeszła chwila kazania, pastor wszedł na długą mównicę, wyjął gruby kajet z pod pachy, i zaczął go powoli przewracać. Był to rękopism kazań na wszystkie niedziele i święta roku. Znalazłszy szukane kazanie, kaznodzieja nałożył okulary, i tonem jednostajnym zaczął swoje czytanie wśród najgłębszej uwagi zgromadzonych. Wziął on za przedmiot do kazania wieczną płodność i współlistność Słowa, jedną z tych tajemnic, które przechołzą zakres rozumu ludzkiego, i przed którą nic nie pozostaje innego wiernym jak uchylić czoła. Lecz cóż może przerazić zu chwalstwo teologa! Byłby on wstanie, przy pomocy tekstu, określenia i dwóch syllogizmów, dać naukę ś. Pawłowi i znieść wiarę.

Sądząc po milczeniu panującym w kościele, to słuchacze musieli być nader zbudowani kazaniem. Jenny z oczami wlepionemi w czytającego, nie traciła ani jednego słowa

Zdawałoby się, że rozumiała ona przytoczenia łacińskie, greckie a nawet hebrajskie, jakimi była nadziana cała rozprawa; nie sądziłem, aby scholastyka mogła mieć tyle wdzięku dla kobiet. Co do mnie, to wyszedłem zaraz po skończeniu pierwszego rozdziału; nie mogę bowiem cierpieć tych jałowych rozpraw. Ktoby mi chciał dowieść to, co jest niemożliwym do dowiedzenia, to niezawodnie zrobiłby mnie sceptykiem. Uznaję ja tajemnicę, wszakżeż mnie ona otacza na wszystkie strony. Tak w naturze, jako też w mej duszy czuję przepelniającą mnie nieskończoność, lecz rozum mi mówi, że ja proch, zagubiony w wszechświecie, mogę ją tylko czuć ale nie rozumieć. Wszakże nie widzę ręki która mnie utrzymuje, tak jak utrzymuje świat cały, a jednakże zdaje się na nią i wielbię ją. Bóg nie żąda od nas abyśmy go rozumieli, chce jedynie abyśmy go kochali.

Gdym przechodził koło Metodystów, przyszedł mi na myśl Zambo, i wszedłem do nich przez ciekawość. Zgromadzenie było liczne i bardzo ożywione. Murzynki, całe okryte złotem i drogiemi kamieniami, rozpościerały na ławkach fałdy swych olbrzymich krynolin; murzyni chwalili Pana Boga z całym zapalem serc kochających, śpiewając czystym i jakby skarżącym się głosem. Pastor, murzyn wysokiego wzrostu, o postawie wzbudzającej uszanowanie, zabrał głos i powiedział kazanie, które mnie zbudowało i wzruszyło. Nie pojmuję, gdzie ten czarny mógł otrzymać wykształcenie teologiczne, był to dawny niewolnik, którego jak sam mówił, łaska Boska wyswobodziła z niewoli ciężkiej wprawdzie, lecz mniej przykrej i poniżającej niż niewola grzechu; lecz niewolnik ten cierpiał i myślał, byłto człowiek! Życie nauczyło go tego, czego nie uczą w szkole;

energiczny i prosty jego sposób mówienia szedł prosto do serca. Widać to było po drzeniu przebiegającym słuchaczy.

Na samym wstępie pochwalił on metodyzm, religję błogosławioną przez Pana, jak mówił, sądząc po dokonywanych przez nią codziennych podbojach. Wyliczał długo liczbę wiernych i bogactwo kościołów. Cztery miliony wyznawców, dwanaście tysięcy pastorów, sześć tysięcy kościołów, siedemdziesięcio-trzy-miljonowy majątek, oto owoce nie usypiającej ani na chwilę gorliwości. Naprzeciw starej Europy, która ujarzmiła i kościół i państwo, i trzyma je w wiecznej małoletności, postawił on młodą Amerykę, pozostawiającą obywatelom zajmowanie się swym wyznaniem i swym sumieniem. Wolność, mówił on, uświęcona religią robi cuda, których nigdy nie ujrzy zagrzebany w swych przesądach świat stary. Anglja, tak dumna swym dobrobytem, psuje swych biskupów przez otaczanie ich pogańskim zbytkiem, a poniżej duchownych niższych stopni, skazując ich na nędzę bez godności; gdy tymczasem w pełnych żywotności kościołach Stanów Zjednoczonych, wspaniałomyślna pobożność wiernych otacza dobrobytem i szacunkiem pastora, zawdzięczającego wszystko swej trzódce. Nie jeden panujący ma się za Konstantyna, jeżeli wypadkiem wystawi i uposaży jedną kaplicę: a sami północni metodyści zbudowali w roku 1860 czterysta pięćdziesiąt kościołów. Biedni murzyni z ulicy Akacja lepiej traktują swego kapelana, niż królowie Zachodu swych księży.

— Lecz — mówił on dalej z mieszaniną zrzęcości i naiwności — ten tak dobrze placony pastor musi spłacać murzynom którzy go wybrali dług, z którego jałmużnicy książąt nie zawsze się uiszczają. Długiem tym jest prawda! Słuchajcie więc — zawołał — tego, co prawda nakazuje



mi powiedzieć. Murzyn w ogóle ma serce czule i rękę szczerą; to dobrze, to po chrześcijańsku, lecz posuwa on niekiedy swą szcudroblivość tak daleko, że aż naraża na niebezpieczeństwo swą duszę. Powiecie zapewne, żeście nigdy nic podobnego nie słyszeli. Powtarzają nam ciągle, że chrześcijanin naraża zbawienie swej duszy stając się skąpym i poddając się chciwości; lecz któż kiedy nauczał, że człowiek gubi się przez zbytę szcudroblivość? Powiem wam moi bracia, co to jest ta zdradliwa hojność; jest ona właśnie wykonywana przez was w kościele, w czasie kazania. Gdybym n. p. potępiał gniew albo kokieteryę, pijaństwo lub rozpustę, czyżby kto z was zachował dla siebie tę naukę? Czyżby z niej korzystał? Aha, rzekłby jeden z tych którzy się żywią wódką, poznają ja ten portret pijaka; to Samuel mój krewny, o nim to mówi pastor. Dobrze ci tak pijaku, masz za swoje. Aha — rzekłaby jedna z tych pięknych Medjanimitek, które dla wystrojenia się w nową suknię, skłaniają swych mężów do kłamstwa i oszustwa — Pastor ma słuszość odkrywając wady moich sąsiadek. Oto masz panno Deborah! oto masz panno Ischabod! To wszystko dla was kokietki, a dla mnie nic. Takim to sposobem nic nie zachowujecie dla siebie bracia moi z mych słów. Trzecią część ich oddajecie swemu bliźniemu, drugą trzecią swym przyjaciółom, a ostatnią swym mężom lub żonom. Dla tego to nauka boska staje się jałową, i dla tego to gubicie swe dusze przez zbytę szcudroblivość. Chrystus jest także szcudrobliwym, ale w inny sposób; jest to skąpiec biorący wszystko dla siebie: nasze grzechy, nasze nędze, nasze słabości, nasze cierpienia; dla tego też widzimy go na krzyżu z głową spuszczoną, z oddechem przytłumionym jak człowieka złamanego. Kiedyż więc bracia

moi, kiedyż więc odbierzemy od Niego naszą część ciężaru? Kiedyż więc ulżymy naszemu zbawcy i naszemu przyjacielowi Chrystusowi, który umarł za niewolników i grzeszników?

Na te słowa zgromadzeni rzucili się na kolana, i potężne Alleluja wzniosło się wśród łkania ku niebu. Poruszenie to było wspaniałe i zasmuciło mnie. Nie jestem ani arystokratą ani plantatorem; wierzę, że murzyn nie jest małpą, ponieważ ma ręce i mówi; lecz po tem wszystkiem com usłyszał, zacząłem przypuszczać, że murzyn jest takim samym człowiekiem jak i ja, a może nawet lepszym od mnie chrześcijaninem; ta myśl przerażała mnie. Zambo mym bratem! Jezus Chrystus umarł dla tych głów kędzierzawych! To było więcej aniżeli znieść mogła moja duma.

— Jeżeli to prawda — myślałem sobie wychodząc — to jakąż to straszną zbrodnią jest niewolnictwo! Wojna domowa niszcząca Południe byłaby w takim razie karą, którą Bóg zesłał na Kaima.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### C H I Ń C Z Y K.

Było w pół do dwunastej, a Truth miał o południu mieć kazanie; przyspieszyłem więc kroku, aby się nie spóźnić na zebranie kongregacjonalistów. Nie mogłem jednakże oprzeć się ochocie zwiedzenia kościoła chińskiego. Byłem ciekawy zobaczyć, jak synowie Konfucjusza zastosowali się do chrześcijaństwa w kraju, gdzie panuje bezrząd religijny, ta matka wszystkich bezrządów. Tajemny głos mówił mi, że stary, zubożniały na wszystko lud, powinienby mieć więcej sensu i rozsądku niż większa część protestantów. Wszedłszy, wydałem okrzyk zgrozy. Byłem w świątyni budyjskiej. Na przeciwko mnie siedział na wysokiem wzniesieniu, w wielkiej framudze na kwiatach Lotos, obrzydliwy drewniany bałwan, cały złożony i malowany, z założonemi na krzyż nogami. Był to Budha, ze swym ogromnym brzuchem, łysą głową, długimi uszami, ogromnemi oczami, i guzem na czole. Jestem liberałem, i szcycę się tem. Od lat trzydziestu trzymam dziennik *Constitutionnel*, i nie zmieniłem się bardziej od niego. Równie jak on nie nawidzę

Jezuitów, sam nie wiedząc dla czego co w każdym razie jest dowodem wyższego umysłu; lecz na podstawie wolności wprowadzać bałwochwalstwo, to znów za wiele! Zgadza się na luteranizm, kalwinizm, hebraizm, a nawet i na mahometanizm, z warunkiem, aby nie przeszedł po za granicę Algieru; ale iść dalej, to już nie wolnomyślność, lecz pogaństwo. Na jedno by wyszło, powrócić do wyznania Mithra.

W pagodzie nie było nikogo, oprócz dwojga dzieci, dwóch obrzydliwych małych Chińczyków, umieszczonych po każdej stronie wzniesienia. Każdy z nich obracał jak człowiek palący kawę poziomy walec, pokryty a raczej naszpikowany mnóstwem małych papierków. Był to zupełnie nowy dla mnie sposób oddawania czci.

Szelest mych kroków wywołał z sąsiedniej celi rodzaj mnicha. Brunatna i podarta suknia, bosa nogi, ogolona głowa, małe ukośne oczy, żółta i pomarszczona skóra, dawały mu pozór starej kobiety przebranej za kapucyna; był to bonz \*). Zbliżył się on do mnie, i nie mówiąc, wyciągnął ku mnie drewnianą filiżankę; rzuciłem jałmużnę, aby się pozbyć tego żebraka.

— Dziękuję ci bracie — odezwał się on wyborną angielszczyzną. — Niech boski Fô \*\*) wynagrodzi twą dobroczynność. Obyś w powtórnem życiu nie odrodził się w postaci kobiety albo szakala.

I zostawiając mnie nader zdziwionego tem oryginalnem błogosławieństwem, wszedł na ołtarz, wydobyl z małej szufladki kilka kawałków pośrebrzanego czy też pozłacanego papieru, i spalił je pod nosem bożkowi.

\*) Tak nazywają się księża chińscy i japońscy.

\*\*) Tak Chińczycy przekręcają wyraz Budha.



— Co pan robisz? — zapytałem.

— Zamieniłem twoją dziesięciocentymową sztukę bracie, na sztaby złota i srebra, i ofiarowałem je panu prawdy.

— Twoje sztaby są z papieru, i nie mają wartości nawet dwóch liardów.

— To nic nie szkodzi — odrzekł mnich. — Fo zważa na chęci, a nie na kruszec.

— Ah, gdyby to ministrowie nasi chcieli być Chińczykami — chciałem zawołać, lecz zachowałem dla siebie tę zuchwiałą uwagę; i zapytałem bonza, co robią te dzieci o niezmordowanych rękach.

— Modlą się za świat cały — odrzekł. — Na każdym z tych papierków jest napisana święta zgłoska — i mówiąc to padł krzyżem, wołając: Om! Om! Om! — Każdy z tych walców, ma na sobie tysiące tych świętych napisów, robi on pięćdziesiąt obrotów na minutę, trzy tysiące na godzinę, siedmdziesiąt dwa tysiące od jednego do drugiego zachodu słońca. Tak więc sto czterdzieści cztery miliony modlitw, wznosi się co niedziela z tej jednej świątyni. W dnie powszednie bywa ich jeszcze więcej, obracam bowiem moje walce parą; lecz w niedzielę, w tym niewiernym kraju, nawet maszyny obchodzą sabat, przez co muszę używać rąk tych dzieci.

Głupia łatwowierność tego poganina przejęła mnie wstrętem.

— Jak mogą was cierpieć na ziemi chrześcijańskiej! — zawołałem. — Gdyby była jeszcze wiara w Izraelu, toby was wytępiono od dawna kapłani Baala

— Dlaczegoż by nas nie miano cierpieć? — odrzekł bonz głosem spokojnym — wolność jest jak słońce, świeci

ona dla wszystkich. Amerykanie wysyłają misjonarzy do Chin, dlaczegożby Chińczycy nie mieli wysyłać misjonarzy do Ameryki? Mówią, że Francja prowadziła wojnę z synem nieba, jedynie w celu pomszczenia śmierci kilku mnichów, prawnie zamordowanych przez naszych mandarynów; dodają, że przywróciła ona w Pekinie od dawna zamknięty kościół katolicki. Przeklinam krew z obu stron wylaną; moja religja brzydzi się mordem, i nie zna innej broni, nad cierpliwość i słodycz; lecz błogosławię zdobytą wolność, i życzę sobie, aby przyniosła równą korzyść Chińczykom, jak i Francuzom.

— Pagoda na polach Elizejskich? Bożki urzędowe? Zwarjowałeś mój przyjacielu; my nie potrzebujemy Chińczyków w Paryżu. Mamy ich dosyć..... z porcelany.

— Zdaje mi się — mówił dalej mnich ze śmiesznym spokojem — że prawa są obustronne. Jeżeli jest pięknie i sprawiedliwie otworzyć kościół w Pekinie, dlaczegoż miałoby być niesprawiedliwem otworzenie Pagody w Paryżu, i swobodne głoszenie w niej prawdy?

— Ty śmiesz mówić o prawdzie, głupi bonzie! — zawołałem, uniesiony świętym zapalem. — Czyż nie czujesz tego, że twoja nauka jest kłamstwem, a twoje wyznanie bałwochwalstwem, które trzeba ukarać; jeżeli zaś tego nie widzisz, to pierwszym obowiązkiem rządu jest zamknąć ci usta, abyś mu nie psuł poddanych swoją nieświadomością. Wolność błędu, to wolność trucizny, głowni i sztyletu; jedna tylko prawda ma prawo mówić.

— Sądziłem — rzekł Chińczyk — że we Francji i Anglii znajduje się wiele różnych kościołów chrześcijańskich, a nawet i bożnic żydowskich.

— Bez wątpienia; a nawet we Francji rząd płaci wszystkie uznane wyznania; dowiedz się bowiem, mój przyjacielu, że Francja stojąca na czele cywilizacji, jest za wolnością religijną również jak i za wszystkimi innymi swobodami.

— Więc rząd — mówił dalej bonz — uznaje trzy lub cztery prawdy religijne, które walczą z sobą i niszczą się nawzajem? Dla chrześcijan np Chrystus jest Bogiem; a czemże on jest dla żydów?

— Lituję się nad twoją niewiadomością mój przyjacielu — rzekłem do barbarzyńcy. — Gdybyś mógł pojąć, co to jest prawda urzędowa, tobyś wiedział, że składa się ona z samych sprzeczności. Jestto urzeczywistnienie marzenia Hegla. Teza i antyteza mieszają się w prawdziwą syntezę.

Bonz wytrzeszczył swe małe oczy, i wznosił je ku niebu. Było widocznem, że wielkie pomysły cywilizowanej Europy nie mogły wejść do tego ciasnego muzgu. Sądziłem, że mniejsza przestrzeń dzieli filozofa niemieckiego od Chińczyka. Rozpocząłem me dowodzenia pod inną formą, to jest poprzemieniałem słowa, nie troszcząc się o samą rzecz; jest to prawdziwy sposób posunięcia naprzód sporu.

— Prawda popierana przez rząd — rzekłem do niewiernego — nie ma nic wspólnego z prawdą pospolitą. Jest to prawda szeroka, zrozumiała, obejmująca wszystkie wyznania biorące początek z biblji, naszej świętej księgi. Hebraizm, chrześcijanizm a nawet mahometanizm, są to drogi tej pierwotnej religji, starej jak świat, i mającej za sobą liczbę, moralność, i cywilizację. Po za temi wyznaniem, rozdzielającemi pomiędzy siebie świat, jest tylko

pogaństwo i barbarzyństwo. Nawrócić was wystrzałami działowemi, to nasze prawo i nasz obowiązek. Prawda kielkuje w krwawych przez wojnę wyoranych skibach. Bóg chrześcijan jest Bogiem wojsk. *Dominus Sabaoth.*

— Ty nie jesteś Jankesem! — zawołał fanatyk, którego oczy zajaśniały nagle dziwnym blaskiem. — Przypatruję ci się od czasu, jak tu jesteś. W twarzy Saxona jest wół i wilk, w twojej zaś małpa i pies. Ty boisz się wolności, ty mówisz o tem czego nie wiesz, i bawisz się w frazesa. Jesteś więc Francuzem.

I widząc mnie oniemiałym ze zdziwienia, rzekł:

— Czyż śmiesz utrzymywać, że ilość jest dowodem prawdy? A nawet i ilość my mamy za sobą. Wieluż jest was katolików? Sto trzydzieści milionów. A nas budhystów jest milionów pięćset; nasza wiara rozciąga się od Kamczatki aż do morza Białego; łagodzi ona obyczaje dzikich pokoleń, i zachwyca Chińczyków i Japończyków, to jest ludy, które były cywilizowanemi już wtenczas, gdy jeszcze Europa była puszcza a Ameryka pustynią. — Mówisz o starożytności? Pamiętaj więc, że już za czasów Aleksandra budhizm miewał swe sobory, i że napisy króla Asoka, wyryte na skałach Indji, nauczały świat dobroczynności i poświęcenia? Czyliż nie wiesz, że budhizm jest reformą religji, przekształconej przez braminów i że Vedas, święte księgi naszych przodków, datują się od pierwszych dni istnienia świata? Zostawmy na stronie ilości i trwanie, które mogą być wynikiem szczególnych okoliczności. Ale jakąż to religja pierwsza zachęcała do dobrowolnego ubóstwa, poświęcenia i miłosierdzia? Czyż nie wiesz, że Fo istniał pięćset pięćdziesiąt razy, i za każdym wcieleniem



poświęcał się? Robi się on owcą dla tygrysa, gołębiem dla sokoła, zającem dla zgłodniałego myśliwca. Czyż nie czytałeś świętej historii Wezantary, poświęcającego przez dobroczytność swą żonę i dzieci? Czyż nie jesteśmy my jedynem wyznaniem, wstrzymującym się od pożywania mięsa i krwi zwierząt przez wstręt do zabójstwa? Czyż nie używam filtru do mej wody, dla ocalenia życia jakiemu nie-widzialnemu owadowi? Co do was chrześcijan, to mówią, że historia waszej religji jest jednym ciągiem kłótni, wojen i mordów. Ofiary dzisiaj, jutro stajecie się katami. U nas budhystów, są tylko męczennicy. Od dwóch tysięcy czterystu lat, powielekroć toczono krew naszą, wypędzono nas z Indji, a ręce nasze pozostały czystemi. My nie mamy nic do wykreślenia z naszych dziejów, a któraż inna religja może to o sobie powiedzieć? Wiem, że wasza ewangelja głosi zasady przedziwne, i nie sądzę też o wierze chrześcijańskiej podług postępowania jej wyznawców. Słowa i cierpienia Chrystusa wzruszyły mnie aż do głębi serca. Lecz wychowano mnie w innych wyobrażeniach: od lat dwudziestu poświęciłem się ubóstwu, które mnie podtrzymuje i pociesza. Zachowałem tak samo jak i wy chrześcijanie wiarę mych ojców, i również jak wy, nie mogę oskarżyć mych przodków o kłamstwo i błąd. Kto z nas się myli? Kto ma prawdę za sobą? Tego nie wiem, i nie staram się nawet dowiedzieć. Skończmy więc z panowaniem przemocy, skończmy z ciemnotą i pogardą, pozwólmy na swobodny rozwój wszystkich wyznań, i zostawmy rozumowi dokonanie powierzonego mu przez Boga dzieła. Przy dziennem świetle znikają wszystkie cienie. Wszystkie religje pochodzące od ludzi, pozostawione same sobie, roztopią się jak śnieg; ta zaś, która pochodzi z nieba,

wzniesie się i jak łańcuch otoczy ziemię swemi ogniwiemi. Otwórzcie świat słowu; ja wierzę w wolność, bo wierzę w prawdę.

— Jesteś tylko Chińczykiem — odrzekłem, i zostawiwszy tego nędznika zmieszanego moją wyższością, oddaliłem się krokiem majestatycznym.

## ROZDZIAŁ XIX.

## KAZANIE KONGREGACJONALISTÓW.

Przybyłem na zgromadzenie, nim się jeszcze nabożeństwo zaczęło. Nic nie ma smutniejszego nad kościół protestancki. Dębowe ławki, zakrywające mury obicia drewniane; żadnych obrazów, żadnych kwiatów, żadnych świateł; coś tak poważnego i ponurego, że aż mrozi zmysły. Można by powiedzieć, że wyznanie to zostało utworzone dla ślepych. Mylę się, była jedna ozdoba: był nią ogromny afisz z wypisaną wielkimi literami liczbą 129.

Tłum ludu zalegał kościół, lecz tłum niemy. Nieruchomy jak posąg i zagłębiony w swej czarnej księdze, każdy wierny modlił się tak, jak gdyby był tylko sam z Bogiem na świecie. Żadnego szmeru, żadnego poruszenia krzesel, nic z tego czarującego szelestu i tych powitań pomiędzy pięknymi paniami, które są tak rade, że mogą kazać podziwiać swe suknie i swą pobożność, nic z tego przyjemnego nieładu, który czyni nasze kościoły podobnymi do salonu wyższego towarzystwa — tu panowała cisza puszczy.

Nakoniec pokazał się pastor. Natychmiast ze wszystkich ławek zabrzmiały dźwięki słodsze nad powiew wiatru na falach. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy śpiewali całą duszą, z zapalem i uniesieniem nieskończonem. Pierwszy raz w życiu uczulem, że naturalną formą modlitwy jest śpiew. Sąsiad mój zdziwiony mem milczeniem wskazał mi palcem tajemniczą cyfrę, i podał książkę z kantyczkami i z nutami do śpiewu. Śpiewano psalm 129, a raczej naśladowanie chrześcijańskie tej wzniosłej modlitwy, którą kościół katolicki zamieścił w nabożeństwie za umarłych. Było to, używając właściwego imienia, *De profundis*, krzyk nadziei i rozpaczy, którego piękności nawiąknienie dojrzeć nam nie dozwala.

Czyż nie słyszysz mych krzyków z bezdennej głębiny?

O Boże! ja umieram z daleka od Ciebie.

Słuchaj, słuchaj, o Panie, wyznaję me winy,

Przebacz mi, o Ty, który królujesz na niebie.

Gdybyś do winy stosował karanie,

Któżby się ostał w obec gniewu Twego?

Ale ja ufam w Twoje zmiłowanie,

Ufam, bo czemuże stałbym się bez niego?

Twe wieczne słowo, o Panie nad Pany,

Jest mą podporą, z nią jestem bezpieczny,

Czekam na Ciebie, jak burzę miotany

Marynarz czeka na promyk słoneczny.

Odwagi! duszo! bo masz Zbawiciela,

Który cię z oka na chwilę nie traci,

On to z niewoli wywiódł Izraela,

I On za ciebie twój okup zapłaci.

Po skończeniu śpiewu, Truth zabrał głos. De Maistre miał słuszną rację mówiąc, że duchowny protestancki: „jest to



jegomość czarno ubrany i mówiący bardzo pocziwe rzeczy“; nigdy żaden człowiek nie miał mniej księżej powierzchowności, jak mój przyjaciel. Ani ubrania, któreby go odróżniało od innych, ani mównicy, któraby mu pozwoliła mówić nad zgromadzeniem; mówił on z prawdziwie braterską poufałością, stojąc na podłodze. Zdawało się, że namiętnie odmawiał sobie przyjemności korzystania z wszystkich źródeł wymowy. Truth nie znał ani tego głosu, który naprzemiany grzmi, to się łagodzi, ani tego ruchu ręki, który wzywa zemsty lub błaga o przebaczenie, ani tych rąk złożonych i podniesionych ku niebu, ani tych szukających Boga oczu, które jaśnieją z uniesienia ujrzawszy Go; wszystkie te piękności sztuki chrześcijańskiej były mu zupełnie obcemi. Zaledwie niekiedy poruszył ręką lub podniósł nieco głos, a jednakże był w tych prostych słowach jakiś dziwny dźwięk, poruszający cię aż do głębi serca. Nigdy zasłona wymowy, zakrywająca wielką myśl, nie była ani lżejszą ani też przeźrocystszą. Nie był to mówca, ale człowiek i chrześcijanin. Używając oklepanego zdania, można by powiedzieć, że Truth mówił tak jak wszyscy, to jest tak jak każdy chciałby mówić, a jak nikt nie mówi. Jedynie wielkie dusze umieją wypowiadać wielkie myśli w sposób dla wszystkich przystępny. Sztuka będąca tylko naśladowaniem, nie może dojść do tego.

Oto mniej więcej jego mowa. Lecz któż jest w stanie oddać drgania jego wzruszonego głosu? Wyrazy lodowacieją na papierze; są to zwiędłe kwiaty, które tracą kolor i tracą zapach. Postarajmy się jednak dać wyobrażenie o tej nauce, która głębokie zrobiła na mnie wrażenie, chociaż w tym dowolnym sposobie rozbierania ewan-

gelji było zuchwalstwo i nowość, które mnie zdziwiły i przeraziły.

*Jan. XVIII. 37, 38.*

Piłat mu rzekł: „Jesteś więc królem“. Jezus odpowiedział: „Tyś rzekł; w samej rzeczy, jestem królem, urodziłem się, i przyszedłem na ten świat, dla dania świadectwa prawdzie. Kto należy do prawdy, ten słucha głosu mego“. Piłat mu rzekł: „A coż to jest prawda?“ i powiedziawszy to wyszedł.

Bracia chrześcijanie!

Pomiędzy imionami jakie Chrystus przybierał na tej ziemi, żadne nie powtarza się tak często, jak „prawda“. W ostatniej godzinie, w obec Piłata, Jezus ogłasza się królem, lecz królem królestwa, które nie jest z tego świata, królestwa prawdy. W przeddzień śmierci podczas ostatniej wieczerzy ze swymi uczniami, zostawia im na pożegnanie tę wielką prawdę: „Ja jestem drogą, prawdą, i życiem; nikt bezemnie nie przyjdzie do ojca mego.“\*) Czyli innymi wyrazami, jeżeli zechcemy tę hebrajską formę przetłumaczyć na język nowoczesny: „Jestem żywą, prowadzącą do Boga prawdą“.

Żywa prawda — czy rozumiecie znaczenie i doniosłość tych słów? Czyliż dla wielu z pomiędzy was, prawda jest jedynie stosunkiem rzeczy pomiędzy sobą, wyrazem, cyfrą, myślą oderwaną? Czyliż dla innych nie jest ona czczym wyrazem, jednoznacznikiem z opinią, która zmienia się i przerabia nieustannie? Wieluż to jest mędrców, którzyby chętnie powiedzieli z Piłatem: „Co to jest prawda?“ Paradox wczoraj, błąd jutro? Prawdziwym jest jedynie inte-

---

\*) Jan XIV. 6.

res chwili obecnej. Podobać się Cezarowi, używać nie troszcząc się o jutro, to najwyższa filozofja ludzi, którzy wierzą w śmierć wiekuiłą.

Nie dopuścimy powrotu do tego pogańskiego sceptycyzmu. Byłoby to bowiem, skazać nasz umysł na niewolę, a nasze serce na wszelkie zepsucia i podłości. Podobnie jak w pierwszych czasach ewangelji, „szukajmy prawdy, a prawda nas oswobodzi“.\*)

Gdy lokomotywa przebiega nasze ulice ciągnąc za sobą długi szereg wagonów, dlaczego na głos dzwonu za powiadającego przyjazd, usuwacie się z drogi? Ponieważ was nauczono, że ta posuwająca się massa zgmiotłaby was całą siłą swego ciężaru, pomnożonego przez szybkość. Oto jest prawda naukowa, która nie jest wcale dla was abstrakcją. Zamieniła się ona w energiczne przekonanie, które zachowuje i ocala wasze ciało. To przekonanie jest już obecnie częstką waszą, również jak wy żywotną. W tem szczyjącem się swą cywilizacją mieście, znajduje się tysiące ludzi, którzy bydlęcją i zabijają się przez nałóg do wódki. Dlaczegoż o bracia moi, nie oddajecie się tej namiętności, straszniejszej ale nie gorszej od tylu wad, za które się nawet nie rumienicie? Oto dla tego, że wiecie, iż spirytus jest trucizną, która nikomu nie przebacza. Nauka zastępuje u was cnotę. Otoż jeszcze jedna prawda, fizyczna i moralna zarazem, która wszedłszy raz do waszej duszy, zlewa się z wami.

Czyż to wszystko? Czyliż nie znacie szlachetnych serc, dla których rozpusta, pycha i skąpstwo są również odrażającami, jak i pijaństwo? Zapytajcie ojca, którego

---

\*) Jan VIII. 32.

córcę skradziono honor; zapytajcie matki, której syn zginął w jakiej odległej stronie; zapytajcie człowieka, który walczy z lichwiarstwem o życie swej żony i dzieci? Te nieszczęśliwe ofiary nienawidzą z doświadczenia wad, z powodu których tyle cierpień, inni szczęśliwsi winni są swoje wykształcenie nauce. Pobożność matczyzna lub poświęcenie nauczyciela natchnęło ich instynktem, który ich ratuje. Otóż jeszcze jedna prawda żywotna, prawda, którą wyznajemy przez wyrzuty sumienia nawet wtenczas, gdy nie chcemy jej słuchać.

Mamy w naszej rzeczypospolitej patriotów, którzy opierają się kaprysom tłumu. Masz to być dumą, lub wyrachowaniem? Nie, bo duma zgadza się ze wszystkimi podłościami, byle tylko mogła panować, a interes zawsze ma korzyść iść z wiatrem. Lecz dusza czysta, umysł oświecony sięga wzrokiem wyżej, i dalej. Pojedynczy człowiek, czy też lud cały, mówiąc: despota, mówi: władca, którego namiętności nie mają hamulca, i który nie może uchronić się od podłych intryg tych, którzy go otaczają i oszukują. Zbrodnicze wojny, szalone wydatki, zepsucie u góry, nędza i ciemnota u dołu, oto są owoce wszelkiej władzy nie mającej nad sobą kontroli, plaga siły której nic nie hamuje! Kto o tem wie, ten nie zejdzie nigdy do rzemiosła pochlebcy. Prawda trzyma na boku dusze nie mogące się spodlić, i pociesza je w ich samotności.

Powiecie, że to są stare, znane powszechnie mąksymy. Od dwudziestu wieków nauczają ich w szkołach, a jednakże świat się nie poprawia. A dla czego? Oto bo prawda zostawiona książkom jest martwą; lecz dajcie jej wasze serca, poślubcie ją, a żyć będzie. Stanie się ona waszem sumieniem, honorem, zbawieniem. Umysł, tak samo



jak i ciało nie żywi się słowami, potrzebuje on istoty rzeczy. Rzucić wolność ludowi niewolników, jest to powierzyć dzieciom broń, która może stać się przyczyną nieszczęścia w ich rękę. Dla czego? Ponieważ szanowanie samego siebie i innych, poczucie prawa, miłość sprawiedliwości, te niezbędne warunki wolności, nie są wcale artykułami prawa; nie postanawia ich się.

Są to cnoty, jakie obywatel nabywa skutkiem cierpliwości i używania. Dopóki wolność żyje jedynie w duszach, jest ona tylko spiżem dźwięcznym i cymbałem brzmiącym; lecz gdy raz wejdzie aż do szpiku naszych kości, to cała chytrność i wściekłość tyranów nie potrafi jej nam wyrzeć.

Znajdują się więc prawdy żywe, będące zarazem i w rzeczach i w nas. One to wprowadzają nas w związki z naturą i z naszymi bliźnimi. Wyjawiając nam prawa świata fizycznego, podbijają go dla nas; zmuszają nas do uznania za przyjaciela i brata każdego, tak jak my myślącego człowieka. Lecz to światło dostateczne do prowadzenia nas na tej ziemi, nie rozgrzewa wcale naszego serca. Zachwyca ono nasz umysł, miarkuje nasze namiętności, oświeca i łagodzi nasze samolubstwo, lecz nie daje szczęścia. Człowiek ma pragnienie nieskończoności, dążenie do rzeczy nadziemskich, potrzebę kochania, której nauka nie może zadość uczynić. Aby nam dać dobro, do którego wzdycha dusza nasza, na to potrzeba nowej prawdy, któraby nas wprowadziła w związki z Bogiem, i któraby była i w nas i w Nim zarazem. Tę prawdę, która jest Bogiem samym, trzeba nam poznać i ukochać.

Kochać Boga i być nawzajem od niego kochanym, jestto to, czego starożytna mądrość nie mogła nigdy zro

zumić; filozofja nowoczesna ginie z tej samej niemożności. Napróżno sumienie szuka Boga, napróżno go wzywa z namiętnością tonącego rozbitka: zimny rozum jest na to, aby nam powtarzać, że pomiędzy Bogiem i człowiekiem, pomiędzy nieskończonością i stworzeniem doczesnem, istnieje nieprzebyta przepaść. Niezłomna natura, Istność najwyższa, niewolnica własnych praw, oto jest wszystko, co nam może ofiarować największe wysilenie najwyższych umysłów. Miłość Boga, to złudzenie — modlitwa, ten krzyk duszy — to próżny szmer. konający w niemem niebie. Zamknij śmiertelniku; przygaś swe serce, zamknij się w rozpaczliwej rezygnacji, a będziesz tylko atomem, które druzgota koło nieubłaganego fatalizmu.

Dziewiętnaście wieków temu przyszedł na ziemię człowiek, aby nam o bracia moi! przynieść dobrą wiadomość, aby zbliżyć ludzkość z Bogiem. Prorok ten zwał się Synem Bożym i synem człowieczym, albo (co może jest tylko innem nazwaniem tej samej tajemnicy) zwał się światłością i prawdą. „Jestem — powiedział on — drogą, prawdą i życiem. Nikt bezemnie nie dojdzie do Ojca mego.“ Świat go usłuchał, świat mu uwierzył. W dniu, w którym Słowo stało się ciałem, i prawda boska przybrała postać, zjawiły się na tej ziemi: wiara, nadzieja i miłość, i weszły w serce człowieka. Zadanie uznane przez rozum za niemożliwe, w którym widział on same sprzeczne z sobą dane, rozwiązał Chrystus. Prawda żywa, prawda wcielona, że Bóg może kochać jak Syn, i że człowiek może kochać jak zbawca, jest to łącznik wiążący niebo z ziemią, który dał ludzkości Ojca a Bogu dzieci! W tem leży tajemnica objawienia, to jest dowód jego boskości. Nigdy umysł ludzki nie byłby w stanie wznieść się sam przez się aż do tego

pomysłu, który mięsza nasz rozum, a zarazem oświeca go blaskiem nieskończonym. Tak, być może, że Bóg kochając ludzi kocha siebie w rozpamiętywaniu swej wiecznej prawdy; tak, jeżeli człowiek może oddać cześć Bogu, któraby nie była zniewagą, to jedynie czcząc i miłując promień tej najwyższej światłości, która raczy zstępować na niego.

Kochać Chrystusa, jest to kochać prawdę, kochać prawdę, jest to kochać Chrystusa. Oto jest wielka tajemnica Ewangelji. Kto jej nie rozumie, jest chrześcijaninem jedynie z nazwiska.

A teraz bracia moi, wejdźcie w samych siebie i zastanówcie się. Kochając Chrystusa, kogoż to kochacie? Może męczennika, który oddał życie za swoich? Może ukrzyżowanego, którego rany jeszcze z krwi nie obeschły? Strzeżcie się, bo to będzie miłość ludzka; wszystkie religie, wszystkie stronnictwa mają swoich męczenników, Chrystus wymaga więcej. Chrystus jest czem innym jak wielbionym trupem, któremu całują rany; Chrystus jest prawdą, i na mocy tego żąda od was miłości. Czyż w ten sposób go kochacie?

Nie ma wątpliwości, że macie wiarę, że wierzycie w Ewangelję. Ale czyż to nie jest tylko przesądem dziezicznym, symbolem, któremu nie możecie w twarz spojrzeć, aby się nie uczuć niewiernymi? Czy zastanawiacie się nad waszą wiarą? odrzucacie z niej wszelkie miesznaniny, hebrajskie lub pogańskie, które kalają jej czystość? Robicież z waszej wiary prawidło waszego postępowania? zrywacież ze światem i z samymi sobą? Czyż mówicie z apostołem: „Wierzyłem, i dla tego mówię.“ Jeżeli jest tak, to kochacie Chrystusa tak jak on chce być kochanym; kochacie prawdę.

Lecz jeżeli religja jest dla was tylko ceremonja; jeżeli szukacie w niej jedynie uciezki przed ścigającą was prawdą; jeżeli wasza wiara umiera na waszych ustach, nie zamieniwszy się w czyn; jeżeli całkiem oddani swym interesom pieniężnym i swemu spokojowi, mniej się lękacie błędu aniżeli zgorzenia; jeżeli w swej podlej przezorności zostawiacie Bogu staranie bronienia Jego słowa; jeżeli wasza dobroczynność zajmuje się tylko przyniesieniem ulgi nędzy materjalnej, a nie walczy z ciemnotą i wadami; jeżeli nie czujecie, że najpierwszym waszym obowiązkiem jest wyrwać z niewoli grzechu nieśmiertelne dusze; jeżeli na koniec nie staracie się naśladować czynów dokonanych na tej ziemi przez Chrystusa — to moi bracia nie macie się co ludzić: jesteście wszystkim czem chcecie, zręcznymi, rozsądnymi, przezornymi, czułymi, lecz nie jesteście chrześcijanami, nie miłujecie prawdy.

Jeżeli te obrzędy wam się nie podobają, porzućcie je; jeżeli owe dogmata was przerażają, odłóżcie je na bok, może być że są one wynalazkiem ludzkim, może zrozumiecie je później. Chrystus nie ustanowił ani dogmatów ani obrzędów. Uproście waszą wiarę, a przedewszystkiem jak zaleca najsilniej wierzący i najmilszy apostoł: „Nie gaście rozumu; próbujcie wszystkiego, a zachowajcie to co jest dobrem“ \*). Znajdują się w nowym Testamencie ustępy, które was niepokoją, odrzućcie je; cóż to szkodzi że Ewangelisci różnią się pomiędzy sobą, jeżeli Ewangelja jest zawsze z sobą w zgodzie, jeżeli w słowach Chrystusa płonie zawsze ogień wiecznej prawdy?

---

\*) Thessal V. 19, 21.



Ja szukam prawdy — powiesz — lecz nie mogę jej znaleźć. Nie mój bracie, nie szukasz jej. Pycha twego rozumu, namiętności twego ciała nie pozwalają na to; może być że nauka ucieka od ciebie, ale to pewna, że wiesz gdzie jest prawda moralna, prawda religijna.

Jest ona tam, w twym domu, niema, zasłonięta jak Alcest zbiegły z królestwa umarłych; tamto ona czeka na ciebie.

Wiesz o tem dobrze, że gdy wchodzisz do siebie zmęczony życiem i samym sobą, to patrzy ona na ciebie z pod zasłony, i to spojrzenie cię sądzi. W nocy, gdy samotny rozmyślasz w ciemności o dumnych zamiarach albo może i zbrodniach na dzień jutrzejszy, to ona jest tam, zawsze tam. Jej wzrok prześladowuje cię w ciemnościach, jej milczenie cię przeraża. Pogardzasz ludźmi, żartujesz sobie z praw, ale drżysz przed tem widmem, którego nie możesz przekupić ani zabić.

Nie potrafisz nigdy wymknąć się temu strażnikowi, który czuwa nad tobą. Nadejdzie godzina, w której ręka śmierci zaciąży nad twem czołem, a wówczas ujrzysz tylko jako cień to wszystko co kochałeś: pieniądze, zaszczyty, żonę i dzieci. Lecz wśród rozpacz i łez ta postać zasłonięta będzie zawsze na swem miejscu, gotowa do pochwycenia cię i przeniesienia w świat niewidzialny. Winny czy niewinny, nie unikniesz jej; będzie ona twemi wyrzutami sumienia lub twą nadzieją. Idź więc za nią na tej ziemi; idź wśród zamięszań i niepewności, idź pomimo swego niedowiarstwa. Przywiąż się do prawdy, a ona cię zbawi. Tak gdy dojdiesz do kresu życia, postać ta zrzuci swą zasłonę, i Chrystus widomy w całym blasku swego boskiego uśmie-

chu — Chrystus ci powie: „Poznaj mnie mój synu, ja jestem prawdą.“ —

Opuściłem zgromadzenie przy ostatnich słowach, i pobiegłem do sąsiedniej celi. Pochwyciłem w swe ramiona Trutha zmęczonego i prawie bezprzytomnego. Wziąłem go za rękę, była ona rozpaloną nadzwyczajnie.

— Zabijasz się nieszczęśny — rzekłem mu.

— Czyśmy naszą powinność mój przyjacielu — wyszeptał opierając głowę na mem ramieniu — wszystko inne jest próżnością. —



## ROZDZIAŁ XX.

### ŚNIADANIE PASTORÓW.

Odprowadziłem Trutha do domu wśród tłumu składającego powinszowania nowemu apostołowi. Potrzebował on koniecznie spoczynku; namawiałem go więc, aby choć na chwilę rzucił się na łóżko. Lecz na nieszczęście musiał on zostać na nogach, by przyjmować osobiście gości. Pani bowiem przygotowała potężne śniadanie dla przyjaciół swego męża, a raczyła i mnie też zamieścić w liczbie zaproszonych. Zastałem tam Jenny i Zuzannę obiedwie zachwycone słyszanem kazaniem, którego może nawet nie zrozumiały. Trudnym jest do uwierzenia wpływ wywierany przez słowa na kobiety. Niejednokrotnie, siedząc w mym pokoju zupełnie sam i przy drzwiach szczelnie zamkniętych, zadawałem sobie po cichu pytanie: czy kobieta nie była z natury wyższą od mężczyzny. Ma ona mniej gwałtowne namiętności i bez porównania większą łatwość kształcenia się. Podczas gdy Adam drzemał w swej niewinności, Ewa była już ciekawą wiedzy. Zdaje mi się że od owego czasu, jeżeli my dziedziczymy dobroduszość naszego pierwszego ojca, to i córki Ewy

wcale się nie odrodziły od swej pierwszej matki. Podzielałam zdanie Moliera, że przezorność nakazuje nam nie nadzbyt kształcić ten figlarny i niespokojny rodzaj. Trzymając kobiety w poczciwej niewiadomości, dajemy im wprawdzie wszystkie wady, ale zarazem i wszystkie słabości niewolnicy; panowanie nasze jest zapewnionem. Lecz gdybyśmy podnieśli wykształceniem te namiętne i naiwne dusze, gdybyśmy je zapalili miłością prawdy, to kto wie czy wkrótce nie rumieniłyby się one za głupotę i gburowatość swych panów? Zachowajmy wiedzę dla siebie samych, bo ona to czyni nas bożyszczami. Skończy się nasze panowanie, gdy mężczyzna zostanie poznanym.

Zasiedliśmy do stołu, na co wyznaję żem się wcale nie gniewał. W moim religijnym zapale zapomniałem o śniadaniu, i zwierzę zaczęło we mnie cierpieć. Gospodyni domu zrobiła mi ten zaszczyt, że mię posadziła po swej lewicy, i podała mi wraz z herbatą dwa czy trzy kawałki szynki z Cincinnati; wiele mnie to kosztowało, żem przez wzgląd na przyzwoitość nie połknął ich od razu. Zuzanna wytrzeszczała na mnie oczy, aby mnie wyrzucić moją żarłoczność. Poznałem w tem moją pannę córkę. Tak w Stanach Zjednoczonych jako też i we Francji, we wszystkich lepszych domach dzieci dają lekcje swemu ojcu.

Zaspokoiwszy nieco dręczący mnie głód, zawiązałem rozmowę z moją sąsiadką, osobą bardzo dobrą i przyjemną, która uwielbiała swego męża. Już to taki zwyczaj w Ameryce. Zdrowie Trutha budziło we mnie żywe obawy, widocznem było, że kazalnica jeszcze w krótszym czasie niż dziennik wyczerpie jego siły, co też starałem się dać zreźnie do zrozumienia jego żonie. Aby ją nadzbyt nie przerazić, powiedziałem jej w ogólnikach, że kaznodziejstwo jest



ciężkiem zadaniem, i że pewne natury delikatne i nerwowe, potrzebują czasami zupełnego spokoju. Stracony czas! Pani Truth mówiła mi tylko o wielkości nowego stanu swego męża. Duma ją upajała.

— Być żoną pastora — mówiła mi — to marzenie wszystkich młodych dziewcząt. Gdybyś pan wiedział jak mi było boleśnie, gdy mój drogi Joël zrzekł się swego pierwotnego powołania dla zostania dziennikarzem. Jedno tylko kapłaństwo zadawałoby wszystkie żądania kobiety; w niem to tylko może być ona w całym znaczeniu tego wyrazu towarzyszką swego męża, jego prawdziwą połową. Jedne i te same kłopoty, przyjemności i obowiązki.

— Czyżbyście miały miewać kazania? — zapytałem.

— W kościele nie — odrzekła — apostoł Paweł nam tego zabrania. Lecz czyż to jedynie w świątyni wypełnia się obowiązki kapłańskie, i opowiada słowo Boże? Kształcić młode dziewczęta, udzielać rad młodym kobietom, płakać z wdowami, czuwać nad chorymi, czytać im Ewangelię, a w razie potrzeby pomódz im umrzeć, oto są zajęcia w których mogę brać udział, a nawet niekiedy dopełnić mego męża. Czyż nie prawda Joël — dodała podnosząc głos — że jestem twoim wikarym, i że masz we mnie zaufanie.

Na to szczególniejsze zapytanie, które — rzecz dziwna — mnie tylko zadziwiło, Truth odpowiedział kiwnięciem ręki i słodkim uśmiechem. Żona pastora, sama pastor i kaznodzieja w dodatku! Ta niedorzeczność nigdy mi nawet przez myśl nie przeszła. To prawda, że dotąd żyłem zawsze w kraju rozsądnym. Bal i rondel, oto dwa bieguny istnienia Francuzki. Przejść po za ich zakres jest beżładem, a co gorzej jest śmiesznością.

— Jednakże — mówiła dalej pani Truth — jest jeszcze coś piękniejszego nad kapłaństwo, jest to misjonarstwo.

— Czyż macie kobiety misjonarzami? — zawołałem przerażony.

— Nie — odpowiedziała — sami tylko katolicy mają ten przywilej, którego im zazdroszczę. My nie mamy sióstr miłosierdzia; mamy tylko żony misjonarzy. Jest to rola, której zazdroszczę. Podzielać prace swego męża, to rzecz słodka; podzielać jego niebezpieczeństwa, jest wielką zasługą przed Bogiem. Niech pana nie dziwi moja ambicja; jestem córką pastora, a dwie moje siostry powychodziły za misjonarzy. Jedna jest w Kap, a druga w Chinach; i obydwie błogosławią Pana, że im dał los tak chwalebny.

— Wasi misjonarze — rzekłem — nie prowadzą nader ciężkiego życia. Mając z sobą żonę, dzieci, domowe ognisko, to nie jest tak przykro opuścić ojczyznę. Dodawszy do tego wygodne i stałe pomieszczenie i dobrą pensję, nie trzeba zbyt wielkiej cnoty, aby przy takich warunkach opowiadać ewangelję.

— Tak pan sądzisz — rzekła moja sąsiadka, zdziwiona mojem szyderstwem. — Nie wiem, czy jest lepiej przebiegać świat, siejąc po drodze słowa Chrystusa, i zostawiając opiece Boskiej to nasienie, czyli też osiąść na miejscu, aby zasiać, podlewać i pielęgnować aż do samego żniwa to drogocenne ziarno; ale to wiem, że szczęście posiadania przy sobie tego co się kocha, nic nie rujnuje dobroczynności missjonarza, a może nawet dodaje jeszcze jedną zasługę więcej do jego poświęcenia się. Piotr był żonatym, a czyż pomimo to nie został wybrany na księcia apostołów? Boersowie potrzykroć spalili missję w Kap,

gdzie siostra moja założyła szkołę i dom pracy dla młodych Murzynek, w której przygotowuje umysły i serca do przyjęcia ewangelji; mój szwagier, który jest doktorem, jak większa część misjonarzy, stracił rękę, wydobywając biednemu Kafrowi zatrutą strzałę. W Chinach Tai-Pingowie wypędzali moją siostrę z jednej prowincji do drugiej. Obecnie mieszka ona około Szangaj — biedna chora, ale zawsze pełna wiary. Dom jej jest szpitalem rannych, przytułkiem dla sierót. Pomaga dziś wśród panującej gorączki, przy nieustannej trwodze, swemu mężowi głosić ewangelję. Została ona bardziej wypróbowaną od Abrahama, podwakoń bowiem Bóg zażądał od niej życia jej dzieci.

Nic nie odpowiedziałem na te pełne fanatyzmu słowa. Jest wiele rzeczy w historii Abrahama, które mnie daleko więcej obchodzą, aniżeli zdarzenie z Izaakiem. To posłuszeństwo, będące wynikiem cnoty lub fanatyzmu, jest nad moje siły; nie rozumiem go.

Aby rozpędzić niepokojące mnie myśli, zwróciłem się do mojego sąsiada z lewej strony: był to prawdziwy typ Saxona, o szerokich ramionach, piersiach wypukłych, długiej szyji z osadzoną na niej kwadratową głową, rysami wyrazistymi, czołem łysem a do tego z ogromnemi brwiami, pod którymi błyszczały pałające ogniem oczy; jednym słowem, połączenie woli i siły. Noe Brown, tak się nazywał mój nowy przyjaciel, był tym pastorem, po którym nastąpił Truth. Skorzystałem z tej sposobności, aby się dowiedzieć, co to jest ten kościół kongregacjonalistów, którego nazwa mnie intrygowała, i zapytałem go o to.

— Jak to? — rzekł Brown, zdziwiony moją niewiedomością — pan nie wiesz co to jest nasz stary kościół purytański, który nasi ojcowie, pielgrzymi, wypędzeni

przez nietolerancję, przynieśli tu z sobą na pierwszym swoim okręcie, „Kwiat majowy“. Nasi przodkowie zrywając z obrzydliwościami angielskiego Babilonu, chcieli wykorzenić herezję ze społeczeństwa. I idąc za przykładem pierwszych chrześcijan, utworzyli z każdego zgromadzenia wiernych kościoł, czyli niepodległą kongregację, wyborną rzeczpospolitą, rządzoną przez starców i administrowaną przez pastorów. W tem to ognisku niepodległości i równości, wzięła początek gmina. W niem leży tajemnica naszego życia i naszej wielkości politycznej. Ameryka, jest pro prostu związkim wszechwładnych gmin i kościołów; to jest prawdziwym purytanizmem w rozkwicie. Jak wszędzie tak i tu, religja zrobiła człowieka na swoje podobieństwo: wolny kościół, zredził wolne społeczeństwo. —

Paradoks ten wypowiedziany z całą pychą purytańską wcale mi się nie podobał. Słuchając tych fanatyków zdawałoby się, że ich katechizm rządzi światem. Niech tylko popatrzą na Francję, tę ojczyznę światła i filozofji, a wnet będą wiedzieli, do czego się ogranicza wpływ religji na państwo i społeczeństwo. Jest się arcy-katolikiem w kościele, a czem kto chce gdzie indziej. Właśnie tego starałem się dowieść memu kaznodziei, lecz znalazłem go upartym jak Saksona podszytego Janke sem. Czem więcej nagromadzałem dowodów, które powinny były go przekonać, tem on więcej rozprawiał.

— Przypatrzą się pan Anglikom — zawołał — Kto zna ich kościół, zna ich historję. Lordowie duchowni, zgromadzenia bez wiary, konstytucja nieruchoma o trzydziestu dziewięciu artykułach, książka do nabożeństwa ułożona z rozkazu biskupów i panującego, uniwersyteta i szkoły uprzywilejowane, ogromne własności, wpływ panów nie-



zmierny, cóż to wszystko może stworzyć, jeżeli nie społeczeństwo arystokratyczne? Bez różnowierców, którzy taki ruch podtrzymują, byłaby już oddawna Anglja na wzór starego Egiptu zamieniła się w mumję.

— A Francuzi? — zapytałem, aby go zaambarasować.

— Francuz — odrzekł — jest katolikiem, monarchistą i żołnierzem, kiedy przeciwnie Amerykanin jest protestantem, republikaninem, obywatelem; wszystko to pozostaje z sobą w związku, jak palce u ręki: równie byłoby niemożebnem utworzyć z Francji republikę jak ze Stanów Zjednoczonych monarchję. Różnica kościołów stanowi różnicę społeczeństw.

— Czy nie mógłbym wiedzieć, jakiemu z tych społeczeństw przyznajesz pan wyższość?

— Sam pan osądź — odrzekł — jedno jest społeczeństwem dzieci, a drugie społeczeństwem ludzi.

— Widzę z przyjemnością, że jesteśmy jednego zdania.

— Mocno mnie to cieszy -- odpowiedział, i wziął się spokojnie do picia herbaty.

— To pewno — dodałem nachylając się ku niemu — że Amerykanie są nie tyle ludem, jak rojem emigrantów, rozrzuconych po pustyni, może być więc, że jak na teraz, to wolność ma u nich mniej niedogodności. Lecz w miarę jak Ameryka będzie się starzeć, uczuje ona potrzebę utworzenia prawdziwego społeczeństwa, i wówczas skupi się pod chorągwią władzy.

— Pan mnie nie rozumiesz — rzekł zagadniony, stawiając gwałtownie filiżankę na stole — ja myślę wprost przeciwnie temu co pan mówisz.

— Jako! — zawołałem — czyżbyś pan miał uważać Francuzów za lud dzieci?

— Pod względem politycznym — rzekł on — nie ulega wątpliwości. Odkądże to datuje się ich wolność, i to jaka wolność! od 1789 roku, gdy nasza poczyna się od 1620; jesteśmy starsi od nich o sto siedmdziesiąt lat, i mamy trzy razy więcej doświadczenia, a dwadzieścia razy więcej roztropności niż oni.

— Tak więc — rzekłem głosem wzruszonym — Ameryce pan przyznajesz palmę cywilizacji?

— Unikajmy gry słów — odrzekł zimno. — Cywilizacja jestto słowo złożone, zawiera ono w sobie tyle różnych żywiołów, że każdy naród mógłby sobie w jej zakresie przyznawać pierwszeństwo. Co stanowi cywilizację? Czy religja, polityka, obyczaje, przemysł, nauka, literatura, sztuki? czy jedna z tych rzeczy, czy też wszystkie te rzeczy razem? Widzisz pan, jak to zadanie jest skomplikowanym. Sztuki np., które poganie nazywali kwiatem cywilizacji, nader często rozwijają się na zgnilej łodydze, chętnie bym więc wierzył, że u nas nowożytnych, żyjących naśladowaniem starożytnych, naród najstarszy, jest najbardziej artystycznym. Gust we Francji jest daleko delikatniejszy niż w Anglii; lecz Włoch ma z natury daleko więcej zręczności niż Francuz. Pod względem przemysłu wszystkie narody wolne na jednakowym stoją stopniu; nauka nie ma ojczyzny. Co do literatury, to każdy naród znajduje w swojej odbicie własnych myśli; zostawiam recenzentom błahą przyjemność naznaczania miejsca ludziom, jak Dante, Molier, albo Szekspir; lecz religja, polityka i obyczaje tworzą wiązanke nierozdzielna. W niej są soki żywotne narodu i jego przeszłość. Pod tym względem daje

śmiało pierwsze miejsce memu kościołowi i memu ludowi; wierzę w wolność, jestem Amerykaninem i purytanem.

— Nie trudno tego się dopatrzeć, Mohikanie — pomyślałem sobie — nie umiesz kłamać, nawet przez grzeczność.

Miałem właśnie zawstydić tego nieznośnego kaznodzieję, gdy na jego szczęście wstano od stołu. Dałem pokój temu ciasnemu i dzikiemu umysłowi, zbliżyłem się do młodego pastora, którego uprzejma powierzchowność bardzo mi się podobała. Truth przedstawił mi przed śniadaniem pana Naamana Walford, jako jeden z filarów nowego Syonu. Ciekawy poznać fenixa zwanego rozsądnym teologiem, chciałem się dobrze przedstawić panu Naaman; zacząłem też od powinszowania mu wybornego nabytku, jaki zrobił jego kościół w osobie mego przyjaciela Truth.

— Przepraszam pana — odrzekł — ale ja jestem prezbiterjaninem.

— Prezbiterjaninem! — zawołałem — i pan przychodzisz powitać swego współzawodnika? Jest to dowodem pięknej duszy, ponieważ mówiąc między nami, ten człowiek, ten kapłan, któremu pan podajesz rękę, jest dla ciebie heretykiem, którego potępiasz

— Ja? — rzekł on nader zdziwiony — ja nie potępiam nikogo, to byłoby nie po chrześcijańsku.

— Źle się wyraziłem, kochany panie Naamann, chciałem tylko powiedzieć po prostu, że na wzór boskiego pastusza, szukającego zabłąkanych owieczek Izraela, nie boisz się pan żyć po przyjacielsku z ludźmi, których błędu nienawidzisz.

— Pan Truth zbudował mnie tego rana, i wcale nie sądzę, aby miał on być w błędzie.

Teraz przyszła na mnie kolej zadziwić się; zdawało mi się, że nie dobrze usłyszał odpowiedź.

— Czy wierzysz pan — rzekłem do młodego kapłana — że twój kościół naucza prawdy?

— Bez wątpienia, inaczej bym w nim nie zostawał.

— A więc — rzekłem — jest dwie prawdy tak jak i dwa kościoły; jedna prawda prezbiterjańska i druga kongregacjonalistów. Może jest jeszcze i prawda baptystów, lutrów, a nawet i katolików. Wybacz pan mej niewiedomości, ale ja przypuszczałem, że jest tylko jedna prawda, i że rozdzielanie się do nieskończoności jest oznaką błędu.

— Doktorze — rzekł Naaman wzruszony nieco moją francuską żywością — gdy będąc na morzu chcesz wiedzieć która godzina, co robisz?

— Zapytuję słońca, i słońce mi odpowiada. Czy chcesz mi pan odpowiedzieć za pomocą przypowieści? W moim wieku, kochany panie, nie ma się wiele zamięłowania do przykładów i porównań, przyjmuje się jedynie dowody.

Jako młody, śmiem rachować na twoją pobłażliwość doktorze — odrzekł Naaman z wdzięcznym uśmiechem. — Słońce wskazuje ci godzinę. A czy mógłbyś mi pan powiedzieć, która godzina jest w Berlinie, podczas gdy jest południe w Paryżu?

— Nie, to tylko wiem, że telegram wyprawiony o godzinie jedynastej z Berlina, przybywa do Paryża o pół do jedynastej; to jest, przybywa jakoby na trzydzieści minut przed wysłaniem go. Cóż to zresztą dowodzi? przyznaję panu, że gdy jest południe w Paryżu, jest pierwsza godzina w Berlinie, druga w Petersburgu, i jeżeli pan chcesz to dziewiąta z rana na wyspach Azorskich, a siódma w Kwebeku. To zależy od południka.



— Jakże więc to się dzieje — rzekł Naaman — że wszędzie jest jedno słońce, a nie wszędzie jedna godzina?

— Jesteś pan widocznie astrologiem — rzekłem — i chcesz ze mnie zrobić swego zwolennika. Odpowiem panu panie profesorze, że to jest to samo słońce, widziane z różnych punktów.

— Przepraszam cię doktorze za moją ciekawość, ale jeszcze tylko to jedno pytanie. Pomędzy temi różnemi godzinami, która jest prawdziwą?

— Dziwne pytanie! dla każdego jego godzina jest prawdziwą, ponieważ słońce wschodzi, a raczej zdaje się wschodzić z odmiennego punktu dla każdego. Czy pan profesor jest zadowolony ze swego siwobrodego ucznia?

— Tak doktorze, widzę, że jesteśmy w zgodzie tak co do teologii jako też i astronomji.

— Zaczynam pana pojmosować panie Naaman!... Dla pana prawda jest słońcem, które każdy z nas widzi podług horyzontu, w którym się znajduje. Bez wątpienia jest południe dla kościoła prezbiterjańskiego w tym samym czasie, gdy jest po pierwszej dla kościoła baptystów, a nie ma je denastej dla metodystów. Kto wie nawet, czy nie pomieszczono katolików pod antypodami? Jest to genialny sposób pogodzenia pychy z miłosierdziem.

— Pan mi ubliżasz — rzekł Naaman czerwiejąc. — Podchwyciłeś pan moją myśl, lecz mylisz się co do mych uczuć. Tak, dla każdego chrześcijanina istnieje odrębny horyzont. Urodzenie i wychowanie daje nam punkt wyjścia, a do nas należy dążyć ku wzywającej nas prawdzie, do nas należy zbliżać się do niej nieustannie siłą nauki i cnoty. Wierzę, że istnieją kościoły lepiej oświecone boską światłością, lecz nie mniej nie wątpię, ażeby nie było naj-

lepszych chrześcijan nawet w najmniej znanym kościele. Wielka to dogodność być umieszczonym blisko słońca, lecz to nie zawsze racja, aby najlepiej widzieć. Dla tego to kocham kościół prezbiterjański, a jednakże nie potępiam nikogo.

Wszystko to było wypowiedziane z zachwycającą prostotą. Piękna to rzecz cnota w młodej duszy, jest to uśmiech jutrzeńki w pierwszych dniach maja!

— Pańskie marzenia mój młody przyjacielu — rzekłem do Naamana — mają w sobie coś porywającego; uczucie które je zrodziło jest godnem szacunku, lecz pierwszy podmuch rozumu je rozprószy. Jeżeli każdy z chrześcijan widzi prawdę na swój sposób, to nie ma prawdy. I otóż powróciliśmy do sceptycyzmu pana Montaigne. Nie znajdziesz pan ani jednego dogmatu, któregooby nie atakowano, jednego wyznania którego nie zachwiano. Pańska na pozór tak chrześcijańska teoria, skazuje nas na nieprzewyciężone zwątpienie, i prowadzi do powszechnego niedowiarstwa.

— Zdaje mi się doktorze — odrzekł młody człowiek ze skromnością, która mnie wzruszyła — że wytaczasz proces umysłowi ludzkiemu, to jest dziełu Bożemu. Z różnicy i słabości naszego wzroku możnaby także wyprowadzić wnioski, że nic nie widzimy. Byłaby to ta sama loika i ten sam sofizmat. Każdy z nas bierze sobie z nauk przyrodniczych tylko to, co może sobie przyswoić, a czyż te różnice pojęć podkopują naukę? Czyż istnieje choć jedna teoria w fizyce, któraby uniknęła rozpraw? A czybyś pan jednakże zaprzeczył istnienia prawdy fizycznej?

— To złe porównanie, mój kochany Naaman. Cóż pozostało z tej fizyki, jaka była trzydzieści lat temu? Wczorajsza prawda stała się błędem dzisiaj.

— Nie doktorze, błąd wczorajszy upadł, tak jak spadają martwe liście; prawda się nie zmieniła, ponieważ jest ona inaczej mówiąc znajomością natury, a natura się nie zmienia.

— Przyznaję to panu, lecz prawda religijna jest innego rodzaju jak prawda naturalna.

— Chociażbym i przystał na to przypuszczenie wątpliwe, to nie o wiele by to nas posunęło naprzód doktorze. Jakakolwiek byłyby ilość i różnaitość ciał zapełniających świat, to my mamy tylko dwoje oczu dla widzenia ich; to czego nie widzimy nie istnieje dla nas. Jakikolwiek byłby charakter prawdy, mamy tylko nasz umysł dla zrozumienia jej. Czyż nasza dusza jest podwójną? Bóg dał każdemu z nas dla odkrywania prawd przyrodzonych, niespokojny, pracowity dar badania, zwany rozumem. Czyżby w nas miała istnieć siła, która bez starań osobistych otrzymywałaby prawdę religijną w ten sam sposób, jak zwierciadło odbija przedstawiony mu przedmiot. Jeżeli ten dar nie istnieje, to różność wyobrażeń religijnych jest konieczną; zależy ona od wieku, wychowania, kraju, naturalnej energji naszego umysłu, albo też jego działalności. Jeżeli zaś ten dar istnieje, to wszyscy powinniśmy jednakowo myśleć, jak w skutek prawa natury jednakowo oddychamy. Dziękuję Bogu że tak nie jest, zostawił On każdemu z nas wolność zapoznania Go, aby przez to dać każdemu prawo kochania Go. Ta wolność, która pana przeraża, jest najpiękniejszym naszym udziałem, ona to zamienia religję na miłość a wiarę na cnotę.

— Jesteś prorokiem bezrządu Naamie! — zawołałem. — Rozpędzasz najpiękniejsze marzenie ludzkości. Jedna wiara, jedno prawo, jeden król — oto dewiza średnich

wieków, dewiza, którą każdy człowiek nosi w głębi serca. Cóż nam w zamian ofiarujecie? Zamięszanie. Cóż to jest za kościół, w którym każdy mówi odmiennym językiem i nie rozumie swego sąsiada?

— I ja kocham jedność równie jak i pan — przerwał młody kapłan — Chrystus nam powiedział, że przyjdzie dzień, w którym będzie „jeden tylko pasterz i jedna owczarnia“, a ja wierzę w słowa Chrystusa. Lecz jedność nie jest jednostajnością. Przypatrz się pan naturze, co za zadziwiająca jedność! A jednakże nie ma ani jednego drzewa, ani jednej rośliny, ani jednego kwiatu — co mówię ani jednego liścia, któryby do drugiego zupełnie był podobnym. Bóg z nieskończonej różnorodności tworzy żywą i doskonałą jedność. Dla czegożby prawo natury nie miało być prawem ludzkości? Dla czegożby głos każdego stworzenia nie miał mieć miejsca w tym koncercie pochwał, który ziemia śpiewa Panu? Czemże jest obok tej bogatej harmonji jałowa jednostajność pojedynczej nuty? Dla mnie jednością jest kościół powszechny, ten kościół, który obejmuje wszystkie wierne dusze. Każdy kto kocha Chrystusa jest moim bratem, ja patrzę na jego miłość a nie zaś na jego symbol. Augustyn, Chryzostom, Gerson, Melancton, Jeremi Taylor, Buryan, Fenelon, Law, Channing, są żołnierzami tej boskiej armji. Co mnie obchodzi ich ustawa? ich chorągiew jest moją chorągwią: jest nią prawda.

— Brawo Naaman — rzekł Truth kładąc rękę na ramieniu młodego duchownego — nawróć mi tego poganina.

— Wy sami poganie! — zawołałem. — Zdaje mi się, że tutaj ja jeden tylko jestem chrześcijaninem, albo jeżeli chcecie katolikiem w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Gdy wy krajecie religję na sztuki, i zostawiacie ją



na łasce okoliczności, ja jeden wierny starym i silnym zasadom, chcę jednego sposobu, któryby był prawem dla umysłów, i dla utrzymania tego prawa prawdy wzywam na pomoc ramię sprawiedliwości.

— A co, nie mówiłem ci kochany Naaman — przerwał Truth śmiejąc się. — Jest to poganin z czasów upadku, jeden z tych wielbicieli siły, którzy sobie wystawiają, że się dekretuje prawdę tak jak się bazgrze prawa.

— Wcale nie jestem tak śmiesznym — przerwałem nieco dotknięty. — Ja także kocham prawdę, lecz nie jestem ślepy jak utopiści. Podług nich, wolność jest powszechnem lekarstwem, leczącym wszędzie złe i błędy; do świadczenie uczyniło mnie mniej ufającym. Świat nie jest akademią filozofów, rozbierającą spokojnie najzuchwalsze zadania; lud, ta wielogłowa hydra, jest to zbiór istot słabych, ciemnych, szalonych, zepsutych, zbrodniczych; potrzeba wędzidła, aby je powstrzymać i kierować niemi. Tem wędzidłem jest religja nakazana i podtrzymywana przez władzę zewnętrzną. Jeżeliby władza nie wzięła w swe ręce sprawy kościoła, toby wnet było po chrześcijaństwie; społeczeństwo popadłoby w ateizm, bezrząd, rewolucję. Dla tego to panowie ja wierzę w konieczność, co mówię w świętość siły, oddanej na usługi prawdzie. Czyż jestem poganinem, jeżeli za przykładem św. Augustyna, Bossueta i tylu innych doskonałych chrześcijan, nie mówiąc już o waszym Kalwinie, żądam, aby społeczeństwo użyczyło swego miecza kościołowi, czyli mówiąc inaczej, aby istniała religja panująca?

— Co? religja państwowa — rzekł nagle Brown wsuwając pomiędzy nas swą głowę do buldoga podobną —

a cóż to jest za potwór? Czy państwo ma duszę, aby miało mieć religję?

— Zapewne chciałbyś pan — odrzekłem sucho — bezbożnego państwa i ateuszowskich praw.

— Ja nie zadawałniam się słowami — odrzekł ten dziwak. — Co to jest państwo? W monarchji jest niem panujący. Więc trzydzieści miljonów chrześcijan powinno mieć religję Achaba, jeżeliby wypadkiem Achab miał jaką religję. U nas gdzie władza się zmienia, zmienianoby religję co trzy lata. Oto co ja nazywan najsprawiedliwszym ateizmem; wierzyć z rozkazu, jest w nic nie wierzyć.

— Pod wyrazem państwa — przerwałem — rozumiem społeczeństwo polityczne.

— Dobrze — rzekł — więc to większość rozpraw i wniosków postawi godło wiary. Będziemy mieli religję parlamentarną. Podda się pod głosowanie Wcielenie słowa albo Trójcę, i będzie się głosować. Co za komedja! Dziwna rzecz, od czasu jak świat istnieje, wszystkie prawdy przyrodzone zostały odkryte przez pojedynczych ludzi; potrzeba długich doświadczeń a niekiedy nawet męczeństwa wynalazy, zanim ta prawda zgromadzi około siebie kilku wiernych; wiek cały nie wystarcza na zjednanie jej większości — lecz co do religji to co innego, większość nigdy się nie myli. Zabawna nieomylność! Niech nam oddadzą papieża; uznaję cud, odrzucam niedorzeczność.

— Pan nie odpowiadasz na moją uwagę panie Brown — rzekłem podnosząc głos. — Jeżeli państwo nie będzie miało religji, to prawo będzie ateuszowskiem.

— Zawsze wyrazy — przerwał nieznośny kaznodzieja. — Państwo jest to rzecz oderwana, jest to sposób oznaczenia połączenia władz publicznych. Lecz społeczeń-

stwo, to rzecz żyjąca, jest to połączenie wszystkich obywateli zamieszkujących jedną ojczyznę. Jeżeli ci ludzie są chrześcijanami, jeżeli ich moralność jest chrześcijańską, to jakże być może, aby zatwierdzenie dane przez tych ludzi moralności publicznej, czyli mówiąc innemi słowami, aby prawo mogło być ateuszowskiem? „Dobre drzewo nie może wydawać złych owoców“ \*).

— Jak możesz wystawić sobie nierozsądny! — zawołałem — że ewangelja nie ucierpiałaby na tem, gdyby państwo pozwalało na wszelkie rodzaje wyznań?

— Mało masz pan wiary — rzekł Brown rzucając na mnie straszne spojrzenie. — Zapominasz pan, że Paweł powiedział: „Broń naszego wojska nie jest wcale cielesną“. Nigdy chrześcijaństwo nie było piękniejszym i silniejszym, jak wtenczas, gdy miało świat przeciwko sobie. Popatrz pan na około siebie, a przekonasz się, że nigdzie religja nie jest bardziej wprowadzona w życie niż w Ameryce, a jednakże państwo jej nie zna. Nie więźcie dusz, nie trzymajcie ich w ciemności która je psuje; zostawcie je wolne, a pójdą ono do Boga.

— Ależ nakoniec, kochany panie Brown, to nie podobna, ażeby państwo opłacało wszystkie wyznania i stało się kasjerem pierwszego lepszego fanatyka, który otwiera kościół.

— Ja chcę żeby nikomu nie płacono — zawołał dziki purytanin. — Jakiem prawem miałyby się ono w to mieszać? Czyż ma ono inne pieniądze jak nasze? Jak to! żyd miałby płacić na chrześcijan za to, że go nazywają bogobójcą? Ja miałbym płacić unitarjanów, którzy zaprzeczają boskość Chrystusa? Co za niesprawiedliwość, co za znie-

---

\* ) Mat. VI. 18.

waga wyrządzona mej wierze! Przypatrz się pan tylko jaką rolę dajesz państwu. Prawodawca wyznając, że religja przechodzi jego zakres, już tem samem ogłasza wolność sumienia i przez to samo jest on chrześcijaninem. Przypuśćmy teraz, że on proteguje dziesięć różnych a nieprzyjaznych sobie wyznań, cóż będzie znaczyć ta bezczelna opieka jeżeli nie to, że państwo widzi w religji narzędzie polityczne i ma dla wszystkich jednakową obojętność i jednakową pogardę? Ten piękny system, który nie pan wynalazłeś, jest pogańską policją.

— Bardzo dobrze — rzekłem — zostaw każdemu wiernemu utrzymanie swego wyznania, a zobaczymy wiele będzie kościołów. Zostanie się ateuszem przez oszczędność.

— Mylisz się kochany doktorze — rzekł Truth głosem przyjacielskim. — Zrobiono próbę, masz ją przed sobą. Mamy czterdzieści ośm tysięcy kościołów wystawionych przez prywatnych, które mają wartości przeszło sto milionów dolarów \*). Corocznie wnosimy tysiąc dwieście kościołów. Średnia płaca roczna naszych pastorów jest około pięćset dolarów \*\*). co stanowi budżet wyznań dochodzący do dwudziestupięciu milionów dolarów \*\*\*). Poszukaj pan pomiędzy krajami gdzie państwo płaci wyznania, a jestem pewny, iż nie znajdziesz ani jednego, któryby płacił połowę tego co my \*\*\*\*). Przyczyna tego jest prosta: państwo po-

---

\*) 500 milionów franków (osiemset trzydzieści milionów złotych polskich).

\*<sup>b</sup>) Cztery tysiące dwieście złotych.

\*\*\*) 200 milionów złotych.

\*\*\*\*) We Franeji, której ludność jest o czwartą część większa od ludności Stanów Zjednoczonych, budżet wyznań na rok 1862 jest 49,869,936 franków.



winno być skąpem z pieniędzy, które bierze u ogółu, gdy człowiek pojedynczy lubi wzbogacać swój kościół i nie cofa się przed znacznymi nawet wydatkami. Nic nie ma hojniejszego nad wiarę i wolność.

— To bardzo dobrze — rzekłem — ale kwestja pieniężna nie jest wszystkim; pozostaje kwestja polityczna. Dać pierwszemu lepszemu prawo założenia kościoła, jest to uznać wszystkie stowarzyszenia, jest to otworzyć pole ambicji religijnej i fanatyzmowi, to jest temu, co jest najgwałtowniejszego i najzdradliwszego na świecie. Przypuśćmy że jedno z tych wyznań bierze górę nad innymi i owłada duszami, otóż mamy państwo w państwie. Wtenczas dopiero, ale już zapóźno, uczujesz błąd jakiś popełnił, zrzekając się protekcji potrzebniejszej państwu niż kościołowi, opieki, która w gruncie nie jest czem innym jak obroną wszechwładztwa.

— Tu właśnie na pana czekałem! — zawołał purytanin wpadając jak dzik wśród rozmowy — znam ja was panowie politycy; już od dawna Spinoza, książę ateuszów, materjalista Hobbes i sceptyk Hume odkryli mi waszą tajemnicę. Potrzeba wam kościoła urzędowego dla pozbycia się religji. To nie wpływ polityczny was przeraża, nie istnieje on bowiem w kraju wolnym, ale boicie się wpływu moralnego. Chrześcijanizm jest ze swej natury ruchliwym, postępowym, zdobywczym. Potrzebuje on całego człowieka, chce on przeniknąć swym duchem i opanować tak społeczeństwo jak i rząd. To jest właśnie co nas ożywia a was przestrasza. Biskupi drzemiący w swej pańskiej purpurze, biedni wikarzy, których gorliwość jest miarkowaną i kierowaną; religja rodzaj blahej i jałowej moralności, która prawi ludowi o posłuszeństwie i mówi mu zawsze o jego

obowiązkach, a nigdy o jego prawach — oto ideał który was zachwyca a nas wstrętem przejmuje. Wy odpychacie wolność dla tej samej przyczyny, dla której my jej pragniemy. My wierzymy w Ewangelię, wy się jej boicie.

— Boję się stowarzyszeń — rzekłem — a nie Ewangelji.

— Tak, ponieważ stowarzyszenia są jedyną możebną formą wolności. Potrzeba wam państwa, którego wszechwładztwa nicby nie niepokoilo, i któreby naprzeciw siebie miało tylko odosobnione osobistości i nieme uniesienia. Jest to despotyzm rzymski w całej swej brzydocie. My chrześcijanie rzucamy pomiędzy państwo i człowieka, pomiędzy siłę i samolubstwo, stowarzyszenie, to jest miłość i dobroczynność, prawdziwy związek serc, prawdziwy cement społeczeństwa. Potrzeba nam setek stowarzyszeń i tysięcy zgromadzeń dla szerzenia biblji i słowa Bożego, dla oświecania dusz, pomagania nędzarzom, pocieszania cierpiących i podnoszenia tych którzy upadli. Chcemy, ażeby lud chrześcijański robił dobrze przez wolne współubieganie się swych członków nie zdając na nikogo obowiązku, który sam tylko może spełnić. Lecz wszystkie te stowarzyszenia mogą istnieć jedynie pod tym warunkiem, jeżeli kościół, to najpierwsze i najznakomitsze stowarzyszenie będzie bezwarunkowym panem w swojej sferze. Bo to właśnie kościół podtrzymuje wolnością swoją i zapewnia byt wszystkim stowarzyszeniom; i tym sposobem zamiast być niebezpieczeństwem dla państwa, jest życiem społeczeństwa. I dla tego to potrzeba nam wolności religijnej, potrzeba nam jej, bo ją nam dał Chrystus, potrzeba nam jej, ponieważ jest ona matką wszystkich swobód. Kto tego nie wie, ten nie jest ani chrześcijaninem ani obywatelem.

Za odpowiedź chciałem zdławić tego fanatyka, gdy w tem maleńka rączka oparła się na mem ramieniu. Poznałem Zuzannę i uśmiechnąłem się.

— Już druga dochodzi kochany ojczco — rzekła ona po cichu — czas nam wyjść ztąd.

— Tak, godzina udania się do lasku \*). Czy już jest powóz?

— Dzisiaj mamy dzień Pański ojczco, nie można więc jeździć powozem. Chcę cię zaprowadzić do szkółki niedzielnej.

— Masz słuszność — pomyślałem sobie. — Paryżanin zablakany w tym kraju wolności bardzo potrzebuje iść do szkoły. Potrzebuje on wszystkiego się nauczyć i wszystkiego zapamiętać.

Znalazłszy się na ulicy, z dala od tego teologicznego powietrza, odetchnąłem.

— Oh! — rzekłem poziewając — co to za ciężcy ludzie! Można by powiedzieć, że to są woły zaprzężone do maneżu, obracające się ciągle w kółko. Cała godzina poświęcona religiji i polityce, to za wiele dla Francuza; to dosyć aby się zniechęcić do Ewangelji i do wolności. Któż będzie ze mną rozmawiał o czemś rozsądnem i zabawnem, o malarstwie, operze, muzyce lub wojnie? O Paryżu, Paryżu! potrzeba mi twojej ambrozji, aby się odświeżyć!

---

\*) Do lasku bulońskiego, miejsca przechadzki całego modnego świata Paryża.

Już miałem powiedzieć jakieś głupstwo Zuzannie, gdy w tem spostrzegłem pięknego Naanana postępującego obok nas krokiem pasterza idącego za swą owieczką. Zapomniałem, że byłem w Ameryce, i że na teraz moja panna córka była prezbiterjanka!



## ROZDZIAŁ XXI.

### SZKÓŁKA NIEDZIELNA.

Kto mi potrafi wytłómaczyć słabość ojca dla córki? Czy to jest złudzenie odrodzenia się w niej, tak jak matka sądzi, że się odradza w synu? — Czy to jest przyjemność jakiej doświadczamy, my siwobrodzi, z twarzami pororanemi zmarszczkami, widząc się odrodzonymi w pięknej i wdzięcznej postaci? Czy to jest urok czystej, pragnącej się poświęcić miłości? Tego nie wiem. Nieodstępno Alfreda nie było przy nas, napawałem się więc jak zazdrośnik rozkoszą rozmawiania i śmiania się z Zuzanną. Przeglądałem się w jej przezroczych oczach, gdy nagle wielka, czerwona ręka, osadzona na długim ramieniu, zatrzymała mnie, i głos grobowy zawołał:

— Tej nocy zażądam od ciebie twej duszy....

I w tej chwili wsunięto mi do kieszeni jakiś papier. Odwróciłem się, wtem druga ręka pochwyciła mnie, i inny głos zawołał:

— Pamiętaj o twem zbawieniu! — I znów wsunięto mi papier do drugiej kieszeni.

Na ten hałas nadbiegło trzech czarnych ludzi, podnosząc w górę ręce jak Horacjuszowie do przysięgi, i każdy z nich krzycząc w najlepsze, wpakował mi w pierś nie miecz lecz małą książeczkę. Po czym widzenie znikło.

— Co to jest? — zapytałem śmiejącej się z mego przerażenia Zuzanny.

— Jest to zgromadzenie rozpraw religijnych, które pracuje nad twojem nawróceniem, mój ojcze — odrzekła.

— Mocno obowiązany! — zawołałem, pakując do kieszeni Znaki zwierzęce, Różę Saronu i Trąbę Jerychońską — jak gdzieindziej kradną, tak tu zuów wzbogacają. Coż chcą oni, abym zrobił z temi budującymi skarbami?

— Bądź spokojny mój ojcze — rzekła Zuzanna — posłużą nam one za chwilę do uszczęśliwienia kilku istot.

— Przyznaj pan — rzekłem do Naama — że nadużywanie druku. Mniejsza o rozdawanie biblij, ponieważ to wasza manja, lecz na co może się przydać ta dziecinna teologja, którą siejecie po ulicach?

— Zauważ pan jesteś surowym — odrzekł młody kapłan — nie zapominaj pan, że cała nasza religja jest w biblji. Z tego to pisma każdy z nas powinien swobodną pracą umysłu wydobyć prawidła swej wiary i swego życia. Protestant, który nie czyta, to chrześcijanin, który nie wykonywa tego w co wierzy. Cóż więc może być prostszego nad żarliwość, wiodącą nas nieustannie do biblji? Rozbudzać sumienie, zmuszać najostateczniejzego z ludzi do myślenia i czytania, powtarzać mu, że on sam ma obowiązek czuwać nad swoim zbawieniem — oto jest cel wszystkich druków. — „Myśl o swej duszy, sam bowiem tylko jesteś za nią odpowiedzialny“... oto sens moralny tych wszystkich książeczek. Jeżeli pan nazywasz to teologją, to

cała nasza literatura jest teologiczną; najdrobniejsza powieść jest przenikniona tym samym duchem. Biblia powtarza się w nich co kartka, tak jak i herbata. Nie odmałowanie burz pustoszących serce i niszczących wolę nas zachwyca, ale obraz młodej duszy, która znajdując się pomiędzy pokusą i obowiązkiem, odpycha szatana i ucieka się do Boga. Nawet nasze bajki są rozprawami o wychowaniu.

— Tak — rzekłem uśmiechając się — to moralność w czynie.

— Lepiej niż to — przerwał — to religja w czynie, to wiara, która weszła w duszę i kieruje całym życiem. My nie rozumiemy wcale tej fałszywej różnicy pomiędzy moralnością i religją; nie ma przecież dwóch sumień. Człowiek natury umarł z ostatnim poganinem; my znamy tylko chrześcijanina. Kto jest chrześcijaninem, jest nim wszędzie, w kościele, w rodzinie, w gminie, w państwie.

Uważałem, że pobożny Naaman schwycił z przyjemnością tę sposobność wypowiedzenia na nowo jakiegoś starego kazania, gdy na szczęście przybyliśmy do kościoła prezbiterjańskiego. Był to szósty kościół, który w jednym dniu zwiedziłem; aż nadto słuszna pokuta za mą poprzednią obojętność! Weszliśmy do obszernej czytelni, przytykającej do kościoła. Na wygodnych ławkach siedziało podzielone na grupy z tysiąc dzieci i młodych ludzi. W pewnych odstępach stali pasterze i pasterki tego wdzięcznego stadka; przewodnicy ci nosili nazwę kierowników. Na widok Naamana całe zgromadzenie powstało; organy zagrały bojowy marsz, i wszystkie te młode głosy zaczęły spiewać z towarzyszeniem trąb:

Myśmy Twem wojskiem, Jezu drogi,  
Idziemy naprzód śmiało, bez trwogi  
Z ciemnotą, zbrodnią, do bitwy.  
Miłość, jałmużna, modlitwy,  
Są naszymi pancerzami;  
Naszą chorągwią, o Chryste!  
Jest Twe imię wiekuiste,  
Niem niedolę pokonamy  
I niewiarę wypędzimy.  
Nie uważaj żeśmy mali,  
Spraw tylko byśmy wytrwali,  
Bo za Twą prawdę walczymy!

Jest jakiś urok tajemniczy w głosie dzieci! W miarę jak stajemy się z wiekiem obojętniejszymi dla siebie samych, powiększa się nasza czułość dla tych młodych dusz, które wchodzą w życie nie znając jego niebezpieczeństw. Nie wiem dla czego, uczulem się wzruszonym do głębi spiewem tych małych żołnierzy, zaciągających się tak odważnie pod chorągiew Ewangielji.

— Wieluż z nich — pomyślałem sobie — zostanie za lat dwadzieścia pod tą chorągwią? mniejsza o to; piękny to widok, młodzież ożywiona odwagą i wiarą. Niech nas Bóg zachowa od tych starców ośmnastoletnich, nie wierzących w nic oprócz samolubstwa, tych dusz zgangrenowanych i pozostawiających po sobie zepsucie i śmierć.

Zuzanna stała przedemną, była ona kierownikiem. Nie mało miała biedaczka roboty z powodu podwójnej na ten dzień lekcji, a do tego rewolucja była w szkole.

— Gdzie jest Dinah — wołał głos niesforny. — Dinah jest moją nauczycielką, ja ciebie nie znam.

Zuzanna wzięła na ręce buntowniczkę, która wrywała się płacząc, i powiedziała jej parę słów do ucha. Na-



tychmiast pokazał się na ustach dziecka uśmiech jakby słońce po deszczu.

— Przrzekasz mi to? - wyszeptła dziewczynka.

— Jutro — odpowiedziała Zuzanna. Dziecko objęło za szyję swą nową nauczycielkę, i pocałowało ją w oba policzki. Pokój został zawarty i lekcja się zaczęła.

Toczyła się ona o historii Izraela z czasu królów. Wyznaję ze wstydem, że po raz pierwszy poznałem się bliżej z prorocत्वami Elizeusza. Był to zacny człowiek jak się nie gniewał. Pomimo piękności jego nauki, miałem mu nieco za złe, że kazał niedźwiedzim zjeść czterdzieści dwoje dzieci, które się naśmiewały z jego łysej głowy. Nie chciałbym być prorokiem za tę cenę nawet i w moim kraju.

Dwa zdarzenia miały wielkie bardzo powodzenie u dzieci; te młode dusze mają nadzwyczaj żywe poczucie dobrego i złego. Pierwszem była historia Naamana jenerała króla Syrii, błagającego Elizeusza, aby go wyleczył z trądu. Naaman wrócił do domu wyleczony i nawrócony; lecz nawrócony z zachowaniem ostrożności politycznych, co jeszcze raz dowodzi, że nie ma nic nowego pod słońcem.

„Naaman rzekł Elizeuszowi: Na przyszłość sługa twój nie będzie więcej ofiarował ani całopalenia, ani też ofiar cudzym bogom; będzie on jedynie Panu czynił ofiary.

„Jest tylko jedna rzecz, za którą błagam cię o wstawienie się za mną do Pana. Gdy król mój pan wejdzie oparty na mem ramieniu do świątyni Remona dla oddawania mu czci, niech mi Pan wybaczy, jeżeli oddam pokłon Remonowi w chwili, gdy król mu takowy składać będzie.

„Elizeusz mu odpowiedział: Idź w pokój“ \*).

---

\*) IV. Król. Rozdz. V. w. 17—19.

Muszę wyznać, że pobłażliwość proroka zgorszyła dzieci. Naaman był uznany jednogłośnie za podłego, który wahał się pomiędzy swem sumieniem i interesem. Brawo młodzież! zachowaj ten święty gniew. Nadejdzie dzień, w którym Remon, Mamona lub Baal wyciągnie ku wam rękę pełną złota i zaszczytów, pod warunkiem abyście mu cześć oddali; szczęśliwy kto nie pokłoni się przed bałwanem i zachowa dla Boga tylko ofiarę swego serca!

Następnie przyszła na plac historia Giezy, służącego Elizeusza, człowieka zręcznego, który kazał sobie płacić za cuda swego pana, i handlował cnotą innych. Co za wścibłość w młodych słuchaczach, i co za radość, gdy Zuzanna podnosząc głos aby się stać podobną do proroka, wypowiedziała tę straszną klątwę:

„Masz teraz pieniądze na kupienie drzew oliwnych, winnych latorośli, wołów, owiec, sukien, służących i niewolnic.

„Lecz także trąd Naamana wejdzie w ciebie i w cały twój ród na zawsze.

„I Giezy odszedł cały okryty trądem białym jak śnieg“ \*).

Istnieje jeszcze ten zacny ród Giezy, chociaż czas zmienił go nieco. Na zewnątrz został on białym jak śnieg, lecz trąd wszedł wewnątrz, i nie ciało on nurtuje.

Zachwyciły mnie te nauki dawane dzieciom przez młodzież, i powinszowałem ich pastorowi.

— Lecz. — dodałem — sądzę, że zachowujecie dla siebie katechizm. Zasada mogłaby być narażoną na zmiany przechodząc przez te niewprawne usta.

---

\*) IV. Król. Rozdz. V. w. 26—27.

— Nie — rzekł — tak pod względem doktryny jak i co do reszty zdajemy się na kierowników, rozumie się że pod naszym nadzorem. Nie jest się heretykiem w ośm-nastym roku; jeżeli jest czego się obawiać, to chyba zbyt literalnego brania rzeczy.

— Tak, lecz jeżeli te młode głowy pracują?

— To my jesteśmy na pogotowiu — rzekł pastor — aby im wskazać drogę. Słowa św. Pawła są naszą dewizą: „Tam gdzie jest duch Pański, tam jest także i wolność“ \*). Nie mamy żadnego pociągu do wiary węglarza, tej łatwo-wiernej ciemnoty uświęcającej jednakowo chrześcijanina, mahometanina lub budhystę. Młodość ma przesilenia umy-słowe również jak i cielesne. Nadchodzi godzina, gdy trzeba walczyć z prawdą, jak Jakób walczył z aniołem; ten jedynie jest prawdziwie przekonany, kto został zwyciężonym przez Ewangelję. Nam potrzeba wiary rozumo-wanej.

— I rozumującej — dodałem — bo każdy z tych kierowników wychodzi ztąd z zamiłowaniem i manją pra-wienia kazań.

— Tem lepiej — rzekł Naaman — dla nas każdy człowiek jest kapłanem, każda kobieta kapłanką. Dlaczegożby w społeczeństwie religijnem miało być mniej zapału i wiary, niż w społeczeństwie politycznem? Czyż tytuł chrze-ścijanina jest mniej pięknym, i wkłada mniej obowiązków niż tytuł obywatela?

Milczałem; ten sposób uważania religii za wspólną ojcowiznę wiernych, sprzeciwiał się wszystkim moim my-słom. Mnie nauczano, że kościół jest monarchją a nie rzeczę-

\*) 11. Korint. III. 17.

pospolitą. Jako człowiek rozsądny, zostawiałem zawsze kościółowi, który mnie wychował, staranie o mojem sumieniu i wierze. Bo nie mnie, ale mego spowiednika obowiązuje staranie się o me zbawienie. Na co więc brać na siebie ten trud niepotrzebny, i obciążać się odpowiedzialnością?

Lekcja się skończyła, i Zuzanna, ku wielkiej radości dzieci zabrała odemnie wszystkie książeczki; odspiewano piękną pieśń pożegnania, i uroczystość zakończyła się powszechnem rozdawaniem podarków i uściśnieniem ręki. Stanowisko, majątek, wiek, ubranie, wszystko to od dwóch godzin poszło w zapomnienie; zdawało się, że wszyscy zostali przeniesieni w pierwsze czasy chrześcijaństwa, gdy tłum wiernych miał jedno tylko serce i jedną duszę. I pomyśleć sobie, że co siedm dni, w niedzielę, cała młodzież amerykańska zbiera się na te braterskie zgromadzenia dla dania albo odebrania lekcji miłości i równości! Jakież system naukowy, nie wyłączając i systemu Bossueta, może mieć jako skutek moralny wartość tego wzajemnego kształcenia się!

Wychodząc, spotkaliśmy u drzwi Alfreda, który mnie pozbawił ręki Zuzanny. Nie zazdrościłem mu wcale jego szczęścia; myśli moje zaczęły brać zupełnie inny obrót; uczulem w sercu większą niż kiedykolwiekbądź miłość ojcowską. Mówiłem sobie, że przyszedł czas, aby Zuzanna zaczęła w pożyciu małżeńskim rozwijać swe wielkie przymioty kierownika. Widziałem w przyszłości cały szereg małych dzieci, bardziej religijnych, energiczniejszych i szczęśliwszych od swego dziadka. I przybyłem do domu rozmarzony, patrząc na mych zakochanych, postępujących przedemną lekkim krokiem.



Reszta dnia przeszła na rozmowie o tem, co się widziało i słyszało zrana; a Bogu tylko wiadomo, wiele rzeczy widzi się i słyszy podczas niedzieli w Ameryce! Czemże są nasze widowiska w porównaniu z temi uroczystościami serca i umysłu? Nigdy jeszcze nie przepędził dnia tak poważnie, nigdy czas nie wydał mi się krótszym i lepiej zapelnionym.

Wieczór zakończył się jak zwykle, czytaniem biblii. Marta przyniosła wielką czarną księgę, która już stała się moim przyjaciелеm. Dziwnym wypadkiem, który zawstydział moją filozofję, codzieln w niej znajdowałem odpowiedź na jakieś tajemne pytanie mej duszy.

Stanęliśmy na siódmym rozdziale z Daniela. Widzenie czterech zwierząt apokaliptycznych, przedstawiających cztery wielkie monarchje starożytności, nie nazbyt mnie wzruszyło; za mało mam wyobraźni, aby znajdować upodobanie w tych snach olbrzymich. Inaczej było z Martą, która wzdychała za każdym słowem. Zwierze apokaliptyczne, mające oczy jak człowiek i usta wyziewające zuchwale wyrazy, wyrwało jej krzyk podziwu; widziałem ją nadzwyczaj wzruszoną, gdy prorok malował Przedwiecznego w ubraniu bielszem od śniegu, o włosach bielszych niż wełna, siedzącego na płomienistym tronie, i obsługiwanego przez milion aniołów, podczas gdy milion milionów tychże stało na około Niego w milczeniu. To co dla mnie było tylko prześnią, dla niej było prawdą; jest to może jedyny sposób, jakim idea bóstwa może wejść w naiwny umysł, potrzebujący obrazowości dla pojęcia nieskończoności.

Po tych wielkich obrazach nadeszły dwie strofy, w których prorok zapowiada przyjście Messyjasza.

„13. Patrzyłem w widzeniu nocnem, i widziałem jakoby syna człowieka, posuwającego się na chmurze niebieskiej; zbliżył on się do Przedwiecznego, i został Mu przedstawiony“.

„14. I Przedwieczny dał mu potęgę, zaszczyły i królestwo. I wszystkie ludy, wszystkie pokolenia służyły mu. Jego potęga jest potęgą wieczną, która mu nigdy odjętą nie zostanie, a jego królestwo nigdy zburzonym nie będzie.

Słuchając tego ustępu, uczulem się jakby Danielem: „Myśli moje zostały pomięszane, i twarz moja zmieniona, i zachowałem te słowa w sercu.“\*) Czyż nie byłem rano świadkiem widowiska tego królestwa, którego nic nie jest w stanie wstrzymać od tysiąca dziewięciuset lat? Ten chrześcijaństwo, któremu dzwonią na pogrzeb w starej Europie, widziałem w Ameryce młodszym, silniejszym i tryumfującym jak nigdy. Trzydzieści milionów ludzi żyjących ewangeliją, co to za zagadka dla Paryżanina, który czytał Diderota, i któremu pewnego zimowego wieczora zdawało się, że zrozumiał Hegla!...

Przyszedłszy do swego pokoju, długo się przecha-dzałem, niepokojony mnóstwem walczących z sobą myśli. Wspomnienia dzieciństwa, nauki młodości, rozmyślenia wieku dojrzałego i nowe idee kręciły się po mej głowie, sprawiając w niej ogromne zamieszanie. Zdawało mi się, że jakiś głos tajemniczy śmiał się szydersko naokoło mnie.

— Brawo, Danielu — mruczał ten głos drwiący — stajesz się kapucynem. Jesteś mistykiem, fanatykiem, i śmiesznym w dodatku. Zacznieś wkrótce mówić przez nos jak pastor Brown, i lepiej od niego znać narzeczę Cha-

\*) Daniel VII. 28.

naan. O Francuzie, wieczny kameleonie! Chińczyku w Kantonie, Beduinie w Algierze, purytaninie w Massachuset, komedjancie wszędzie, kiedyż nareszcie staniesz się człowiekiem? — Wróć do Paryża Danielu, a zostawisz na rogatce te suche rozprawy, i tę grubą czarną księgę, którą ludzie z gustem szanują nie dotykając się jej. Filozof grzeźnie się kłania chrześcijaństwu, bo mu nie trzeba nigdy narażać się potędze; lecz iść dalej, to słabość małego umysłu. Bogiem dziewiętnastego wieku jest stary Pan, nazbyt długo przyćmiony bolejącą postacią Chrystusa. Zagłębij się w nieskończoność Danielu, czcij swego ojca: przepaść; jest to wyznanie modne, jedyne, jakie może wyznawać nieomylny umysł ludzki.

-- Nie! — zawolałem — moje oczy otworzyły się; otrząsnąłem się z ciężkiego, rozstrajającego naszą duszę snu. Te dzieci pokazały mi dziś rano, jaki święty związek łączy we wspólnym uścisku wolność i ewangelję! Jeżeli wszystko kończy się dla nas z ciałem, to nie mamy ani praw, ani obowiązków; jesteśmy trzodą szkodliwą, którą trzeba paść i karać, dopóki śmierć nie wyprawi nas na gnucie do wiecznego grobu. Ten tylko jest osobą, kogo nieśmiertelność wprowadza w związek z Bogiem. Ten tylko jest człowiekiem i obywatelem, kto może przywiązać się do sprawiedliwości żywej, do prawdy, która nie umiera. Chory, ubogi, niewolnik, nieszczęśliwy, zbrodniarz, wtenczas dopiero stali się poświęconymi, gdy Chrystus wykupił ich swoją krwią, i okrył swoją boskością. Bądź zdrow Heglu i Spinozo! Bądźcie zdrowe słowa postawione w miejscu rzeczy! Bądź zdrowa, ubóstwiana materjo! Widziałem dokąd te zasady prowadzą ludzi, nie chcę ani niskich uciech tłumu, ani stoickiej rezygnacji mędrców; ja potrzebuję

czego innego, jak szalu albo rozpacz; ja chcę żyć! Żyć, jest to wierzyć i działać. Wyleczyłem się i ze złudzeń młodości i z ambicji dojrzałego wieku; to rozum mój wzywa Cię o Chryste, to doświadczenie sprowadza mnie do Twych stóp. Wróc mi nadzieję po tylu zawodach; powróc mi miłość po tylu zdradach; i oby jak najprędzej mógł zabyśnąć szczęśliwy dzień, w którym stara Europa, naśladowając młodą Amerykę, wzniesie jeden okrzyk ku niebu, okrzyk zbawczy: Bóg i wolność! —



## ROZDZIAŁ XXII.

### KŁOPOTY URZĘDNIKA AMERYKAŃSKIEGO.

Dla człowieka mającego przeszło lat trzydzieści, jest prawdziwą przyjemnością wstać rano, po dniu dobrze spędzonym i spokojnej nocy, z ciałem i umysłem rzeźwym, obwinąć się w szeroki szlafrok, bujać się w rocking-chair<sup>\*)</sup>, i pałac fajkę marylandu, sprawić sobie, jak mówią Niemcy, uroczystość myśli.

Usiadłszy przy oknie, bawilem się widokiem budzącego się miasta. Mleczarki, węglarze, rzeźnicy, kupcy koźmieni przebiegali ulicę, wchodzili do suterren przez drzwi zewnętrzne, i tym sposobem obsługiwali wszystkie domy nie niepokojąc nikogo. Można było powiedzieć, że wszystko było wyrachowane na to, aby nic nie naruszało przybytku, w którym spoczywał gospodarz domu. Mieszkanie Francuza, to pokój w zajezdnym domu, kto chce ten wchodzi; „u siebie“ Saxona jest fortecą bronioną ze starannością zazdrosną przeciw natrętom i ciekawym. Jest to

<sup>\*)</sup> Fotel na biegunach, bardzo używany w Ameryce.

domowe ognisko w świętem i tajemniczem znaczeniu tego starego, przybyłego ze wschodu wyrazu.

Podczas gdy podziwiałem ulicę już zamiecioną i polaną przez mych dozorców, nadjechał z hałasem kabriolet ciągniony przez rączego konia. Zawsze lubiłem konie, to też przypatrywałem się z przyjemnością ognistej minie amerykańskiego klusaka, gdy nagle koń potknął się i upadł. Z głębi kabrioletu wypadł z całym impetem ogromny kapelusz, i jak strzała przeleciał po nad głową konia, za kapeluszem pokazał się i mały człowieczek cały zawinięty w długi surdut. Był to przyjaciel Seth, prześladowany bez wątpienia cieniem biednego psa, którego kazał zamordować.

— Marto — zawolałem wychylając się za okno — Marto przygotuj prędko ocet i wodę, ja zaraz schodzę.

Gdym zeszedł na ulicę, Seth był już na nogach i otrzepywał się z kurzu; po czem obmacał się po całym ciele, aby się przekonać, że nic nie ma złamałego, wypił szklankę wody, i nic nie mówiąc zabrał się do wyprzęgania i podnoszenia konia. Marta cała drżąca była przy nim.

— Wejdz pan do mnie — rzekłem do Setha — trochę spoczynku przyniesie ci ulgę, a jeżeliby trzeba było jakiej pomocy, to masz mnie przy sobie.

— Nie potrzebuję twoich usług doktorze Danielu — odrzekł sucho — do widzenia.

I wzięwszy konia za cugle poprowadził go kulejąc ku mieszkaniu adwokata Fox. Seth przyjechał widać do miasta dla procesu, a nie byłby kwakrem, jeżeliby zwichnięta noga lub stłuczona głowa mogły go skłonić do zapomnienia o interesie. Powróciłem do siebie, i nałożyłem drugą fajkę. Używałem spoczynku bez namiętności i kłopotów; znajdowałem dziecinną przyjemność w śledzeniu

słońca schodzącego powoli z dachów na ulice. Trzy uderzenia do drzwi wyrwały mnie z mych marzeń. Był to sąsiad Fox z teką pod pachą. Te odwiedziny nie mało mnie zdziwiły. Wiedziałem, że był on bardzo rozirytowany porażką wyborczą; a nie był to człowiek zdolny we dwa dni zapomnieć urazę i zawiść.

— Dzień dobry, panie inspektorze dróg i ulic — rzekł wchodząc do mego pokoju.

Nieprzyjemnie mnie dotknął nacisk, z jakim wymawiał każdy z tych wyrazów. Jestem uosobnioną cierpliwością, lecz nie lubię by drwiono ze mnie.

— Moje uszanowanie panu adwokatowi — odpowiedziałem tonem szorstkim. — Moznaby wiedzieć, czemu mam zawdzięczać zaszczyt jego odwiedzin?

— Otóż kochany doktorze — rzekł głosem drwiącym — jesteś grubą figurą! i na drodze do wielkości! Nawet twoi przeciwnicy uchylają głowy przed twymi zdolnościami i powodzeniem. Cóż mogą teraz powiedzieć zawiśtni?

— Nic o tem nie wiem; a co pan mówisz, panie Fox?

— Ja — odrzekł mrużąc jedno oko — ja nic nie mówię tylko to, że skała Tarpejska jest tuż obok Kapitolu.

Po wypowiedzeniu tego oklepanego zdania rzucił się na fotel, dobył tabakierkę, zażył zwolna tabaki, i otrząsnął kilka ziarenek tejsze upadłych na kamizelkę. Po czem założył nogę na nogę, zwrócił ku mnie swą spiczastą twarz, i zaczął mi się przypatrywać w milczeniu z miną kuny wietrzącej królika.

Wstałem z krzesła zaintrygowany tem zachowaniem się Foxa.

— Bądź pan tak łaskaw — rzekłem — i powiedz jasno, co cię do mnie sprowadza?

— Rzecz małej wagi — odrzekł wyciągnawszy się w fotelu, i robiąc młynka palcami. — Prawdziwa bagatela. Małe żądanie 500 dolarów \*).

— O ile wiem, to nic panu nie jestem winien — odparłem zdziwiony tem żądaniem.

— Bez wątpienia kochany doktorze, mnie nic a nic nie winieneś, lecz memu klientowi, to rzecz inna.

Mówiąc to otworzył tekę, i wydobył z niej następujący rachunek :

Rachunek kosztów i wynagrodzeń, jakie doktor Daniel Smith, inspektor dróg i ulic, prawnie odpowiedzialny za złe utrzymanie tychże, winien zapłacić Sethowi Doolittle:

1) Złamane hołoble i naprawa nowego wasaga 50 dol.

2) Zranienie konia w łopatkę i zniżenie wartości tegoż konia, jak najniżej oszacowane 150 „

3) Wyżej wzmiankowanemu Sethowi Doolittle, za skaleczone kolano, połamany kapelusz, rozdarte spodnie, zadrażnienie twarzy etc. wynagrodzenie przez wzgląd na doktora, jak najmniej obrachowane 200 „

4) Za przestkach, naruszenie mózgu, stratę czasu, etc. etc. . . . . 100 „

5) Pielęgnowanie, będące skutkiem rany i upadku, doktor i radzenie się adwokata  
Rachunek...

\*) 4200 złotych polsk.



— Mój panie — rzekłem do Foxa, rzucając mu w twarz ten aptekarski rachunek — nie lubię mistyfikacji, i dziwię się roli, jaką pan odgrywasz w tej śmiesznej farsie.

— Bardzo dobrze — rzekł Fox — więc pan przekładasz proces. Chciałem go panu oszczędzić jako dobrego sąsiad; ale mniejsza o to. Oto wezwanie.

— Co? proces! — zawołałem, wzruszając ramionami. — Proces wytoczony przez człowieka prywatnego inspektorowi dróg i ulic! urzędnikowi! człowiekowi publicznemu! przedstawicielowi władzy! Co za żart! A artykuł 75ty konstytucji z roku VIII?

Dziwna rzecz, która mnie samego zadziwiła, to ostatnie zdanie, wymówiłem po francusku. Ci Saxoni są takie prostaki, tak ograniczeni pod względem administracji, że język ich nie jest w stanie dostarczyć tych pięknie brzmiących wyrazów, stanowiących chwałę rasy łacińskiej.

— Wezwanie jest na dzisiaj — rzekł Fox z krwią zimną, która mnie znięszala — Spodziewam się, że je pan przyjmiesz, aby nie zatrzymywać niepotrzebnie w mieście mego klienta. Pański przyjaciel, a nasz nowy sędzia Humbug, rozstrzygnie tę sprawę w kwadrans.

— Jakto? pan upierasz się przy tem, że ja mam być odpowiedzialny za wypadek uliczny?

— A któż nim będzie, jeśli nie pan? — odrzekł adwokat. — Czyż nie starałeś się pan o obowiązki inspektora i nie przyjąłeś takowych? Czyż pan nie jesteś urzędnikiem i sługą ludu, który cię wybrał? Jeżeli więc istnieje nie dbalstwo, to czyja w tem wina, i kto za to powinien odpokutować?

— Rzecz nie w tem leży — przerwałem ze słuszną dumą. — Nie jestem brukarzem ani robotnikiem zależącym od łaski tego, który mi płaci; jestem urzędnikiem państwa, członkiem rządzącej władzy, pełnomocnikiem panującego.

— Pan jesteś dozrca brukarzy — rzekł Fox — dozrca mianowanym przez obywateli, i odpowiedzialnym przed tymiż obywatelami. Czy znasz pan na świecie kraj, w którymby urzędy istniały na korzyść administrujących, a nie administrowanych? Co do mnie, to znam tylko Chiny ze swymi mandarynami,

Przeczytaj prawo, nienu! — zawołałem.

— Przeczytaj je pan sam — odrzekł Fox — jest ono zacytowane na wstępie wezwania.

Przeczytałem artykuł i spuściłem głowę. Fox miał słusność. Wpadłem w sidła mej własnej ambicji. Ten mniemany zaszczyt, który pochlebiał mej żonie, córce i mnie samemu, był tylko ciężarem pełnym kłopotów i niebezpieczeństw. Byłem niewolnikiem tego tłumu, który witałem wczoraj jako tryumfator. W tym obrzydliwym kraju lud rozkazuje, a urzędnik słucha. Gdybym był o tem wiedział!

Myśl która mi przyszła do głowy, wróciła mi odwagę. Te Jankesy — pomyślałem sobie — jakkolwiek pozostali tak daleko w tył za nami, nie są przecież zupełnymi barbarzyńcami. We Francji, tem ognisku cywilizacji, mamy czterdzieści tysięcy sprzecznych z sobą praw; i władza cokolwiekby zrobiła, zawsze skończy tem, że znajdzie artykuł, przyznający jej słusność; kto wie, czy i w Stanach Zjednoczonych nie ma dziennika praw? Muszę się poradzić adwokata.

— A więc chodźmy — rzekłem do adwokata — trybunał już musi być otwarty. Humbug nas rozsądzi. Jeżeli przegram sprawę, to będę przynajmniej wiedział co trzymać o wolności amerykańskiej, którą mnie zdurzono. Zabawna wolność ludu, gdzie władza, to jest naród-człowiek, uchyla czoła przed wyrokiem sędziego pokoju!

Wyszedszy na ulicę, spotkaliśmy kwakra, spokojnego jak zawsze. Na znak Foxa ruszył on w milczeniu za nami.

Marta zbliżyła się do mnie, i rzekła wzdychając:

— To na tym samym bruku pańska córka i ja wyróciliśmy się kilka dni temu.

O potęgę słowa! Te proste wyrazy zupełnie zmieniły kierunek mych myśli.

To ty moja droga Zuzanno zaniepokoiłaś moje sumienie! To pewno, że moja wiara polityczna jest silniejszą nad nowoczesne szaleństwa; gotówbym utrzymywać z głową na rusztowaniu, w obec i przeciw wszystkim, że władza się nie myli; roztrząsanie jej czynów zabiłoby ją. To prawda, że to nieszczęście gdy koń albo i chrześcijanin skręci kark na źle utrzymywanym bruku, ale cóż to znaczy! Konie mijają, zasady pozostają! Interes ogólny jest wyższy nad te drobnostki interesu prywatnego. Oto jest dogmat zachowawczy, którego mnie nauczono; ja go wyznaję, a jednakże cztery dni temu, widok mej zranionej córki skłonił mnie do zapomnienia mego godła. Ja także w szalonym uniesieniu chciałem mieć przed sobą odpowiedzialnego urzędnika, i gdybym go był miał, tobym był z nim postąpił tak jak ten nędzny kwakier ze mną, z pominięciem rachunku na dwa tysiące pięćset franków. Jakże słabem jest nasze serce, i jak wszyscy, nawet pomimo naszej wiedzy,

jesteśmy zarażeni republikańską trucizną!... Humbug był w swoim gabinecie, gdzieśmy weszli wraz z Martą nie odstępującą swego ukochanego. Czyżby i ona miała być nowym przeciwko mnie sprzyśięzonym nieprzyjacielem?

— Dzień dobry, doktorze — zawołał Humbug ujrawszy mnie z daleka. — To pięknie z twej strony, żeś zechciał zaszczyścić swoją obecnością mój skromny trybunał. Nigdy nie można za wiele nauczać ludzi uszanowania dla sprawiedliwości, siostry religji...

To nie przyjaciel ale obżałowany staje przed tobą panie sędzio.

— Co? proces — rzekł marszcząc swe wielkie brwi. — Czyś zapomniał mądrej nauki naszych ojców. Potrzeba sześciu rzeczy, aby wytoczyć lub przyjąć proces: *primo*, dobrej sprawy; *secundo*, dobrego adwokata; *tertio*, dobrej rady; *quarto*, dobrych dowodów; *quinto*, dobrego sedziego; *sexto*, szczęścia. Połączenie tych wszystkich warunków jest tak rzadkim wypadkiem, że radzę każdemu trzymać się tych słów Ewangelji: „Jeżeli kto chce ci wytoczyć proces o twą suknię, oddaj mu jeszcze i twój płaszcz.“ Zyskasz na tem spokojność umysłu i koszta sądowe w dodatku.

Podczas gdy Humbug podpisywał jakieś papiery, ujrzałem w kącie Martę i Setha żywo rozprawiających. Z kilku słów schwyconych w przelocie domyśliłem się, o co idzie. Seth mówił o zniewadze, o dobrej sposobności, o zagospodarowaniu się. Marta wzdychając i machając rękami mówiła o uczciwości, o Biblii, o małżeństwie. Wyraźnie dwoje gołąbków kłóciło się o mnie. Zaczyna Marta, ona przynajmniej brała na serjo czytaną co dzień bibliję. Przywiązanie do nas odniosło w niej zwycięztwo nad miłością. Może



też chciała się przed ślubem jeszcze przekonać, kto będzie panem w domu.

— Jedno albo drugie — rzekła oddalając się od kwakra z widoczną niecierpliwością.

— Kto to wie — odrzekł Seth — powraca się i z bardziej daleka.

I mówiąc to spokojnie zbliżył się do Foxa, któremu nie trudno było dowieść, że dla mędrca daleko jest korzystniej stracić narzeczoną, niż zrzec się korzystnego procesu.

Wózny ogłosił, że nadeszła godzina posłuchania.

— Wejdźmy — rzekł Humbug. — Tobie daję pierwszeństwo doktorze. Procesy są jak bóle zęby, trzeba ich się pozbyć jak najprędzej; a raz je wyrwawszy, już się więcej o nich nie myśli.

— Jak się to dzieje — zapytałem go — że jest tak mało osób w sali? sądziłem, że w kraju wolnym wymiar sprawiedliwości jest sprawą obchodzącą wszystkich obywateli.

— Widzisz kochany doktorze — odrzekł Humbug — tych trzech stenografów przygotowujących papier i pióra? Odpowiem ci więc jak niegdyś lord Mansfield: „Tam jest kraj.“ Bądź spokojny, za dwie godziny cały Paryż będzie się zajmował twoją sprawą. Jawność sprawiedliwości, to jawność dzienników. Znieś sprawozdania publiczne, a będziesz sądzony tajemnie, i zaduszony pomiędzy czterema ścianami, chociażby i trzysta osób znajdowało się w tem ogrodzeniu. Forum naszego trzydziestomiljonowego ludu jest dziennik. Dzięki jemu najmniejszy obżałowany, najnędrniejszy złoczyńca ma za sędziego, świadka i adwokata cały kraj. Wierzaj staremu dziennikarzowi, kochany przyjacielu, dziennikarstwo jest jedyną rękojmią sprawiedliwości i wolności.

Co do mnie, to jedną tylko rzecz widziałem w tych słowach Humbuga, to jest ten wielki djabelski afisz, który wywieszono na ulicy, aby zabawić cały Paryż moją awanturą. Aby uniknąć tej nieprzyjemności, zrobiłem zuchwałę postanowienie. Przegram proces — pomyślałem sobie — lecz będę miał po mojej stronie żartownisiów.

Chciałem mówić, ale już Fox przeczytał swoje żądania, i zaczął obronę.

— Znajdują się — mówił jakby wskazując na mnie ręką — znajdując się pewni ludzie bez talentu, geniuszu i zdolności, którzy niepokojeni śmieszną ambicją, albo raczej chorobliwym śwędzeniem, zebrzą o głosy ludu, i wystawiają sobie, że urzędy publiczne istnieją jedynie dla zadowolenia ich śmiesznej próżności.

Ten wstęp był dla mnie dostatecznym; wcalem sobie nie życzył, aby wydrukowano coś jeszcze więcej.

— Za pozwoleniem pańskim — rzekłem...

— Nie przerywaj mi pan! — zawołał Fox swoim najcierpszym głosem, przybierając obronną postawę, jak kogut rozczepierający wszystkie swe pióra — nie przerywaj mi pan...

— Daruj szanowny adwokacie — przerwałem — lecz aby występować z obroną, to trzeba aby istniał proces, a tego tu nie ma.

— Panie sędzio! — mówiłem dalej — mianowany dopiero od dni czterech inspektorem, mógłbym się tłumaczyć nowością moich obowiązków, i zrzucić na mego poprzednika odpowiedzialność za niedbalstwo, któremu nie jestem winien; lecz niech Bóg zachowa, aby urzędnik publiczny wybrany przez lud, miał się dopuszczać podobnych wykroczeń. Urząd obowiązuje, a ja chcę być pierwszym w daniu

przykładu szanowania prawa. Uznaję się odpowiedzialnym za wypadek, nad którym ubolewam; nieużytecznym więc jest napadać na człowieka, który się nie myśli bronić.

— Bardzo dobrze — zawołał nie mogący się dalej powstrzymać kwakier. — Przyjacielu Daniel, ty jesteś urzędnikiem podług serca Pańskiego, Boozem, Samuelem; daj mi pięćset dolarów albo odpowiednią rękojmię, a uznam się zaspokojonym.

— Trochę cierpliwości — odrzekłem — jestem gotów zapłacić zaraz wszelkie słuszne wynagrodzenie, którego wysokości nie chcę nawet roztrząsać. Wzywam do przysięgi mego przeciwnika, niech ten święty człowiek, ten kwakier oznaczy sam wysokość szkody przezemnie wyrządzonej.

— Nie przyjmuję — zawołał Seth rozgniewany i zmieszany zarazem — wolę się procesować, mój adwokat obiecał mi zupełne powodzenie. Czyż to kwakier składa kiedy przysięgę? Widać że nie czytasz Ewangeliji Danielu! Chrystus powiedział: „Nie przysięgaj na cokolwiek bądź, ani na niebo, ponieważ ono jest tronem Boga; ani na ziemię, ponieważ ona jest Jego podnóżkiem; ani na Jerozolimę, ponieważ ona jest Jego podnóżkiem; ani na Jeruzalem“.

— Dostyc — rzekł Humbug — daj pokój tej nieużytecznej piosnce. Żądają od ciebie jedynie, abyś powiedział w obec Boga i jak to Chrystus nakazuje: tak jest, albo tak nie jest. Wejdz w swoje sumienie i pomyśl o swem zbawieniu. Żądam od ciebie prawdy, całej prawdy, i nie tylko prawdy. Niech Bóg będzie twoją pomocą!

Kwakier podrapał się w głowę, i spojrzął na adwokata z miną wzbudzającą politowanie. Fox milczał, Seth odwrócił się, i ujrawszy Martę stojącą w milczeniu, zbladł.

i zaczął bełkotać. Sumienie, interes i miłość wydały w nim sobie straszną walkę, i trzeba powiedzieć na pochwałę kwakra, że interes nie odniósł zwycięstwa.

— Oto rachunek — rzekł — fakta są prawdziwe, lecz naturalnie, że można nieco zniżyć cenę. Wasąg nie był nowy, trzeba go jednak będzie naprawić. Pięć dolarów, nie prawdaż Marto, że to nie za wiele?

Dziewczyna zrobiła znak głową jak posąg komandora w Don Juanie.

— Położmy pięć dolarów — rzekł kwakier tonem płaczącym. — Koń był już wpierw otarty, lecz rana się odświeżyła na nowo. To warto pięć dolarów, nie prawdaż Marto?

— Dla siebie nie żądam — mówił dalej — lecz za rozdarte spodnie i dzień stracony położmy dziesięć dolarów, nie prawdaż Marto?

— A adwokat — zawołał Fox — zapomniałeś o nim.

— Adwokat — rzekł kwakier, rad, że może wyrzeć na kimś wściekłość swego skąpstwa — adwokat jest głupiec, który mi źle poradził. Pięć dolarów na zapłacenie jego dziesięciu słów nieużytecznych, to nawet za wiele, nie prawdaż Marto?

I oczy Setha zajaśniały na widok swej kochanki, śmiejącej się głośno z zakłopotania Foxa.

— Oto dwadzieścia pięć dolarów — rzekłem, szczęśliwy, że tak tanio wyszedł z tej sprawy.

— Ach Marto — zawołał kwakier — sumienie to ruina. Jestem pewny, że ci którzy robią grube pieniądze, albo go wcale nie mają, albo też nigdy się niem nie powodują.



— Milcz synu Beliala! — rzekła Marta — i błogostaw niebu, że mnie postawiło przy tobie

— Brawo doktorze — rzekł Fox klaniając się z uszanowaniem — zręczny z ciebie gracz. To szczęście dla nas, że nie jesteś adwokatem.

— Mylisz się kolego — rzekłem śmiejąc się — jesteśmy z jednego cechu.

-- Jakim sposobem? — rzekł Humbug.

— Napisałem kilka lat temu rozprawę lekarsko-prawniczą: o kobietach niezmiernie łagodzących charakter swych mężów, za pomocą umiarkowanie dawanego laudanum. Za to dostałem patent uniwersytetu charkowskiego; jestem adwokatem i doktorem praw u Kozaków.

— Kolego! — rzekł Humbug głosem uroczystym — zrób mi ten zaszczyt, i zajmij miejsce obok mnie. A wy panowie stenografowie, nie zapomnijcie tego zadziwiającego faktu. Lekarz a zarazem doktor praw uniwersytetu w Charkowie, to można tylko spotkać w Ameryce. Jestem pewny, że w całej starej Europie nie możnaby było znaleźć takiego Fenixa, jakiego posiadamy w Paryżu... w Massachussett. Charków, panowie, nie zapomnijcie. Charków!

## ROZDZIAŁ XXIII.

## POSŁUCHANIE U SĘDZIEGO POKOJU.

Usiadłem obok Humbuga, trzymając się przez uszanowanie nieco z tyłu, i podczas przywoływania spraw cywilnych małej ważności, zacząłem się przypatrywać sali i aktorom. Nie było żadnego wzniesienia, któreby pozwalało sędziemu być umieszczonym wyżej od sądnego; prosty drąg drewniany oddzielał trybunał od publiczności. Humbug siedział za szerokim biórem, obok niego z obu stron pisał sekretarz czy też woźny. Naprzeciw sędziego znajdował się rodzaj łoża przeznaczony dla oskarżonego, a co kolwiek na przedzie był stół dla skarżącego i świadków. I nic więcej. A co jeszcze dodawało prostoty widowisku, to to, że nikt nie miał na sobie munduru. Humbug siedział w czarnym ubraniu i w kapeluszu na głowie; adwokaci nie mieli żadnego odrębnego ubioru. Żadnych mundurów, żadnych wyłogów, ani nawet peruki. Ten lud pierwotny ma tak naiwną wiarę w sprawiedliwość, że jej ufa bez żadnych form. Wszędzie czuć purytańską gburowatość. Trzeba jeszcze dodać, że jest miejsce honorowe dla steno-

grafów. Przedstawiają oni lud, dozorując jego sędziów i sądząc sprawiedliwość. Oto są twoje dzieła o demokracjo! A jednakże nie ma kraju, gdzieby więcej szanowano prawo i ufano sędziom. Jest to jedna z tych dziwaczności dowodzących z największą jasnością, że Saxon jest stworzony do wolności jak Francuz do wojny, a Niemiec do kapusty kwaśnej i filozofji. Było to szaleństwem naszych ojców przypuszczać, że to silne pożywienie przypada wszystkim żołądkom. Ci biedacy nie odgadli w swej ciemnocie, że są rasy indywidualistów i rasy centralistów (dwa piękne słowa), jedno na to, ażeby jak sokoł bujać w przestrzeni, drugie aby żyć stadem i być strzyżone jak barany. Polityka, religja, filozofja, wolność, to są kwestje historii naturalnej; różnice odróżniające człowieka cywilizowanego od innych dwu- lub czworonóżnych zwierząt. Zadziwiająca odkrycie! Wieczny zaszczyt pięknym genjuszom naszych czasów!

Gdy lista procesów cywilnych została wyczerpaną, wprowadzono do łoży oskarżonego. Był to młody człowiek, bladej, o długich włosach, minie zniewieściałej i bezwstydney. Na zapytanie Humbuga wymienił swe nazwisko i miejsce zamieszkania, dodał że jest krawcem, i że występuje jako niewinny \*). Poczem usiadł poprawiając swe długie włosy i patrząc z uśmiechem pogardy na swych oskarżycieli.

— Oto jest panie sędzio — rzekł policjant — jeden z najzręczniejszych tutejszych łotrów; w tłumie, gdzieśmy go aresztowali, ucięto sześć kieszeni w przeciągu kwadransa. Wzięliśmy tego dobrze znanego nam hultaja, miał on te

---

\*) *To plead guilty*, albo *not guilty*, jest to wyznawać swoją zbrodnię, albo utrzymywać że się jest niewinnym. Jest to jedyne zeznanie, jakiego prawo żąda od oskarżonego.

wielkie nożyczki za podszewką swego surduta, oprócz tego nic nie znaleźliśmy przy nim.

— Nie ma innych świadków, innych dowodów? — zapytał sędzia.

— Nie, panie sędzio.

— A więc puście wolno oskarżonego, a na drugi raz starajcie się być zręczniejszymi.

Złodziej uklonił się Humbugowi, i oddalił się krokiem spokojnym, jak człowiek, który nigdy nie wątpił o swem uwolnieniu.

— Jak to? — rzekłem do Humbuga — pan puszczasz tego lotra.

— Bez wątpienia, nie ma *corpus delicti*.

— Ale zła reputacja tego nędznika, a te ucięte kieszenie, a te znalezione nożyczki, czyż to nie dowody?

— Nie — przerwał Humbug — są to tylko proste domniemania. To bardzo prawdopodobnie, że ten człowiek wmięszął się w tłum dla popełnienia kradzieży; lecz prawo karze zbrodnię a nie zamiar. Zostawia ono pole wahaniu bojaźni, wyrzutom sumienia. Jeżeliby przyszło karać za zamiar, najpocziwszy człowiek byłby wart szubienicy z dzieśnięć razy w życiu. A zresztą jeżelibyś pan dał sędziemu prawo czytania w duszy obwinionego, to czemużby się stała sprawiedliwość ludzka? obłudną samowolą. W takim razie nie czyn naganny stanowiłby winę, ale dziwactwo albo przesąd sędziego.

— Szczęśliwy kraj! — zawołałem — gdzie prawo proteguje złodzieja!

— Proteguje ono jeszcze bardziej niewinnego — odrzekł Humbug. — Któżby przy waszym systemie śledztwa uniknął zawiści prywatnych lub zemsty politycznej? Któ-



ryżby sędzia przy waszem prawie domyślania się nie był wystawiony na omyłki i wyrzuty sumienia? Temis \*) jest ślepa mój przyjacielu, ona nie widzi tylko czuje. Jeżeli chcesz by działała, to rzuć na szalki istotę czynu, coś materialnego, ciężkiego, coby poruszyło ważki; lecz domniemywania, zamiary, zła reputacja, to wszystko nic nie waży. *Sunt verba et voces praetereaquae nihil.*

W tej chwili wszedł do sali rodzaj Herkulesa, ubrany za policjanta, niosąc w powietrzu małego człowieczka, rzucającego się jak djabeł w kropielnicy; nie ręczę za dokładność porównania. Olbrzym rzucił siłą karła do łoży; po czem poprawiając surdut, u którego brakowało kołnierza, i obcierając twarz całkiem podrapaną, rzekł głosem zadyszczanym:

— Oto przynoszę ci buntownika, mój sędzio.

— Za pozwoleniem — rzekłem do Humbuga — przecież pan nie będziesz na poczekaniu sądził dopiero co zaszłego przestępstwa popełnionego zewnątrz posiedzenia.

— Dla czego nie? — rzekł sędzia zdziwiony mem zapytaniem.

— A formy? — zawołałem. — Zacznij pan od zamknięcia w więzieniu tego człowieka, zostaw policji zrobienie śledztwa, potem każ złożyć zaskarzenie, potem poddaj to zaskarzenie zimnemu i poważnemu badaniu, potem sprawdź badanie samo, by nie zostawić miejsca ani omyłce, ani namiętnościom. Przeznacz na to piętnaście dni, przeznacz miesiąc, choćby i trzy miesiące, jeżeli tego będzie potrzeba; czas jest niczem, ale zachowaj formy, one są rękojmnią wolności.

---

\*) Bogini sprawiedliwości.

— Bądź spokojny doktorze, urządzimy postępowanie sądowe publicznie z krajem za świadka. Takie światło rozpedza wszelkie omyłki i wszelkie namietności *Solem quis dicere falsum audeat* \*), Obwiniony będzie miał wszystkie rękojmie przez pana żądane, wyjąwszy więzienie zapobiegające, o które zapewne nie tyle mu chodzi co panu.

— Oto tak — mówił dalej policjant — wczoraj przybyłem z prowincji, tego rana byłem po raz pierwszy na służbie, gdy w tem ten pan nadbiega pomieszany, zadyuszany, czerwony jak burak. „Nareszcie znalazłem cię policjancie, krzyczy. Prędko, prędko, na ratunek, potrzeba twojej pomocy.“

— Co tam się dzieje? — zapytałem.

— Dzieje się — odrzekł wzdychając — dzieje się, że spełnioną zostanie szkaradna zbrodnia, jeżeli temu nie przeszkodzisz! Widzisz ten tłum cisnący się, tam jest człowiek mordujący swą żonę grubym kijem. Słuchaj: wołają o ratunek. Biegnij prędko, i nie dopuść nieszczęścia.

— A któż to jest ten człowiek? — zapytałem go.

— Nie bardzo wielki — odpowiada mi — ale to dziki.

— Dobrze — mówię — widziałem ja i gorszych.

— Mów krócej — rzekł Humbug.

— Już skończyłem mój sędzio, biegnę, rozsuwam nie ruszający się tłum, i widzę człowieka bijącego swą żonę w głowę grubym kijem.

— Przyaresztowałeś go?

---

\*) Któżby się ośmielił zarzucać kłamstwo słońcu.

— Nie, mój sędzio — rzekł Herkules drapiąc się w ucho i zniżając głos — było... było Poliszynel!

— Mów dalej — rzekł Humbug przygryzując sobie usta, gdy tymczasem publiczność i sam nawet oskarżony śmieli się na głos.

— Tak mój sędzio. Otóż wracam na moją stanowisko, naturalnie cokolwiek rozdrażniony. Aż tu nadbiegają wszystkie uliczniki miejskie z tym panem na czele, i dalejże wyc: „Policjancie, wołają cię na ratunek! morderstwo! Poliszynel zabija swoją żonę!“ — Cóż robić — pomyślałem sobie — zdrażwioną ze mnie, prawo tego nie zabrania: złapałem się; milczmy więc, trzeba zapłacić frycowe. Idę więc sobie zwyczajnym krokiem, jakby nigdy nic, gdy oto ten pan, który jak się zdaje jest płatnym za to, aby zabawiał miasto, staje przedemną z rękami na krzyż założonemi, i rzecze na cały głos: „Ah, znam cię, ty jesteś złodziej i morderca!“ — Co, ja! — zawolałem. — „Ty który mi odpowiadasz. Obywatele! biorę was wszystkich za świadków i sędziów. Powiedzcie sami, czy on nie zamordował Orangutana aby mu ukraść twarz?“

— Bardzo dobrze mój panie — rzekłem — każdy ma swoją kolej; to jest zniewaga, mam prawo za sobą. Chodź pan ze mną do sądu. On w nogi, ja go zatrzymuję za rękę; on mi odpowiada uderzeniem pięścią w twarz; porywam go więc, i przynoszę tu w całości. I oto on!

Oskarżony powstał zawstydzony i oświadczył, że nie zaprzecza faktów, tłumaczył swój upór tem, że żartując jako Poliszynel, nie sądził że popełnia przestępstwo.

— Mylisz się pan — odrzekł Humbug tonem żartobliwym. — Gdybyś znał lepiej swój godny wzór, tobyś wiedział, że po każdym wielkim czynie, pakują go do wię-

zienia w formie szkatułki starannie zamkniętej. Ja mniej będę surowym z panem; będzie cię to tylko kosztować dziesięć dolarów kary, i drugie dziesięć na wynagrodzenie krzywdy wyrządzonej temu poczciwemu policjantowi. Podziękuj mu za jego dobroć; gdyby był nieco ścisnął palce, byłoby po tobie.

Mały człowieczek wydobyl z zatłuszczonego pugilaresu kilka papierków bankowych, i podał je dosyć niechętnie woźnemu; po czem wyszedł wzdychając, i został przyjęty na ulicy szyderskimi okrzykami tłumu, przyklasującego policjantowi. Na ten raz Goliat zwyciężył Dawida; prawda że miał sprawiedliwość po swojej stronie.

Po kawalerze pani Poliszynel przesunęli się przed nami zwykli goście policji poprawczej: żebracy, włóczęgi, pijacy, rozpustnicy, kłótnicy, oszusty, szulery i inne łotry; wszystkie nędze i wszystkie występki. Widząc z jaką szybkością i pewnością Humbug badał i sądził każdą sprawę, a nadewszystko z jakim poddaniem się i bez szemrania skazani przyjmowali przewidzianą karę, pogodziłem się z postępowaniem sądowem amerykańskiem. Bardzo być może, że jawność w badaniach kryminalnych, jest jednym z odkryć nowoczesnych, które znoszą czas.. Sędzia amerykański, chwytając zaraz w pierwszej chwili wyrazy obu dwóch stron, zamiast czytania ich na papierze nie zachowującym ani ich dźwięku, ani sensu, stawiając naprzeciw siebie oskarżonych, oskarżycieli i świadków, odkryje w kilka minut prawdę, która u nas ulatnia się tak często w tysięcznych kanałach, w których ją ostudzamy. Wymierzać szybko i dobrą sprawiedliwość bez naruszenia wolności, oto zadanie, które te Jankesy rozwiązali. Nauka nas omyliła, wypadek im posłużył.



Co do jednego punktu jednakże, pozostały we mnie niejaki skrupuły.

Zapytałem Humbuga, czy go nie przerażała jego władza. Mieć w swoim ręku majątek, honor i wolność tylu oskarżonych, sam jeden niemi rozporządzać, to straszna odpowiedzialność; czyżby nie lepiej było podzielić ją?

— Nie — rzekł Humbug — interes sprawiedliwości temu się sprzeciwia. Urządzić trybunał z trzech lub czterech sędziów złożony, to nie jest pomnożyć, lecz podzielić odpowiedzialność; oskarżony straciłby przez to najlepszą rękojmnię. Samemu i pod okiem publiczności, zdaje mi się, że Bóg na mnie patrzy; czuję całą świętość spełnianego przezemnie obowiązku. Czembym miał więcej kolegów, tem bym się czuł mniej odpowiedzialnym. Coż to jest trzecia, piąta lub dziesiąta część odpowiedzialności? A jeżeli wyrok jest podły, na kogo ma powstać opinja publiczna?

— Jednakże — rzekłem — patrz pan na sąd przysięgłych.

— Właśnie miałem panu ten przykład przytoczyć. W tym kraju większość jest panią; ilość stanowi wszystkie prawa. Jedenastu sędziów przysięgłych nie może odjąć obwinionemu ani życia, ani honoru; sprzeciwienie się jednego jest dostatecznem, aby zawiesić ich wyrok. Zkądże to pochodzi? Oto ztąd, że tu jest kwestja moralna, a nie zadanie arytmetyczne; jeden głos odpuszczający winę może mieć więcej wagi, niż jedenaście potępiających. Dlatego to prawodawca wymaga nie większości głosów, ale jednozgłośności. Żąda on nie odpowiedzialności podzielonej na dwanaście części, ale dwunastu odpowiedzialności. Widzisz więc pan, że nie ma w tem nawet pozoru wyjątku; jestto za-

wsze to samo prawidło, tylko jeszcze wzmocnione: jeden sędzia, pełna i zupełna odpowiedzialność.

To rozumowanie zadziwiło mnie; zawsze sądziłem, że jednozgodność sędziów przysięgłych była jedną ze starych pozostałości feudalnego barbarzyństwa, które nam pozwala drwić z Anglji, i czyni jeszcze wydatniejszą naszą wyższość. Humbug zamącił czystość mej wiary. Napróżno przywozilem sobie na pamięć mądre słowa Montaigne'a: „Oh! co to za słodka i miękka poduszka niewiadomości i nieciekawość, i jak zdrowo oprzeć na niej spokojną głowę!“

Powątpiewanie jest jak deszcz, żaden podróżny go nie uniknie. Francuzi! chcecie zachować tę słuszną dumę, to sprawiedliwe zadowolenie z samych siebie, które stanowi waszą siłę i waszą radość, to nie traćcie nigdy z oczu waszych chorągiewek!

Nagle poruszenie w sali, po którym nastąpił długi szmer, dało nam znać o przybyciu ważnej osoby. Pokazał się też zaraz jakiś gruby jegomość, posuwając się majestycznie naprzód, z głową w górę zadartą, z oczami na wpół przymkniętymi, sapiąc za każdym krokiem i nie patrząc na nikogo. Zbliżywszy się do stołu oskarżycieli, powitał Humbuga familjarnem poruszeniem ręki i protekcyjnym uśmiechem.

Był to bankier Little, niosący na wydętych policzkach pychę swoich dwudziestu milionów.

Tuż za nim postępowało dwóch policjantów, prowadząc mężczyznę wysokiego, chudego, o zapadłych policzkach, namiętych oczach, o minie gracza, który postawił swe życie na kartę i przegrał. Upadł on bezwładnie na krzesło oskarżonych, i zakrył twarz rękami.

— Panie sędzio — rzekł bankier — dziś rano zgłoszono się do mej kasy z wekslem na dwa tysiące dolarów, który składał na pańskim biurze. Mój kasjer, człowiek zdolny, którego znasz panie Humbug, nie widząc tej wypłaty oznaczonej na rejestrze terminowym, powziął myśl przyniesienia mi tego weksłu, pomimo błahości sumy. Nazwisko wystawiającego, przelanie, moja akceptacja, wszystko jest fałszywe. Od dziś rana zgłaszano się już trzy razy z podobnemi weksłami, których jednakże nie chciano zostawić. Jest to rzecz przygotowana przez pewną liczbę oszustów. Rachowano, że zostanę burmistrzem, i że z tego powodu nie będzie mnie dziś w domu, i że mój kasjer nie odważy się odmówić wypłaty weksłu przezemnie podpisanego. Ja przytrzymałem tego pana, do sprawiedliwości należy wykrycie jego współników.

— Oskarżony — rzekł Humbug — czy masz co do odpowiedzi? Pamiętaj, że twoje wyrazy będą zapisane i w razie potrzeby użyte przeciwko tobie. Namysł się więc w pierw, nim zaczniesz mówić.

— Nie mam nic do powiedzenia na teraz — wyszeptał obwiniony.

— Jestem więc zmuszony odesłać pana do sądu kryminalnego za zbrodnię fałszerstwa — dodał Humbug głosem wrzuszonym. — Czy możesz dostarczyć dwie kaucje po pięć tysięcy dolarów? Inaczej musiałbym zatrzymać pana w więzieniu.

— Postaram się znaleźć poręczycieli — odrzekł oskarżony.

— Bardzo dobrze. Siadaj więc pan do powozu z dwoma policjantami, i jedź zobaczyć swych przyjaciół. Za powro-

tem przejrzymy pańskie papiery, i w razie potrzeby przedsięwzięmiemy inne środki ostrożności.

— Jakto, myślisz pan puścić wolno tego fałszerza?— rzekłem do Humbuga. — Ma on współników, których ostrzeże, a w dodatku i sam ucieknie.

— Prawo — odpowiedział sędzia — ustanawia więzienie prewencyjne jedynie dla zbrodni, pociągających za sobą karę śmierci. Co do reszty, zdaje się na przezorność sędziego. Dlaczegoż pan chcesz, abym odjął temu człowiekowi środki bronienia się? Czy dla tego, aby stawił się przed sądem kryminalnym jako ofiara, i aby ogół zainteresował się nie okradzionym ale złodziejem? Potrzeba będzie sprawdzań, śledztw, badań, a czyż to wszystko może się dziać na ślepo, w nieobecności obwinionego? Czy oskarżony nie ma prawa roztrząsać i krytykować wszystkich przeciwko sobie wymierzonych ataków? Postępowanie kryminalne nie jest karą, lecz poszukiwaniem prawdy.

— Wy z waszą fałszywą ludzkością rozbrajacie społeczeństwo, ja nie tak rozumiem sprawiedliwość.

— Jakże więc ją pan rozumiesz? — zapytał Humbug.

— Pozwól mi pan zrobić jedno porównanie — odrzekłem. — W społeczeństwie tak samo jak i w lesie znajdują się drapieżne ptaki i szkodliwe zwierzęta; są to nieprzyjaciele, na których policja i sprawiedliwość nieustannie polują. Policja ich tropi, a sprawiedliwość czeka na stanowisku: sędzia, zręczny myśliwy, zabija i wytępia to przekłete plemię. Zażądaj rękojmi od wilka, daj list żelazny lisowi, a zobaczysz co się stanie z baranami i kurami. Opiekować się pocziwymi ludźmi, to pierwszy obowiązek



sprawiedliwości; złym jest ona winna tylko karę i wytepienie.

-- Żarty twoje kochany przyjacielu są okrutne *Quae-nam ista jocandi saevitia*. Jeżeli znajdują się wilcy pomiędzy istotami ludzkimi, czemu wcale nie przeczę, to mają oni taką samą skórę niż i owce; przed zabiciem więc rozbójnika trzeba go rozpoznać. I to jest robota wymagająca nieco delikatniejszej ręki niż dłoń myśliwego. Sprawiedliwość nie jest czem innym jak społeczeństwem, matką wszystkich obywateli; aż do wyroku wierzy ona w niewinność swych dzieci. To macierzyńskie zaufanie nie jest próżnem słowem, jest to czynna czułość opiekująca się i podtrzymująca obwinionego, nie opuszczając go ani na chwilę. Sądysz pan może, że to przysięgli karzą zbrodnię; wyjdź pan z błędu. Postępowanie sądowe jest u nas tak szerokie, tak wolne, tak wspa-niałomyślne, że powiedziawszy prawdę, to sam winny się potępia, i przyjmuje pokutę. Przypatrz się pan naszym sądom kryminalnym, a zobaczysz że to łagodność naszego postępowania sądowego rozbija oskarżonego. Atakowany oburza się, obrażony znieważa; duma i gniew tak samo podtrzymują łotra jak i porządnego człowieka; lecz usprawiedliwić się, kiedy same tylko fakta cię oskarżają, wyjaśnić po prostu swe postępowanie, zdać rachunek ze swych czynności, to przywilej niewinności. Nic tak nie przeraża zbrodniarza jak to, gdy się czuje samotnym w obec samego siebie, mając za świadka prezydującego, który go proteguje, a za sędziów przysięgłych, którzy go słuchają. To też najczęściej przyznaje się do winy lub też zachowuje milczenie, które jest niejako przyznaniem. To co pan nazywasz słabością naszych praw, to właśnie jest ich zasługą i pięknnością.

— Ja nic a nic nie rozumiem tej waszej filantropji urojonej — odpowiedziałem — nie tak jest pojmovaną i zastosowywaną sprawiedliwość...

— W Charkowie u Kozaków! — przerwał Humbug śmiejąc się — temu wierzę, bo ci ludzie nie są chrześcijanami.

— Są oni takimi samymi chrześcijanami jak ja — odrzekłem — lecz...

— Dzień dobry panie sędzio — krzyczał, podczas gdy go zamykano do łoży, mężczyzna o twarzy fioletowej, oczach na wierzchu głowy jakby u raka, i głosie astmatycznym i ochryplym — to ja Paddy, poznajesz mnie pan.

— Dwa razy na cztery dni, to za wiele — rzekł Humbug.

— Daruj mój sędzio, ale to wina tych panów — rzekł oskarżony wskazując na policjantów. — Są oni bez litości dla nas biedaków. Wczoraj wychodzę sobie przejść się spokojnie przy niedzieli, z butelką wódki w kieszeni, jako dobry chrześcijanin, który nie chce dostać wściekliny z pragnienia w dzień świąteczny. Spotykam tego wielkiego diabła na ulicy, i pytam go grzecznie o drogę do szpitalu. „Masz ją w rękę“ odpowiedział mi. To, rzekłem wydobywając mą buteleczkę, to jest pociecha mego życia. „To twój nieprzyjaciół“ odrzekł. A przecież wiesz panie policjancie, że trzeba kochać swych nieprzyjaciół. I mówiąc to piję za swoje zdrowie, gdy oto spotykam się nos w nos z Patrykiem O'Shea, z współrodakiem, synem zielonego Erinu, nieprzyjacielem Saxonów. Nie spotyka się przyjaciela w niedzielę bez poboksowania się z nim trochę; rzecz śmiechu warta, nie prawdaż mój sędzio? Jeszcześmy nie doszli do pierwszej krwi, gdy już policjant położył mi rękę

na ramieniu. „Masz trzy dolary?“ rzecze. Nie mam, kieszeń mi się podarła, a żona zapomniała ją naprawić. „Dla czegoż więc bijesz się, jeżeli nie masz czem zapłacić kary?“ dodał. Odpowiadam mu: masz rację policjancie, każdy powinien się bawić stosownie do swych środków. I odchodzę prowadząc się pod rękę z przyjacielem Patryk. Ale oto Patryk zaczyna mi się przekomarzać z powodu ostatnich wyborów, jest on demokratą. „Twój sędzia“ rzecze (to o panu on mówił) „nie wart więcej jak cztery psie podkowy; co zaś do doktora, to wszyscy mówią że to czarownik“. Naturalnie że zamykam mu usta pięścią; on mi odpowiada w ten sam sposób; podstawiam mu nogę, i otóż leży na ziemi. Zaduszę cię — mówię — jeżeli nie przyznasz. — I zmusiłem go przyznać.

— Co takiego? — zapytał Humbug.

— To mój sędzio, że wart jesteś cztery psie podkowy, i że doktor nie jest czarownikiem.

— Dziękujemy ci Paddy — przerwał Humbug głosem poważnym — za dobrą o nas opinię; lecz za upicie się i pobicie na ulicy, zapłacisz dziesięć dolarów.

— Dziesięć dolarów! — zawołał pijak — a zkadże pan chcesz, abym je wziął?

— Jeżeli nie znajdziesz ich do jutra, to odsiedzisz w zamian pięć dni w kozie.

— A moja żona, a moje dzieci? — mruczał Paddy.

— Trzeba było o tem wczoraj pomyśleć — rzekł Humbug — dziś już za późno.

— Mam was nakoniec Faryzeusze! — zawołałem. — Macie dwie miary i dwie wagi. Bogaty dzięki pieniądзом, może sobie pozwolić wszystkich występków, a biedny idzie do więzienia odpokutować jedyną zbrodnię, której nie prze-

baczacie: nędzę. To jest równowaga? Za jedno i to samo przestępstwo powinna być jednakowa kara; zamknijcie do kozy wszystkich winnych, albo nie zamykajcie nikogo. Sprawiedliwość jest tylko drugą nazwą równości.

— Szczęśliwi loicy — rzekł Humbug — znakomici przewodnicy ludów! mało was obchodzi to, że zabijacie wolność, abyście tylko ją prowadzili do przepaści po prostej linji. Myślę, że w dniu, w którym kaci moskiewscy będą zabijać knutem szlachtę i kobiety tak samo jak i chłopów, to twoje serce wzniosły doktorze charkowski, zadrży z radości, i wykrzykniesz wielkie zwycięstwo równości!

— Nie! — zawołałem — ja brzydzę się despotyzmem; ja chcę równości która wywyższa, a nie równości która poniża; żądam aby traktowano niewolników jak szlachtę, a nie szlachtę jak niewolników.

— To bardzo pięknie, mój drogi przyjacielu — powiedział sędzia — lecz tu właśnie zaczynają się trudności. Istnieje i istnieć zawsze będzie punkt, od którego nawet naśladować Prokusta, najznakomitszego loika, nie potrafisz nigdy dojść do równości. Nasze prawa saksońskie, które pan znajdujesz surowemi a ja sprawiedliwemi i łagodnemi, zawsze starają się oszczędzać wolność. Wyjawszy wielkie zbrodnie, uderzają one zawsze na kieszeń a nie na osobę winnego. Jeżeli najlepszym środkiem powstrzymania człowieka uniesionego namiętnością jest postawienie mu przed oczy czekającej go odpowiedzialności, to nic nie wyrówna karom pieniężnym; wierz memu doświadczeniu. Są kraje, w których uwodzicielstwo jest wdziękiem, nie dotrzymanie słowa dozwoloną zabawką, pojedynek postępkami przynoszącym zaszczyt nawet łotrowi U nas nie uwodzi się ani żony, ani



córci sąsiadowi, i nie zabija się ludzi dla wynagrodzenia wyrządzonej im zniewagi. Dla czego? Dla tej nader prozaicznej przyczyny, że trzeba zapłacić piętnaście lub dwadzieścia tysięcy dolarów za każde z tych przyjemnych szaleństw. Nikt nie ma ochoty zrujnować się dla tego, aby o nim gadano w mieście, i mieć w dodatku wszystkich żartownisów przeciw sobie. Takim jest prawo; dziesięciowiekowe doświadczenie uświęciło jego siłę i mądrość. Lecz cóż robić jak skazany nic nie ma? Czyż trzeba dać biednym przywilej bezkarności, albo poświęcić wolność dla jednostajności? Nasi przodkowie postanowili, a my zachowujemy ich zasadę: „Kto nie może zapłacić workiem, płaci swą skórą“, *lat suo corio*. U nas kara pieniężna jest regułą, więzienie wyjątkiem. Dla czego? Ponieważ wolność jest zasadą; prawdę mówiąc, więzienie jest jedynie środkiem egzekucyjnym przeciwko niewypłacalnemu dłużnikowi. Cóż pan w tem wszystkim widzisz niesprawiedliwego?

— Nie widzę w tem wcale równości — odpowiedziałem.

— Więc jesteś ślepym doktorze. Jest dwa gatunki równości: jedna, która nie jest zgodną ze społeczeństwem ludzkim, a tą jest równość materialna i zwierzęca, bez względu na wiek, stanowisko i majątek. Jednakowe kary w niejednakowych warunkach, jest to równość bezwzględna i najwyższa niesprawiedliwość. Druga równość jest ta, która zastosowuje karę nie do definicji występku, który jest tylko wyrazem, lecz do samego czynu i do osoby winnego. Wysoka kara pieniężna dla bogatego, niska dla uboższego, a w braku pieniędzy kilka dni kozy — jest to prawo, w którym sprawiedliwość, prawdziwa równość, podobnie jak i wolność znajdują zastosowanie.

— Paddy! — zawołałem na pijaka, który podniósł na mnie swe wielkie zadziwione oczy — weź te dziesięć dolarów, zapłać swą karę mój poczciwce, wracaj spokojnie do domu, i nie grzesz więcej. Oto moja odpowiedź — dodałem zwracając się do Humbuga — jest to protestacja przeciwko niesłuszności waszych praw.

— Jest to potwierdzenie ich doskonałości — odrzekł. — Gdybyśmy byli przez miłość dla równości postanowili więzienie jako karę za pijaństwo, jakąż pomoc mógłbyś przynieść tej interesującej ofercie? Kara pieniężna zaś ma w sobie to dobre, że dozwala zawsze czułym dawcom naprawić surowość naszych wyroków. I niech co chcą mówią prawodawcy, ta rasa o sercu z kamienia, dobrze jest, gdy ostatnie słowo ma miłosierdzie, skoro powstanie walka pomiędzy sprawiedliwością i miłosierdziem.

— Dziękuję doktorze — zawołał Paddy druzgocąc mi palce w swym ręku — idę wypić za twoje zdrowie; pierwszego kto odważy się powiedzieć że jesteś czarownikiem, zamorduję, jakem chrześcijanin!..

— Oto człowiek poprawiony — rzekł Humbug. — A teraz jeżeli już nic więcej nie ma na porządku dziennym, to zamknijmy posłuchanie.

Odprowadziłem go do jego gabinetu, gdzieśmy zostali prezydenta sądu kryminalnego nader wzruszonego.

— Czekałem na pana — rzekł on do Humbuga — jestem w ogromnym ambarasie. Sąd przysięgłych się zebrał, a prokurator jeneralny nie stawiał mi się na słowie. Pisze mi, że jest w łóżku z powodu takiego bólu serca, że nie może się podnieść.

— Ma ból serca! prokurator jeneralny! to nieprawdopodobne! — zawołał Humbug.

— Nie śmieję się mój przyjacielu, lecz poratuj mnie. Daj mi kogo, ktoby mógł zastąpić oskarżyciela publicznego.

— Weź pan tego kochanego Daniela — rzekł sędzia śmiejąc się. — Jest to człowiek jakiego wam potrzeba. Jest on adwokatem i doktorem uniwersytetu w Charkowie, jest to wzór powagi, niewzruszoności, prawności i uczucio-wości. Macie w nim jednym Coka, Mansfielda, Erskina i resztę.

— Chodź pan prędko — rzekł prezydent biorąc mnie pod rękę — pan mi ocalasz życie.

— Za pozwoleniem -- rzekłem..

— Nie, nie — przerwał — nic nie słucham. Precz z fałszywą skromnością, jesteś pan doktorem prawa, to dosyć.

W tej samej chwili Humbug porwał mnie za drugą rękę, i zanim zdołałem słowo przemówić, zostałem wciągnięty do sali, przedstawiony przysięgłym i zainstalowany. Humbug usiadł obok mnie, i zadowolony z mej awantury wskazał mi siedzącego na ławie obrońcy zadziwionego Foga, który patrzył na mnie mrużąc oczy.

Nie podobna było dłużej się wzbraniać, drwiący ze mnie los skazywał mnie na odegranie nowej komedji: Prokurator jeneralny pomimo woli!

---

## ROZDZIAŁ XXIV.

## PROKURATOR JENERALNY.

Jeżeli kiedy, kochany czytelniku, zdradziecka ręka wrzuciła cię nie umiejącego pływać niespodziewanie do wody, to możesz zrobić sobie pojęcie o mojem położeniu. Nie czulem się w stanie powiedzenia dwóch wyrazów w związku z sobą będących, lecz cofnąć się byłoby śmiesznością; nie wystarczyłoby na mnie w całym mieście gwizdawkę; postanowiłem więc zdobyć się na odwagę, i odegrać mą rolę do końca.

Wydobyłem pugilares, wydarłem z niego kilka kartek, i zabrałem się do wypisania na nich wszystkich, jakie tylko sobie przypomnieć mogłem pięknych frazesów, które nic nie mówią, lecz robią najdoskonalszy efekt, kiedy są właściwie pomieszczone w starannie przygotowanej improwizacji. Tak uzbrojony oczekiwałem bitwy ze stałością żołnierza, idącego w ogień z myślą, że z niego nie wyjdzie żywym.

Pierwszy obwiniony jakiego przyprowadzono, był to okropny zbrodniarz, który powoli otrul swą żonę zmusiwszy ją wpierw do napisania testamentu; zbrodnia była dowie-



dziona, dowody więcej niż dostateczne, to też nędznik nie starał się nawet bronić.

— Występuję jako winny — mruzczał on głosem drżącym, z twarzą bladą, okiem pomieszanem. — Śmierci, żądam śmierci! Niech mnie uwolnią od życia.

W całym zgromadzeniu powstało głębokie milczenie.

Powstałem majestatycznie, nałożyłem na nos okulary, odkrząknąłem po trzykroć, i trzymając me kartki w lewej ręce, a poruszając prawą do taktu, zacząłem głosem cichym i wolnym:

„Panie prezydencie, panowie przysięgli!

„*Nemo auditur perire volens*“), nie słucha się tego który chce umrzeć, jest to jeden z tych wielkich i zbawiennych pewników, jakie nam zostawiła mądrość naszych czcigodnych przodków, mądrość o wiele wyższa nad szaloną naukę i pyszny rozum dzisiejszego pokolenia. *Nemo auditur perire volens*, maksyma ta została wynaleziona nie tylko dla protegowania winnego przeciwko własnej rozpacy, ale nadto dla zapewnienia społeczeństwu słusznego zadowolenia z prawnej zemsty.“

„Tak panowie, gdy straszna zbrodnia dokonana została, gdy nasze wspaniałe miasto całkiem odmłodnione przepychem świętych budynków, przynoszących nieskończony zaszczyt płodnemu genjuszowi naszego mądrego i zdolnego rozsądku; kiedy mówię, nasze miasto, ten Rzym nowoczesny, stokroć większy i piękniejszy od Rzymu Cezarów, obudziło się przerażone nieprzewidzianą nowiną o jednym z tych okropnych zamachów, dowodzących niepojętego zepsucia, owocu zatrutego cywilizacji, którą zepsuły

---

\*) Nie słucha się tego, który chce umrzeć.

rewolucje i dziennikarstwo — przeto wiecznie czuwająca sprawiedliwość powinna spełnić swe posłannictwo, posłannictwo równie trudne jak wspaniałe. Przemawiam krótko w braku łatwości wysłowienia się, w braku tej sądowniczej wymowy, która jest udziałem tylu mych znakomitych kolegów, których nazwisk nie wymieniam dla oszczędzenia ich zbyttecznej skromności, tylu sędziów, którzy szukają natchnienia w swem sumieniu, i przynoszą do tej świątyni swe energiczne przekonanie, swe skromne i stałe poświęcenie się sprawie porządku, prawa i społeczeństwa.“

„Tu panowie przysięgli daje się piękne i wielkie widowisko, tu zaczyna się we wszystkich swych szczegółach tragedia, bolesna bez wątpienia dla uczciwych ludzi, lecz potrzebna dla odpokutowania za zbrodnię i zbudowania całego kraju. W tej strasznej dramie rozpusta jest wstępem, chciwość zapełnia akt drugi, trucizna jest węzłem, śledztwo zadziwiające swą zręcznością przyspiesza zmiany okropne, i zbliżamy się do fatalnego rozwiązania. To mściwskie rozwiązanie jest w waszem ręku panowie przysięgli, wyrok wasz nie jest wątpliwym. Przygnieciony ciężarem swej winy, zwyciężony przez sprawiedliwość winowajca przyznał się do wszystkiego; stoi on tu przed wami złamany i przygnębiony wyrzutami sumienia. Jego potępienie znajduje się wypisane na jego nieszczęśliwym czole, tak jak i w waszych szlachetnych sercach.“

„Niech on nie sądzi, ażeby to przymuszone przyznanie się mogło go oczyścić od zasłużonej hańby. Naprawdę odwraca on swą zbrodniczą głowę, naprawdę stara się oddalić od swych ust nieczystych gorzki kielich, który mu przygotowała jego straszna zbrodnia: prawo ślepe i nieme, prawo słusznie nieublagane, prawo święcie nielitościwe

chce, aby wychylił aż do dna swą zbrodnię. Jego męczarnia jest karą za przeszłość i nauką na przyszłość.“

— Dosyć, na Boga — rzekł mi Humbug ciągnąc mnie za poję od surduta — *Res sacra miser*, \*) mój drogi przyjacielu.

— Daj mi pokój — rzekłem z niecierpliwością. — Oskarzenie nie ma nic wspólnego z ludzkością.

„Do nas to — mówiłem dalej zapalając się — do nas to kapłana zemsty publicznej, do nas przedstawiciela znieważonego społeczeństwa, do nas należy ciężki lecz święty obowiązek powstrzymania bicia serca ludzkiego, do nas należy poruszyć to błoto pomimo nieprzewyciężonego wstępu, do nas to...“

Nieostrożny! we wspaniałem poruszeniu podniosłem i otworzyłem obie ręce, i otóż wszystkie moje papiery a z nimi i wymowa na ziemi; schyliłem się aby je zebrać, oskarżony skorzystał z tego nieszczęśliwego wypadku i rzekł powstawszy nagle:

— Dokądże będziesz pan znosił, panie prezydencie, aby prokurator jeneralny igrał ze mną jak kot z myszą? Prawo powiada, że jesteś obrońcą oskarżonego; dla czegoż pozwalasz znieważać moją nędzę? Czekam wyroku, na cóż więc przedłużać moją męczarnię...

— Ma słuszność — rzekł jeden źle wychowany przysięgły — jesteśmy tutaj dla wymierzania sprawiedliwości, a nie dla słuchania kazania.

Chciałem mówić, lecz prezydent zatrzymał mnie znakiem ręki, i nakrywając głowę ogłosił po prostu skazanie winnego na karę śmierci. Żadnego sensu moralnego, za-

\*) Nieszczęśliwy jest rzeczą świętą.

nych słów pięknie brzmiących, żadnej lekcji danej oskarżonemu, przysięgłym lub publiczności, nie takiego, co by dało uroczyście tej pełnej interesu scenie. Przeciwnie, zaczął on z wcale niewłaściwą familjarnością umawiać się z winnym.

— Skazany — rzekł on — odtąd nie możesz się już niczego spodziewać od miłosierdzia ludzkiego, pozostaje ci tylko zrobić obrachunek ze sprawiedliwością boską. Wiele potrzebujesz dni dla uregulowania swych interesów i przygotowania się na śmierć?

— Trzy dni mi wystarczą — odrzekł — chciałbym już jak najprędzej skończyć.

— Za pięć dni więc licząc od obecnej chwili — rzekł przydujący — staniesz przed jedynym sędzią, który może ci przebaczyć.

Skazany ukłonił się z uszanowaniem, i wyszedł rzucając na mnie spojrzenie, które mnie zmieszalo. Czyż nie spełniłem mego obowiązku? Czyż należy się mieć litość nawet dla morderców? —

Wprowadzono drugiego oskarżonego. Był to bezczelny łotr, który wyszedłszy przed dwoma dniami z galer stał się winnym wyłamania drzwi, kradzieży i usiłowania morderstwa. Wyłamał on okno w pewnym domu w Montmorency, zagroził śmiercią biednej służącej pilnującej mieszkania, i zabrał wszystko nie wyłączając powozu i koni.

Mina tego hultaja wystarczała, aby go potępić. Była to uosobiona zbrodnia. Był to wyraźnie człowiek, dla którego społeczeństwo było nieprzyjacielem, i który o tyle gardził prawem, o ile nienawdził sędziego; jednym słowem był jednym z tych drapieźnych zwierząt, które trzeba zabić, aby nie zostać przezeń pożartym.



— Oskarżony — rzekł przydujący — czy występujesz jako winny lub niewinny?

— To zręczne pytanie — odrzekł złodziej z zuchwałym lekceważeniem. — Winny albo niewinny? Ani pan ani ja o tem nie możemy wiedzieć przed wysłuchaniem świadków.

— Panowie przysięgli! — zawołałem — czyż potrzebujemy coś więcej słyszeć? Zapiszcie sobie w pamięci to zeznanie. Czyż niewinny zawahałby się choć chwilę w ogłoszeniu swej niewinności? Tylko łotr z powołania może mieć tę beczelność. Popatrzcie tylko, czy ten nędznik nie nosi wypisanej zbrodni na swej bezwstydney twarzy.

— Protestuję przeciwko tej teorji — zawołał obrońca oskarżonego.

Wstrząśłem się na ten głos piskliwy; raz jeszcze żartobliwy los postawił mnie naprzeciwko Foxa, mego wiecznego nieprzyjaciela.

— Tak — mówił dalej — protestuję i nigdy nie przestanę protestować przeciwko teorji, która nigdy nie była przyjęta przez trybunały wolnej Ameryki. Pan nie masz prawa torturować słowami obwinionego, ażeby z tego wydobyć jego potępienie. Nie masz prawa tłómaczyć jego postawy, jego ruchów, jego tonu lub sposobu mówienia, aby ztąd wyprowadzić wniosek o jego winie. Jeżeliby wolno było wywoływać te zwodnicze oznaki, które namiętność tłómaczy podług swej woli, któżby mógł ujść wymowie panów prokuratorów jeneralnych? Obwiniony milczy, to wyrzuty sumienia go przygniatają, milczenie jest przyznaniem się. Oskarżony protestuje ze spokojem, to beczelnik, beczelność jest przyznaniem się. Unosi się, drwi, więc jest to zuchwalec znieważający sprawiedliwość, zniewaga jest przyznaniem się. Słabość, energja, pokora, duma, łyż, gniew,

wszystko jest przyznaniem się dla uprzedzonych umysłów, które zapatrują się na wszystko jednostronnie. Zaczniście więc panowie od ustanowienia charakteru fizycznego cnoty i zbrodni. Gdy nauka urzeczywistni marzenia Lawatera, to będziecie potępiać ludzi z miny, ale aż do tego czasu zostawcie tę sztukę zdradziecką i niebezpieczną kładącym kabaly. Sprawiedliwość zna tylko fakta, rozprawia tylko o faktach, i wyrokuje tylko na zasadzie faktów. W tem jest jej pewność i wielkość. Niech pan prokurator jeneralny schowa swój talent na lepszą sposobność, a tymczasem przejdźmy do przesłuchania świadków.

— Panie prezydencie! — zawolałem — jedynie przez uszanowanie dla sądu wysłuchałem aż do końca tych nieprzyzwoitych słów; prokurator jeneralny nie potrzebuje odbierać lekcji od adwokata, żądam...

— Uspokój się pan — rzekł sędzia. — Wszystko jest dozwolone obronie, wyjąwszy zniewagi; szanowny adwokat nie przekroczył w niczem w swojej mowie przysługującego mu prawa. Co zaś, do jego teorji, to została ona uświęconą przez naszych przodków. Znajdziesz pan we wszystkich zbiorach praw te zasady, które i ja mam zaszczyt wyznawać.

Upadłem na krzesło jak Tytan uderzony piorunem. Prezydent apostołem teorji stawiającej oskarzenie na równi z obroną, prezydent zbiegiem z naszych szeregów i stający się współnikiem adwokata; to był cios ostatni! Jeżeli to te Jankesy nazywają sprawiedliwością, to ja się nie na niej nie znam. Możliwy przebieg całej cywilizowanej Europy, a nigdzieby się nie podobnego nie zobaczyło.

— Bardzo dobrze — rzekł pocziwy Humbug po cichu, aby mi dodać odwagi. — Mówisz jak senator, tro-

chę tylko za wiele gorliwości. Miarkuj się mój drogi, a zrobisz wielkie wrażenie.

Nie na tem jednakże koniec. Przywołano świadków; spodziewałem się że tylko prezydent w porozumieniu ze mną będzie ich badał. Próżna nadzieja! Prezydent siedział nieruchomy jak posąg, a znajdujący się naprzeciw niego oskarżony zachowywał podobnież milczenie. Gdy chciałem go badać, krzyk ogólny dowiódł mi, że podług prawa Jankesów względy istnieją jedynie dla łotrów. Widząc sędziego i oskarżonego, obydwóch nieruchomych i niemych, możnaby było ich wziąć za zupełnie obcych odbywającej się scenie. Walczącymi a raczej ofiarami byli świadkowie oddani na łaskę adwokata, badani, ganieni, niepokojeni, męczeni przez człowieka bez charakteru publicznego, nie mającego innego stanowiska jak obrońcy wątpliwej niewinności, łotra, który się zestarzał w zbrodni. W tym przewrocie wszystkich używanych powszechnie reguł, można było wziąć oskarżonego za świadka, a świadków za oskarżonych.

Jedno z zapytań zrobionych przez Foga wydało mi się tak niewłaściwem, że sprzeciwiałem się, aby świadek na nie odpowiedział.

— Jakiem prawem? — zawołał zawsze wściekły Fog.

— Zapominasz pan — rzekłem — że nie potrzebuję zdawać przed panem rachunku z mych słów; jestem przedstawicielem państwa.

— A cóż to za nowa chimera — rzekł on ze swym zwykłym zuchwalstwem. — Nie ma żadnego państwa w tem zgromadzeniu. Jest tu tylko miejsce dla sprawiedliwości, wybornie przedstawionej przez bezstronność sędziego i mądrość przysięgłych. Pan jesteś tak samo jak

i ja adwokatem i niczem więcej. Ja przedstawiam oskarżonego a pan oskarżającego, któremu społeczeństwo daje cię do pomocy. Nie masz pan żadnego prawa, któreby i mnie się nie należało; a ja nie mam żadnego przywileju, do którego byś pan sobie nie mógł rościć prawa. Gdyby było inaczej, to ważki sprawiedliwości byłyby sfalszowane, oskarżenie byłoby silniejszym od obrony; i w cóżby się obróciła wolność obywatela?

— Panie prezydencie — rzekłem — czy to jest także jedna z tych teoryj uświęconych przez waszych przodków?

— Pańskie zapytanie zadziwia mnie, panie prokuratorze jeneralny — odpowiedział tonem zasmuconym. — Czyż w kraju wolnym równość oskarżenia i obrony może ulegać wątpliwości?

Nic mi nie pozostawało jak zamilknąć, pozwoliłem Foxowi torturować świadków do woli. Jedna tylko rzecz mnie pocieszała. Nie ma nadużycia, któreby obok tysiącznych niedogodności nie przynosiło z sobą choć maleńkiej korzyści. Świadkowie przyzwyczajeni od dzieciństwa do twardych prób życia publicznego, nie dawali się wcale zastraszyć cierpkością czynionych im zapytań. I Fox nie zawsze wychodził zwycięzko z tego pojedynku na słowa. Prawda, że miał on twardą skórę, i po każdej porażce powstawał do walki z nową wściekłością. Nigdy nie broniono z większą energją wolności człowieka.

Pomiędzy świadkami znajdował się kwakier Seth, osoba ważna w Montmorency ze stanowiska oberżysty. Seth miał złość do adwokata z powodu rannej porażki; to też odpowiadał mu ze złośliwością, która pobudzała mnie pomimo złego humoru do śmiechu.

— Znasz obwinionego? — zapytał Fox.



— Tak — rzekł kwakier — znam go na swoje i jego nieszczęście.

— Odważyłbyś się stwierdzić przysięgą, że jest on nieuczciwym człowiekiem?

— Nigdy nie mówiłem, aby go oskarżano o uczciwość — odpowiedział Seth z największą prostotą.

— Jaki interes mógłby on mieć w ukradzeniu powozu i koni?

— Żadnego, o ile wiem — rzekł kwakier. — Byłby lepiej zrobił kupując je i nie płacąc, na wzór wielkich panów. Możoby tylko nie miał ich kredytu.

Po oberżycie przyszła kolej na służącą, tłustą blondynkę o wesolej i skromnej minie, lecz która nie mniej miała dziób i pazury tak jak wszystkie wiejskie dziewczęta.

— Utrzymujesz, że poznajesz oskarżonego, i twierdzisz, że ci groził w słowach więcej niż nieprzyzwoitych?

— Tak panie — wyszeptała czerwieniąc się.

— Mów głośniej — rzekł Fox — panowie przysięgli cię nie słyszą.

— Kiedy nie mogę — odrzekła cała wzruszona.

— Możesz, rób tak ja, krzycz.

— Pan to co innego, to pańskie rzemiosło, od małego pana na to wychowano.

— Twierdzisz — mówił dalej Fox — że oskarżony używał wyrazów obrzydliwych, tak obrzydliwych panowie przysięgli, że skromność nie pozwalała mi ich powtórzyć publicznie.

— Tak panie — rzekła biedna dziewczyna czerwieniąc się coraz bardziej.

— Bardzo dobrze, powtórz te wyrazy przed trybunałem i przysięgłymi.

— Panie — rzekła prostując się — jeżeli pańska skromność nie pozwala na powtórzenie tych wyrazów, jakże pan możesz przypuszczać, aby moja mi na to pozwoliła?

— Bardzo dobrze — odrzekł Fox wcale nie zmieszany — przysięgli ocenia. Powiedziałaś, że oskarżony mówił jak bezwstydnik. A wiesz co to jest mówić jak bezwstydnik?

— Domyślam się — rzekła patrząc na adwokata w tak znaczący sposób, że całe zgromadzenie zaczęło się śmiać, a Fox dał pokój świadkowi.

Po wyczerpaniu listy świadków przyszła na mnie kolej mówienia; gniew czynił mnie wymownym, czułem to; to też oddałem się całej przyjemności deklamowania. W mojej wartej stenografji, skreśliłem kompletną historję tego złooczyńcy, od kolebki aż do chwili gdy stanął przed trybunałem, gdzie nareszcie otrzyma zasłużoną karę. Zacząłem od trzech lat jego wieku, i odmalowałem go jako jedno z tych przeklętych dzieci, które nigdy nie wywołało uśmiechu na matczyne usta; następnie towarzyszyłem mu do szkoły, i przedstawiłem go jako próżniaka, kłamcę, kłótnika i zapowiadającego szubienicę, kradnącego orzechy i śliwki z drzew znajdujących się przy drodze. Nadzwyczajnym trafem odszukałem pomiędzy świadkami trzech zacnych kolegów, którzy dwadzieścia pięć lat temu kradli owoce z tym przyszłym złooczyńcą. Ze szkoły przeszedłem do warsztatu, i tam skreśliłem jego portret w sposób okropny, który jeduakże powinien był być zupełnie do niego podobny. Wypaliłem przeciwko pijaństwu, tej truciznie moralnej, tyradę, która zbudowała słuchaczy; i jeszcze byłem o lat dziesięć od zbrodni, gdy już oskarżony był zgubiony w opinji publiczności. Jeżeli co mogło dziwić po mojej mowie, to chyba

to, że nie zabił on mając lat piętnaście swego ojca. Że ten lotr miał duszę ojcobójącą, o tem nie wątpilem, co też powiedziałem przysięgłym; lecz niebo oszczędziło temu hultajowi najstraszliwszej zbrodni: ędznik miał szczęście być sierotą!

Podczas gdy zgromadzenie zawieszono było na mych wymownych ustach, patrzałem na obwinionego, który wiał się pod chłostą mych mściwskich wyrazów. Przygnębiony memi zarzutami, nie mogąc się oprzeć gwałtownie rozbudzonym wyrzutom sumienia, podniósł się, i przerywając mi zawałał głosem ochryplym:

— Prezydencie, jeżeli to tak ma trwać dłużej, to ja nie wytrzymam! uznaję się winnym. Wolę odsiedzieć moje pięć lat, niż słuchać tego pana.

— Pomyśl co robisz nieszczęśliwy — rzekł Fox — Cofnij te zgubne wyrazy.

— Nie, nie — rzekł — ten pan mnie nudzi; dałbym głowę, aby mu zamknąć gębę.

— Oskarżony — rzekł prezydujący — namyśl się nim zrobisz zeznanie, które cię gubi. Pamiętaj, że jeżeli je powtórzysz z krwią zimną, to mi nic nie pozostanie jak zawyrokować twe potępienie.

— Dziękuję panu, panie prezydencie — odrzekł — pan jesteś zacnym sędzią; pan nie depczesz biednego robaka znajdującego się w nieszczęściu. Coż robić, wyraźnie nie mam szczęścia; gdybym upadł na grzbiet, to pewno rozbiłbym sobie nos. Zresztą ukradłem, niech się więc stanie zadość sprawiedliwości. Lecz zdaje mi się, że to nie obchodziło tego pana, co ja mówiłem z moją matką, lub co robiłem w szkole, będąc dzieckiem.

Zwycięztwo moje było zupełnem. Zwyciężony bardziej przez mój talent niż przez moje wymówki, oskarżony przyznał się do winy. Na domiar szczęścia, Fox, którego zachwałej mowy nieco się obawiałem, nie mógł mi odpowiedzieć. Zwycięztwo zostało przy sprawiedliwości i władzy.

Po zamknięciu posiedzenia jeden z przysięgłych podszedł ku mnie, i ścisnął mnie za rękę. Był to znakomity mowca, umysł umiejący sobie zawsze dać radę, który niejednokrotnie i to nie mając słuszności, zwyciężył w Izbie swych przeciwników. Takie uznanie zwiększyło jeszcze mój tryumf; to też ze źle ukrytą radością odbierałem te zaszczytne powinszowania.

— Jestem zachwycony pańskiem genialnem odkryciem — rzekł mój nowy przyjaciel. — Nie omieszkam pana naśladować przy pierwszej sposobności, i mam nadzieję być również szczęśliwym. Wziąć człowieka od urodzenia, podchwycić w zarodku zbrodnię, błąd, przesąd, opisać i wytłumaczyć ich długi rozwój, to cudny pomysł. Nie wystawiam sobie, aby ktokolwiek mógł wyjść cało z tego przeglądu historycznego: podjąłbym się pańskim sposobem postępowania dowieść, że Kato był zbrodniarzem a Sokrates ateuszem.

— Pan mi pochlebiasz — rzekłem ze skromnością — ja nic nowego nie wynalazłem.

— Nic — rzekł — nigdy jeszcze w tym kraju nie rozumowano w tak wyszukany sposób. Jest to loika zupełnie nowa, przynosząca panu największy zaszczyt. Jankeesy są to prostaki, prześladują oni zbrodnię a nie człowieka, gdy przeciwnie u pana, czyn materialny jest niczem, a człowiek wszystkiem. Cóż to znaczy, że nie ma dostatecznych dowodów zbrodni, o którą posądzają nędznika,



jeżeli on był zdolnym ją popełnić? domniemanie jest przeciwko niemu, a zresztą prawdopodobnie dopuścił się on jeszcze i wielu innych. Otóż to, co ja nazywam dobrą sprawiedliwością; sprawiedliwością opiekującą się społeczeństwem i zajmującą się jedynie dobrem publicznem. Jesteś pan pochodzenia amerykańskiego? To nagle zapytanie zadziwia pana — mówił dalej nie domyślając się przyczyny mego pomieszania. — Daruj pan mą ciekawość, lecz moja matka była Francuzką i jej to zawdzięczam pewne idee, które nigdy nie weszły w głowę Saksona. Te idee zbliżają się bardzo do pańskich, i wzbudzają we mnie najwyższą sympatję dla oryginalności pańskiego talentu. Dla mnie np. państwo jest wszystkim, i utrzymuję pomimo gadania głupich moralistów, że nie można kłaść na wagę interesu całego ludu z urojonem prawem pojedynczego człowieka. Jestem socjalistą w dobrym znaczeniu tego wyrazu; przedewszystkiem państwo a potem człowiek. Przeciwnie Jankesy, umysł ograniczony, mózgi ciasne, przynieśli z Anglii samolubny i dziki przesąd. Niech sędzia uchybi starej cygance, niech prokurator jeneralny uniesie się oskarżając złodzieja, lub złaje mordercę, natychmiast wyłazi z pod ziemi Sakson, który zaczyna krzyżeć w niebogłosy, że naruszają konstytucję i znieważają ludzkość. I oto na krzyk szczekającego zbiega się głupi tłum, i wyje na sędziego jak psy na galopującego konia. Mógłby kto powiedzieć, że to jest lud złodziei, gdzie każdy obawia się czy nie będzie musiał stanąć jutro przed sądem kryminalnym, i broni dzisiaj wolności drugiego z obawy o własną wolność. Dzięki stałości mych zasad, nie tak to ja rozumiem sprawiedliwość, i z przyjemnością widzę, że jest nas w Ameryce dwóch tego samego zdania. Nie jest się świętym skoro się staje przed

sądem przysięgłych, i wolę wysłać trzech niewiunych na szubienicę niż pozwolić na uwolnienie dwudziestu łotrów. Jestem człowiekiem wytrwałym, podaj mi rękę, my we dwóch przerobimy wychowanie tego nudnego ludu, mającego zawsze jeden i ten sam wyraz na ustach: wolność!

Pożegnał się ze mną ściskając mi jak najserdeczniej rękę, nie sprzeciwiałem się temu. Lecz rzecz dziwna, te pochwały przestały mi sprawiać przyjemność, moje powodzenie przerażało mnie.

— A jeżeli zaszedłem za daleko? — myślałem sobie — jeżeli dałem się za bardzo unieść zapałowi badania, jak myśliwy słuchający jedynie swej namiętności? Nie omyliłem się, ponieważ winny przyznał się do zbrodni; lecz czy broń której użyłem była godziwą? Czyż obwiniony nie ma żadnego prawa do uszanowania?

Myśli te niepokoiły mnie pomimowolnie. Idea zemsty publicznej już mi nie wystarczała. Widziałem we mgle zasadę czystsza, poddającą sprawiedliwość ludzką przepisom Ewangelji. Mówilem sobie, że dla chrześcijan każda słabość powinna być świętą, każda nędza świętością, i że w postępowaniu z dzieckiem, kobietą, biednym, a nawet i winnym, władza nie powinna zbyt ufać swym siłom, i strzedz się, aby nie mieć za uadto słuszności.

— 284 —

ROZDZIAŁ XXV.

DINAH.

Wyszedszy z posłuchania spotkałem kwakra, który mi wieszował zwycięstwa; powieszowanie to sprawiło mi mierną przyjemność. Humbug zaś milczał; wolalbym był daleko słyszeć jego wymówki, bo zdaje mi się, że w tej chwili gniew jego byłby mi ulgę przyniósł.

Fox czekał mnie na ulicy; rysy twarzy zmienione i blyszczące oczy zdradzały w nim namiętność nie mogącą się dłużej hamować.

— Powinieneś pan być zadowolony — zawołał spostrzegłszy mnie z daleka. — Oto zwycięstwo, które panu zaszczyt przynosi. Spodziewam się, że nie jestem ostatnim w oddaniu panu sprawiedliwości. Znajdzie się nie jeden dziennik dla uczczenia wymowy i zasad pana prokuratora jeneralnego. Jeffries w Ameryce, jest to potwór nigdy tu niewidziany, i którego już się nigdy nie zobaczy, trzeba się więc spieszyć z podziwianiem go. Zresztą — dodał zaciśkając zęby, przywiedziony do wściekłości mojem milczeniem — to mnie wcale nie dziwi. Nie ma nic okrutniej-

szego nad ludzi mających zmartwienia domowe; jest to rasa bez litości.

— Zmartwienia domowe? — rzekłem wzruszając ramiionami. — Tracisz pan głowę panie Fox, i nie wiesz nawet do kogo mówisz.

— Rzeczywiście! — odrzekł śmiejąc się szydersko — sądziłem, że mówię do szczęśliwego ojca nader milej Zuzanny.

Mina tego człowieka przerażała mnie, jego śmiech djabelski przejmował mnie dreszczem aż do szpiku.

— Milcz pan — rzekłem — zabraniam ci wymawiać imię, które każdy powinien szanować.

— Ba! — odrzekł z pogardliwym uśmiechem — to surowość wcale nie na miejscu.

— Nędzniku! — krzyknąłem chwytając go za kołnierz — wytłómacz się albo cię zgniotę na miejscu.

— Panowie — rzekł adwokat wyrывая się — biorę was za świadków tego gwałtu. Pan, panie Humbug, wymierzysz mi sprawiedliwość.

— Bez wątpienia — rzekł sędzia — żądaj pan wynagrodzenia za tę nioco żywą odpowiedź, to ci przysądzę dolara. Lecz jeżeli doktor ze swej strony zażąda trzy lub cztery tysiące dolarów, to nie daruję panu ani centyma. Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność ukarać potwarz.

— Potwarz! — zawołał Fox pieniąc się ze złości — A gdzież to chodzi codzien ta zacna panna, której imienia nie wolno wymówić? Czyż to moja wina, że co rano idąc do sądu widzę ją wślizgującą się tajemniczo do jednego z domów najbardziej podejrzanych w mieście? Kogóż to może odwiedzać zacna córka szanownego prokuratora jeneralnego



na znamienitej ulicy Laurowej! Widziałem ją wchodzącą tam kilka godzin temu, sądzą więc, że tam jeszcze być musi, ponieważ zwykle dosyć długo tam pozostaje. Oskarż mnie doktorze o potwarz, będzie to zabawna sprawa, zemszczę się przynajmniej!

Upadłem na ręce Humbuga. Moja córka znieważona, moja Zuzanna spotwarzona! to był cios za silny dla ojca. Ciemno mi się zrobiło w oczach, i trząsałem się cały; boleść i gniew dusiły mnie. Nakoniec zapłakałem, lecz łyzy wściekłości i rozpacz nie złagodziły mego bólu, tylko mi powróciły nieco panowanie nad sobą i pozwoliły mówić.

— Panie — rzekłem do Foxa — ulica Laurowa jest ztąd o dwa kroki, musisz tam pójść ze mną. Humbug będzie nam towarzyszył. Nie opuszczaj mnie panie Seth. Nadewszystko nie pozwól umknąć temu człowiekowi; trzeba aby sprawiedliwość została wymierzona, i zostanie wymierzona.

— Bądź spokojny przyjacielu Daniel — odrzekł kwakier — będziemy ci towarzyszyć wszyscy trzej. — Ostatnie słowa „wszyscy trzej“ wymówił z przyciskiem, zmierzyl adwokata wzrokiem od stóp do głowy, i zwinawszy rękawy, zaczął machać w powietrzu trzymanym w ręku bykownicem.

— Jestem na wasze rozkazy, panowie — rzekł Fox z szyderskim uśmiechem. — Zauważcie z łaski swojej, że ja nie jestem niczem w przedsięwzięciu tego kroku, którego pewna osoba może bardzo żałować. Jeszcze czas wstrzymać się, ja nie jestem wcale okrutny, lecz ostrzegam panów, że raz wszedłszy do tego domu, bez względu na wasze łyzy i prośby, opowiem to wszystko co w nim zobaczę.

— Idźmy panie — rzekłem — wcale nie potrzebuję pańskiej litości. — Szedłem jak pijany opierając się na ramieniu Humbuga.

Nie mogłem cię posądzać moja Zuzanno, wierzę w czystość twoją jak w czystość aniołów; lecz pewność tego człowieka niepokoiła mnie. Obawiałem się jakiego nieprzewidzianego ciosu, zagadki, podstępu, i sam nie wiem czego? Niestety! kiedy się kocha, jest się odważnym tylko dla siebie.

— Oto dom — rzekł Fox — a oto właściciel.

Podniosłem głowę; dom miał bardzo złą powierzchowność. Wejście ciemne i wilgotne, mury czarne, szyby potłuczone, albo zastąpione kawalkami papieru, łachmany powywieszane w oknach; była to więcej jak nędza, był to nieład i brud występku. Zuzanna w tej jaskini! to niepodobna.

Na progu domu siedział człowiek na wpół ubrany z rękami w kieszeniach od spodni; palił fajkę, i patrzył na przechodzących z bezczelnością próżnującego łotra. Na nasz widok zdjął swój pognieciony kapelusz, rzucił się ku mnie, i schwycił mnie za obydwie ręce z czułością, która mnie wstrętem przejęła. Był to Paddy, na wpół pijany, cuchnący winem i tytoniem.

— Dzień dobry, mój zbawco! — zawołał — jak to pięknie z pańskiej strony przyjść odwiedzić przyjaciela. Wejdźcie panowie; jeżeli szklanka dżynu nie przeraża was, to znajdziecie z kim mówić.

— Paddy — rzekłem — ten dom do ciebie należy?

— Nie, mój zbawco — odrzekł śmiejąc się — gdyby ten pałac był moim, tobym go był już dawno przepił. Jest on własnością mej żony; nieprawdaż że ładny?

— Najmujesz umeblowane pokoje? — rzekłem wskazując na przybitą kartę

— Do usług pańskich doktorze.

— Kogo masz w tym domu? — zapytał Humbug głosem surowym. — Zwykłych gości mego trybunału?

— Mój sędzio — rzekł pijak jękając się — nie jest się dosyć bogatym, aby być wymagającym; bierze się z tłumu na los szczęścia, i natrafia się na cnotę jeżeli można.

— Kto mieszka w pokoju na pierwszym piętrze? — rzekł adwokat z miną chytrą.

— A tobie co do tego gaduło — odrzekł pijak. — Czy ty płacisz?

— Odpowiadaj — rzekł Humbug — nie zapominaj, że jesteś w obec sędziego.

— Nie mam się czego obawiać — rzekł Irlandczyk bardzo wzruszony. — Zrozumiesz pan dobrze, panie sędzio, że w pokoju za trzy dolary tygodniowo, a do tego płacone z góry, mogą tylko mieszkać uczciwi ludzie. Na pierwszym piętrze mieszka dama, i — dodał półgłosem — piękna dama, dobra, grzeczna, niewymagająca, prawdziwa perła domu.

— Kogo ona przyjmuje? — mówił dalej Humbug, który widział, że coraz bardziej bladłem.

— Daruj mój sędzio, ale nie jesteśmy na posłuchaniu. Ameryka jest krajem wolnym; każdy tu robi co mu się podoba, płacąc. Jeżeli kto przechodzi przez te drzwi, to się na niego nie patrzy, a jeżeli się i patrzy, to się nie widzi.

— Nie udawaj głupiego — rzekł Fox. — Pamiętaj, że ja wpakowałem do więzienia nie jednego, który więcej był wart od ciebie. Widziałem wchodzącą tu przed godziną

młodą dziewczynę, blondynkę w czarnej jedwabnej sukni i w słomkowym kapeluszu; gdzie ona szła?

Paddy przestraszony zbliżył się do mnie, aby wezwać mej pomocy.

— Bądź tak dobry mój przyjacielu, i odpowiedz. Bądź pewny, że nie mamy żadnego złego zamiaru, a nawet wynagrodzę twą grzeczność...

— Dla ciebie mój zbawco — rzekł — nie mam żadnej tajemnicy; pan pomógł mi w nieszczęściu; jestem Irlandczykiem, to dosyć; rzuciłbym się w ogień dla pana.

— Na miłość boską — wyjąknąłem, dając mu kilka dolarów — mów prędzej, bo mnie zabijesz.

— A więc doktorze — rzekł — ta panna blondynka przychodzi codziennie o jednej godzinie do młodej damy z pierwszego piętra. Jest ona na górze.

— Sądzę, że moja obecność jest niepotrzebną — rzekł Fox głosem szyderskim — pan prokurator jeneralny nie potrzebuje więcej mych usług.

— Panie — rzekłem groźnie — chcę cię przekonać o fałszu twych niegodnych podejrzeń!

Niestety! mówiłem tak, aby się sam oszukać; nie wiedziałem co myśleć, byłem w rozpacz. Humbug wziął mnie za rękę; wszedłem do tej jaskini, jak człowiek idący na spotkanie śmierci.

Na pierwszym piętrze drzwi były otwarte. Weszliśmy do przedpokoju, rodzaju kuchni, bez firanek i mebli. Zatrzymałem się, aby odetchnąć; słyszałem wyraźnie bicie swego serca. Seth zapewnił się, że adwokat przyszedł za nami, po czym zamknął drzwi bez hałasu i schował klucz do kieszeni. Nie mieliśmy więc potrzeby obawiać się natrętów.



Nie byłem w stanie przemówić; dałem znak mym towarzyszom, aby pozostali na miejscu, i wsunąłem się po cichu aż do drzwi, prowadzących do drugiego pokoju.

Naprzeciwko mnie siedziała w starym fotelu kobieta tyłem do drzwi obrócona; u nóg jej na słomianym stoleczku klęczała mała dziewczynka. Obok dziecka Zuzanna z biblją w ręku czytała pobożny ustęp, którego słuchano z uwagą:

„Obarczyli mnie niesprawiedliwościami, i w swoim gniewie dręczyli mnie swemi prześladowaniami.

„Serce moje zaniepokoiło się we mnie, i obawa śmierci spadła na mnie.

„Przejęty byłem strachem i drżeniem, i cały byłem pogrążony w ciemnościach.

„I rzekłem: któż mi da skrzydła jak gołębiczy, abym mógł ulecieć i odpocząć?

„Oddaliłem się przez ucieczkę, i pozostałem w samotności.

„Czekałem na Tego, który mnie wybawił od upadku, obawy ducha i burzy.“ \*)

— O moja Zuzanno! — zawołała nieznajoma — po Bogu to ty ratujesz mi życie. Jaką te wyrazy sprawiają mi ulgę; ty przynajmniej nie opuściłaś mnie.

— A ja — rzekło dziecię — zapominasz o mnie?

— Nie, moje kochanie — rzekła młoda kobieta — lecz w szkółce niedzielnej tylko ty jedna spostrzegłaś moją nieobecność, a któż w mojej rodzinie pamięta o mnie?

Dziecię rzuciło się na szyję swej nauczycielce, i trzy kobiety uściśniły się płacząc.

\*) Psalm LIV. w. 38.

Nie wiem, czy lzy są zaraźliwe, czy też wzruszenie było za silnem dla mnie, lecz czy to ze smutku, czy z radości, dosyć że zacząłem szlochać.

— Mój ojciec tutaj — zawołała Zuzanna — i jakimże to trafem?

— Moja droga — rzekłem przyciskając ją do serca i ucierając nos gwałtownie dla ukrycia łez — ojcowie są ciekawi, i niekiedy radziby wiedzieć, gdzie chodzą ich dzieci.

— Ciekawość, to brzydka wada — rzekła Zuzanna grożąc mi palcem. — Ojciec dobrze wychowany powiedziałby córce: czy pozwolisz mi towarzyszyć ci? I wówczas córka nie dając się długo prosić, byłaby wzięła ojca za rękę, jak ja teraz robię, i przyprowadziła do biednej młodej kobiety, potrzebującej opieki, i rzekłaby mu z pięknym ukłonem: Doktorze Smith, proszę cię o przyjaźń dla mojej kochanej Dinah.

— Panie — rzekła nieznajoma biorąc mnie za rękę — pobłogosław ją, to mój anioł pocieszyciel i zbawca.

Podniosła się mówiąc to, uśmiech wystąpił na jej bladą twarz, lecz nagle wydała okropny krzyk, upadła na fotel cała drżąca, i zakryła twarz rękami.

Kwakier stał przed nią ze skrzyżowanymi rękami i z miną wściekłą.

— Łaski! bracie — szeptała nieszczęśliwa — miej litość nademną.

— Tak to dotrzymujesz słowa! — rzekł Seth — matka myśli, że jesteś w drodze do Kalifornji, pobłogosławiła cię na drogę; czyż chcesz żeby ci cofnęła swoje błogosławieństwo?

— Secie — rzekła młoda kobieta cała we łzach — byłabym pojechała, lecz brakło mi odwagi; potrzebuję wiedzieć moją matkę i tych co mnie kochają.

— Powiedz raczej, żeś potrzebowała zobaczyć go i zgubić się.

— Nie, nie — zawołała — jestem uczciwą dziewczyną, on nie wie nawet, że tu jestem i nigdy tego wiedzieć nie będzie. Nie widziałam nikogo oprócz mej dobrej Zuzanny.

— I cóż myślisz dalej robić? — rzekł kwakier z cierpkością, która mnie nieprzyjemnie dotknęła. — Wiesz że w domu nie ma chleba dla ciebie.

— Nie zabijaj mnie Secie — rzekła — nie będę ci wcale ciężarem. Zuzanna znalazła dla mnie miejsce przełożonej szkoły na przedmieściu, gdzie nikt mnie szukać nie będzie. Będę utrzymywać się z mej pracy; pozwól mi tylko przyjść raz na tydzień uściskać matkę i odwiedzić nasz dom.

Nic nie ma nieprzyjemniejszego nad obecność obcego podczas sceny rodzinnej; usunąłem się więc wraz z Humbugiem, gdy w głębi pierwszego pokoju, w ciemnym kącie ujrzałem Foxa przyglądającego się zakopconemu sztychowi. Było portret Monarchy syna Zaćmienia, zwycięzcy na wyścigach Derby w 1812 roku.

Zawstydzić złośliwego i cieszyć się jego zmięszaniem, to podwójna przyjemność; nie miałem też żadnego skrupułu pożartować z potwarzy.

— Nie sądziłem, że masz pan taką namiętność do wyścigów? — rzekłem. — Laury Monarchy po przeciągu lat pięćdziesięciu nie pozwalają mówić najznakomitszemu adwokatowi w Massachussett; to rzecz zadziwiająca, warta ogłoszenia w dziennikach.

— Przez litość doktorze, pozwól mi wyjść — wyszeptał.

Twarz miał tak pomieszana, głos tak słaby, że mi się go naprawdę żal zrobiło. Nie sądziłem, żeby on był zdolnym do takich wyrzutów sumienia. Otóż to pomyślałem sobie, jak źle sądzą o ludziach. Wystawiają sobie ogólnie, że adwokaci są czuli tylko na cudzy rachunek. Co za błąd!

Chciałem wejść do drugiego pokoju, aby wziąć od Setha klucz, który miał w kieszeni, gdy wtem kwakier wyszedł nagle ciągnąc za sobą swą siostrę z rozpuszczonymi włosami i odpychając ją z pogardą. Zuzanna zalewała się łzami; Humbug próbował sprowadzić pojednanie, wszyscy byliśmy nader wzruszeni. Sam tylko Fox zaczął na nowo przypatrywać się Monarsze nieruchomy i niemy; możnaby było powiedzieć, że chciał się zagłębić w mur.

— Jeszcze raz — wołał kwakier starając się oswobodzić od rąk przyczepionych konwulsyjnie do jego surduta — powtarzam ci słowa matki: „Nie wrócisz do domu inaczej jak z mężem.“ Ponieważ ten piękny nieznajomy obiecał ci małżeństwo, to skłoń go do dotrzymania przysięgi.

— To proces — zawołałem — dalejże szczęśliwy mścicielu niewinności, dalejże, panie Fox, teraz kolej na ciebie pokazać się.

Gdyby piorun był upadł u nóg moich, to byłby mnie pewno mniej przestraszył, jak wybuch, który nastąpił po moim niezbyt przyzwoitym żarcie. Jak tylko Dinah podniosła oczy na adwokata, natychmiast zerwała się z ziemi jak szalona śmiejąc się i płacząc zarazem.

— Gabrjel — zawołała — mój Gabrjel! otóż on, mój bracie, otóż on!



Nie rozumiałem wcale burzy, którą wznieciłem, kwaker był domyślniejszym. Podczas gdy Dinah rzuciła się na szyję swemu Gabrjelowi, Seth zakręcił kilka razy w powietrzu swoim bykowcem, i zbliżając się do Foxa widocznie bledniejącego, rzekł tonem niezbyt zaspokajającym:

— Przyjdź do siebie przyjacielu, i wytłómacz się.

Adwokat miał minę tak płacziwą wśród pieszczot siostry i grózb brata, że aż mi się przyjemnie na sercu zrobiło. Człowiek z natury jest złośliwym zwierzęciem, i dopiero przy pomocy Ewangelji może kochać swych nieprzyjaciół.

Humbug okazał się lepszym odemnie chrześcijaninem.

— Sądę panowie — rzekł głosem poważnym i łagodnym — że teraz przyszła kolej na mnie. W sprawie tej natury ostatnie słowo należy do sędziego. Nie wątpię o pańskich zamiarach, mój kochany Fox. Gdyby się radzono pana w podobnym położeniu, tobyś odpowiedział niezawodnie, że proces o zerwanie przyrzeczenia miałby dla adwokata najsmutniejsze następstwa; sprowadziłby on nie tylko ruinę majątkową i utratę klientów, ale nawet mógłby zmusić go do opuszczenia kraju. Czy nie podzielasz tego zdania?

— Tak — mruknął Fox wdychając.

— Czyż potrzebuję — mówił dalej poczciwy Humbug, który chciał kuć żelazo póki gorące — czyż potrzebuję dodać, że taki człowiek jak pan, nie ma potrzeby niepokoić się nawet tak ważnymi względami. Dosyć, że dał słowo, to pewno go dotrzyma, nieprawdaż?

— Tak — rzekł adwokat wdychając na nowo — kochałem zawsze Dinah, i tylko trudności wstrzymywały mnie....

— Trudności, które obecnie nie istnieją — przerwał Humbug. — Otóż i wszyscy jesteśmy w zgodzie. Wszystko to zakończy się jak w dobrych komedjach: miłość, łyż i przeciwności w pierwszym akcie, a na zakończenie małżeństwo.

Fox dosyć niechętnie uściśnął Dinah, i podał rękę kwakrowi. Dinah zarumieniona z radości przybiegła do Zuzanny.

— Tobie to, droga przyjaciółko — rzekła — winna jestem me szczęście. I tobie także moje dziecię — rzekła do małej, już bledniejącej z zazdrości.

— Wszystko to bardzo dobrze — rzekł Seth, który nigdy nie unosił się w obłoki. — Ale ponieważ jesteśmy tu wszyscy zebrani, i mamy z sobą sędziego pokoju, to nic nam nie przeszkadza do spisania zaraz aktu małżeństwa.

— Bardzo chętnie — rzekł Humbug — panno Zuzanno, będziesz pani moim sekretarzem.

W momencie wszystko było skończone; sądziłem, że podobne związki tworzą się tylko w teatrze, aby rozwiązać się za kulisami; sądziłem, że ostatni notariusz oddawna został słomą wypchany, lecz w Ameryce tak zawsze wszystkim pilno, że zachowano ten stary zwyczaj. Jak tylko narzeczeni zgadzają się, to się obchodzi bez rodziców a nawet i bez notariusza. Dwa tak wymówione przed sędzią pokoju, i jesteście połączeni na zawsze. Wola jest wszystkim, forma niczem. Ci ludzie nie mają zamiłowania do obrzędów.

Z jakąż rozkoszą wyszedłem z tego domu, do którego wchodziłem z niepokojem w sercu! Paddy dostał dosyć dolarów, aby być nieprzytomnym przez cały tydzień. Nigdy ulica Laurowa nie widziała tak zacnego i wesołego towa-

rzystwa. Ja z Zuzanną, prowadzącą za rękę swą małą protegowaną, otwieraliśmy pochód, Humbug i Seth tworzyli straż tylną, między nami postępowała nowa para, Dinah uśmiechnięta jak jutrzienka, Fox z głową spuszczoną

Zawstydzony jak lis, który dał się złapać kurze.

Ale szczęśliwemu to i nieco wstydu na złe nie wyjdzie. Jeżeli nierozważny nazbyt lekko igrał z miłością, to i jakże za to został ukarany? Oto, dostał śliczną żonę. Znam niewinnych, którzyby dla zasłużenia na taką karę, chętnie stali się winnymi.

Trzeba było przygotować matkę Dinah do powrotu córki; Fox również potrzebował uwiadomić przyjaciół o swem małżeństwie i urządzić mieszkanie. A tymczasem oczekując przenosin, Zuzanna brała do siebie Dinah; mnie zaś pozostawiono rolę ojca i opiekuna; szczęśliwe głupstwo jakie zrobiłem, dawało mi do tego niejakię prawo.

Przywrócono Foxowi resztki wolności, których już nie mógł nadużyć, a reszta towarzystwa weszła do mnie. Była to wielka uroczystość u nas, nigdy nie obiadowaliśmy weselej. Marta otwierała swe wielkie jak otwór u pieca usta, i wzdychała jak wulkan podziwiając i usługując swej bratowej; Zuzanna i Alfred mieli sobie nieustannie coś do powiedzenia po cichu; jedna Dinah mały brała udział w ogólnej wesołości. Seth pożerał wszystko, co było na stole, z zadowolaniem człowieka, który skończył gruby interes i je cudzy objad. Humbug, który pomimo swej ogromnej objętości, jadł mało i pił tylko wodę, wynagradzał sobie swą wstrzemięźliwość przytaczając mi najweselsze wiersze Horacego, tego drugiego pijaka, opiewającego na czczo rozkosze pijaństwa. *Nunc est bibendum, nunc pede libero pul-*

*sanda tellus* \*). Co do mnie, to cały myślom oddany rozkoszowałem wesołością i szczęściem dzieci. Lecz nikt nie jest w stanie opisać radości i ożywienia mojej Jenny. Ani chwili nie mogła ona usiedzieć na miejscu, ciągle wychodziła i wracała, ładując talerze pieczenią, kartoflami, szynką, ciastem, serem, owocami i ciastkami; nalewała wszystkim piwo, maderę i wino reńskie; miała przyjemne słowo dla każdego mężczyzny, pieszczotę dla każdej kobiety. Małżeństwo był to dla niej wielki los wygrany na loterji. Ustępem, który Jenny uważała za najbardziej z całej Biblii przez Boga natchnionym, były te wielkie słowa które Bóg w Genezis rzekł do pierwszego małżeństwa: Rośnijcie się, napęlniajcie ziemię i podbijajcie ją sobie. Zaczyna kobieta nie była na wpół ani Amerykanką ani protestantką. W jej oczach bezżeństwo było zbrodnią, albo co najmniej chorobą, z której nigdy nie można zawczasie się wyleczyć. Gdyby jej pozwolono działać, toby nie zostawiła ani jednego kawalera na ziemi, wystawiam sobie nawet, żeby skończyła na ożenieniu samego Papieża.

\*) A teraz pijmy, i nogą swobodną puszczejmy się w tan.



ROZDZIAŁ XXVI.

DOBRO CZYNNOŚĆ.

Nazajutrz przy śniadaniu czułem się nadzwyczaj spokojnym i wesołym. Dinah siedząca po mej prawej stronie, a Zuzanna po lewej, dawały mi pozór patryarchy wśród swych dzieci. Od czasu, jak się zacząłem starzeć, nie ma dla mnie większej przyjemności, jak widzieć okolo siebie te młode twarze, świeże jak jutrzenka, wesołe jak nadzieja. Niestety! Czemuż to nie można im ustąpić tego doświadczenia, które tak drogo opłacać przychodzi, a które do niczego nam już nie służy!

Moja żona nie umiała nic robić przez połowę. Ja wzięłem pod opiekę Dinah, a Fox został protegowanym mej Jenny; wszak się żenił! Miał też przygotowane sobie nakrycie obok swej ukochanej. Wszedł on bez najmniejszej nieśmiałości, z bukietem w rękę, i uściskał swą narzeczoną z miną zwycięzcy. Kiedy gniew marszczył zaostrzoną twarz adwokata, nie był on wcale pięknym; jako czuły i uprzejmy, był okropnym; wyglądał jak wąż zakochany. Dinah nie podzielała tego przekonania; napróżno

prawilem jej najprzyjemniejsze rzeczy, oczy jej nieustannie zwracały się ku drugiemu sąsiadowi. Rachela mniej podziwiała Jakóba ciągnącego wodę ze studni, dla napojenia owiec Labana. Kobiety posiadają do najwyższego stopnia poczucie własności, a ze wszystkich własności najbardziej leży im na sercu posiadanie męża. Lecz podczas gdy Francuzka jest nimfą polującą, i dba nader mało o złowioną naraz zwierzynę, Amerykanka przywłaszcza sobie swego męża z chciwością i zazdrością, z jakimi wieśniak francuzki poślubia ziemię. Jest on jej rzeczą; nieszczęśliwy, jest jak ptak w klatce, jak niewolnik domowy; lecz ptak którego pieczęcią, niewolnik, którego wszystkie życzenia starają się odgadnąć. Amerykanie tak nadużywają swej niepodległości na zewnątrz, że wróciwszy do domu, nie mają zupełnie swej woli. Ten Jankes, który zasadza swą chwałę i dumę na nieustępowaniu nikomu, jest w domu mężem potulnym, słuchającym swej żony i znajdującym przyjemność w uleganiu jej; łagodny ze słabymi, nieugięty z mocnymi. Ten lud ma umysł na opak, nic nie robi tak jak my.

Fox chciał uprowadzić Dinah dla porobienia sprawunków ślubnych. Zuzanna sprzeciwiła się temu.

Panie adwokacie — rzekła — bardzo mi to przykro, ale Dinah do mnie należy. Znaleźliśmy jej miejsce przełożonej szkoły na sześć miesięcy; dziś właśnie obejmuje ona swoje nowe obowiązki, a nie może przecież nie dotrzymać słowa. Wkrótce będę mogła zastąpić ją, a wówczas oddam ją panu na cały tydzień; lecz na dziś jest to niepodobieństwem. Rachujemy na twoją obecność ojcze, przy tej uroczystości.

-- Zapominasz, kochane dziecię — rzekłem — że i ja także obejmuję dzisiaj moją posadę w szpitalu Opatrzności, i tak już bardzo spóźniłem się. Ten wczorajszy proces...

— To nic nie szkodzi — rzekła Zuzanna — idź zaraz ojciec odwiedzić swych małych chorych; nasza szkoła znajduje się na ulicy Federalnej, tuż koło ulicy Orzechowej; czekamy cię w południe.

Przybywszy do szpitalu, zażądałem widzieć się z dyrektorem; tym dyrektorem była kobieta, nauczycielka Zuzanny, znakomita pani Hope, doktor medycyny i profesor higieny; jeszcze jedno z tych przeciwieństw, jakie można napotkać jedynie w Stanach zjednoczonych. Zresztą była to bardzo poważna matrona, która przyjęła mnie jak koleżę, i zaraz rozpoczęła ze mną zwiedzanie szpitalu.

Szpital był wzorowym; w żadnym kraju nie widziałem tak doskonałego urządzenia. Obszerne sale, z małą ilością szeroko porozstawianych łóżek, żadnych firanek, dużo powietrza, światło dostateczne, cichość, najwyszukaniejsza czystość, ani trochę cikliwego i duszącego zapachu, który czyni szpital przedmiotem wstępu, i często nawet miejscem zatrutem. Po raz pierwszy znalazłem połączone wszystkie warunki wymagane przez higienę, jako też i dobroczynność.

Na głos pani Hope, nadbiegł cały szwadron młodych kobiet. Czarna suknia, wysoki fartuszek i mała biała czapeczka, dawały im fałszywy pozór siostr miłosierdzia. Były to stałe uczennice szpitalu, przyszli doktorzy w spodnicy wolnej Ameryki. Śledziły one z największą uwagą moją czynność; byłem zdziwiony jasnością, z jaką się wyrażały, dając mi sprawozdanie o stanie chorych, i starannością,

z jaką zapisywały wszystkie moje wyrazy i rady; lecz miałem za wiele zdrowego rozsądku, aby brać na serjo tę próbę chimeryczną; zapytałem się też zacnej pani Hope, jakie ona nadzieje budowała na przyszłość na tej szczególnej edukacji.

— Zdaje mi się — rzekła — że dojdziemy do wielkiej reformy. Te młode uczennice przepędziły już dwa lata w szpitalu Macierzyńskim, na przyszły rok pojedą do kliniki kobiecej, i nareszcie zrobimy z nich prawdziwych doktorów.

— Brawo! — zawołałem — co to będzie za rozkosz dla nas siwobroдых być pielęgowanymi przez ośmnastoletnich Hipokratów w krynolinach i koronkach.

— Nie — odrzekła — my nie będziemy miały nic do czynienia z wami panowie. Lecz pológ, pielęgnowanie małych dzieci, choroby i szaleństwo kobiet, to do nas należy; my lepiej od was znamy się na tem. Zostawimy wam chirurgję i wypadki nadzwyczajne; lecz to wszystko co matka lub kobieta powierza wam ze wstydem, to my bierzemy dla siebie; wypędzimy was z dziedziny, którąście sobie przywłaszczyli. Wprowadzimy skromność do sztuki lekarskiej; przesąd jak zwykle powstanie przeciwko nam, lecz będziemy mieli za sobą kobiety, ojców i mężów, więc zwyciężymy — nieprawdaż?

Co odpowiedzieć fanatykowi, a do tego gdy fanatykiem tym jest kobieta, co jest istotą słabą z natury, i obdarzoną uporem organicznym? Przerwałem rozmowę i prowadziłem dalej wizytowanie chorych. W ogóle choroby te nie były zbyt ciężkie, a mali chorzy byli tak troskliwie i rozumnie pielęgowani, że mi pozostało bardzo mało do czynienia. Miałem do zrobienia tylko jedną, i to nie wiel-



kiej wagi operację. Otworzyłem na szyi dziecka dosyć niebezpieczny i w złym miejscu znajdujący się wrzód. Lekkość ręki, zręczność i elegancja w bandażowaniu, są chwałą naszej szkoły paryskiej; miałem też wielkie powodzenie u młodych uczennic; bandaż mój wraz z fałdami został na tychmiast odrysowany, i powieszony jako wzór w sali operacyjnej. Prawdę mówiąc były chwile, że widząc ich roztropność, ochotę i uwagę, zaczynałem przypuszczać, że kobiety mogą być zdolne do czegoś więcej jak do gotowania ziółek dla dzieci. Wszystko to nie zbyt źle idzie, powiedziałby Montaigne, ale cóż — kiedy nie noszą one pantalonów.

Na czas zrobiłem tę uwagę, i muszę oddać sobie sprawiedliwość, że pozostałem wierny starożytnej religii wydziału lekarskiego. Mniejsza o nowości w polityce, mianowicie gdy są niewinnemi, lecz co do reszty niech żyje przesąd! Dowodem jego zbawienności jest to, że ma za sobą większość, i że kamienują nowatorów. Znajdowałem te młode heretyczki zachwycającemi, lecz herezja była dla mnie rzeczą obrzydliwą, i wcale jej nie uległem.

Po skończeniu przeglądu udałem się na radę administracji szpitalu; pani Hope towarzyszyła mi; zajęła ona miejsce w pośród nas, a obecność jej nie zadziwiła nikogo. Spotkałem wiele twarzy znajomych pomiędzy opiekunami czy też administratorami; aptekarz Rose, dzielny pułkownik Saint-John, wesoly Humbug i nieznośny purytanin Noe-Brown. Pierwsza zabrała głos dyrektorowa, wykazała ona z dowodami w rękę i w sposób przekonywujący niedostateczność domu i potrzebę nabycia sąsiedniego ogrodu, w celu zrobienia w nim przechadzki dla rekonwalescentów. Gdy skończyła, zapytano mnie o zdanie.

— Pochwalam najzupełniej tę doskonałą myśl — rzekłem — i jestem przekonany, że zrobiwszy o to przedstawienie do zarządu i załączony ten projekt tak jasny i dobrze obrobiony, otrzyma się za ośm lub dziesięć lat to naglące ulepszenie.

— O jakim zarządzie pan mówisz? — zapytał pułkownik, który prezydował z prawa starszeństwa.

— Mówię o głównym zarządzie szpitali.

— Cóż to znów za potwór? — rzekł śmiejąc się Humbug. — Czy to nowa nazwa Lewiatana, Brownie?

— Żarty na bok — rzekłem do Humbuga — sądzą, że ten szpital tak samo jak i wszystkie inne zależy od wielkiego, zcentralizowanego i opiekuńczego zarządu. Mniejsza o to, czy to państwo, miasto albo jakieś zgromadzenie rządu, pilnuje i organizuje dobroczynność; lecz niewątpliwie musi ona zależeć od kogoś lub od czegoś.

— Oto — rzekł gburowaty Brown — niewątpliwość, która jest przeciwną prawdzie. My dzięki Bogu nie zależyśmy od nikogo. Połączyliśmy się, aby przynieść ulgę nędzy, składamy naszą dobrą wolę, nasz czas i pieniądze, przedstawiamy rządowi naszą ustawę i rząd zatwierdza nasze stowarzyszenie; i któż potem ma prawo mięszać się do naszych interesów? Czyż dobroczynność jest zbrodnią? Czyż to jest zajęcie polityczne lub municypalne? Jestem chrześcijaninem, wspieram nędzę na mój sposób, któż więc może mi przeszkadzać w spełnieniu tego najpierwszego obowiązku? Czyż się zasługuje na zbawienie przez pełnomocnictwo?

— Za pozwoleniem — rzekłem — nikt panu nie przeszkadza dać swoje pieniądze; nie ma tyranji, któraby aż do tego stopnia posuwała swe okrucieństwo. Lecz prawo

założenia szpitalu to rzecz inna; do jakiegożby się doszło nieładu pozwalając pierwszemu lepszemu na założenie takiego schronienia? Wkrótce mielibyście szpitale homeopatyczne i sam nie wiem jakie.

— Szpitale homeopatyczne? — rzekł Rose — mamy ich trzy w mieście, a wkrótce ma się otworzyć czwarty; i cóż w tem złego?

— Rose, mój drogi przyjacielu — zawołałem — jak to, ty prawowierny aptekarz, mówisz tak potworne rzeczy?

— My, kochany doktorze — odrzekł Rose — nawet w religji nie wiemy, co to jest prawowierność urzędowa. Zostawiamy każdemu prawo szukania Boga podług swego sumienia. Nie możemy przecież być surowszymi co do zdrowia ciała, jak co do zdrowia duszy. Zresztą mój przyjacielu, my obadwaj jesteśmy augurami, i wiemy czego się trzymać co do medycyny urzędowej i prawowiernych pigulek.

— Niech i tak będzie — rzekłem — ogłoście więc wolność szarlatanizmu i trucicielstwa; nic mnie już nie potrafi zadziwić w tej rzeczypospolitej, która powinna umieścić na swej związkowej chorągwi tę dewizę księdza de Thélème: „Rob co chcesz“; lecz będę z wami mówił w imię użyteczności i zdrowego rozsądku. Wiele macie szpitali w mieście z waszym systematem pozwalania na wszystko?

— Najwyżej sto — rzekła pani Hope.

Ta cyfra zadziwiła mnie; nie przypuszczałem tej obfitości anarchicznej dobroczynności, lecz nie byłem jeszcze przekonany.

— Sto szpitali! — zawołałem — zachowajcie panowie tę potężną cyfrę w pamięci; jeżeli z jednej strony przynosi ona zaszczyt chrześcijanom Paryża w Massachusett, to z drugiej spytajcie ludzi praktycznych, co za smutne

następstwa musi sprowadzić ta mnogość i to współzawodnictwo. Podwójne urzęda, strata pieniędzy, w jednym miejscu zbytek, w drugim brak zupełny pomocy, nadużycia, ubóstwo. Przypuście przeciwnie, że szeroki zarząd łączy w sobie te wszystkie porozdzielane nici, te wszystkie porozstrzelane siły, unieście na górze piramidy człowieka pilnego, czynnego, oszczędnego — natychmiast zapanuje porządek a z nim wszystkie korzyści jedności! Zarząd lekarski, porządne kliniki, wykład urzędowy; kasa główna, główna apteka, piekarnia, rzeźnia, mleczarnia, pralnia, jednym słowem prawdziwe cesarstwo, cesarstwo dobroczynności z naczelnikiem, ministrami i poddanymi. Nie jest to marzenie: ten ideał jest rzeczywistością w krajach stojących na czele cywilizacji. Zaręczam, że dzięki cudownej potędze centralizacji, przy małej ilości wielkich szpitali i silnej organizacji, byłoby mi bardzo łatwo podwoić liczbę łóżek dla chorych nie wydawszy ani jednego dolara więcej.

— Jestem o tem najmocniej przekonany — rzekł Humbug. — Doktor ze swoim talizmanem jest w stanie przerobić świat cały, i wygnać z niego wszystkie nieporządki wolności. Żądam, ażeby powszechnem głosowaniem oddano w jego ręce przędzalnię, ludwisarnię, fabrykę okrętów i resztę. Nie wątpię, że przy pomocy głównych kuźni i armji urzędników podwoi on ilość wyrobu zmniejszając wydatki.

— Jesteś nieznosny — rzekłem — a cóż to, czy bierzesz mnie za komunistę? Czyż ja to nie wiem, że w przemyśle ta jedność jest chimera.

— Dla czego to? — rzekł wieczny żartowniś. — Czyliż to w przemyśle ześrodkowanie wszystkich sił nie zaprowadza oszczędności w takowych, porządku w wyrobie, jednostajności i karności w pracy?



— Bez wątpienia — odpowiedziałem — lecz jest to strona mało znacząca w tej kwestji. Ta jednostajność mechaniczna niszczy prawo moralne produkcji. Czemże jest ta powierzchowna regularność, która niszczy wpływ oka pańskiego, w niwec obraca usiłowania osobiste, interes prywatny i wolne współzawodnictwo? To kropla wody w porównaniu z oceanem. Przeciwnie zaś to co ja wam proponuję...

— Jest najzupełniej to samo — przerwał Humburg z żywością. — Interes prywatny, wysilenie osobiste, wolne współzawodnictwo, wszystkie te czynniki, które pan tak dobrze oceniasz, są także czynnikami dobroczynności; i trzeba jeszcze dodać do tego poświęcenie, które istnieć może jedynie przy wolności. Jeżeli państwo albo zarząd miejski zastąpią mnie w przychodzeniu w pomoc chorym, jeżeli ten ogromny mechanizm uwolni mnie od najpierwszej z cnót — będę płacił krzywiąc się lichy podatek i na tem koniec. Lecz zostaw mnie pielęgnowanie nędzy i słodycz jałmużny, a przyuiosę ci wszystko aż do ostatniego grosza. Bardzo mało mnie obchodzą inne szpitale w mieście, nie znam ich nawet; lecz ten do mnie należy, te dzieci są mojemi, kocham je tak, jak gdyby mi je samemu dał Pan Bóg. Po skończonej pracy, gdy jestem smutny i zmęczony, to tu przychodzę, i w pośród tych moich małych protegowanych zapominam o mych zmartwieniach. Zapytaj tych pánów, co ich kosztuje dobrowolna dobroczynność. Jestem pewny, że zabiera im ona co najmniej to dziesiątą część dochodu; niech spróbuje państwo wydobyć od nas i dwudziestą część na swoje szpitale urzędowe. Każdy zacząłby krzyczeć na nadużycie. Nie przeczę, że jest nieco źle obróconych pieniędzy i sił straconych, lecz trzeba zobaczyć rezultat,

a ja utrzymuję z dowodami w ręku, że dobroczynność osobista jest trzy do czterech razy hojniejszą od dobroczynności zorganizowanej. Pański systemat, doktorze, stawia pomiędzy wolą i czynem przeszkodę, która wszystko psuje. My nie jesteśmy wcale paralitykami, pozwól nam więc działać i zobacz, co lud zyskuje na wolności. Pod względem politycznym, interesem rządu jest zostawić nam praktykowanie najprzyjemniejszej i najbardziej ludzkiej cnoty; pod względem ekonomicznym robi on wyborny interes, pomnaża bowiem dobroczynność i nauki, i służy zarazem umiejętności i ludzkości.

— Zdaje mi się, panowie — rzekł pułkownik — że za bardzo oddalamy się od przedmiotu. Żądają od nas dwadzieścia tysięcy dolarów na powiększenie i ulepszenie naszego szpitalu; nic nam nie pozostaje do zrobienia jak podpisać składkę i rozesłać listę naszym wspólnikom. Ja, jako bezdzielny i który te dzieci uznałem za swoje, daję przykład i podpisuję się na tysiąc dolarów.

Lista poszła z rąk do rąk, gdy nadeszła do mnie, poszedłem za przykładem aptekarza i podpisałem się na pięćdziesiąt dolarów.

— Pozwólcie mi zrobić ostatnią uwagę — rzekłem — Widzę, że kupujemy za dziesięć tysięcy dolarów ogród wcale nie wielki, czyż to nie za drogo?

— Jest to dwa razy prawdziwa wartość, lecz właściciel nie chce go sprzedać taniej — odrzekła pani Hope.

— A to zabawne! — zawolałem. — Właściciel stawia wyżej swoją wygodę i swoje samolubstwo nad interes biednych! Trzeba go wywłaszczyć panowie, nie ośmielajcie waszą słabością podległej spekulacji.

— Doktorze Smith — rzekł Brown marszcząc brwi — to jest komunizm pierwszego rzędu.

— Coż znowu — rzekłem wzruszając ramionami — czyż interes prywatny nie powinien uleże interesowi ogółu?

— Bez wątpienia — odrzekł purytanin — lecz nie ma nic niebezpieczniejszego nad oklepane zdania. Przy pomocy to szczytnych słów zabijają zawsze wolność! Własność nie jest interesem, lecz prawem. Interes ogólny, jest to wyraz niejasny i elastyczny, mogący służyć tak pretensjom niesprawiedliwym, jako też i najsluszniejszym. Przed powolywaniem się nań, zacznij pan od określenia go.

— Nasze prawa rozstrzygnęły tę kwestję — rzekł Humbug — Wywłaszczenie istnieje w czterech tylko razach: dla zrobienia drogi, ulicy, kolei żelaznej i kanału. Lecz chociaż jesteśny ludem przedewszystkiem municypalnym, chociaż miasto jest najwyższą władzą w tem wszystkim co się go tyczy, jednakże własność jest rzeczą tak świętą, że dla naruszenia jej, musi się wdawać prawodawstwo państwa; ono to potwierdza zrobione plany i nakazuje wywłaszczenie, po poprzednim wynagrodzeniu. Co do reszty, jako to: szkół, szpitali, domów miejskich, kościołów, prawo stawia wyżej interes prywatny, niż tak zwany interes ogólny, który ściśle biorąc jest tylko interesem pewnego stowarzyszenia lub pewnej części miasta. Dokądże by nas zaprowadził twój systemat doktorze? Pozbawiono by mnie dziedzictwa po moim ojcu, wydarto by mi moje wspomnienia, żartowano by z mych uczuć, naruszono by najświętszą z własności, i dlaczego? Dla wybudowania teatru lub szynku? Tak być nie powinno.

— Jaktó! — zawołałem — więc w rzeczypospolitej, gdzie rządzi lud, są ludzie którzy śmiać bronić zastarzałych, feodalnych zasad!

— Pan wcale nie pojmujesz wolności — rzekł Brown. — Czem bardziej kraj jest demokratycznym, tem bardziej człowiek pojedynczy powinien być potężnym, a jego własność szanowana. Jesteśmy ludem panujących; to wszystko co osłabia pojedynczego człowieka, prowadzi nas do demagogji, to jest do bezrządu i upadku, a wszystko co wzmacnia pojedynczego człowieka, prowadzi nas do demokracji, panowania rozumu i ewangelji. Narodem wolnym jest ten, gdzie każdy obywatel jest panem bezwzględny swego sumienia, swojej osoby i majątku; w dniu, w którym zamiast nam mówić o prawach osobistych, zaczną nam prawić o interesie ogólnym, będzie po dziele Washingtona; będziemy gromadą i dostaniemy pana.

— Panowie — rzekł pułkownik, którego mało zajmowały nasze rozprawy — nie ma już nic więcej na porządku dziennym; posiedzenie zamknięte. Darujcie mi że was opuszczam — dodał — lecz mówią, że są złe wiadomości z pola bitwy, więc mi pilno dowiedzieć się prawdy.

Byłem dosyć zadowolony ze skończenia rozprawy z Purytaninem i jego ostrym językiem; lecz na moje nieszczęście podobałem mu się, albo raczej przypuszczam, że ułożył on sobie zamiar nawrócenia mnie na swój fanatyzm.

— Doktorze — rzekł — mam cię prosić o jedną przysługę. Założyliśmy w tej części miasta instytut dla robotników. \*) Będzie w nim księgozbiór, gabinet modeli,

---

\*) Mechanic's Institute.



dwie sale rysunkowe, wykłady publiczne, czytelnia, jednym słowem wszystko to, co może być użytecznem w tego rodzaju zakładzie. Sami robotnicy będą ponosić koszta utrzymania go; nie mamy wcale zamiaru występować jako do broczyńcy, i naruszać w czemkolwiek bądź dzieło wolności. Pierwszem prawidłem dobroczynności jest, nieosłabiać nigdy godności ani też odpowiedzialności tych, których się chce zobowiązać. Lecz są znaczne wydatki przy pierwszym założeniu, na jakieby nie wystarczyła kieszeń naszych robotników; potrzeba nam najmniej dziesięciu tysięcy dolarów. Aby je zebrać, urządzamy płatne odczyty publiczne. Kłasyk Everett obiecał nam swój udział, również jak i wymowny Sumner. Mam nadzieję, że będziemy mieli filozofa Emersona i poetę Longfellowa. Ja z mej strony będę miał lekcję, w której będę dowodził, że ewangelja uszlachetniając pracę i podnosząc robotnika, stworzyła od razu wolność i bogactwo. I pan też zechcesz zapewne przyłączyć się do nas. Dwa odczyty uczonego lekarza szpitalu Opatrzności o higienie nowonarodzonych dzieci, sprwadzi wszystkie matki i przyniesie nam ze czterysta dolarów.

— A macie upoważnienie od władzy? — zapytałem.

— Prawdziwie, że pan to pójdziesz prosto do raju doktorze — odrzekł dziwak. — Pielęgnując dzieci, stałeś się im podobnym, i nie możesz chodzić bez paska. Jakiegoż to upoważnienia potrzeba dla oświecania ludzi i czynienia im dobrze?

— Jakto! — zawołałem — to możecie urządzać odczyty publiczne i mówić robotnikom o polityce, bez mięszania się w to rządu?

— Niewątpliwie — rzekł — jeżeli zapomniemy o naszych obowiązkach, na to jest prawo, a z niem sprawiedliwość: alboż nie dosyć?

— Nie, to nie dosyć: rząd nie może pozwolić pierwszemu lepszemu mówić do ludzi. Ta powierzchowna nauka, to nawpółwykształcenie, wzbudza w ludzie zgubną ambicję; narażacie na niebezpieczeństwo kraj i religję samą.

— Półświatło więcej warte od ciemności, zachcianek i namiętności państwa — rzekł Brown — a zresztą czyż można znaleźć światło nie szukając go? Trzeba żebyśmy mówili do ludu, i pozostawali w ciągłych z nim stosunkach. Jest to kwestja życia lub śmierci dla nas demokratów i chrześcijan. Ciemnota ta zabija rzeczpospolitę: jeżeli obawiasz się despotyzmu, to oświeć lud. Religję zabija wiara nierozumowana; jeżeli boisz się niedowiarstwa, to oświeć lud. Nam potrzeba światła wszędzie i we wszystkim. Jeżeli chrześcijanizm jest bajką, to niech upadnie, jeżeli zaś jest prawdą, to niech panuje. Czyż pan sądzisz, że my pastorzy jesteśmy szarlatanami żyjącymi z ciemnoty i łatwowierności?

— Uspokój się pan — rzekłem — i nie stawiajmy tej kwestji tak wysoko. Przyznasz pan, że dając robotnikom miejsce zebrania, zakładasz pan klub w którym będą oni panami.

— Bez wątpienia, ponieważ będą u siebie.

— Czy nie widzisz pan, że przy pierwszej kłótni z fabrykantami klub ten stanie się ogniskiem koalicji?

— Jeżeli robotnicy chcą skoalizować się, to któż im może tego zabronić? Ci co sprzedają swoją pracę, mają równe prawa z tymi, którzy ją kupują. Jest to targ, na którym się wolno targować.

— Ależ panie — zawołałem zgorszony tą głupotą — pan głosisz bezrząd.

— Panie — odrzekł mi ze swoją zwykłą gburowatością — język którym pan mówisz, nie jest językiem amerykańskim. Bezrząd jest to targanie się na cudzą własność, a nie obrona własnej wolności. Wierz mi pan — dodał, wznosząc ku niebu swe natchnione oczy — kształcenie duszy jest zbawieniem demokracji chrześcijańskiej; istnieje ona tylko przez oświatę. Pozwól robotnikom czytać, uczyć się, rozprawiać; podnieś ich w całym znaczeniu tego pięknego słowa, podnieś ich aż do siebie, i sam się podnieś z nimi, a nie będziesz miał potrzeby obawiać się ani koalicji, ani komunizmu, ani tych wszystkich szaleństw, które przerażają stary ład stały. Są to choroby, które rodzi ciemnota; do nas doktorze należy ich uleczenie. *Sursum corda* \*) oto moja dewiza!

— Przyjmuję ją z całego serca — odrzekłem olśniony zapalem tego natchnionego — możecie rachować na mnie.

Zostawszy sam z Humbugiem zapytałem go, czy ma zamiar iść ze mną na obchód objęcia obowiązków przez Dinah.

— Oczywiście, doktorze Paradoksie — odrzekł ze złośliwym uśmiechem — nazbyt mnie bawisz swemi wspinałemi teorjami. Czem cię dłużej słyszę, tem lepiej oceniam wielkość naszych ustaw.

— Dziękuję za komplement — odpowiedziałem — zdaje się że pochwały oddawane przezemnie centralizacji, robią na panu wrażenie dowodzenia wolności *per absurdum*.

---

\*) Wznosmy serca.

*dum.* Powinieneś być miłosierniejszym kochany przyjacielu i pamiętać, że są na ziemi jeszcze inne kraje oprócz Ameryki.

— Wiem do czego zmierzasz fanatyku jedności łacińskiej, głęboki wielbicielu Francji — rzekł. — Ja także kocham Francuzów, wnuki La Fayette'a są dla mnie braćmi; lecz niech mi daruje ten lud genialny, który od siedmnaście lat pracuje ale nad zadaniem nie do rozwiązania, umieścić wolność w konstytucji i despotyzm w administracji, jest to to samo, co chcieć chodzić ze związanymi rękami i nogami. Cały rozum świata nie potrafi tego dokazać.

— Doprawdy? — rzekłem uśmiechając się z tej próżności. — Powiedzże nam człowieku praktyczny, czego brakuje Francuzom, ażeby się wzniesli do cywilizacji Jan kesów?

— Jednej tylko rzeczy — rzekł bardzo poważnie. — We wszystkich swoich systematach zapominają oni najważniejszej części. Polityka ich podobną jest do roztargnionego Sama.

— Któż to jest Sam roztargniony?

— Tak się nazywał posłaniec mojej wioski — rzekł wesoło Humbug. — Człowiek pełen sprytu i dowcipu, odważny aż do zuchwalstwa, oszczędny aż do skąpstwa, akuratywny aż do drobiazgowości, sława i zaszczyt Connecticutu. Miał on tylko jedną wadę, tracił pamięć. Raz gdy miał przesłać pięćdziesiąt paczek do rozdania, widziano go przez całą drogę niespokojnego i wzruszonego. „Coś zapomniałem, mówił, ale cóż to ja mogłem zapomnieć?“ Nareszcie przybywa do wsi, dzieci biegną na jego spotkanie. „Dzień dobry ojcze, a gdzie mama?“ — „Mój Boże, zawołał Sam uderzając się w czoło, o toż to czego mi brakowało, zapo



moiałem żony!“ Tak się też dzieje i z Francuzami, weźmy na chybił trafił jedną z tych konstytucji, których im narobiono tuzinami, znajdziemy w niej państwo i jego prawa, człowieka i jego prawa, lecz brakuje...

— Czegoż więc? — zawołałem.

— Społeczeństwa — odrzekł Humbug. — Nie przyszło nigdy na myśl żadnemu prawodawcy francuskiemu, aby dać miejsce w życiu politycznym narodu społeczeństwu, to jest stowarzyszeniu pod wszelkimi formami, swobodnemu działaniu połączonych ludzi. My Amerykanie dajemy mu jak najobszerniejszy zakres: gmina, kościół, szpital, szkoła, wyższe wykształcenie, nauki, piśmiennictwo. Każde stowarzyszenie jest dla nas jakby powiększoną rodziną, a wszystkie te stowarzyszenia wznosząc się stopniowo, tworzą tyleż pięt, poczynających się od człowieka i dochodzących aż do państwa. Ameryka, prawdę powiedziawszy, jest tylko połączeniem rodzin, które same zajmują się swojemi interesami. Czyż coś podobnego istnieje we Francji? Tam wi- dać tylko jedną rzecz: administrację, ten olbrzymi polip, zapuszczający wszędzie swoje korzenie, czepiający się wszystkiego, biorący wszystko i tłumiący wszystko. *Monstrum horrendum, immane, ingens, cui lumen ademptum* \*). Kraj jest rozcięty na dwoje, z jednej strony władza ze wszystkimi środkami potężnej cywilizacji; z drugiej tłum mniej lub więcej posłuszny. Ztąd wszystkie rewolucje rozdzierające ten piękny kraj, ztąd to wieczne ronienie. To osłabiają władzę i przywodzą je do niemocy, spodziewając się przez to powiększyć wolność, a przychodzą do bezrządu; to znów rzucają się w przeciwną ostateczność, ści-

\*) Potwór straszny, groźny, olbrzymi, któremu światło odjęte.

skają wszystkie węzły, sądzą że służą porządkowi, a dochodzą do despotyzmu. Smutna rzecz widzieć szlachetny lud, który na to tylko wydobywa się z przepaści, aby upaść na drugą stronę.

— A środek na to, mój drogi? Kto wie, czy to charakter narodowy nie jest przyczyną tego wiecznego niepowodzenia?

— Nie wierzę — rzekł Humbug — aby istniały ludy stworzone do niewoli, nie wyłączam nawet murzynów, nie widzę zresztą, ażeby Francja zrobiła kiedy zły użytek ze stowarzyszeń. Dzięki administracji, która wypływa na wierzch ze wszystkich rewolucyj i wzbogaca się po każdej powodzi, odmawiano zawsze Francuzom tej spokojnej wolności, która miarkuje i łagodzi wszystkie inne. Dano im po dziesięćkroć razy prawo głosowania, które się im na nic nie przydało, lecz dotąd czekają na pozwolenie zajmowania się swojemi interesami. Są oni królami przez godzinę, a nazajutrz odmawiają im nawet prawa mówienia i działania. Dotąd więc próba nie miała miejsca, wszechwładztwo nie jest wolnością. Wraz z niem dobija się często lud prawa zgubienia się; z wolnością żyje on, rozwija się i trzyma w swem ręku swoje szczęście i honor. Jak Francuzi spróbują się sami rządzić, to wtenczas będzie można ich potępić; do tego czasu nikt nie ma prawa ich obwiniać. La Fayette, którego pisma my tu czytamy, a które może są lekceważonemi we Francji, żądał już przed pięćdziesięciu laty, tego życia wolnego, i tych wolnych zgromadzeń się, które stanowią naszą wielkość. Gdybym miał zaszczyt być jego współziomkiem, to chciałbym wziąć po nim to dziedzictwo. Ten kto przekona Francuzów, że to centralizacja ich ujarzmiła, i że jedno tylko stowarzyszenie może

ich wyswobodzić, ten wykorzeni na zawsze ziarno rewolucji i zasady nakoniec na tej szlachetnej ziemi drzewo wolności, które nie uschnie więcej. Będzie on mógł zawołać daleko słuszniej niż Archimedes: Eureka\*); znajdzie on bowiem od razu skarby daleko droższe, niż wszystkie skarby świata, wolność i spokój.

— Brawo, Humbug! — zawołałem — oto prawdziwa wymowa. Lecz jeżelibyś chciał kochany przyjacielu opowiadać te bajki w Paryżu, we Francji, to wygwizdanoby cię jako marzyciela, albo może zamkniętoby do więzienia jako podżegacza, przy oklaskach nowożytnych Aten.

— Tobo mnie wcale nie zadziwiło — rzekł — starożytni Ateńczycy mieli filozofa, którego Pythia ogłosiła za najmędrszego z ludzi; to też nader im było pilno, zabić go. Znakomitości umysłowe Agory, ludzie praktyczni, oskarżali Sokratesa o rewolucyjność i ateizm. Gdzież się dziś podziła pamięć tych wielkich mężów stanu, którzy powtarzali na wszystkie tony, że ocalili ojczyznę, i którzy naturalnie kazali sobie dobrze płacić za oddane usługi? Prawdziwy obywatel nie wstrzymuje się przed podobnie niedzmi przeszkodami: broni on prawdy z nieprzeciętną wytrwałością, ostrzega o niebezpieczeństwie, walczy, krzyczy, dopóki fale go nie zaleją; niekiedy ocala on ludzi pomimo ich woli, i oczekuje nagrody tylko od potomości. Wdzięczność, jestto cnota przyszłości.

— Dziwny lud! — mruknąłem. — U tych kupców przekonania są namiętnościami, gdy przeciwnie u nas, ludu bohaterskiego i teatralnego, to właśnie namiętności i interes.... Zachowałem dla siebie resztę uwagi.

\*) Znalazłem.

## ROZDZIAŁ XXVII.

### SZKOŁA.

Tak rozmawiając przybyliśmy na ulicę Federalną. Naprzeciwko nas, na wzgórku panującym nad miastem i okolicą, wznosił się wspaniale okazałej powierzchowności budynek, składający się z kwadratowej wieży z dwoma skrzydłami. Gdybym się znajdował w kraju cywilizowanym, powiedziałbym: „To koszary żandarmów albo pałac prefektury“, u ludu istniejącego bez policji i rządu, był to pałac Abecadła, to jest szkoła! Po tych gmachach można sądzić o narodzie.

— No cóż doktorze — rzekł Humbug — jakże znajdujesz pałac naszej młodzieży?

— Bardzo pięknym na zewnątrz, ale bardzo źle prowadzonym. Widzę tam na górze we drzwiach wchodzących razem dużych piętnastoletnich chłopców i tegoż wieku dziewczynki; to nieprzyzwoicie. We wszystkich dobrze urządzonych szkołach rozdzielają dwie płcie; jest to ostrożność, o której, jak się zdaje, wy nie macie nawet pojęcia.



— Dwa wejścia dla dzieci idących się uczyć w tej samej sali? — rzekł Humbug — a to na co?

— W tej samej sali! — zawołałem — czy pomyślałeś nad tem! Wszak to szczyt niemoralności.

— Ja tylko pańską wyobraźnię widzę niemoralną — przerwał Humbug śmiejąc się. — Nasze dzieci, doktorze, to dzieci uczciwe; u nas znajdziesz tylko *Virgines lectas, puerosque castos* \*). Szkoła jest to wielka rodzina, gdzie są jedynie bracia i siostry walczące o nagrodę za naukę. Gdzie pan bierzesz swoje straszne zaloty?

— Więc mój drogi, Jankesy są aniołami obydwóch płci.

— Jankesy — przerwał sędzia — są ludźmi dającymi sobie trud myślenia i rozważania.

— A Europa — rzekłem — ze swemi dwudziestoma wiekami doświadczenia jest jedynie papłą, nie wiedzącą ani co mówi, ani co robi?

— Kochany doktorze — rzekł Humbug — Anglicy zaczęli od żartowania z nas, a teraz nas naśladują. Przed upływem dziesięciu lat nie będzie w Anglii ani jednej szkoły, w którejby nie były połączone obie płcie. Co do innych ludów Europy, to ich edukacja przez czas tak długi pozostawała wyłącznie w ręku księży, że potrzebują one więcej niż jednego dnia na otrząśnięcie się ze swoich przesądów. My nie wychowujemy ani zakonników ani też żołnierzy; lecz przygotowujemy ludzi do życia domowego. Dla czegoż więc nie uczynić ze szkoły obrazu rodziny i społeczeństwa?

— Jesteście nierozważni! — zawołałem — igracie z ogniem.

---

\*) Wzorowe dziewczęta i skromni młodzieńcy.

— Jesteśmy ojcami rodzin — odrzekł Humbug — i wiemy z doświadczenia, że dla złagodzenia serca, wyrobienia charakteru i natchnienia pierwszych myśli, nie może iść w porównanie z tą pierwszą wspólnością pracy i nauki. *Emollit mores nec sinit esse feros*\*). Nierozważną i nierozsądną jest mniemana mądrość starej Europy. Rozdzielić chłopców i dziewczęta, nauczyć ich, że są dla siebie tajemniczem niebezpieczeństwem, zaniepokoić i podbudzić ich młode wyobraźnię, i po tem nagle i to w chwili najtrudniejszej rzucić w świat, mężczyzn namiętnych i zuchwałych, kobiety niespokojne, nieśmiałe i bez obrony — to jest właśnie szaleństwo pierwszego rzędu, nie ubliżając twojej powadze, kochany doktorze. Wasze klasztorne wychowanie, to tama utrzymująca i powiększająca wszystkie namiętności; nasze wspólne wychowanie przyzwyczajają nasze dzieci do kochania się jak bracia i szanowania wzajemnie.

— Czyż to być może — zawołałem — ażebyście nie widzieli niebezpieczeństw waszego systematu?

— Zapytaj naszych nauczycieli — odrzekł — nie znajdziesz ani jednego, któryby nie był dumnym ze swojej mieszanej szkoły. Jest to odkrycie, którego zaszczyt należy się Ameryce. Jak zawsze tak i w tym razie zaufaliśmy naturze ludzkiej i wolności, i jak zawsze udało się nam. Nigdzie nie ma ani lepszego wykształcenia, ani większej moralności, jak w tych naszych zakładach. Współzawodnictwo pomiędzy dwoma płciami jest nieporównanym bodźcem. Mężczyzna już dzieckiem wstydzi się ustąpić pierwszego miejsca, kobieta jest cierpliwa i ma więcej otwarte pojęcie, to też zwycięża ona prawie zawsze w naukach po-

---

\*) Łagodzi zwyczaje i nie dozwala zostawać w stanie dzikości.

czątkowych, w których nie ma nic abstrakcyjnego. Ale to jest jeszcze niczem w porównaniu z innymi wynikającymi ztąd korzyściami. Młode dziewczęta o tyle przez to zyskują na charakterze i woli, o ile młodzi chłopcy na sercu. Uczą się one nas poznawać, a mówiąc między nami kochany Danielu, my o tyle tylko jesteśmy niebezpieczni, o ile nas nie znają. Szanowane przez towarzyszy, młode dziewczęta szanują się same; wolne, zabierają miejsce jakie im się należy; a w czasie naprzykład zabaw, naturalny rozsądek rozdziela je od towarzyszy. Co do młodych ludzi, to ci nabywają w naszych szkołach tej delikatności uczuć, tej grzeczności rycerskiej, które tylko towarzystwo kobiet nadać może. Czyż jest coś bardziej dzikiego i gburowatego jak student angielski, zostawiony samemu sobie i tyranstwu swych przełożonych? Czytałeś Tom Brown; toż trzeba rumienić się za taką cywilizację. Wolałbym mieszkać wśród czerwonych skór\*), niż w pośród studentów z Eton albo Rugby. U nas przeciwnie, cała młodzież rośnie razem; stosunki ich są również proste, również braterskie, gdy mają lat szesnaście lub dwadzieścia, jak wtenczas gdy siadywali na tych samych ławkach. Kojarzy się nie jedno małżeństwo pomiędzy dawnymi kolegami szkolnymi, szacunek i przyjaźń sprowadzają miłość i dłużej niż ona trwają. Czyż twoje bóstwo Europa wymyśliła coś tak chrześcijańskiego i tak doskonałego?

— To marzenie — rzekłem.

— Wejdz niedowiarku, a ujrzysz że to marzenie jest rzeczywistością.

---

\*) Dzikich Ameryki.

— Jeszcze jedno słowo — rzekłem. — Rozumie się samo przez się, że te wszystkie dzieci są świętymi; lecz gdzie znajdziecie ludzi zdolnych do kształcenia tych niebieskich zastępów? Jakiż to nauczyciel jest w stanie od razu ośmielić trwożliwość młodych dziewcząt i miarkować swawolę chłopców? Gdzież szukać takiego Fenixa, któryby w każdej gminie odpowiadał za honor i cnotę waszych dzieci.

— Wejdz — odrzekł Humbug — a zobaczysz przy lekcji twoją protegowaną Dinah, a może i twoją drogą Zuzannę.

— Zwarjowałeś — zawołałem, uderzając o ziemię laską — dwudziestoletniej kobiecie powierzenie ludzi, którym już broda rosnać zaczyna? Piękny mi generał dla takiego wojska! jakże to ją muszą szanować!

— Jeszcze jeden przesąd starego świata kochany do ktorze. U młodego człowieka, kochającego swą matkę i siostry, nic nie może być naturalniejszego nad uczucie szacunku dla kobiety; daleko mniej naturalnem jest posłuszeństwo nauczycielowi, który mu grozi i karze go. Siła mały wpływ wywiera na serce dziecka; czem ono jest szlachetniejszym, tem się więcej opiera; lecz jest ono bezbronnem przeciwko łagodności i pieśszczocie. I pod tym względem doświadczenie zadaje fałsz starożytnej mądrości, będącej poprostu starym błędem. Wszakże to kobiety Nowej Anglii, z prawdziwie misjonarskiem poświęceniem, skazują się na wygnanie, wśród zepsucia Południa i puszcz Zachodu, aby tam kształcić młode dusze i nauczać je prawdy boskiej. Mamy nieustępujących w niczem i nikomu nauczycieli, lecz zresztą najzdolniejsi nasi przełożeni nic poradzić nie mogą tam, gdzie córka Jankesa robi cuda.



Dzieciństwo należy do kobiety; jestto prawo natury, za którego uznanie i zastosowanie nam się zasługa należy.

— Amen — rzekłem wzruszając ramionami — chodźmy więc podziwiać te potulne owieczki i te posłuszne baranki, prowadzone przez pasterkę równie niewinną jak i jej trzódka.

W złym humorze wszedłem do wielkiej sali, nie mogę bowiem znosić nonsensów; lecz muszę przyznać ze wstydem, że zaledwie postawiłem nogę w tym przybytku, gdy już zostałem na pół zwyciężony. Znajdowałem się w obszernym pokoju, do którego światło i powietrze wchodziło przez szerokie okna, ściany były wyszukanej czystości i całe zawieszono to mapami, to obrazami z historii naturalnej, to znów figurami fizyki i geometriji. Każde dziecko miało zupełnie oddzielny pulpit. Siedząc przy stole polityrowanym i świecącym się jak szkło, sam jeden, bez sąsiadów, każdy uczeń jest panem swoich czynności; jeżeli jest roztargnionym lub nie pracuje, to na niego tylko spada cała odpowiedzialność. Nauczyciel umieszczony na wzniesieniu, jednym rzutem oka obejmuje te długie rzędy pulpików, ustawionych jedne za drugimi. Dozór jest prawie niepotrzebnym w kraju ambitnym, gdzie każdy chce się wykształcić dla dojścia do majątku i znaczenia! Wady lepiej służą Amerykanom niż nam nasze cnoty.

Dinah była zajęta w przyległym pokoju. Nauczycielem wielkiej sali, była moja Zuzanna. W tej chwili wykladała ona geometrję siedmiu czy ośmiu sporym chłopakom, którzy (trzeba im oddać tę sprawiedliwość) słuchali jak dzieci swej przyjemnej nauczycielki.

— Chodź, kochany ojczy — zawołała wesolo Zuzanna — i dowiedz nam własności kwadratu z przeciwprostokątni.

Trudno mi było wykonać to dowodzenie; byłem nazbyt dobrze wychowany przez uniwersytet francuski, ażebym miał umieć cokolwiek z geometrii; wszystko com zapamiętał z tego przedmiotu, ogranicza się do starej piosenki, którą może dziś jeszcze śpiewają na nutę Calpigi w okolicach szkoły politechnicznej:

Kwadrat z przeciwprostokątni  
Równa się, jeśli się nie mylę,  
Summie dwóch kwadratów,  
Wystawionych na dwóch drugich bokach.

Pozwoliłem więc Zuzannie nakreślić na tablicy trójkąt prostokątny  $ABC$ , zrobić na każdym boku kwadrat, i t. d. i uciekłem, aby moja córka nie potrzebowała się rumienić z niewiadomości ojca. W jednej z małych sal (a było ich ośm), Dinah słuchała dziewięcio- i dziesięcioletnie dzieci o rzekach we Francji. Byłem zadziwiony ich pamięcią i wiadomością. Ja, Francuz, zapytany o Ameryce, mógłbym ofiarować jedynie tym młodym erudytom Missisipi, Hudson i Potomac, jedyne wody, o jakich mi kiedyś wspomniano. Prawda, że Ameryka wcale nas nie obchodzi, gdy przeciwnie Francja, ta królowa sztuk i nauk, musi niesłychanie obchodzić Amerykanów. Jestto cześć oddana cywilizacji przez barbarzyńców!

Po geografji przyszła kolej na czytanie głośne i deklamację. Mały dziewięcioletni chłopczyk podniósł się i wygłosił nam bez bojaźliwości, ale też i bez zarozumiałości najpoetyczniejszy ustęp z Hiavatha, przez Longfellow'a. Jakkolwiek malec mówił przez nos — wada bardzo pospolita

w Ameryce — wypowiedział jednak ten ustęp z wielką prawdą tonu i uczucia; znajdują się znakomici artyści, którzy nie potrafili wznieść się nigdy do tego.

Po poezji przyszła kolej na wymowę. Nie wielki chłopczyk o płomiennych włosach powstał i głosem ożywionym zaczął prawić hymn na cześć Ameryki.

„Przyjaciele i współobywatele!

„Jesteście dopiero w wieku dziecięcym, a już jesteście pierwszym ludem na świecie. Kto był bohaterem przeszłego wieku, największym człowiekiem, i najlepszym przyjacielem swego kraju i wolności? Świat odpowie: Jerzy Washington, Amerykanin. Kto był wówczas największym fizykiem? Franklin, Amerykanin. Największym teologiem? Jonathan Edwards, Amerykanin. Kto jest największym prawnikiem dziewiętnastego wieku? Sędzia Story, Amerykanin. Jacy są najznakomitsi mowcy naszych czasów? Clay, Webster, Ewerett, Sumner, wszyscy Amerykanie. Jacy są pierwsi historycy? Prescott, Banckroft, Lothrop - Motlej Ticknor, Amerykanie. Kto jest pierwszym naturalistą? James Audubon, Amerykanin. Jacy są najpierwsi moralisci i prawdziwi mędrcy naszego wieku? Canning, Emmerson, Parcker, wszyscy Amerykanie. Kto jest najpierwszym powieściopisarzem naszego wieku? Pani Beecher Stowe\*), Amerykanka. Jacy są wielcy wynalazcy? Withnej, który

\*) Przekonanie to podzielał i Alfred de Musset. Raz, gdy go zastał pochylonego nad „Chatą wuja Tomasza“, którą pożerał oczami pełnemi łez, rzekł mi z największem wzruszeniem: „Oto najpiękniejszy utwór naszych czasów. Pani Stowe znalazła w swem sercu takie efekta sztuki, jakich żaden z nas mających się za artystów, nie jest w stanie znaleźć w głowie“.

wynalazł maszynę do czyszczenia bawełny; Fulton, twórca statków parowych; Morse, wynalazca telegrafu elektrycznego; Maury, który nakreślił na morzu bezpieczne drogi, wszyscy Amerykanie.“

„Odwagi więc synowie purytanów, przyszłość do was należy. Przed końcem wieku będzie was sto milionów; czemuż w porównaniu z wami będzie Europa uciemżona i podzielona? Natura wam dała największe jeziora i rzeki, i najpiękniejsze porty; ziemi urodzajnej macie ilość niewyczerpaną. Wasze kopalnie węgla są tak wielkie jak cała Francja. Przemysł dał wam więcej kolei żelaznych, więcej statków parowych, więcej okrętów, niż mają razem wszyscy wasi współzawodnicy. Wasi mężczyźni są najodważniejsi, najdzielniejsi i najzdolniejsi na świecie, wasze kobiety najpiękniejsze ze stworzeń. Odwagi więc plemię od Boga błogosławione! świat do ciebie należy, ponieważ jesteś zarazem narodem najwolniejszym i najbardziej chrześcijańskim.“

— Kochany przyjacielu — rzekłem do Humbuga — czy pomiędzy cnotami, których nauczacie waszych małych świętych, liczycie także i skromność?

— Nieco pobłażliwości, doktorze — odrzekł tonem zaambarasowanym. — Dobrze jest wychowując dzieci rozwijać w nich patriotyzm. Jest to jedyny sposób, aby potem samolubstwo nie wzięło góry. Przyznaję zresztą że próżność, to nasza słaba strona; nasze nadzwyczajne wzrastanie zawraca nam głowę i jest przyczyną nie jednego z naszej strony błędu. Lecz niech rzuci na nas kamieniem ten co jest bez grzechu. John Bull ma przekonanie, że prawem starszeństwa jest królem mórz, i jestem pewny, że we Francji powtarzają na wszystkie tony młodzieży, że Fran-



cuzi są najpierwszym ludem na ziemi, i że świat na to tylko ma oczy aby go podziwiać.

— Co za różnica — zawołałem — Francja jest Francją!

— Ameryka jest Ameryką — odrzekł śmiejąc się. — Wszyscy chrześcijanie są na wskroś przesiąknięci jednym i temże samem szaleństwem; nie ma głupstwa, do któregoby nie można skłonić ludu, wołając np. z naciskiem: „Anglicy, ukradnijcie tę prowincję, jesteście Anglikami! Francuzi bijcie się na lewo i na prawo, jesteście Francuzami! Amerykanie bądźcie pogardliwymi względem Europy, jesteście Amerykanami!“ Duma narodowa jest tą czerwoną chorągiewką, którą pokazują bykowi ludowemu, gdy go chcą prowadzić na oślep w zastawione sidła. Rozszerzajmy więc drogi przyjacielu oświatę, nieśmy wszędzie światło, jeśli nie chcemy aby lud był wieczną igraszką szarlatanów, którzy korzystają z jego najszlachetniejszych namiętności i najlepszych instynktów.

W tej chwili zegar wydzwonił godzinę odpoczynku. Pospieszyłem na podwórze, gdzie zastałem przyjemnego Naamana, który stał się tu dowódcą nowego wojska. Trzysta do czterysta dzieci stało rzędem, dziewczęta po jednej stronie, chłopcy po drugiej. Otworzono szklane drzwi, prowadzące do ogrodu, postawiono obok nich fortepian, a Zuzanna i Dinah zaczęły grać na cztery ręce marsz Oberona. Natychmiast szeregi ruszyły naprzód w porządku, biegnąc i zatrzymując się do taktu, łańcuch zaczął się rozwijać z zadziwiającą dokładnością. Była to mieszanina tańca i gimnastyki zachwycająca oczy, było w tem wszystkim coś szlachetnego, dzielnego i wdzięcznego zarazem. Czyż to nie w ten sposób Grecy ćwiczyli swą młodzież?

Po raz pierwszy zrozumiałem, dla czego Plato umieścił tańce i muzykę pomiędzy obowiązkami obywatelskimi. Byłem zachwycony, i gdyby nie resztki wstydu i moja siwa broda, to byłbym chętnie wziął udział w tym wojennym balecie. I dla czegożbym nie miał tańczyć z dziećmi? wszakże Spartanie to robili.

— To jest prześliczne, mój młody przyjacielu — rzekłem do Naamana — widok ten rozradował mi serce; lecz wyprowadź mnie proszę z jednej wątpliwości. Gdzież ja jestem? Dokąd mnie przyprowadzono? Ten elegancki dom, te wyszukanego zbytku stoły, te piękne w safian oprawne książki, wszystko to należy bez wątpienia do szkoły prywatnej, do której przyjmują tylko bogate dzieci. Któż jest dyrektorem tego pięknego zakładu?

— Zawsze żartujesz doktorze — rzekł piękny pastor. — Jesteś w szkole elementarnej dwunastego okręgu, trzeciego oddziału. Mamy osiemdziesiąt takich domów w naszym pięknym Paryżu i to jeszcze nie dosyć.

— Bardzo dobrze, lecz jakim sposobem syn ubogiego może ponosić koszta tak kosztownego kształcenia się.

— Zkądże to pan przybywasz? — zawołał Naaman — że nie wiesz, iż edukacja jest u nas bezpłatną? Czyś pan nigdy nie spojrział na wykaz podatków jakie płacisz? Jesteśmy synami tych purytanów, którzy zaraz po wylądowaniu na dzikie skały Plymthu pootwierali szkoły dla walki z szatanem, bo to jest właściwe imię ciemnoty. Djabelskiem w nas jest zwierzę, boskiem zaś umysł. Szkoła, to nasza miłość i nasza słabość; jest to najgrubszy rozdział naszego budżetu, tak jak wojsko i marynarka u ludów cywilizowanych. U nas w Massachusetts utrzymanie szkół ajmuje prawie czwartą część naszych wszystkich wyda-

tków; w małych prowincjach jak Maine zajmuje część trzecią; coby we Francji utworzyło budżet czterystu do pięciuset milionów.

— Wielki Boże! — pomyślałem sobie — jeżeli ci ludzie nie są warjatami, to czemu my jesteśmy? Powiedz mi też panie Naaman, kto oznacza te sumy, i jak są administrowane wasze szkoły?

— Oznacza gmina — odrzekł — ogół mieszkańców ustanawia cyfrę podatku; jest to może jedyny wydatek, który powiększa się zawsze przy oklaskach płacących. Pod tym względem nie ma stronnictw w Ameryce; wszystkie wyznania, wszystkie przekonania współubiegają się z sobą, aby uczynić z naszych szkół najbogatsze i najlepiej uposażone w kraju zakłady.

— I każde wyznanie chce naturalnie w nich przewodzić?

— Nie — przerwał — może to pana zadziwi, lecz żaden wpływ religijny nie wchodzi w te mury. Każda lekcja zaczyna się przeczytaniem ustępu z Biblii, lecz żadna uwaga mu nie towarzyszy. Z usposobienia nauczycieli wynika, że wykład jest chrześcijański; lecz nie jest on ani katolickim ani też protestanckim. Tutaj dajemy naszym dzieciom sposób szukania prawdy, uzbrajamy przeciw ciemności i przygotowujemy do walki; nauka zaś dogmatyczna pozostawiona jest kościołom i szkołkom niedzielnym. Tym to sposobem unikamy niepokojenia tych młodych sumień, i zarazem przyzwyczajamy nasze dzieci do uważania się za braci w Chrystusie.

— To dobrze, ale któż wam odpowiada za przełożonych?

— Bióro edukacyjne — rzekł Naaman — bióro wolno wybrane przez wszystkich obywateli gminy, a które ma nad sobą główne bióro państwa. Te zgromadzenia wybierają ludzi najzdolniejszych w kraju. Chwałą jest być powołanym do dozorowania wychowania dzieci; najpierwsi nasi obywatele, Horacy Mann i Barnard odmówili miejsce w senacie związkowym, ażeby zostać dyrektorami naszych szkół w Massachusetts i Konnecticut.

— Czyż to być może? — zawołałem.

— Cóż w tem jest dziwnego? — rzekł młody kapłan. — Czyż pan myślisz, że w takim kraju jak nasz nie zadano sobie pytania, co stanowi dobrobyt i wielkość narodów? W rzeczypospolitej, w państwie gdzie lud jest panem, trzeba albo zwyciężyć ciemnotę, albo być przez nią zabitym; nie ma innego wyjścia. Nasi politycy dla wychowania ludu wierzącego w prawdę i kochającego ją, znaleźli jeden tylko sposób, to jest oświecić go czyli uczynić z najbiedniejszego obywatela człowieka dosyć wykształconego, aby się nie dał oszukiwać; dosyć rozumnego, aby mógł sam sobą rządzić.

— I rozwiązaliście zadanie?

— Tak — rzekł — zadanie zostało rozwiązane w dniu, w którym mieliśmy szkoły tak dobrze utrzymane i tak zupełnie bezpłatne, że żaden ojciec nie odważył się odmówić nam swych dzieci. Któżby był tak dalece szalonym albo winnym, ażeby nie korzystał z hojności narodowej, i skazywał swe dzieci na ciemnotę i nędzę tam, gdzie gmina dostarcza wszystkiego, aż do papieru, książek i piór? —

— Spodziewam się — rzekłem — że kształcenie się jest obowiązkiem. — Państwo ma prawo po zrobieniu



takich ofiar, zmusić ludzi do kształcenia się. Nie może ono znieść bydła w społeczeństwie.

— Odrzuciliśmy wszelki przymus — rzekł młody pastor. — Nie dla tego, abyśmy wątpili o naszym prawie, lecz obawialiśmy się przywiązywać do dobrodziejstwa myśl wstrętą. Kara pieniężna i więzienie wzbudziłyby nienawiść do naszych szkół; pozostawiamy te środki surowości tym rządóm, które dbają więcej o posłuszeństwo niż o miłość swoich poddanych. Uczynić wykształcenie powszechnem, oto nasze zadanie; doszliśmy do tego celu bez naruszenia wolności. Nasze szkoły otwarte dla wszystkich dzieci, aż do wieku lat szesnastu przyciągają i porywają nawet najbardziej upartych. Nie znajdziesz pan w Nowej Anglii ani jednego obywatela urodzonego w kraju, któryby nie otrzymał u nas edukacji.

— Brawo! — zawołałem — oto jest dzieło przynoszące jak największy zaszczyt chrześcijanom Ameryki.

— Tak polityka jak i religja zyskały na tem — przerwał — przyszliśmy do rezultatu, który musi w podziwienie wprawić współczesnych. Przez doskonalenie naszych szkół zaprowadziliśmy, sami nie wiedząc o tem, tak drogą starożytności edukację wspólną. Nasze wykłady są dostatecznemi do przygotowania do gimnazjum syna zamożnych rodziców, a zarazem dosyć prostemi, aby nie przerazić syna ubogiego ojca, i dość gruntownemi, aby mu pozwolić zająć odpowiednie sobie miejsce w społeczeństwie, nie potrzebując się nigdy rumienić swej niewiadomości. Tutaj to cała młodzież (uważaj pan dobrze: cała młodzież) przychodzi uczyć się czytania, pisania, arytmetyki, geometrii i rysunków. Dodajemy do tego trochę geografji, historii, fizyki i chemji, i nie obawiamy się wcale mówić

tym dzieciom o moralności i polityce. Tłómaczymy im konstytucję krajową, wszakże to są przyszli obywatele. Dzięki bogactwu i gruntowności naszych nauk, syn milionera przychodzi kształcić się obok syna wyrobnika irlandzkiego. Widzę tu koło nas jedną z córek Greena, bawiącą się z dziećmi biednej przekupki z Orzechowej ulicy. Tutaj to panuje prawdziwa równość, równość od góry, równość która podnosi; tutaj to wyrabia się patryjotyzm i miłość wolności. Utworzyć jedno pokolenie, jestto utworzyć lud; oto jest nasza dewiza, czyniąca nasze szkoły miejscem kochanem przez wszystkich i świętem dla wszystkich.

— To piękne! — zawołałem — to wielkie! lecz daruj mi pan jeszcze jeden skrupuł. Czy nie obawiacie się kształcąc dzieci ludu, natchnąć je przez to samo przewrotną ambicją? Czyż nie rzucacie w społeczeństwo ludzi niezadowolonych ze swego losu? czyż nie dajecie im żądań i potrzeb nad ich stan?

— Jestto — rzekł Naaman — stary zarzut, nie mający od dawna kursu w Ameryce. Pańskie uwagi byłyby słusznymi, gdybyśmy opuszczali nasze dzieci przy wyjściu z tych murów; lecz pamiętaj pan, że nasze społeczeństwo i nasz rząd są dwoma nigdy nie zamykającymi się szkołami. Z jednej strony wszyscy nasi oświeceni mężowie mają sobie za zaszczyt i przyjemność kształcić obywateli. Spójrzmy pan na nasze mury, pokryte ogłoszeniami: nie ma wieczoru, aby nie miały miejsca odczyty o polityce, literaturze i naukach ścisłych. Światło nas zalewa; trzeba być po dwójnie ślepym, aby zostać nieoświeconym. Postaw pan obok tych wolnych wykładów kościół zawsze czynny, i tyjące zgromadzeń, gdzie bogaci i ubodzy pozostają nien-

stannie połączeni w imię propagandy i dobroczynności. Dodaj pan do tego życie polityczne, poruszające wszystkie dusze. Nakoniec, i to na pierwszym miejscu, postaw pan dziennikarstwo, to jest mowę publiczną nie zamilkającą ani na chwilę. Nie ma ani jednego kościoła, ani jednego stowarzyszenia, ani jednego ciała lub osoby, któreby nie miało swego dziennika: nawet i dzieci mają takowy dla siebie; a tym jest *Child's Paper*, założony przed trzema laty, a który ma już trzykroć sto tysięcy czytelników, z których najstarszy nie ma piętnastu lat. Któż więc może się oprzeć temu wzrastającemu ciągle przyływowi? Któż może nie zostać wzniesionym przez te fale cywilizacji, popychające ludzkość ku lepszej przyszłości?

— Jesteście więc ludem uczonych?

— Nie — rzekł uśmiechając się — uczoność tak jak i sztuki piękne, to zbytek starych narodów, my tego jeszcze nie mamy. My jesteśmy dorobkiewiczze, i może dopiero po upływie wieku będziemy mieli dosyć wolnego czasu dla oddania się tym bezinteresownym zajęciom; lecz śmiem powiedzieć, że jesteśmy ludem najmniej nieoświeconym, jaki kiedykolwiek istniał pod słońcem. Spójrzysz pan naokoło siebie, nie ma tu chłopów, są tylko rolnicy, nie ma wyrobników, tylko rzemieślnicy. Robotnik wyszedłszy z warsztatu, bierze na siebie czarny tużurek, i idzie słuchać odczytu o Washingtonie, albo o nowych odkryciach Liwingtona w Afryce. Sąsiad jego, złotnik, idzie pracować w szkole rysunków, albo słuchać wykładu chemji. Są oni obadwa pomimo swych czarnych rąk obywatelami, i lubią przyjemności i pracę umysłową tak samo jak i pan możesz je lubić. Idź pan na Zachód, i wejdź do pierwszego lepszego

*Log - House* \*), położonego w głębi lasu, zostaniesz przyjęty przez żonę korczownika, zarabiającą chleb lub robiącą masło. Zatrzymaj się do wieczora, a ta sama kobieta usiądzie do fortepianu lub będzie z panem rozmawiać o polityce, moralności, a może i o metafizyce. Czytanie doskonałego kucharza, nie przeszkadza jej wcale cenić Emmerzona i mieć upodobanie w Channingu. Nie dajemy wszystkim bogactwa materialnego, chociaż łatwiej o dobrobyt w Ameryce niż w każdym innym kraju, lecz ofiarujemy wszystkim to bogactwo, które nie boi się ani rdzy, ani złodziei; czynimy przystępnymi dla najuboższych nawet te rozkosze umysłowe, które w każdym wieku, i w każdym położeniu, stanowią siłę i pociechę. Zdaje nam się, że tak postępując, spełniamy słowa boskiego Nauczyciela, i kształcąc umysł i serce ludzkie, prowadzimy ludzi do Boga.

Patrzyłem na tego młodego człowieka ze wzruszeniem, którego już nie byłem panem; nigdy nie widziałem w twarzy ludzkiej tyle zapału i tyle wiary. U Naamana nauka i religja, były podwójnem nazwaniem prawdy; obiedwie panowały z równą siłą w jego sercu; kochał je obie jednaką miłością.

— Zwyciężyłeś mnie przyjacielu! — zawołałem. — Jestem jak święty Paweł na drodze do Damaszku, olśniony światłością, i słyszę głos wołający do mnie: „Ciężko jest wierzyć przeciw kolcom“. Poddaję się, moje oczy się otwierają, widzę i podziwiam wielkość tego kraju. Co za jędrne życie! Serce, myśl, wszystko jest czynne, żadnych

---

\*) *Log - House*, jestto rodzaj szałasów zbudowanego z okrągłaków, stanowiącego pierwsze mieszkanie korczownika amerykańskiego.



przeszkód! człowiek jest panem swego losu; ma on w rękę swe szczęście i swą cnotę. Nie ma tu kłamstw urzędowych, tu prawda panuje; nie ma tu ani przesądów, ani więzów; wszędzie rozlega się okrzyk ludu pełnego nadziei: Naprzód! naprzód ku światu! gdzie nędza zostanie ulczoną, siła zwyciężoną, i gdzie panuje rozum. Jestem dumnym z obywatelstwa tego pięknego kraju. Niech żyje wolność! niech żyją Stany Zjednoczone! niech żyje wielka Rzeczpospolita!

Mój głos został zagłuszony odgłosem bębna i trąb. Dwóch żuawów weszło do szkoły; jeden podbiegł do Zuzanny i wziął ją czule za rękę, był to Alfred; drugi skoczył mi na szyję, był to mój syn Henryk.

— Ojciec — rzekł — Południowcy przeszli Potomak; Washington został zagrożony; uruchomiamą gwardję narodową, powołują ochotników; wychodzimy dziś wieczór. Chodź prędko, matka nas czeka.

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### WYRUSZENIE OCHOTNIKÓW.

Wyszedłem wraz z postępującymi za mną dziećmi z tego cichego zakątka, gdzie nareszcie odkryłem tajemnicę wielkości amerykańskiej. Miasto zmieniło zupełnie swą powierzchowność, domy były przystrojone chorągwiami. W każdym oknie poruszana wiatrem chorągiew związkowa rozwijała w powietrzu swe czerwone i niebieskie pasy, wraz z trzydziestoma czterema gwiazdami, jako żywe oświadczenie się na korzyść zjednoczenia. Gęsto poprzylepiane olbrzymie ogłoszenia uwiadamiały o klęsce wojsk związkowych, i wzywały obywateli na ratunek zagrożonej ojczyzny. Zbrojne bataljony przechodziły przy odgłosie bębnow i trąb przez ulice miasta. Kościoły były przepełnione ochotnikami wzywającymi pomocy Boga swych ojców przed udaniem się na pole bitwy. Śpiewy wojenne mieszały się wszędzie z hymnami kościelnymi; ojcowie, matki, siostry, towarzyszyły młodym żołnierzom, dodając im odwagi. Podawano sobie ręce, płakano, ściskano się, podnoszono ręce ku niebu. Było zapal prawdziwie krucjatowy!

Przyszedłem do domu bardzo wzruszony. Urodzony w Paryżu, żyłem i rosłem wśród zamieszkań i wojny domowej; wspomnienia te smutkiem mnie przejmują; lecz tu było coś tak szlachetnego i wielkiego w tem wyruszeniu na granicę, w tym zapale, pobudzającym cały lud do chwytania za broń, że i ja uczulem się porwany tym ogólnym wirem. Nawet niebezpieczeństwa, na jakie narażali się Henryk i Alfred nie przerażały mnie wcale; tajemniczy głos namawiał mnie do wyruszenia z nimi. Czyż i ja nie miałem rodziny i domu do bronienia? Czyż Ameryka, gdzie posiadałem te drogocenne skarby, nie była moją ojczyzną?

Przy drzwiach ujrzałem cały pułk żuawów utworzony z ochotników tej części miasta. Wsadzono na białego konia starego pułkownika Saint-John; stary weteran zapomniał o swoim reumatyzmie i swoich ranach, gdy przyszło prowadzić tę młodzież do walki. Obok pułkownika postępował Rose w mundurze kapitana w towarzystwie swoich ośmiu synów i czterech pięknych młodzieńców, synów Greena. Fox, który jako porucznik był w środku żołnierzy, prawił na całe gardło, machał rękami i zdawał się oddychać jedynie krwią i walką. Przyprawny kołnierzyk i tabakierka nie odpowiadały jakoś bardzo jego mundurowi i pobudziłyby mnie do śmiechu w każdej innej okoliczności, lecz mówił on z takim ogniem, że musiałem mu przyznać minę wojowniczą. Było to zupełnie co innego jak żołnierz z rzemiosła, byłto obywatel gotów umrzeć za swój kraj.

— Rachujemy na ciebie doktorze — rzekł Rose — do nas starych należy dać dobry przykład. Potrzebujemy chirurga dla naszego pułku żuawów i wybrano cię na tę posadę jednogłośnie; brakuje nam tylko twojego zgodzenia się.

— Macie je, przyjaciele! — zawołałem — idę z wami, będziemy tam, aby czuwać nad temi dziećmi, a w razie potrzeby to i pójdziemy wraz z nimi do boju. Niech żyje jedność! niech żyje ojczyzna!

Okrzyk ten został powtórzony przez wszystkie szeregi z dodatkiem: niech żyje Daniel! niech żyje major! Uczułem się wzruszonym aż do głębi serca okrzykami tej dzielnej młodzieży; wszedłem do siebie z głową w górę podniesioną i z okiem błyszczącym. Nowe życie rozbudziło się w mej duszy, byłem szczęśliwy!

Jenny cała we łzach rzuciła mi się w ramiona, lecz nie starała się nawet o zachwianie mej odwagi. Wydało jej się całkiem naturalnem, że ojciec towarzyszy synowi, i że same tylko kobiety pozostają w domu. Zuzanna okazała się nie mniej odważną; bladość jej zdradzała silne wzruszenie, usta modliły się, oczy patrzyły w niebo, lecz nie rzekła ani słowa mogącego zaniepokoić Alfreda i zdawała się być jedynie zajęta robieniem przygotowań do naszego odjazdu. Drogie kobiety! one także rozumiały obowiązek i kochały ojczyznę.

Kilka godzin wystarczyło mi do sprawienia sobie munduru chirurga; Rose zrobił mi prezent z doskonałej podróżnej walizki do podróży konnej, kupiłem rewolwer, szablę i konia; o trzeciej godzinie byłem zupełnie gotów, tegoż samego wieczora wyruszyliśmy w pochód.

Uniesiony zapalem francuskim nie zastanowiłem się dotąd nad tem co robię. Lecz w chwili opuszczenia tego domu, gdzie przeżyłem tak szczęśliwe i tak dobrze zapelnione dni, uczułem jakiś niepojęty smutek, zdawało mi się że raz go opuściwszy już więcej doń nie powrócę. A jeże libym i powrócił, to czy przyprowadzę z sobą mego Hen-



ryka i tego Alfreda, którego zaczynałem kochać jakby własnego syna? Oddalałem od siebie te smutne myśli, które odpędzane powracały nieustannie do ataku, gdy w tem ujrzałem wchodzącego do mnie starego pułkownika. Widok jego przyniósł mi ulgę, był to jeden z tych dzielnych żołnierzy, hojnych w szafowaniu krwią własną, oszczędnych w przelewaniu cudzej; nie mogliśmy mieć zaciejszego i pewniejszego dowódcy.

— Pułkowniku — rzekłem po otrzymaniu powinszowań z jego strony — jesteśmy sami, więc możemy mówić otwarcie. Powiedz szczerze, co sądzisz o tych ochotnikach? Piękna to rzecz zapał, lecz czemże on jest obok wprawy i wyćwiczenia? Oto są bataljony, które pomimo odwagi tych dzielnych chłopaków pierzchną na pierwszy ogień.

— Cierpliwości majorze — odrzekł weteran. — Ja chociaż życie moje w wojnach spędziłem, jestem jednak mniej surowym od pana. Dwa miesiące spędzone za wałami Waszyngtonu zamienia na żołnierzy tych ochotników. Karność jest bez wątpienia rzeczą nader ważną, lecz jest to rzemiosło przystępne dla najgłupszego. Ale czego nauczyć się nie można, to odwagi, wiary i miłości ojczyzny. Niech co chcą mówią żołnierze z rzemiosła, ale w tem leży prawdziwa wartość wojska. Potrzeba zręcznego i silnego ramienia dla robienia bagnetem, to prawda, lecz dusza stanowi siłę tego ramienia. Kilka lat wojny i cierpień wystarczą na wykształcenie ludu i na zrównoważenie wartości obustronnych wojsk. Wtedy pozostaje energia moralna, i ona to rozstrzygnie zwycięstwo, i dla tego najlepszymi wojskami są wojska obywateli.

— Daruj mi pułkowniku, lecz sądziłem, że nie wyróżniają starym żołnierzom.

— To błąd — rzekł Saint-John. — Na przegładzie albo mustrze to być może, ale na wojnie to zupełnie co innego. Dobre kadry, młodzi żołnierze i starzy jenerałowie, oto wszystko, czego potrzeba. Aby maszerować bez narzekania, słuchać bez szemrania, lekceważyć niebezpieczeństwo z głową podniesioną, iść na śmierć z uśmiechem, to nie ma jak młodzież. Czem bardziej ta młodzież jest wykształconą, moralną i patrijotyczną, tem więcej można liczyć na nią. W starej Europie istnieją inne pojęcia, tam panuje przesąd i cześć oddawana sile zwierzęcej. Nas cywilizacja już oświeciła. Zwycięztwo należeć będzie bez wątpienia zawsze do dowódcy, który potrafi w decydującej chwili rzucić na punkt dany największą ilość bataljonów. Lecz przy równych warunkach młody i patrijotyczny żołnierz wart będzie więcej, niż osiwały w swoim rzemiośle najemnik. Spojrz pan na wojnę krymską; weterani moskiewscy i angielscy bez zaprzeczenia dobrze się bili, lecz komuż należy się wieniec zwycięztwa, jeżeli nie młodym popisywym francuskim, bohaterskim dzieciom na dzień jeden oderwanym od pługa, wieśniakom wczorajszym, jutrzejszym obywatelom. Oto jest nasz wzór, oto co my także zrobimy z naszych młodych Amerykanów.

— Nie macie jenerałów — rzekłem — wasz kraj jest ziemią pokoju, dotąd wydała ona więcej rolników i kupców niż Cezarów.

— Bądź pan spokojny, będziemy mieli więcej jenerałów niż potrzeba. Wojna jest tak jak polowanie, jest rzemiosłem bardzo prostem, w którym pewni ludzie odznaczają się zaraz w pierwszych dniach. Nie jeden, który jest dzisiaj kowalem, adwokatem lub lekarzem, obudzi się jutro na placu boju jenerałem. Otwórz pan historję a zobaczysz,

że były epoki jałowe dla nauk, sztuk i przemysłu, lecz nigdy nie brakowało żołnierzy. Człowiek ma instynkta myśliwskie i krwawe, które pokój uśmierza ale nie niszczy. Niech wybuchnie wojna, a będziesz pan miał bohaterów; daj Boże, aby lud szanował ich podług prawdziwej wartości, a nie poświęcał im wolności!

— Prawdziwie, że mówisz o wojnie z niezbyt wielkim szacunkiem, pułkowniku.

— Bom ją prowadził — odrzekł smutno — i znam wartość tej krwawej gry. Niech siedzący spokojnie przy ogniu rozprawiacze zabawiają się wychwalaniem bitew i chwały, ja wzruszam ramionami na te paradoksa; wojna jest największą plagą, nieprzyjaciółką pracy i wolności, ruiną cywilizacji. Przekleństwo tym, którzy przez ambicję szerszą na ziemi tę obrzydliwą zarazę, lecz trzykroć przekłęci ci, którzy wnoszą na swą ojczyznę ojcobójczą rękę! Przy pomocy boskiej drogo oni nam zapłacą za swoją zbrodnię. Wojna jest także karą za pychę i szaleństwo, straszną lekcją, którą wtedy dopiero się pojmuje, gdy już jest za późno.

Odgłos trąb uwiadomił mnie, że nadeszła chwila pożegnania. Zszedłem na dół trzymając za ręce Henryka i Alfreda. Jenny uściskała nas wszystkich trzech z odwagą kobiety i matki patrijotki. Zuzanna milcząca i wzruszona wręczyła każdemu z nas po Bibliji, które nas nie powinny opuszczać. Marta przygotowała prorocze kazanie, lecz zaraz przy pierwszych wyrazach ryknęła pocziwa dziewczyna płaczem, i chwyciwszy Henryka jak dziecko na ręce, oblała go łzami i okryła pocałunkami. Ścisnąłem ją za rękę, lecz ona rzuciła mi się na szyję, i na wpeł zduszony wsiałem na konia.

W tej chwili nadbiegł Zambo śmiesznie ubrany w czerwono niebieskim pasie, kapeluszu z piórem i ciągnącą się po bruku szablą.

— Massa — wołał — weź mnie z sobą, jestem odważny. Choć mam skórę czarną lecz krew czerwoną. Jeżeli mnie nie zabiją przed zwycięstwem, to ich pobiję wszystkich.

Nie mało miałem kłopotu z pozbyciem się tego chłopaka. Dowodziłem mu jak najrozsądniej, że odwaga jego jest śmieszna. Kto ma kędzierzawe włosy, ten urodził się na to żeby być bitym, a nie żeby się bić. Ale napróżno! Zambo miał czoło za wązkie, aby pojąć wielkie odkrycia naszych wielkich rozumów. Biedak uważał się za człowieka, chrześcijanina, obywatela, a miał czarną skórę. Było to szaleństwem! Musiano użyć groźby, aby go skłonić do powrotu do domu, dokąd schronił się mruczając. Już czas też było skończyć tę smutną komedję, szeregi się uformowały, uderzyły bębny i ruszyliśmy w pochód.

Dopóki byłem blisko domu, dopóty nie śmiałem się obejrzeć po za siebie; miałem pełne oczy łez, a nie chciałem im pozwolić popłynąć; lecz na zakręcie ulicy obejrzałem się; trzy kobiety machały chustkami, towarzysząc nam zdaleka wzrokiem. Serce zaczęło mi bić gwałtownie.

— Polecam twej opiece, o Boże, wszystko co kocham! — zawołałem. I po raz pierwszy zapłakałem i pomodliłem się, co mi ulgę przyniosło.

O godzinie czwartej staliśmy w szyku bojowym na placu ratuszowym Green odbył nasz przegląd, i mówił nam o ojczyźnie ze wzruszeniem graniczącym z wymową. Głos jego został zagłuszony naszymi okrzykami. Po czem wszyscy zamilkli; każdy wpadł w zamyślenie. Ja jeden



może z całego pułku byłem ożywiony: rzecz dziwna! pilno mi było znaleźć się w ogniu. W chwili wypoczynku chodziłem pomiędzy mymi kolegami śmiejąc się, mówiąc, machając rękami, i mając coś do powiedzenia każdemu żołą nierzowi; żartowałem ze wzruszonych, dodawałem odwagstarającym się uśmiechać, a wszystkim obiecywałem mi pomoc w chwili niebezpieczeństwa; miałem już gorączkę walki. Humbug, który mnie dogonił na placu, patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Coż za człowiek z ciebie doktorze! — rzekł wzdychając. — Podziwiam twój dobry humor i twoją wesołość. Byłeś potulnym obywatelem niedawno, a teraz jesteś zuchwiałym żołnierzem. Czy jesteś Irlandczykiem? Czy masz w twych żyłach krew *non parentis funera Galli.* \*) My Saxonii niesiemy na pole bitwy: *Devota morti pectora liberae*\*\*), lecz nie mamy ani tego zapału, ani tego wdzięku rycerskiego. Prawdziwie widząc pana, zdawałoby się, że bitwa jest zabawą, a niebezpieczeństwo przyjemnością. Wzniciłbyś ochotę pójścia na śmierć nawet w najbardziej zniechęconym.

Odgłos bębnowy zagłuszył mi odpowiedź; Humbug uściskał mnie czule, i nazwał po łacinie połową swej duszy; w chwilę potem rozstałem się z moim starym przyjaciелеm, i to na zawsze.

Wieczór był prześliczny; księżyc oświecał bladymi swymi promieniami zdaleka położone łąki, otoczone topolami i poprzerzynane wierzbami; na dalekim widnokręgu rzeka toczyła swe pośrebrzane fale; było coś uroczonego

---

\*) Gallia nie obawiającego się grobu.

\*\*) Piersi wolne śmierci poświęcone.

w zdaniu się zupełnem na wolę konia i w oddaniu się marzeniom, wśród tej przecudnej natury. Szczęściem żołnierza jest używanie chwili obecnej i niemyślenie o jutrze. Już od jakiegoś czasu oddałem się przyjemności marzenia z otwartymi oczami, gdy wtem dwóch jeźdźców stanęło obok mnie. Podniosłem głowę, i ku wielkiemu zdziwieniu poznałem ponurego Browna, i przyjemnego Trutha.

— Co tu robicie?! — zawołałem. — Co znaczą ten wielki kapelusz, ten surdut krzyżacki, i ta szabla przy boku? Nie jest to przecież ani ubiór żołnierza ani też pastora.

— Doktorze — rzekł Purytanin — wojna to straszna choroba; dusza jest tu również zagrożona jak i ciało; pan pielęgnujesz jedno, my drugą; jesteśmy lekarzami tak jak i pan.

— Prawdziwą jest dla mnie przyjemnością mieć panów za kolegów — odpowiedziałem — lecz to twarde rzemiosło. Chirurg, to jeszcze pół biedy, czułość u niego jest rzeczą nieznaną; aby ręka nie drżała, trzeba by serce zamilkło; lecz pan, kochany Truth, jak potrafisz znieść krzyki rannych i rozpacz umierających?

— To mój obowiązek — rzekł — Bóg mi doda siły na tak długo, dopóki będzie uważał moje usługi za użyteczne albo potrzebne. Wszak zależę od Stwórcy.

Odpoczynek był krótki, i dopiero o godzinie ósmej zatrzymano się na nocleg. Pułkownik chciał nauczyć maszerować; lekcja nie była bezużyteczną, pułk wyglądał jak rozpierzchnięte stado owiec. Jednakże dzielny pułkownik Saint-John winał ochotnikom, przyzwyczajając ich powoli do uważania go za ojca, i pokładania w nim zaufania.

— Nie śmieję się majorze — rzekł mi. — Przed upływem miesiąca będziemy tyle warci co Prusacy. Gdy człowiek ma się za żołnierza, to już nim jest przez połowę; zobaczysz pan, co to jest wojsko złożone z obywateli. Rozłożono się obozem na polu. Porozpalano ognie, poprzywiązywano konie do lanc, i zabrano się wesoło do wieczerzy przy pomocy zapasów żywności, które każdy miał z sobą. Ta uczta pod gołym niebem była prawdziwym świętem dla rekrutów; wojna jeszcze w nich nie wyrobiła żalu po wygodach i miłości domowego ogniska. Po skończonej kolacji, która wcale nie długo trwała, żołnierze zamiast śmiać się i krzyczeć, usiedli cicho na swych płaszczach dla wysłuchania kapłanów. Sztab nasz uformował koło; Truth wszedł wpośród nas, i otworzywszy bibliję, przeczytał głosem natchnionym hymn, śpiewany przez Dawida, gdy go Bóg wyswobodził z rąk nieprzyjaciół:

„Pan jest moją twierdzą; On jest moją siłą, i moim zbawcą.

„Mój Bóg jest moją podporą; ufam Mu. On moją tarczą, On mojem zbawieniem.

„On to wyniósł mnie, On jest ucieczką moją. Mój Zbawco, Ty mnie wybawisz z rąk złych.

„Czyż jest inny Bóg jak nasz Pan? — Czyż jest inna siła jak nasz Bóg?

„On to kieruje w bitwie mojem ramieniem, i czyni je silnem jak łuk spiżowy.

„Będę ścigał mych nieprzyjaciół, i na proch ich zetrę; nie powrócę do domu wpierw aż ich zniszczę. Zniszczę ich i zgniotę, tak że już nigdy nie powstaną; upadną oni pod memi nogami.

„Będą wołać, lecz nikt im nie przyjdzie na pomoc, będą wołać do Pana, lecz Pan ich nie wysłucha.

„Rozprósze ich jak proch; zgmiotę i zdepczę nogami jak błoto.

„Niech żyje Pan! i niech Bóg mój będzie błogosławiony; niech Bóg potężny, Bóg który zbawia, będzie pochwalony\*)“.

Podczas gdy Truth czytał tę piękną poezję, spojrzałem wokoło siebie. Wszyscy oficerowie słuchali modląc się, oczy ich błyszczały zapalem i wiarą. Ostatnie płomyki naszych gasnących ogni oświecały te szlachetne twarze, i rzucały na nie jakiś blask tajemniczy. Zdawało mi się, że żyję w szesnastym wieku, i że zostałem przeniesiony do obozu Główny Okrągłych\*\*). Czyż to jest ten lud, któremu nasze paryskie dzienniki odmawiają wszelkiego patriotyzmu i religii? Nie, despotyzm wojskowy nie zapanuje nigdy na tej szlachetnej ziemi; grunt ten, uprawiany i użyźniany przez Purytanów, może tylko wydać wolność.

Po skończonem czytaniu, ścisnąłem za rękę Trutha, i korzystając z przywileju lekarskiego, przejrzałem wszystkie kompanje, szukając mego syna i Alfreda. Nareszcie znalazłem ich obwiniętych w płaszcze, leżących na ziemi i rozmawiających po cichu. Wiedziałem o kim mówili.

— Dzieci — rzekłem — kiedy się jest żołnierzem, to trzeba oszczędzać swe siły, a pierwszym warunkiem jest sen. Zróbcie mi miejsce pomiędzy sobą, i marzcie z zamkniętymi oczami.

Po czem uściskałem czule moich dwóch synów, obwinąłem się starannie płaszczem, zasunąłem na twarz ka-

---

\*) II. Król, roz. XXII.

\*\*) *Têtes Rondes*, tak nazywano partję rewolucyjną, czyli parlamentarną w Anglii, w czasie wojny domowej za panowania Karola I. P. T.



piszon i zasnąłem tak spokojnie, i z sercem tak lekkim,  
jak gdybym był w swoim domu. Zmęczenie jest słodkiem,  
i niebezpieczeństwo nawet ma urok, gdy się poświęca dla  
ojczyzny, gdy wolno jest narażać się dla tego, co się  
kocha. —

TRZYMIANA PODROŻ

## ROZDZIAŁ XXIX.

### PRZYJEMNA PODRÓŻ.

Wśród najspokojniejszego snu miałem następujące widzenie. Jakiś człowiek, a raczej jakieś widmo leżało na mnie dusząc mnie swym ciężarem. Po drwiącym wzroku i pomarszczonem czole poznałem Jonathana Dream; on tylko jeden miał tak okropne spojrzenie.

— Widzisz doktorze — rzekł on głosem syczącym — że próba udała się, sądzę że teraz, gdy stałeś się prawdziwym Jankesem w przeciągu dni ośmiu, nie wątpisz już o magnetyzmie i jego cudach.

— Tak, tak — wyszeptałem — jestem Jankesem i szczyję się tem. Mam żonę i dzieci podług mego serca; mam ojczyznę do kochania, wolność do bronienia i rozszerzania, jestem panem mego życia, wierzę w Ewangelję i jestem szczęśliwy; jeżeli to jest sen, to nie budź mnie, przez litość!

— Brawo — zawołał — jestem pomszczony. A teraz w drogę do Francji, do Paryża.

Uczułem rękę odkrywającą mój płaszcz i wsuwającą się pod kaptur. Zerwałem się na nogi i chciałem krzyknąć, ale próżne usiłowania, byłem zamagnetyzowany. Niewidzialna ręka schwyciła mnie za jedyny na mojej łysej głowie pozostały promień włosów, i uniosła mnie z niesłychaną szybkością w powietrze.

Jeszcze nie miałem czasu przyjść do siebie ze wzruszenia, gdy już byłem zawieszony jakby ptak jaki w obłokach i krążyłem po nad moim domem. Zdrajca, odjąwszy mi mowę i trzymając mnie ciągle zawieszzonego w powietrzu, zbliżył mnie do okna mego bawialnego pokoju. Ujrzałem w tym drogim mi pokoju siedzące około stołu moją Jenny, Zuzannę i Martę; biedny Zambo siedział w kącie na ziemi i płakał. Zuzanna czytała Ewangelię głosem przezywany, Jenny i Marta robiły bandaże i darły szarpie.

Serce moje wołało je ku mnie i błogosławiło im. Jenny podniosła nagle głowę.

— Zdaje mi się Zuzanno — rzekła drżąc cała — że słyszę głos twego ojca, jestem pewna, że myśli on w tej chwili o nas.

— To rzecz dziwna, mam — rzekła Zuzanna — że i ja mam to samo przeczucie.

— Skutek magnetyzmu — mruknął Jonathan śmiejąc się ponuro. — I cóż powiesz uczony doktorze o tem doświadczeniu?

„Błagam cię o Boże, któryś mi dał Daniela i kazał go kochać, abyś go raczył mieć w swej opiece. Oddalaj tak od niego jako też i mych dzieci niebezpieczeństwo i śmierć. Lecz przedewszystkiem niech się stanie Twoja wola święta o Panie, i niech Twe imię będzie błogosławionem.“

— Amen — rzekła Zuzanna — amen — powtórzyła Marta, i wszystkie trzy zaczęły płakać, gdy tymczasem Zambo gryzł chustkę aby zagłuszyć swe łkania.

Wyciągnąłem ku wam ramiona o drodzy moi, gdy w tem zostałem znów rzucony w przestrzeń i uniesiony nieprzewycięzoną siłą. W mgnieniu oka zniknęło miasto ze swemi migającymi się światłkami, a zaraz po tem znikły pola, łąki, lasy i ziemia, i słyszałem już tylko pod sobą szum wiatru i szmer fal morskich. Widziałem te fale drżące pod blademi promieniami księżyca jakby w niezgłębionej przepaści; byłem na dziesięć tysięcy stóp po nad oceanem.

— A teraz porozmawiajmy — rzekł przeklęty czarownik unoszący się nademną jak orzeł trzymający w swych szponach gołębia. — Powracam ci mowę doktorze Levebvre, nader rad będę z przyjemności porozmawiania z panem.

— Dopokądże będę twoją ofiarą, potworze! — zawolałem.

— Nie jesteś pan bardzo grzecznym, mój dobry przyjacielu — odpowiedział śmiejąc się. — Mówić „ty“ człowiekowi, którego się zaledwie dwa razy w życiu widziało, to wcale niegrzecznie a do tego i nierozsądnie; dosyćby dla mnie było otworzyć rękę, aby pana wrzucić w fale morskie, a nie sądzę aby ci w tym razie przydała się na co żandarmerja francuska pomimo całej znanej swej pilności. Bądź więc pan grzecznym i baw mnie. Jestem zmęczony, straciłem dużo płynu magnetycznego, tak że nie mogę robić więcej nad sto mil na godzinę, dopiero więc jutro rano staniemy w Paryżu. Musimy więc przepędzić razem całą noc, czas jest piękny, podróż przyjemna, bądźmy więc przyjaciółmi i rozmawiajmy.



O czemże można rozmawiać w obłokach jeżeli nie o metafizyce?

— Czy wierzysz pan w Boga, panie Jonathan? — rzekłem głosem pełnym uszanowania.

— Bóg — zawołał on tonem profesorskim i jakby wydając lekcję — Bóg, to stary wyraz, jest to uosobienie idealności.

— Mów pan po francusku — zawołałem.

— Niech i tak będzie — rzekł — więc Bóg jest uidealizowaniem osobistości.

— Jeżeli u pana to się nazywa mówić po francusku, panie czarowniku, to mów lepiej po grecku.

— Tak więc — rzekł on głosem dźwięcznym — Bóg nie jest niczem innym jak kategorią ideału.

— Nic tego nie rozumiem — rzekłem.

— Bo pan nie umiesz po niemiecku — odrzekł. — Filozofja jestto język tajemniczy, przybywający do nas z tamtej strony Renu. Widziałem znakomitych uczonych, którzy nim mówili przez lat dwadzieścia, wcale a wcale go nie rozumiejąc, co jednak nie przeszkadzało im odbierać oklaski.

— Wytłumacz mi pan swój system — rzekłem z przymuszoną słodyczą. — Jesteś pan wielkim człowiekiem, genjuszem, radbym bardzo wykształcić się w pańskiej szkole. Bądź pan przytem tak łaskaw, i nie ciągnij mnie tak za włosy, bo mam głowę bardzo delikatną; a jestem pewny, że nie łatwo było filozofować Absalonowi zawieszonemu na swoim drzewie.

— Jestem uczniem Spinozy — rzekł Jonathan — lecz postąpiłem dalej niż mój mistrz. Nie ma ani materji, ani ducha na tym świecie, jest tylko połączenie sił uorga-

nizowanych, przeinaczających się do nieskończoności; roślinina, zwierzę, człowiek, oto są postacie tego wiecznego życia, oto są bańki wodne wydobywające się na powierzchnię oceanu istot, i schodzące w przepaść, aby z niej znów się wydobyć. Życie, śmierć, są to proste, nie mające żadnej ważności objawy: jednostka znika, lecz postać trwa, a to rzecz główna. Mniejsza o to co działa na koło, byle się tylko zawsze obracało. Oto jest mój systemat, obejmuje on wszystko.

— I nic nie tłumaczy — zawolałem. — Któż stworzył te siły?

— Co też panu przychodzi do głowy, doktorze — rzekł magik. — Stwarzać, byłoby to mięsząc powszechny, wieczny i fatalny porządek rzeczy; nigdy nie było stwarzania. Przypuścić że był początek, to trzeba przypuścić zarazem że była wola; a toby popsulo cały system.

— Sądziłem — rzekłem — że tworzy się system podług zauważanych faktów.

— To dobre dla fizyków — odrzekł. — My zaś filozofowie robimy wprost przeciwnie, my stosujemy fakta do systematu.

— To bardzo genialnie — rzekłem — lecz wyprowadź mnie pan z jednej wątpliwości: sądziłem, że człowiek nie od nazbyt dawna istnieje na ziemi.

— I ja tak sędzę — rzekł — nie ma więcej nad dziesięć do piętnastu tysięcy lat, jak człowiek pokazał się na ziemi; lecz to nie jest stwarzanie... Natura....

— Co to jest natura, panie Dream?

— Jestto druga nazwa dla oznaczenia siły powszechnej.

— A co to jest siła powszechna?

— Jestto druga nazwa natury.

— Dziękuję panu za to filozoficzne objaśnienie.

— Natura — mówił dalej — doznaje w pewnych epokach podwojenia energii, rodzaju gorączki, i wówczas przerabia ona, a w razie potrzeby i przeistacza pewne postacie. Takim sposobem człowiek zjawił się na ziemi; podług wszelkiego prawdopodobieństwa jestto małpa, albo pies przeistoczony.

— A mowa, a sumienie?! — zawołałem.

— To mała rzecz — odrzekł. — To zależy od prostej zmiany fizjologicznej. Trochę więcej doskonałości w wyrobieniu krtani, zamieniło krzyk zwierzęcy w wyraźną mowę. Nie ma sumienia bez przyrządu nerwowego; z czego wynika, że sumienie, jestto rzecz nerwów. Dosyć było nagromadzenia materji popielatej, igraszki natury, dla wydania na świat tego pana stworzenia.

— Biedny panujący — rzekłem — jeżeli jest on tylko pierwszym i najgorszym ze zwierząt!

— Nie — rzekł Jonathan — ponieważ dzięki swemu przyrządowi nerwowemu ma on pojęcie ogólne, co właśnie robi z człowieka osobny rodzaj. Jest to jedyne zwierze, które bawia i oszukują słowami. Człowiek widzi pewne objawy, odbywające się w pewnym porządku, które nazywa prawdami; wyobraża on sobie prawdę powszechną, obejmującą i podtrzymującą wszystkie prawdy szczegółowe; spostrzega on rzeczy piękne, i wystawia sobie piękność, będącą wzorem i typem wszystkich innych. Oto jest ideał, który go porywa i pociesza; i to właśnie prostaczkowie nazywają Bogiem.

— Bardzo dobrze — rzekłem — zaczynam pojmować, co to jest kategorja ideału. Dusza jest zwierciadłem

odbijającym to, co nie istnieje; albo jeżeli pan wolisz, człowiek widzi sam siebie w tem powiększającym zwierciadle, i to przed tym powiększonym portretem ten nowy Narcyz pada na kolana.

— Nie źle, jak na początkującego — rzekł czarownik.

— Tak więc nie ma nic wyższego nad człowieka na świecie?

— Wynik loiczny — rzekł Jonathan.

— Gdyby nie było ludzi na tej ziemi, toby i idea bóstwa nie istniała, a tem samym i Bóg by nie istniał.

— Wybornie — rzekł — stajesz się pan filozofem

— Co to, to nie — zawołałem — nie wiem, czy mój sposób widzenia pozostaje w związku z mem dziwnem położeniem, lecz zdaje mi się, że cała ta metafizyka, jest jak ja zawieszona za jeden włos w powietrzu. Cóż to jest ta natura miewająca podwojenia energii? Wyraz dla zastąpienia najwyższej istoty, która w swej dobroci stwarza z własnej woli świat i człowieka. Czemże jest ta zmiana tkanki, ta przemiana przyrzadów, jeżeli nie dźwięcznie brzmiącym frazesem, tłumaczącym nieznanne przez niemożliwe? Czemże jest ta bezwiedna i bezmoralna siła stwarzająca istotę obdarzoną wiedzą i moralnością? Chimera. Na wysokości, na jakiej się znajduję, sądzi się zupełnie inaczej o rzeczach, czcze słowa nie wystarczają; prawo fizyczne to jest mądry porządek, stałe i nieustające stwarzania wykazują mi i dowodzą, że zawsze czynna i wszędzie obecna wola podtrzymuje świat, i nie pozwala mu się rozpaść. Natury ja nigdzie nie widzę, a obecność Boga czuję wszędzie.

— Brawo, po trzykroć brawo — rzekł magik.



— Więc to nie swój system pan rozwijałeś? — rzekłem nader zdziwiony.

— System ten jest moim, ponieważ go ukradłem — rzekł — lecz wcale weń nie wierzę. Wczoraj przechodząc przez Tubingę, gdzie odwiedzałem jednego z moich dobrych przyjaciół, zacnego wiecznie marzącego teologa, spostrzegłem wielkiego metafizyka, który wskutek długiego pisania zasnął nad Heglem. Za jednym zamachem ukradłem mu jego fajkę, okulary i systemat; obudziwszy się, znalazł on tylko swoje oczy do patrzenia i umysł do sądzenia.

— Biedny człowiek! — zawołałem — cóż on zrobi z temi narzędziami, które mu nigdy do niczego nie służyły?

— Ba! — rzekł czarownik — widać że pan wcale nie znasz filozofów niemieckich. Są to żyjące w swych księgach jedwabniki; wydobywają oni z pierwszego lepszego szpargału nic, przy pomocy której osnuwają się doskonałym systematem, którego nie przebije ani światło, ani hałas. Mój uczony będzie jedynie musiał usnuć sobie nowy kokon. Prawda jest niczem, loika wszystkim. Hegel umarł, niech żyje Schopenhauer! Jest zawsze jakiś król w tem państwie marzycieli.

— Panie — rzekłem — twoje żarty są okrutne. Nie trzyma się człowieka na dziesięć tysięcy stóp w powietrzu dla drwienia z niego.

— Panie — odpowiedział tonem oschłym — pańskie pytania są obrażającemi. Jak pan śmiesz pytać spiritystę, czy on wierzy w Boga? My jedni tylko wiemy co to jest dusza; my jedni mamy w ręku dowód jej nieśmiertelności...

— Cóż to więc jest dusza? — zapytałem z niecierpliwością.

— Jest to siła magnetyczna — odrzekł Jonathan. — Ta jednostka stworzona przez Boga i obdarzona wiedzą sama robi sobie powłokę, jak ziarno zboża rzucone w ziemię tworzy sobie korzenie, łodygę i kłosa. Gdy ciało się zestarzeje, dusza zawsze młoda i zawsze czynna, zrzuca z siebie niedolęzną powłokę, i idzie w świat lepszy szukać nowej formy dla swej nieśmiertelnej energii. Spojrz pan na te błyszczące w przestrzeni światy: Jowisz, Saturn, Syrjusz i tyle innych! Są to sfery, w których żyją ulatujące dusze. Wstępować na nieskończoną drabinę stworzenia, ciągle zbliżać się do Boga nie mogąc Go nigdy osiągnąć, oto nasze świetne przeznaczenie. Śmierć jest tylko przejściem do silniejszego życia. Nic nie ginie na tej ziemi, nie wyjmując nawet najmniejszego ziarenka piasku, jakże więc mogłaby zagaśnąć wiedza? Czyż Bóg miałby być kapryśnym artystą, niszczącym arcydzieła swej wielkości i dobroci?

— Słowa pańskie są piękne! — zawolałem — i trafiają mi do serca; lecz gdzie dowód? daj mi pan ten dowód, którego ludzkość żąda od sześciu tysięcy lat.

— Nie łatwiejszego — rzekł Jonathan — skierujmy nasz lot ku Syrjuszowi, który błyszczy nad nami, a ujrzysz pan jedną ze stacyj, które będziesz kiedyś zamieszkiwał. Nie dawno temu jak odwiedziłem Waszyngtona.

Propozycja ta mogła skusić ciekawego, lecz przekłety czarownik już raz zażartował ze mnie; nie dowierzałem więc jego magji. Obawiając się nudów nowej podróży, odmówiłem, czego mocno żałuję; była to bowiem dobra sposobność, która może nie przytrafi mi się więcej.

— Czy prędko przybędziemy na miejsce? — zapytałem Jonathana.

— Nie zbyt to grzeczne zapytanie — odrzekł. — Spójrzysz pan na dół; czy nie widzisz pan małego światełka na morzu? Jest to latarnia Arabji, która opuściła Boston tego samego dnia, w którym zaniósłem pana do Ameryki; znajduje się ona na pół drogi od Europy; mamy jeszcze sześćset mil do zrobienia, to jest sześć godzin drogi.

Westchnąłem i zamilkłem.

— Jesteś w posępnym humorze, mój przyjacielu — rzekł po chwili obrzydły czarownik. — Jeżeli pan nie lubisz rozprawiać, jeżeli metafizyka drażni ci nerwy, to wybierz jaki inny przystępny przedmiot, w jakim moglibyśmy mieć przyjemność być jednego zdania. Mów mi pan o polityce.

— Co myślisz o niewolnictwie? — zawołałem — co pan myślisz o bratobójczej wojnie rozdzierającej obecnie Stany Zjednoczone? Pod tym względem wszyscy uczciwi ludzie są jednego zdania, spodziewam się, że pan Spirite, szanujący bez wątpienia duszę nieśmiertelną, w jakiegokolwiek koloru skórze by się ona znajdowała, musisz niema widzieć despotyzm i niewolę.

— Oto zupełnie pokojowa kwestja — rzekł — jest ona jednakże delikatniejszą, niż się panu zdaje. Nie prawato stanowią, kto ma rozkazywać a kto słuchać.

— A cóż więc?

— Płyn magnetyczny — odrzekł z nieznośną krwią zimną — To co filozofowie nazywają wolą, energją, potęgą, jest po prostu stanowiącym naszą duszę płynem magnetycznym. Ludzie posiadają go w różnym a nierównym stopniu. Kobieta naprzykład, jest istotą bardziej magnetyczną niż mężczyzna; dlatego też widzisz pan, że po większej części we wszystkich stadłach małżeńskich wbrew kode-

ksowi mąż słucha, a żona rozkazuje. Dzieci, które prawo poddaje pod władzę rodziców, są tyranami domowymi, narzucającymi swe kaprysy całemu domowi i zamieniającymi swe matki w niewolnice. I dlaczegoż to? Ponieważ są bardzo bogate w magnetyzm. Przeciwnie zaś starcy, mający krew wystudzoną, nie mają żadnego wpływu na tych, którzy ich otaczają. Zakochani...

— Przez litość — rzekłem ziewając — dajmy pokój medycynie, a mówmy lepiej o polityce.

— Cierpliwości — rzekł Jonathan touem drwiącym. — Jeżeli jest dowiedzione, że murzyni mają mniej płynu magnetycznego niż biali, to kwestja jest rozstrzygnięta: niewolnictwo jest słusznem.

-- Pańskie paradoksy mnie męczą — rzekłem.

— Paradoksy! — zawołał. — Jesteś zabytkiem średnich wieków doktorze Rococo; czytaj pan waszych historyków i wielkich polityków, badaj kwestję ras, a przekonasz się, że dziś moralność jest po prostu fizjologją.

Jestem bardzo łagodnego charakteru, każdy to przyznaje wyjąwszy mych najbliższych przyjaciół, którzy jak to zwykle bywa, widzą we mnie same tylko wady; lecz niech każdy postawi się na mojem miejscu, a pojmie, że mogło mi zabraknąć cierpliwości. Dostyć było nieprzyjemności być zawieszonym za włosy w powietrzu od sześciu godzin, nie wiedząc dokąd i przez kogo się jest niesionym, aby znieść spokojnie niepodzielanie mego zdania w polityce.

— Racz pan — rzekłem do mego nieprzyjaciela — zachować na inny raz swój dowcip... Nie mogę pana prosić, abys wyszedł za drzwi, lecz oświadczam panu, że odtąd go nie słucham.



— I jakże to pan zrobisz? — rzekł tonem drwiącym.

— Każde słowo pańskie, wymówione odtąd, będę uważał za zniewagę, za którą mi pan odpowiesz.

— Pojedynek w tych wysokościach spokojnych, byłby rzeczą oryginalną; pomyślę o tem, a tymczasem musisz mnie pan słuchać, chcąc czy nie chcąc; spróbuj pan chcieć nie dotrzymać mi towarzystwa.

— Pan nie wiesz — rzekłem zgrzytając zębami — pan nie wiesz, do czego Francuz jest zdolnym.

— Sądzę, że jest zdolnym do popełnienia wielkich szaleństw, wyjąwszy szaleństwa niemożliwe.

— Niemożliwe! — zawołałem — to nie jest wyraz francuzki.

I szybszem od błyskawicy poruszeniem wy dobyłem z kieszeni nożyczki, i uciąłem promień włosów, za który mnie trzymał ten nędznik.

Natychmiast zacząłem spadać, obracając się to na lewo to na prawo jak upadający latawiec. Z początku cały oddany rozkoszy odzyskanej wolności, nie troszczyłem się wcale o to gwałtowne spadanie, dopiero gdy usłyszałem szum fal i wiatru, powróciło mi zastanowienie. Ale już było za późno: morze otwierało się, aby mnie przyjąć w swe głębie, i wyrzuciło mnie mniej szczęśliwego od Jonasza, całego drżącego od zimna i zziębniętego. Nie straciłem jednakże odwagi, i zacząłem płynąć z rozpaczliwym wysileniem. Zrobić pięćset mil w ten pierwotny sposób, to było trochę za trudno, lecz czyż nie mogłem spotkać jakiego parowca na tej wielkiej drodze oceanu? Oglądałem się na około, szukając jakiego światła i widząc tylko ciemność, gdy w tem straszne widmo gotowe mnie unieść powtórnie rzu-

cilo się na mnie jak jaskółka, chwytająca muszkę pływającą na powierzchni wody.

— Spodziewam się doktorze — rzekł wybuchając śmiechem — że ta kąpiel ostudziła ci nieco krew; zacznijmy więc rozmowę od miejsca, na którym stanęliśmy.

— Wolę raczej umrzeć, niż słuchać twych nieznośnych sofizmatów! — zawołałem, i zacisnąwszy pięść, zadałem memu nieprzyjacielowi cios tak straszny, że wszystkie kości mej ręki zatrzeszczały. Wydałem krzyk bólu i....

ROZDZIAŁ XXX.

NAJKRÓTSZY Z CAŁEJ KSIĄŻKI I NAJBARDZIEJ  
INTERESUJĄCY DLA CZYTELNIKA.

..... obudziłem się w mem łóżku.

---

Najkrótszy z całej książki i najbardziej interesujący dla czytelnika.

## ROZDZIAŁ XXXI.

### NIEKTÓRE NIEDOGODNOŚCI PODRÓŻY DO AMERYKI.

Potrzebowałem jakiegoś czasu, aby przyjść do siebie po wyjściu z tego niebezpieczeństwa, czy też z tej zimy. Gdzież byłem? W jakim kraj rzucił mnie mój kat? Odsunąłem firanki łóżka, i ujrzałem pokój ciemny i milczący; była to cichość i pół światło, jakie zwykle otaczają chorego. Gdy oczy moje przyzwyczaiły się nieco do ciemności, spojrzałem na około siebie. Stół pokryty papierami, broszury porozrzucane na wszystkie strony, biblioteka napełniona książkami pozszywanymi i poprawianymi, to wprost to w poprzek leżącymi; kupa różnych świstków wznosząca się na podłodze i tworząca chwiejącą się piramidę, która co chwila groziła upadkiem, wszystko to było na swoim miejscu; był to więc mój gabinet! Byłem w Paryżu, we Francji, nakoniec wróciłem z mej wyprawy. Muszę się jednak przyznać, że ten powrót do środka cywilizacji sprawił mi mierną przyjemność; zasmakowałem był w wolności.

Zadzwoiłem, Jenny weszła na palcach, i zapytała po cichu, czy jej wołałem.



— Bez wątpienia, moja droga — rzekłem — bądź tak dobra i otwórz okiennice, ciemno tu bowiem jak w grobie.

Jenny uchyliła nieco okiennice i zawołała Zuzannę, która wsunęła powoli głowę przeze drzwi, i zatrzymała się patrząc się na mnie niespokojnym wzrokiem.

— A cóż to! moja panno — rzekłem wesoło — nie uściska się dziś ojca?

Lecz ona zamiast rzucić się w moje objęcia, zbliżyła się do łóżka krokiem nieśmiałym, i wzięła mnie płacząc za rękę.

— Jak się dziś czujesz, kochany ojcze? — wyszeptła.

— Bardzo dobrze, moje dziecię, jestem tylko nieco zmęczony i rozdrażniony podróżą.

— Ah! — rzekła Zuzanna.

— Ah! — powtórzyła Jenny.

To wykrzyknienie miało w sobie akcent tak dziwny, że spojrzałem z kolei na moją żonę i córkę; twarze ich były pomieszane.

— Cóż wam się stało? — zapytałem. Cóż ja takiego powiedziałem, coby mogło was przerazić?

— Proszę cię na wszystko mój drogi, nie mów — rzekła Jenny — doktor Olybrius zalecił ci zupełne milczenie.

— Któż to jest ten doktor Olybrius? To pewno ten głupiec, co napisał ogromny tom o *Poście uważanym pod względem higjeny i żeglugi*? Cóż może być wspólnego pomiędzy mną a tym pedantem z zakrystji.

— Doktor Olybrius — przerwała Jenny tonem suchym — jest lekarzem, którego wszyscy się radzą. Od

ośmiu dni pielęgnuje on ciebie ze starannością kolegi i przyjaciela.

— Od ośmiu dni — zawołałem prostując się na łóżku. — Tobie się śni moje drogie dziecko. Jakim sposobem wasz doktor mógł mnie pielęgnować w Paryżu, kiedy byliśmy wszyscy w Ameryce.

— Posłuchaj mnie Danielu — rzekła moja żona głosem wzruszonym — posłuchaj mnie cierpliwie, bo tu idzie o twoje zdrowie a może i o twoje życie. Wczoraj we wtorek minęło dni ośm, jak powróciłeś do domu w stanie oplakany. Podług tego co mówi doktor, musiałeś się radzić jakiegoś szarlatana, który dał ci zażyć opjum czy też haszisz w ilości mcgającej cię zabić. Tylko siła twojej kompleksji a może i nasze starania uratowały cię od śmierci. Przez cały tydzień byłeś ciągle albo w zupełnym letargu, albo też w strasznej malignie. Miewałeś okropne widzenia, które nie jednokrotnie wzbudzały w nas obawę o twój rozum. Dzisiaj odzyskałeś zmysły, doktor Olybrius to przepowiedział, lecz dodał, że ten powrót do zdrowia wymaga jak największego pielęgnowania, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa będziesz potrzebował pewnego czasu dla otrząśnięcia się ze swych marzeń i przyzwyczajenia się na nowo do życia rzeczywistego, i że w czasie tego przejścia milczenie i odpoczynek są nieodzownie potrzebnymi.

Teraz przyszła kolej na mnie spojrzeć z przerażeniem na moją żonę. Cóż miała znaczyć ta bajka wypowiedziana z taką pewnością siebie? Miałem najmocniejsze przekonanie, że byłem w Ameryce; nigdy mózg francuski nie byłby w stanie wymyślić tego, co ja widziałem; przy tem maligna bywa bez związku i nie pozostawia po sobie wspomnień. Lecz jeżeli Jenny pozostawała we Francji, podczas

gdy ja byłem w Ameryce, to któż była ta Jenny amerykańska, którą tak czule przyciskałem do serca? Czy popełniłem dwużeństwo sam o tem nie wiedząc? Czyż było dwie Zuzanny i dwóch Henryków, jeden w Paryżu we Francji, drugi w Paryżu w Ameryce? Czyż byłem dwoi-  
stym? Czyż miałem jedną duszę w dwóch ciałach? Co za zamieszanie! co za chaos!

— Przeklęty Jonathanie — mruknąłem — niech cię djabli wezmą wraz z twoim spirytyzmem! A toś mnie dopiero wprowadził w ambaras!

Nagle otworzyły mi się oczy; gniewałem się na siebie, żem choć przez chwilę chciał słuchać opowiadania mej żony. Czyż Jonathan nie powiedział mi, że tylko ja jeden zachowam pamięć, i że moja rodzina stanie się Jankeesami z urodzenia? Wszystko więc wyjaśniało się w sposób jak najnaturalniejszy w świecie; Jenny była igraszką złudzenia. Jeżeli kto śnił w mym domu, to pewno nie ja, lecz moja żona.

Ta prosta uwaga powróciła mi całą odwagę i poczucie godności.

— Nie ufaj pozorom moja droga — rzekłem do Jenny. — Wasz Olybrius jest osłem; bo ja wcale chorym nie byłem. Dowodem tego mój puls nie mający więcej nad sześćdziesiąt pięć uderzeń na minutę, i to że umieram z głodu, a za waszem pozwoleniem wstanę i wezmę się do śniadania.

Za całą odpowiedź moja żona zaczęła zalewać się łzami; jest to sposób rozumowania, o którym niesłusznie zapomniał Arystoteles, gdyż gra on nader ważną rolę w retoryce małżeńskiej; mąż rozczulony jest już na wpol zwyciężonym.

Zuzanna jak dobrze wychowana córka nie omieszkała pójść za przykładem matki, i uwiesiła się na mojej szyi łkając głośno.

— Ojciec — wołała — mój drogi ojciec, nie martw nas, poczekaj na doktora.

— Będę czekał na niego, ale nie w łóżku i nie na czczo -- odpowiedziałem -- zresztą nie chcę wcale was martwić moje dzieci. Lecz jestem lekarzem i daję wam słowo honoru, że się mam zupełnie dobrze; jeżeli moje zalecenie wam nie wystarcza, to pošlijcie po sąsiada Rose, on także jest doktorem i będzie was mógł uspokoić.

Propozycja została przyjęta. Wezwany Rose wszedł z miną tak pomięszaną i uroczystą, żem mu się w nos roześmiał.

— Dzień dobry mój stary przyjacielu — rzekłem podając mu rękę.

— Pan mi robisz zaszczyt panie doktorze — odrzekł siadając w mym wielkim fotelu.

— Bądź tak dobry weź mnie za puls, i powiedz tym damom, czy nie jestem zdrow zupełnie.

Aptekarz wziął mnie za rękę, porachował poważnie uderzenia pulsu, i odwracając się do Jenny rzekł z miną zdziwioną:

— Gdyby mi wolno było mieć swoje zdanie, tobym ośmielił się powiedzieć, że puls nie ma w sobie nic nieregularnego. Jest on jaknajspokojniejszym i nawet nieco osłabionym, jak u człowieka, który od dawna nic nie jadł. Przesilenie przeszło, jeżeli było przesilenie, czego nie śmiem twierdzić. Sądziłbym — dodał, rozpogadzając czoło -- że kura na zimno i parę szklanek starego Bordeaux, wcale by doktorowi nie zaszkodziło; jestto przepis, który śmiało



może czy to jako zdrow, czy też jako chory przyjąć pan doktor.

Obiedwie kobiety wyszły, aby mi przygotować śniadanie, a Rose podniósł się, i zbliżył się do mnie z palcem na ustach.

— Wyznaj mój doktorze — rzekł pocichu — że od-tąd nie będziesz żartował z opjum?

— *Tu quoque* (i ty także) — zawołałem — Opjum jest niczem w tej całej sprawie, mój drogi sąsiedzie; ja byłem zamagnetyzowany.

— Jakto? — rzekł — pan, doktorze, człowiek powa-żny i rozumny wierzysz w magnetyzm, kiedy akademja medyczna odmawia mu praw obywatelstwa?

— Trzeba było chcąc niechcąc uleźć oczywistości — odrzekłem wzdychając. — Widzisz pan przed sobą ofiarę tego nieszczęsnego wynalazku. Przeniesiono mnie do Ameryki.

Rose cofnął się blady i zmieszany.

— Tak — mówilem dalej — przeniesiono mnie do Ameryki; mnie, dom, ulicę. I pana tam widziałem, panie Rose; byłeś patryotą, odważnym kapitanem żuawów.

— Przestań pan, przestań, na miłość boską; gdyby kto inny oprócz mnie cię słyszał!

— Wątpisz pan o moich słowach? — rzekłem — ża-dasz dowodów?

— Niech mnie Bóg zachowa, abym miał zadawać panu kłamstwo; służyliśmy razem w szeregach gwardji na-rodowej, mam pana za zacnego człowieka, i byłoby mi nader przykro, gdyby ci się miało przytrafić coś nieprzyje-mnego. Usłuchaj więc pan rady, jaką mi dyktuje szacu-nek mój dla ciebie. Bądź pan uważnym i ostrożnym. By-

łeś pan w Ameryce, niech i tak będzie, mówisz to pan, więc ci wierzę; lecz tu wszyscy sądzą inaczej. A znasz pan przysłowie: „Gdy ogół myśli, ogół ma słuszność“. Jeżeli będziesz się pan upierał mówić ciągle o tej podróży magnetycznej, to obawiam się, aby niedowiarkowie nie zemścili się na swój sposób, i nie ogłosili pana za człowieka, który...

Wstrzymał się, potarł czoło, pokręcił głową, i spojrział na mnie z politowaniem.

— Jakto! — zawołałem — to pan może myślisz, że ja mam pomieszanie zmysłów?

— Wcale nie. Ja wiem co o tem myśleć, lecz któż będzie w stanie zatrzymać nadto żywe wyobrażenie? To co się panu przytrafiło, jest rzeczą tak nadzwyczajną, że ją lepiej zachować w sekrecie.

— Siadaj pan, panie Rose — rzekłem — i pogadajmy, a przekonasz się, że nigdy nie miałem zdrowszych zmysłów jak teraz. Jak się niewają twoi dziewięciu synowie?

— Bardzo dobrze, dziękuję za pamięć; udało mi się poumieszczać ich wszystkich aż do Benjaminka.

— Alfreda, nieprawdaż?

— Tak — rzekł uśmiechając się — ładny z niego dwudziestoczteroletni chłopak. Prawdziwa to radość dla ojca poumieszczać, a do tego poumieszczać dobrze całą swą rodzinę.

— I czymże zajmują się pańskie dzieci? Opowiedz mi to sąsiedzie; mów niedowiarku, a przekonasz się, że mam dziś umysł i serce świeże jak przed dwudziestu laty.

— Jeden tylko, najstarszy — rzekł — nie mało miuie namartwił. Był to zupełny portret nieboszczki matki. Uparty, ambitny, mający zawsze swoje przekonania i nie

chcący ustąpić nikomu; nie mogłem sobie z nim dać rady. Z tego powodu byłem zmuszony oddać go do szkoły politechnicznej, z kąd wyszedł jednym z pierwszych. Mógł mieć bardzo korzystne miejsce w dyrekcji tytoniu; ale to koń rozhukany, którego nie podobna okiełznać. Obleciał on świat z różnemi wynalazkami w kieszeni, dziś jest dyrektorem huty, i zdaje mu się że robi majątek. Daj to Boże! ale przemysł, to nader śliski zawód; nigdy nie można wiedzieć czy się udało, aż chyba po śmierci. Jestem w ciąglej obawie o to dziecię... Inni synowie wszyscy mojem staraniem wychowani, zawsze mi byli tylko pociechą. Otrzymali oni wykształcenie naukowe, i dzięki zręcznie użytym protekcjom pomieściłem ich wszystkich w administracji. Dwóch mam przy cę, dwóch w sądownictwie, dwaj inni są już nauczycielami, a ósmy w zarządzie wód i lasów; co do mego Alfreda, to jest on prywatnym sekretarzem prefekta, to jest na drodze do wielkości. Jeżeli mi się uda otrzymać dla niego dobre rekomendacje, to za dwa lata będzie on radcą prefektury, z tysiąc ośmset frankami płacy.

— Jaktó! — zawołałem — pan panie Rose, patrijota, porobiłeś swoje dzieci kancelistami, mogąc im zapewnić stanowisko niezależne, i zrobić z nich obywateli kraju?

— Poszedłem za radą i przykładem ludzi rozumnych, doktorze — rzekł aptekarz. — Prawda, że służba rządowa nie jest świetną, ale zato jest pewną. Człowiek się nie męczy i nie niepokoi; jeżeli się ma jaki majątek, to się gra na giełdzie dla polepszenia swego losu; stara się ożenić z osobą mającą piękny posąg a nie nazbyt młodych rodziców, żyje się spokojnie i starzeje w wygodach, z małą emeryturą w jakim prowincjonalnem mieście.

— To życie ostrygi.

— Ostrygi są spokojne — odrzekł — a to rzecz główna. Bądź naprzykład fabrykantem, kupcem, przedsiębiorcą — a pewnego pięknego dnia rewolucja cię zrujnuje; nazajutrz tworzy się silny rząd, który prowadzi wojnę nie poradziwszy się i nie ostrzegłszy nikogo. A podatki co dzień się powiększające, a kryzys, a współzawodnictwo! wszystko sprzysięga się przeciwko człowiekowi, który pracuje. Nie dla niego jest utworzonym nasze społeczeństwo. Trzeba być warjatem, ażeby się na to wszystko narażać, kiedy nie ma nic przyjemniejszego jak żyć spokojnie i zaszczytnie służąc swemu krajowi. Administracja to Francja! Niech tam sobie republikanie i ludzie delikatnych uczuć ujadają jak im się podoba, ja zawsze wolę aby moje dzieci były pomiędzy tymi co jedzą, jak tymi którzy są zjadani.

— I aby dojść do tego musiałeś pan prosić, wyciągać rękę.

— Tak — rzekł śmiejąc się — trzeba było popełnić kilka podłości. Ukłony na lewo, ukłony na prawo, wszystko poruszyłem, wszystkiemu pochlebiłem, ale dopiąłem swego, a to rzecz główna. Nie rób pan wielkich oczu doktorze, zrobiłem to co wszyscy robią, i pan zrobisz to co i ja. Nie przestałem pomimo to być patriotą i należeć zawsze do opozycji; należę wraz z całą Francją do lewego środka, i mówiąc między nami, tem się szczycę; lecz w chwili gdy idzie o przyszłość mych dzieci, to chowam do kieszeni me przekonania, któreby tylko szkodę przynieść mi mogły.

— Aby je wydobyć w dzień rewolucji, nie prawdaż — rzekłem z ironją.



— Bez wątpienia — odpowiedział tonem naiwnym. — Służy się rządowi, ale się nie ginie dla niego. Rewolucje przynoszą ogromną korzyść administracji; głowa idzie precz, a młodzi ludzie awansują; co piętnaście lat mamy przesielenie, szczęśliwy kto jest w stanie skorzystać ze sposobności, i wyciągnąć dobry numer!

— Mędrzec z ciebie, panie Rose.

— Po prostu rozsądny człowiek — rzekł z zrozumiałą skromnością. — I tak naprzykład, mój Alfred skończył wybornie nauki, i otrzymał nagrodę na wielkim konkursie za rozprawę francuską. Gdybym go był usłuchał, to byłby został adwokatem, piękny zawód ale długi, trudny, pracowity i jak na teraz nie prowadzący do niczego. Gdy tym czasem potrzeba mu tylko dwie lub trzy dobre szanse, aby zostać przy jego rozumie, pięknej powierzchowności i nieco zręczności za dziesięć lat podprefektem, prefektem za piętnaście, a może i senatorem.

— Ah mój Boże! — zawołałem — słyszysz pan ten hałas na ulicy?

Rose pobiegł do okna.

— To nic — rzekł — to tylko koń upadł i człowiek zleciał przez głowę koniowi.

— Jestem zgubiony; otóż znów będę musiał zapłacić pięćset dolarów.

— Co ci jest kochany panie? — rzekł aptekarz zmieszany mojem przerażeniem. — Że jakiś nieznajomy skręci sobie kark na ulicy, to się zdarza codziennie, cóż więc może to pana obchodzić? jest to jedno z tych nie-szczęść, o które nie można obwiniać nikogo.

— To tyczy się przynajmniej waszej administracji — rzekłem opamiętawszy się, że nie jestem w Ameryce.

— Administracja nie jest nigdy odpowiedzialną — odrzekł Rose tonem żartobliwym. — Pielęgnuje ona nas na nasze ryzyko.

— Jest przecież inspektor.

— Bez wątpienia — rzekł — ale inspektor zależy od prefekta, prefekt od rządu, który zależy tylko od Boga i swej szabli. Nieboszczyk mój ojciec mawiał, że są trzy zdarzenia wypadkowe, na które nie ma środka: powódź, pożar i upadnięcie. Obecnie mamy zabezpieczenie od pożaru i powodzi, przeciwko upadnięciu mamy to tylko, co mieli nasi przodkowie: rezygnację.

— Nie tak to dzieje się — zawołałem — w A...

Rose spojrział na mnie, zagryzłem więc wargi i zamilkłem.

— Zresztą — dodał aptekarz — wkrótce pozbędziesz się pan tego nieznośnego bruku, przyprowadzającego od lat dziesięciu o rozpacz furmanów; w przyszłym miesiącu wywłaszczają pana.

— Jak to, wywłaszczają mnie?

— To pan nie wiedziałeś o tem? — odrzekł — od ośmiu dni prowadzi się już śledztwo.

— Ja się temu sprzeciwiam i reklamuję.

— A na cóż się zda reklamować — rzekł aptekarz tonem strofującym. — Przecież znasz kochany sąsiedzie historję o garnku glinianym i garnku żelaznym. Nie bądź upartym, bo to na nic się nie przyda, a może ci szkodę przynieść; wejdź w układy z administracją, zapłaci ci ona dobrze za dom, i czegoż ci więcej potrzeba.

— Nie chcę, aby mnie wypędzano z domu mych ojców; przecież mamy dzienniki, będę krzyczał na gwałt.

— Dzienniki! — rzekł aptekarz. — Chciałbym, aby je skasowano wszystkie. Do czegoż bowiem one służą od lat dziesięciu? Dawniej, za poprzednich rządów, mówiły one przynajmniej prawdę ministrom, co było zabawnem; dziś zaszczepiono im nie wiem jaką chorobę, i stały się niememi jak ryby. Stały się one po prostu afiszami. Czy to mi potrzeba płacić pięćdziesiąt franków na rok za to, że mi przysyłają do domu prospekt wszystkich podejrzanych interesów, które wynoszą pod niebiosa za pięć franków od wiersza? Gdybym był rządem, tobym zmusił dzienniki do mówienia prawdy; a jeżeli nie, to dosyć mi na Monitorze, a i to jeszcze...

— I pan jesteś człowiekiem liberalnym?

— Liberalnym i wolnym mularzem aż do śmierci — rzekł wznosząc rękę w górę ze śmieszłą powagą. — Moje credo polityczne nie zmieniło się ani na jotę od lat czterdziestu. Niech żyje nasza nieśmiertelna rewolucja i cesarstwo, które poniosło aż do Moskwy wielkie zasady 89go roku! Precz z arystokratami i emigrantami! Precz z Jezuitami, którzy są przyczyną wszystkich naszych nieszczęść! Nie jestem nieprzyjacielem religji, jest ona potrzebną dla ludu, lecz żądam, ażeby proboszcze byli patryjotami i porządny mi ludźmi. Nienawidzę podstęp nego Albionu, przeklinam samowładcę moskiewskiego; żądam ażeby Francja oswoodziła wszystkie ujarzmione ludy: Polaków, Węgrów, Wołochów, Serbów, Greków, Maronitów, Włochów i Murzynów. Zresztą lubię pokój i sztuki; nigdy nie można dosyć upiększyć i podnieść naszą pierwszą scenę narodową, komedję francuską, gdzie dawałem oklaski Talmie w Sylli:

Rządziłem bez słabości, abdykuję bez obawy.

Pragnę rządu silnego i patrijotycznego, któryby słu-  
chał poczciwych ludzi, a kazał milczeć adwokatom i ga-  
dulom. Żądam armji mogącej stawić czoło Europie, mary-  
narki silniejszej niż angielska, wszędzie kanałów, wszędzie  
kolei żelaznych; żądam, aby rząd dawał zatrudnienie i chleb  
każdemu robotnikowi. Obok tego żądam skromnego budżetu  
i małych podatków. Nie chcę, ażeby państwo tuczyło się  
potem ludu. Oto mój symbol; jest on symbolem wszyst-  
kich dobrych Francuzów.

— A wolność — rzekłem — ja nie widzę jej wcale  
w pańskim programie.

— Mylisz się pan — rzekł. — Czyż nie powiedzia-  
łem, że żądam rządu energicznego, administracji niszczącej  
wszelki opór indywidualny? W dniu w którym władza, poj-  
mująca dobrze swój własny interes, zmusi nas być wol-  
nymi, będziemy mieli wolność, i narzucimy ją całemu  
światu.

— Co pan rozumiesz przez wolność? — zapytałem.

— Oto jest pytanie — rzekł — które dowodzi przy-  
tomności twego umysłu, sąsiedzie. Mamy mnóstwo głupców,  
wołających: wolność! wolność! a nie widzących się, jakie  
im zastawia fanatyzm i arystokracja. Nie chcę ja tych fał-  
szywych swobód, będących poprostu przywilejami bogactwa  
i zabobonu. Jako patrijota i przyjaciel oświaty, nie chcę  
wolności religji, któraby przyniosła korzyść jedynie sutan-  
nom. Ażeby lud był wolnym, to trzeba pozakneblowywać  
usta księżom. Nie chcę wolności stowarzyszenia, z którejby  
skorzystali Kapucyni, nie chcę ażeby w imię dobroczynno-  
ści gorszono biednych za pomocą politycznej jałmużny, i  
aby im dawano zatruty pokarm. Nie chcę wolności wycho-  
wania, któraby oddała nasze dzieci w ręce Jezuitów. Nie



chcę wolności departamentalnej, któraby wskrzesiła federalizm prowincjonalny; nie chcę wolności gminnej, któraby wznowiła despotyzm panów i proboszczy, i zrobiła z nas niewolników i parobków. Wolę ja rękę rządu nad te prawa anarchiczne, którychby nadużywali ludzie niespokojni, arystokraci, fanatycy i hipokryci. Jestem za ludem, niech żyje wolność!

Patrzałem z przerażeniem na tego poczciwego Beoteńczyka, straszno mi było pomyśleć sobie, że przed moją podróżą do Ameryki i ja znajdowałem się na tymże stopniu głupoty! Ja także zasadałem mój patriotyzm na równości w niewoli; ja także pojmowałem wolność publiczną w zniesieniu wszystkich wolności prywatnych, jak gdyby po tem zniszczeniu mogło zostać co innego, niż zwierzęcy mechanizm administracji. Jonathanie! Jonathanie! przekłety czarowniku, dlaczegoś mnie uczynił obcym w mojej ojczyźnie, lub dlaczego nie przeniesiesz na ośm dni do Ameryki wszystkich Francuzów?

— No, i cóż sąsiedzie? — rzekł aptekarz zdziwiony mojem milczeniem — co myślisz o moich zasadach? Czyż nie jestem człowiekiem naszego wieku? Czyż nie jestem patriotą i Francuzem w całym znaczeniu tego wyrazu? czyż to nie są doktryny, których sam zawsze broniłeś?

— To prawda — odrzekłem — lecz po wyliczeniu tych wszystkich swobód, jakich się obawiamy, nie widzę tych, które nam pozostają.

— Pan żartujesz — odrzekł. — A wolność piekarstwa, czy to nic? A głosowanie powszechne, czy to nie wszystko? W chwili głosowania poznaje się człowieka, który się nie płaszczy przed władzą. Mogę sobie oddać tę

sprawiedliwość, że od lat czterdziestu zawsze głosuję z opozycją. Można mnie złamać, ale nie ugnę się.

— A tymczasem pozwalasz się pan wywłaszczać, nie nie mówiąc.

— Mówiąc między nami — rzekł aptekarz — to mi się wcale nie podoba. Lecz cóż pan chcesz, jestem tylko pojedynczym człowiekiem. Jako obywatel wyzywam tyranów: lecz jako prosty patentowany, nie chcę się pokłócić z administracją, której codziennie potrzebuję. Zresztą jest to podług zasady: interes prywatny powinien ustąpić miejsca interesowi ogólnemu. Pomyśl pan, że gdyby zostawiono twój dom, toby on wystawał najmniej o dwa centymetry nad linię ulicy. Któżby mógł znieść podobny brak symetrii? My Paryżanie przychodzimy na świat wszyscy z kompasem w oku. Wszyscy przechodzący byłiby rażeni tą nierównością, i głośnoby powstawali na naszą municipalność.

— Tak — rzekłem — prawa są niczem, linja prosta wszystkim.

— Nie mów pan źle o linji prostej — rzekł aptekarz — bo mi dasz złe wyobrażenie o swoim świetle i guście.

— Tak więc pan dalece kochasz tę najbliższą drogę od jednego punktu do drugiego, że poświęcasz jej bez żalu swój przemysł?

— Czy ja ją kocham? — rzekł — posłuchaj sąsiędzie, chcę ci zrobić jedno zwierzenie się, które zachwyci cię bez wątpienia, tak jak już zachwyciło wszystkich moich przyjaciół.

— Słucham obydwojema uszami, jak człowiek pragnący być nawróconym.

— Widzisz pan, co robią z Paryża. Stare domy, stare wspomnienia, wszystkie te zabytki barbarzyńskiej przeszłości, padają codziennie pod młotem burzycieli, i są zaraz zastępowane przez ulice proste i pałace wczoraj zbudowane. To rzecz wspaniała; nawet sam Paryżanin nie może się rozpoznać w swoim mieście rodzinnem. Przed upływem dziesięciu lat, Paryż będzie miastem zupełnie nowym; teatrem, hotelem i kawiarnią całego świata. Wychodząc więc z tego punktu widzenia, zrobiłem projekt jeszcze śmielszy i piękniejszy; pomieszczam w Paryżu całą Francję. Prowincja umarła, nie ma więcej ani Owerniaków ani Gaskończyków, ani Sabaudczyków, nie ma nawet i Francuzów; wszyscy jesteście Paryżanami.

— Jest to dzieło olbrzymie — dodał — idzie o wzmocnienie i zkoncentrowanie jedności narodowej, która jeszcze dużo pozostawia do życzenia. Lecz jest na to nader prosty sposób: przedłużam bulwar sebastopolski z jednej strony aż do Bajony, a z drugiej do Dunkierki, prowadzę ulicę Riwoli z jednej strony do Brestu, a z drugiej do Nicei — po drodze obalam wszystko, aby nic nie psuło linii prostej... Co za perspektywa! Co za widok! I wystaw pan sobie, że wydatki są żadne! Wyłączenia nie będą kosztować zbyt drogo, a wartość ziemi podniesie się nadzwyczajnie, ponieważ będzie się zawsze w Paryżu. Wszystkie inne miasta staną się przedmieściami.

Przez środek drogi przeprowadzam koleją żelazną, po obydwóch stronach buduję domy z arkadami, ażeby piesi nie cierpieli, ani z powodu deszczu, ani też z powodu błota: umieszczam dosyć gęsto teatru, a kawiarnie wszędzie. Tym sposobem Paryż stanie się miejscem przechadzki rodzaju ludzkiego. To jeszcze nie wszystko; wzywam do

pomocy sztuki piękne, aby dać pewien styl moim budowlom. Na końcu tego dwustumilowego bulwaru, około Bajony, stawiam posąg na sto dwadzieścia stóp wysoki: Chwała, na drugim końcu, koło Dunkierki: Zwycięstwo. Na końcu ulicy Rivoli ku Brestowi, grupę wojowników; na drugim końcu ku Nicei, nimfy ofiarujące laury. W środku nakoniec, to jest około Bourges, zakładam Walhallę, olbrzymi Pantheon Kolumna, a raczej stos niezmierny, utworzony z dział poukładanych jedno na drugich, będzie podnosił aż w obłoki rodzaj Minerwy z dzidą w kasku i kiryście. Będzie to Francja, królowa cywilizacji, sztuk, i pokoju. W około kolumny urządzą obszerny portyk, ozdobiony pękającymi granatami i bombami; w środku umieszczam posągi wszystkich naszych sław narodowych. Duguesclin, Dunois, Kondusz, Turenjusz, Hoche, Kleber, Massena, Murat, i t. d., u góry umieszczam posągi symboliczne, mające po dwadzieścia pięć stóp wysokości. Z jednej strony Wojnę, protegującą Przemysł i Sztuki, z drugiej Zabór, niosący wolność w obce kraje; w pośrodku Fortunę i Piękność, wieńczące odwagę. Będzie to szlachetne i wielkie; będzie to jeden z tych pomników patryjotycznych, które unieśmiertelniają i podnoszą umysł dwudziestu pokoleń. Niezmierność w jednostajności, co za ideał!

— Sądzę — odrzekłem — że Grecy zasadzali piękność na proporcjach i różnorodności.

— Francuzi nie są wcale Grekami! — zawołał — my jesteśmy Rzymianami, tylko ogrom i symetria nam się podobają; olbrzymiść, to piękno.

Westchnąłem, spuściłem głowę i milczałem.



— Otóż znów wpadłeś w zamyślenie doktorze? I cóż myślisz o moim projekcie?.

— Myślę — odrzekłem, wzruszając ramionami — że przybywam z kraju, gdzie zajmują się wychowaniem ludzi, a nie poruszaniem kamieni i budowaniem pomników. Portyki, kolumny, łuki tryumfalne i posągi, tworzą piękną perspektywę; lecz jest coś piękniejszego, coś większego, coś więcej żywotnego, co rozlewa nawet w najciaśniejszych ulicach błogosławioną jasność, i co najskromniejszy budynek zamienia na pałac, a tem jest wolność.

— Dobrze — rzekł tonem obrażonego autora — otóż znów pan wracasz do swoich mrzonek, czuję, że obecność moja jest tu zbyteczną.

Podniósł się i wyszedł, nie zatrzymywałem go. Coż miałem robić z tym starym warjatem? Słyszałem go rozmawiającego z moją żoną w salonie, rozpoznałem także głos Olybriusa, i następujące wyrazy doleciały mych uszu:

— Spiesz się pan, już czas.

Nie troszczyłem się wcale o to, co miały znaczyć te wyrazy, i źle zrobiłem. Trzeba zawsze mieć się na baczności względem głupców.

## ROZDZIAŁ XXXII.

### RODZINA PARYSKA.

Nareszcie wstałem, i ubrałem się, nie bez żalu jednakże po moim małym domku amerykańskim. Ani kąpieli dla odświeżenia mych zmęczonych członków, ani ognia w mym pokoju, ani nawet ciepłej wody; Francuzi nie pojęli jeszcze, że najpierwszą ze swobód domowych jest mieć wszystko pod ręką i nie potrzebować nikogo. Musiałem co chwila dzwonić, i za każdym zadzwonieniem wchodził uroczyście i poważny lokaj, patrzący na mnie z wysokości swego białego krawata i posługujący mi z majestatycznym politowaniem. Gdzieżeś się podział mój biedny Zambo! Byłeś niezgrabny i śmieszny, aleś mnie kochał.

Ogoliwszy się spojrzałem w lustro; doznałem niejakej przyjemności z odzyskania mej twarzy. Nie dla tego aby ona miała być piękną, lecz że byłem do niej przyzwyczajony; nic nie może być bardziej żenującego jak szukanie się pod obcą maską. W jadalnym pokoju zastałem moją żonę i córkę oczekujące mnie ze źle ukrytym niepokojem. Jenny dla dodania sobie odwagi haftowała

dywan; Zuzanna rysowała rzucając na mnie od czasu do czasu wzrokiem smutnym i przerażonym. Co jednakże nie przeszkodziło mi usiąść do stołu i zajądać z doskonałym apetytem. Po ośmiu dniach wzruszeń i picia czystej wody nadzwyczaj mi smakowało francuskie śniadanie i moje stare Bordeaux. Odzyskałem mą ojczyznę, serce moje goręcej bić zaczęło; poetyczne myśli zaczęły mi przychodzić do głowy, co mi się nigdy nie zdarzyło w Massachusset. Oh, ojczyzno moja, kocham cię jak kochanek kocha swą kochankę, kłócąc się z nią nieustannie i życząc jej wszystkich piękności i wszystkich cnót; o moja droga Francjo! masz ty wiele wad wychowania, lecz natura traktuje cię jak zepsute dziecko. Nic nie może iść w porównanie z łagodnością twego klimatu, bogactwem twych pól, pięknością twych owoców, tęgością twych win. Twoi synowie (gdy rewolucja ich w szal nie wprowadzi) są przyjemnymi, delikatnymi, genjalnymi; twoje córki są jeszcze wykwintniejszymi od swych mężów. Czegóż ci więc brakuje do zostania najszcześniejszym i najszlachetniejszym narodem świata? Jedyne wolności, z której sobie żartujesz, a której nie znasz!

— O czem tak myślisz Zuzanno — rzekłem zdziwiony jej milczeniem. Zwykle bowiem szczebiotała ona jak ptaszek.

— O niczem, kochany ojcze.

— Prawdziwie? mój mały palec mi mówi, że panna niepokoi się o swego starego przyjaciela.

— Nie przeczę temu, ojcze.

— Kiedy tak, to trzeba moje dziecię odpędzić od siebie te smutne myśli. Ja tak dalece czuję się dobrze, że myślę jedynie o twojem szczęściu. No, powiedz że mi moja córko, kiedy myślisz wyjść za męż.

Jenny powstała jakby poruszona sprężyną. Zuzanna zarumieniła się aż po uszy.

— Dajmy pokój tej dziecięcej skromności! — zawołałem. — Wkrótce skończysz lat dwadzieścia Zuzanno, i nie należysz przecie do tych gąsek, które na wyraz mąż spuszczały oczy i przypatrują się końcowi swego nosa. Jeżeli twoje serce przemówiło, to mi powiedz; mam zupełne zaufanie w tobie moja droga, i z góry przyjmuję zięcia, któregoś mi wybrała.

— Idź do mego pokoju Zuzanno, i przynieś mi włóczki do mojej roboty — rzekła Jenny głosem wzruszonym.

Co mówiąc dała jej znak, który przetłómaczony na francuskie znaczy „zostaw nas samych.“

Zaraz po wyjściu Zuzanny Jenny wybuchnęła.

— Jesteś okrutny Danielu! Cóż ci zrobiło to dziecię?

— Jakto! więc ja nie mogę zapytać się mej córki czy się kocha?

— Moja córka nie kocha nikogo, mój panie. Jest to zacna kobieta, która robi tak samo jak jej matka; będzie czekać dnia ślubu, aby pokochać małżonka wybranego jej przez rodziców.

— W dzień ślubu! — zawołałem — to trochę za późno. Jeżeli miłość nie wejdzie pierwszego wieczoru, na zajutrz zostanie drzwi zamknięte. To niebezpiecznie zdać swoje szczęście na wybór rodziców. Idzie się za mąż dla siebie, a nie dla swojej matki. Piękna to rzecz obowiązek, lecz nie może on zastąpić tego pierwszego i głębokiego uczucia serca, które się oddało dobrowolnie.

— Nie wiem z kąąd bierzesz te swoje pojęcia — rzekła Jenny tonem oschłym — powinieneś o tyle przynaj-



mniej szanować swój dom, aby do niego nie wnosić tych smutnych paradoksów

— Ależ, moja droga, we wszystkich krajach świata młode dziewczęta same wybierają sobie mężów. Weźmy na przykład Amerykę.

— Czy jesteśmy Irokińczykami? \*) — przerwała żona.

— No, to weźmy Anglię, Niemcy, nawet Hiszpanję, gdzie idzie się za tego, kogo się kocha, a nie sądzę aby tam małżeństwa były mniej szczęśliwymi niż w Paryżu.

— Ty nie masz przytomności umysłu, Danielu.

— To jest, jedno z nas jest zaślepione przesądem i dowodzi na opak.

— Tak, mój panie, z tą tylko różnicą, że ty jesteś sam jeden swojego zdania, a wszyscy we Francji myślą tak jak ja.

— Ah! — mruknąłem — otóż mój tyran, wszyscy, który mi rozkazuje na nowo. O ileż moja żona więcej była warta w Ameryce!

Na nic by się nie zdało rozprawiać dłużej, a że nie lubię się kłócić, więc uciekłem się do środka, którego brakowało Sokratesowi: zapaliłem fajkę i zamyśliłem się.

Pokój trwał nie długo. Wszedł właśnie Henryk i nieśmiało mnie uściskał. Spojrzałem na mego syna, trudno mi było go poznać. Nie był to wcale ten dzielny ochotnik, gotów w każdej chwili wyruszyć do Indji lub na wojnę, było ładny drobny chłopak, mający minę lalki. Miał włosy przedzielone na środku głowy jakby kobieta; a do tego haftowaną koszulę, stojący kołnierzyk i wstążkę szkocką, która mu służyła zamiast krawata; tak że możnaby go

---

\*) Irokińczycy, plemię żyjące dziko w Ameryce.

było wziąć za młodą dziewczynę w paltocie. Cała jego postawa miała w sobie coś powabnego, delikatnego i niedołęznego.

— Zkądże to przychodzisz moje kochanie? — zapytała go matka.

— Od mego fryzjera, mam.

Swego fryzjera! Mój syn potrzebował perukarza! Przypatrywałem mu się z ciekawością.

— Byłeś dziś rano w ujeżdżalni? — mówiła dalej Jenny.

— Tak mam, i w sali fechtunku także.

— Bardzo dobrze — rzekłem — lubię te męskie ćwiczenia. Młody człowiek powinien jeździć dobrze konno, pływać, boksować się, robić szpadę i strzelać z pistoletu; trzeba, ażeby człowiek cywilizowany walczył nieustannie z denerwującą zniechęcałością, lecz to jeszcze nie wszystko mój kochany Henryku, trzeba przy tem obrać sobie stan. Masz już lat szesnaście, jesteś człowiekiem. Czemu chcesz się oddać?

— Biedne dziecię! — zawołała Jenny — pozwól mu używać najpiękniejszych lat życia; wszakże nie jest on jeszcze nawet kandydatem\*).

— Więc niech się zrobi kandydatem.

— Mam jeszcze dosyć czasu na to, ojciec — rzekł Henryk ziewając. — Na przyszły rok dasz mi korepetytora.

— A to na co? — zapytałem.

— Wszyscy biorą korepetytorów — rzekła Jenny wzruszając ramionami. — Weź np. syna pana bankiera Petit. Nie umiał nic, był prawdziwym idjotą. Otóż człowiek fa-

---

\*) Stopień uniwersytecki najniższy.

chowy włożył mu w głowę całą encyklopedję w przeciągu trzech miesięcy, tak, że zadziwił nawet swych egzaminatorów.

— A w trzy miesiące po tem był również ograniczonym jak przed tem.

— I cóż to szkodzi? — rzekła Jenny — został kandydatem, a to jest tytuł prowadzący do wszystkiego.

— Zostań więc kandydatem mój synu, nie czekając przyszłego roku; chcę abyś w lat siedemnaście miał już jakiś zawód.

— Jeszcze przecież potrzeba aby skończył prawo — rzekła matka.

— Tak, trzy lata przechadzania się w lasku Bulońskim i jeszcze gdzie indziej, wraz z chorobą chroniczną zwaną egzamin. Trzy najpiękniejsze lata życia głupio stracone na próżnowaniu albo przyjemnościach, sprowadzających smutne następstwa! Tego ja wcale nie chcę. Niech Henryk obierze sobie najprzód stan, a potem niech skończy prawo porządnie. No, powiedz mój synu, jaki stan sobie obierasz?

Taki, jaki się tobie podoba ojciec — odrzekł całując matkę, która uśmiechała się do niego i zdawała się mówić: cierpliwości mój synu, twój ojciec nie jest teraz przy zdrowych zmysłach.

— Nie masz żadnego zamiłowania, żadnego powołania? — zapytał Henryk.

— Nie ojciec, wszak to twoja rzecz. Abym tylko pozostał w Paryżu, mógł jeździć konno i zabawiać się z przyjaciółmi, to mi zresztą wszystko jedno.

— Drogie dziecko, jak ono nas kocha! — rzekła Jenny, gładząc mu włosy.

— Bawić się! — zawołałem — a któż ci to wpoił podobne zasady? Nie jest się na to stworzonym aby się bawić, mój drogi. Praca, to jest rozkaz Boga, hamulec na nasze namiętności, chwała i szczęście naszego życia. Nie ma żadnego człowieka twojego wieku w Ameryce, któryby już sam sobie nie wystarczał, i nie miał poczucia obowiązku i godności własnej.

— Danielu — rzekła Jenny z widoczną niecierpliwością — dlaczego męczysz to dziecię, które pragnie tylko podobać się tobie? Poczekaj trochę, będzie on robił to co robią wszyscy.

— To jest: nic nie będzie robił.

— Będzie miał posadę.

— Właśnie to powiedziałem — przerwałem zgorzszony tą słabością macierzyńską. — Posada, oto wielkie słowo, mój syn będzie kancelistą!

— Wszyscy są nimi dzisiaj — rzekła moja żona. — Pokaż mi jednego syna z porządnej familji, któryby robił co innego! Dlaczego chcesz się wyróżniać?

— Jaktó! — rzekłem do Henryka — to ty nie wolisz być sam twórcą swej przyszłości, i tylko swej pracy i talentowi być winien swoje stanowisko? Czyż więc niczem jest niezależność? Czy nie chcesz być adwokatem, lekarzem, fabrykantem, przemysłowcem?

— Dlaczego nie proponujesz mu, aby został kupcem korzennym? — rzekła Jenny z pogardą, która mnie ubodła.

— Masz pani słuszność! Ważyć cukier na swój własny rachunek, to rzecz hańbiąca; ale pieczętować listy i wszywać kwity na rachunek rządu, to rzecz chwalebna, i szlachetna! I ażeby dojść nawet do tego, to trzeba kłaniać



się, prosić, wyprzeć się swych zasad i pochlebiać ludziom, którymby się inaczej ręki nie podało.

— Wszyscy tak robią — rzekła Jenny. — Czy uważasz się za mędrszego, albo też cnotliwszego od wszystkich ?

— O przesady ! przesady ! — zawołałem. — Masz słusność Paul Louis, jesteście narodem lokai !

Byłem rozniewany do najwyższego stopnia, chodziłem szerokim krokiem po pokoju, uderzając pięścią w stół : Henryk spuścił głowę i milczał, Jenny blada patrzyła na mnie z zaciśniętymi wargami.

— Proszę cię Danielu, zakończ tę śmieszna scenę ; zapominasz, że ja nie mam dosyć sił do znoszenia podobnych wzruszeń. Jak będziesz miał umysł spokojny, to przyznasz, że mam słusność. W tej chwili bowiem sam nie wiesz co mówisz.

— Zdaje mi się — rzekłem — że te wyrazy wymówione w obecności mego syna są zupełnie niewłaściwymi ; pani uchybiasz uszanowaniu, jakies mi winna.

— Jesteś chory, mój przyjacielu — rzekła.

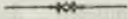
— Dosyć ! — zawołałem — to politowanie jest do najwyższego stopnia niewłaściwem. Pokażę pani, co to jest głowa rodziny. Pomimo twoich przesądów i rozpaczy zmuszę moją córkę do wyjścia za mąż z miłości, i mego syna do obrania sobie zawodu podług upodobania i do tego zawodu niezależnego.

— Zwarzowałeś, Danielu — rzekła Jenny zakładając na krzyż ręce.

— Mam zdrowe zmysły, i przekonam cię, że jestem panem u siebie.

— On warjat! — krzyknęła żona zalewając się łzami, i rzuciła się na szyję Henrykowi, który także zaczął płakać.

W tej chwili otwarły się drzwi na oścież, i zaanonsowano pana doktora Olybriusa.



### ROZDZIAŁ XXXIII.

### DOKTOR OLYBRIUS.

Wszedł — jeszcze go widzę. Głowa łysa z bujającemi to na prawo to na lewo promieniami czerwonych włosów, okulary złote, uśmiech zadowolenia na twarzy, potrójny podbródek ginący w głębokościach szerokiego krawata, surdut ozdobiony wstęgą kolorów tęczy, wszystko zapowiadało głupca, któremu się powodzi. Za nim postępowali jakby dwaj świadkowie adwokat Reynard, zdający się zawsze szukać swojemi oczami kuny jakiej dziury, aby się ukryć, i gruby pułkownik Saint Jean oparty na swojej kuli i dźwigający przed sobą swój brzuch i swą podagrę. Czegoż chciał odemnie ten śmieszny orszak? Niestety! dowiedziałem się tego na moje nieszczęście.

— Dzień dobry piękna pani — rzekł Olybrius biorąc rękę mojej żony, i przykładając do niej swe wargi — przyszedł pani nieco do siebie po tylu znużeniach i wzruszeniach? Oszczędzaj się pani, serce jest słabym organem u kobiet; nie pozwól się pani zamordować swoją czułością.

— Dzień dobry, doktorze — mówił dalej tonem lekkim podając mi rękę, której nie śmiałem mu odmówić — rad jestem, że widzę cię na nogach. To też przychodzę tu jako przyjaciel a nie zaś jako lekarz. Powiedziałem to tym panom, którzy szli jako sąsiedzi dowiedzieć się o pańskim zdrowiu, a którzy nie śmieli wejść ze mną.

— Dzień dobry, panie Lefèbvre — rzekł pułkownik. — Djabło byliśmy chorzy? Ale kaliber dobry, tak jestem szczęśliwy, że jeszcze pana widzę, że niech mnie djabli wezmą.

Reynard nie kłął wcale, lecz tonem słodziutkim powiedział mi komplement, którym zostałem draśnięty sam nie wiedząc dla czego.

— Jak się pan miewasz? — rzekł Olybrius.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem.

— Tem gorzej — rzekł — to nienaturalnie; jest to dowodem, że trucizna jeszcze się nie wyczerpała. Po ośmiu dniach zniszczenia sprawionego przez opjum, powinieneś pan być na pół martwym, bez pulsu i głosu

— To człowiek żelazny — rzekł pułkownik. — Do licha! wystarczyłoby to na zabicie karabiniera.

— Kochany kolego — rzekłem do Olybriusa — twoja diagnostyka cię omyliła. Moje zdarzenie było tak nadzwyczajnym, że każdy uczony byłby na twojem miejscu został również w błąd wprowadzonym. Ja nie byłem otruty przez opjum, lecz zostałem zamagnetyzowany i przeniesiony do Ameryki, z kąd wróciłem tej nocy.

— Do licha! — zawołał pułkownik — to trochę za wiele; dowodziłem pułkiem Gaskonów, którzy nie mieli sobie równych co do łgarstwa i odwagi, lecz panu przyznają palmę pierwszeństwa.



— Ja wiem zawsze co mówię, kochany kolego — rzekł Olybrius słodko-kwaśnym głosem. — Fakta mówią za mną; nie ma gburowatszego jak fakt. Że pan sobie wystawiasz, iż byłeś w Ameryce, to mnie wcale nie dziwi, jest to skutek opjum; lecz ja, który pana pielęgnowałem przez całe ośm dni i nocy, mogę ci zaręczyć, żeś ciągle zostawał z ciałem i kośćmi w swem łóżku, i ani na chwilę nie opuściłeś Paryża.

— Ja mój panie — odpowiedziałem — przybywam z kraju, gdzie panuje sama prawda. Nabrałem wstrętu do kłamstwa czy to urzędowego czy towarzyskiego; myślcie sobie co chcecie, ja jednak mogę tylko powiedzieć jedną rzecz: czy to ciałem, czy umysłem, tego nie wiem, ale przepędziłem ośm dni w Ameryce.

— Skutek opjum — rzekł Olybrius wydobywając tabakierkę i zażywając tabaki. Mózg nie jest jeszcze oswo-bodzony, złudzenie trwa ciągle. Trzeba działać na pański umysł, mój kochany panie, a inaczej błony mózgowe staną się teatrem ważnego i długotrwałego nieladu. W podobnym przypadku, jak to pan wiesz, koniecznem jest wybić sobie z głowy urojenie, i wierzyć rzeczom na słowo swego doktora. Pan nie byłeś w A-me-ry-ce — dodał wymawiając każdy wyraz z naciskiem i tonem rozkazującym.

— Pozwolisz mi pan — rzekłem — pozostać przy mojem zdaniu.

— Na miłość boską nie upieraj się Danielu, bo się gubisz — zawołała moja żona wzruszonym głosem.

— Mój Boże — rzekłem — jakimże to głosem mówisz to moja droga, zdaje mi się że słyszę tę biedną Rachel w roli Roxany:

— Słuchaj Bajazecie! czuję że cię kocham,  
Gubisz się! strzeż się pozwolić mi wyjść.

Za całą odpowiedź Jenny wzniosła ręce ku niebu, i wzięwszy Henryka za rękę uciekła z pokoju zakrywając twarz chustką.

— Do licha! — rzekł pułkownik — martwisz pan swoją żonę. Cóż u diabła, przecież można kłamać dla przypodobania się kobietom. Chyba nie jesteś Francuzem, do licha!

— Pogadajmy nieco, kochany sąsiedzie — rzekł adwokat półgłosem, jak gdyby zaczynał jaką obronę. — Jeżeliś pan był w Ameryce, toś widział ten kraj ze wszystkimi szczegółami, i znasz go do gruntu; jeżeli zaś tylko marzyłeś, to masz pod tym względem idey nie zupełne, pomieszane, i mówiąc po prostu chimeryczne. Pozwól mi więc pan zadać sobie kilka pytań, które cię powrócą do życia rzeczywistego, i które ci pomogą przekonać się samemu o fałszywości lub prawdziwości pańskich wrażeń.

— Mów pan, słucham cię.

— Czyś pan widział podczas swego pobytu w Ameryce ludzi strzelających do siebie z pistoletu na ulicy? Czy wieszano po dwie lub trzy osoby dziennie na podstawie tego prawa latarniowego, tego Lynch-law, którego nazwę a może i ducha pożyczyci sobie od nas Amerykanie.

— Zostaw pan te głupstwa dziennikom — odpowiedziałem. — Amerykanie są tysiąc razy spokojniejsi i cywilizowańsi od nas. Nawet pojedynek jest tam rzeczą nie znaną.

— Do licha! — zawołał pułkownik — to za nadto, kraj, w którym się nie pojedynkują, czyż może istnieć coś podobne-

go? Same więc tylko zakonnice z Sacré-Coeur mieszkają w tym klasztorze.

— Skutek opjum — rzekł Olybrius — wszystko wydaje się piękniejszym.

— Powiedz pan brzydszemu — przerwał pułkownik. — Do licha! gdybym się znalazł pomiędzy tą hołotą, tobym policzkował wszystkich, aby się przekonać czy mają serce w piersiach.

— Czy istnieje jaki rząd w Ameryce — rzekł adwokat — lub czyś pan nie znalazł przypadkiem przynajmniej jakich śladów takowego?

— Jest tam najpiękniejszy z rządów, to jest taki, który najmniej rządzi, a zostawia obywatelom jak najwięcej wolności do rządzenia się samymi sobą.

— Skutek opjum! — przerwał Olybrius — każdy wie, że Ameryka to czysty bezrząd.

— Zadaj sobie pan fatygę pojechania do Stanów Zjednoczonych — rzekłem zniecierpliwiony — a znajdziesz tam rząd centralny; trzydzieści cztery Stany oddzielne; trzydzieści pięć senatów i trzydzieści pięć izb sejmowych.

— Nie przypuszczam, ażeby dzicy byli w stanie wymyśleć podobne kombinacje.

— Do licha — rzekł pułkownik — trzydzieści pięć gniazd adwokatów i gadu! Jeżeliby podobne szaleństwa były możebnymi, tobym gotów zrobić tę podróż naumyślnie, aby zmusić te trzydzieści pięć czered do powyskakiwania przez okna! Do ataku broń! skrzyżuj bagnety, i wszystkie ptaki uleciały; a wówczas do licha! ma się rząd, który nie żartuje.

— Czy są ministerstwa? — zapytał adwokat jak mógł najmniej cierpkim głosem.

— Bez wątpienia.  
— Naprzykład ministerstwo wyznań.  
— Nie, wyznania są stowarzyszeniami woluemi i niepodległemi. Każdy może otworzyć świątynię, będąc podległym tylko ogólnemu prawu.

— To być nie może — rzekł adwokat. — Byłoby to bowiem wydać społeczeństwo na intrygi księży i wszystkie nienawiści religijne. Co dzień by miała miejsce rzeź świętego Bartłomieja.

— Może się to panu wydawać rzeczą niemożliwą, nie mniej jednakże istnieje — odpowiedziałem — i dodaję, że w żadnym kraju nie ma więcej tolerancji i dobroczynności.

— Skutek opjum! — rzekł Olybrius.

— I nie tylko kościół jest wolnym — mówiłem dalej zapalając się — ale i szkoły i szpitale również są wolnymi. Każdy może nauczać, każdy może przynosić ulgę nędzy nie mając potrzeby żebrać pozwolenia u rządu lub udawać się do policji, jak gdyby chodziło o otwarcie miejsca zepsucia.

— To marzenie — rzekł adwokat — to jest materialnie niemożliwym.

— Skutek opjum — rzekł Olybrius.

— Doktorze Olybrius! — zawołałem — jeżeli kto z nas dwóch ma w tej chwili fiksjację, to pewno nie ja.

— Ja nie mam jej wcale, doktorze Danielu — odrzekł — w czem powołuję się na świadectwo tych panów; dosyć mi jest stwierdzić, że w tem wszystkim coś nam dotąd powiedział, nie było ani trochę sensu.



— Czy jest Rada Stanu w Ameryce — zapytał adwokat, mający całą wytrwałość badającego sędziego.

— Nie panie; sądownictwo wystarcza wszystkiemu; administracja mu jest podległa.

— Co za chimera! — rzekł Reynard — lud nie mógł by istnieć i sześć miesięcy bez tego wyborczego podziału władz, stanowiącego chwałę naszej nieśmiertelnej konstytuancy. Przypuść pan np. że zbawienie państwa wymaga, aby cię zaarrestowano bez formy procesu; cóżby w takim razie zrobiono w pańskim kraju Huronów?

— Coby zrobiono? — odpowiedziałem. — Postępowanie w takim razie jest bardzo proste; zaskarżonoby zu-chwalca, stawiającego się po nad prawo, i skazanoby go na kilkaset franków kary.

— Co też pan mówisz, a w cóżby się zamienili prefekci? byłby to wówczas zawód zupełnie niepotrzebny.

— Prefekci — rzekłem — tych tam nie ma.

— Nie ma prefektów! — zawołał śmiejąc się — nie ma prefektów? A coż pan chcesz, żeby robili obywatele, jeżeli się za nich nie działa.

— Zajmują się sami swemi interesami, rzekłem. — Nie pomyślałeś pan jeszcze o tem, szanowny mężu Stanu?

— Nie pomyślałem — rzekł sucho — bo ja myślę jedynie o rzeczach możebnych. Któż tam kieruje umysłem publicznym, i uczy obywateli myśleć?

— Pewno że nikt.

— Jakto, nie ma dyrekcji dzienników?

— Nie, nie ma. W tym kraju, jak go nazywacie Huronów, każdy mówi i drukuje co mu się podoba, pod jedyną gwarancją sprawiedliwości i prawa. Dzienniki są tam uważane jako dobrodziejstwo. Podtrzymują je i pomnażają

na wszystkie strony. Nie ma żadnych kaucyj, żadnych stemplów, nic tego wszystkiego, co przeszkadza szerzeniu się światła, nic co narusza wolność.

— Do diabła! — rzekł pułkownik — oto kraj, gdzie żandarmerja musi mieć nie mało roboty.

— Nie ma tam żandarmów, panie pułkowniku.

— Nie ma żandarmów! — zawołał. — Do licha! już mam tego dosyć, i nie żądam więcej. Jeżeli pan nie jesteś warjatem sąsiedzie, to żądam aby rozwalono Charenton. Nigdy jeszcze nie widziałem nic podobnego; nie ma żandarmów! Dlaczegoż nie powiedzieć lepiej od razu: nie ma ani armji, ani piechoty, ani kawalerji, ani artylerji, ani generałów, ani pułkowników, ani kapitanów; społeczeństwo Chińczyków lub Irokińczyków, jakiego jeszcze nigdy świat nie widział!

— Pułkowniku — rzekłem — przez siedmdziesiąt lat Ameryka nie miała wojska, i niech tylko zostanie przywrócony pokój w Stanach Zjednoczonych, to znów się bez takowego obejdzie. Masz pan słusność, że to jest społeczeństwo Irokińczyków.

— Dosyć tego, młody człowieku — rzekł marszcząc brwi. — Szanuj siwe wasy. Jestem bardzo spokojny człowiek, do licha! lecz nadziałem już nie jednego, który mi i przez pół tyle nie nablagował, jak to pan robisz od kwan-dransa.

— Skutek opjum — rzekł Olybrius. — Jakżeby można żyć bez żandarmów, i bez wojska? Możliwoby było zgromadzać się o każdej godzinie dnia, na ulicy lub gdzie indziej, mówić o polityce, krytykować rząd, chodzić uzbrojonym, i Bóg wie co jeszcze?

— W samej rzeczy panie — rzekłem — wszystko się to dzieje, a pomimo to spokojność wcale nie bywa zakłócaną. Obywatele wolni i przyzwyczajeni do wolności, umieją się sami prowadzić. W razie potrzeby istnieją prawa; dosyć jest jednego urzędnika policji, i sędziego pokoju, aby porządek był utrzymany lub pomszczony.

— To dosyć — rzekł Reynard, rzucając znaczące spojrzenie na Olybriusa. — Jestem przekonany doktorze.

— A w jaki sposób jest wykonywaną sztuka lekarska w pańskim kraju Kokaniów? — rzekł uroczyście głupiec, obracając tabakierkę między palcami.

— Jestto jedna z rzeczy, które mnie najwięcej zadziwiły; kobiety tam trudnią się leczeniem i to z powodzeniem.

— Do licha — rzekł pułkownik — czemuż to ja nie miałem majora w spodnicy, gdy leżałem przez trzy miesiące w łóżku w Konstantynie, z kulą w łydce! Byłbym wtenczas oddał wszystkich lekarzy za jedną lekarkę.

— I nie jest to jedyny stan, któremu się kobiety oddają; wzięły one też w swoje ręce oświatę; one to wychowują młodą Amerykę.

— Muszą one być wybornymi pasterzami! — rzekł pułkownik. To są szkoły, gdzie się pewnie nie nauczają dawania sobie kulaków, tej podstawy wojny i cywilizacji! Cóż może wyjść z tych zakładów? Tchórze i mazgaje.

— Wyszło z nich siedmkroć sto tysięcy ochotników, którzy się biją po bohatersku.

— Nie naśluduj pan dzienników, do licha — rzekł pułkownik. — Moja gazeta mówi mi co rana od dwóch lat o tych sławnych popisowych, którzy nieustannie uganiają się jedni za drugimi, a nigdy nie mogą się spotkać. Ach,

gdybym ja tam był, choćby tylko z moim lekkim czternastym; jakżebym bił, mniejsza o to kogo, stosownie do woli rządu. Już mi Ameryka kością w gardle stanęła; żądam, aby dla różnaitości i zabawienia mnie, przeniesiono rewolucję do innego kraju.

— Nie przypuszczam pułkowniku, abyś bronił niewolnictwa?

— Kpię ja sobie z Murzynów. Ale co do Amerykanów, tych nieuwidzę! Jestto banda żebraków i demokratów, dająca najgorszy przykład Europie, i stanowiąca plamę cywilizacji. To też życzę sobie, aby Północ połknęła Południe, i udusiła się przetykając je. Oto moja polityka, i nie ja jeden jestem tego zdania, do licha!

— Pozwól pan — rzekł Olybrius, powstając z powagą — że streszczę w kilku słowach naszą rozmowę. Odpowiedzi tych panów, pańskich przyjaciół i sędziów, te odpowiedzi pełne sensu i prawdy, powinny były pana przekonać, że pański mózg nie znajduje się w stanie normalnym. Przyznasz pan, że społeczeństwo bez administracji, bez wojska, bez żandarmów, z dziką wolnością modlenia się, mówienia, działania jak się komu podoba, jest jedną z tych strasznych zmór, które jedynie opjum jest w stanie sprawić. Pański systemat nie mógłby trwać nawet przez kwadrans; jestto zaprzeczenie wszelkich zasad i wszelkich warunków tej cywilizacji, która stanowi jedność naszego wielkiego narodu. Mądrość naszych ojców tworząc administrację hierarchiczną i centralistyczną, od dawna wyniosła Francję do państw najpierwszego rządu, i nauczyła Francuzów, że wolność, to posłuszeństwo. Oto jest nasza chwala i nasza siła, nie zapominaj o tem kolego i przyjdź do siebie. Te idey anarchiczne, które niepokoją twój mózg,



a któreby nigdy nie mogły wejść do głowy francuskiej, dowodzą pannę, że jesteś chory, i to tem bardziej chory, że tego nie czujesz. Koniecznie potrzeba, abyś się pielęgnował; dodam nawet, że leczenie energiczne może ci przywrócić panowanie nad samym sobą i spokój, które utraciłeś.

— Dlaczegoż pan nie powiesz od razu, że jestem warjatem, i że trzeba mnie zamknąć.

Olybrius westchnął, wziął w dwa palce tabaki, zażył ją powoli, i popatrzył na mnie wzrokiem zasmuconym.

— Jesteś mocno chory, biedny przyjacielu — rzekł mi — ale ja cię wyleczę, i ocaleę cię wbrew tobie samemu.

Czułem wściekły gniew w sercu, i zaledwie mogłem się powściągnąć.

— Skończmy tę komedję panie — rzekłem — i tak trwa ona za długo, jestem zmęczony.

Olybrius zaczerwienił się aż po uszy.

— Zaczynasz pan mówić szczegółniejszym tonem — rzekł podnosząc głos.

— Nie gniewaj się kochany doktorze, bo nabawisz się ataku apoplexji.

— Ja nie znoszę impertynencyj, doktorze Danielu — rzekł zgrzytając zębami. — Czy wiesz do kogo mówisz mój mały panie?

— Wiem mój gruby panie; do głupca.

— Nie zapominaj pan — rzekł — że masz przed sobą człowieka, którego wszyscy panujący w Europie ozdobili orderami.

— Pomówmy o tem! — zawołałem. — Każe się oprawić w czerwony safjan tom głupstw, i składa się go w ambasadzie; za co zostaje się mianowanym komandorem, lub

kawalerem Hippopotama, lub Kondora. Krzyże, to jałmużna, którą książęta rzucają literackim żebrakom.

— Wiesz pan — odparł Olybrius, piniąc się ze złości — wiesz pan, że mając 32 lat, zostałem jednogłośnie mianowany członkiem akademji medycznej?

— To właśnie dowodzi, że mam słuszość. Gdybyś pan był miał talent, tobyś był miał i nieprzyjaciół; trzymano by cię za drzwiami towarzystwa aż do pięćdziesięciu lat, i zostałbyś pan przyjęty większością jednego głosu. Głupcy nikogo nie zaćmiewają, to też wchodzi do akademji jakby do młyina.

Czułem, że zaszedłem trochę za daleko. Pułkownik śmiał się na całe gardło; lecz Reynard spoglądał na mnie w dziwny sposób, a Olybrius dusił się ze złości. Zbliżała się chwila, w której miały się zmienić role, i chory miał puścić krew lekarzowi. Lecz adwokat miał bez wątpienia płynne złoto w gardle; parę słów powiedzianych do ucha Olybriusowi, powróciły temu głupcowi całą jego spokojność. Djabelski uśmiech rozpogodził zmarszczki jego twarzy. Zbliżył się do pułkownika, uderzył go po ramieniu i odprowadził w kątek pokoju, wraz z Reynardem, swym wiernym doradcą.

Ten sposób postępowania, ta narada odbywająca się u mnie a bezemnie, wydały mi się dziwnymi. Przechadzałem się szybkimi krokami gotów co chwila wybuchnąć, gdy wtem Olybrius wyszedł nie ukłoniwszy mi się. Reynard zaś przeciwnie oddał mi głęboki ukłon. Pułkownik zbliżył się do mnie z miną uradowaną. Oczy jego błyszczały.

— Wiesz pan co — rzekł zacierając ręce, żeś porządnie wykpił tego parafjanina.

— Złe zrobiłem — odpowiedziałem.

— Ja tego nie powiem — rzekł Saint-Jean — zrobiłeś mi pan wielką przyjemność do licha! Nie cierpię ja tych błaznów, co każą sobie ofiarować ordery, ryzykując zawsze tylko cudzą skórę; lecz mówiąc między nami, nie jest on wcale kontent. To rzecz naturalna, nie prawdaż? Mówi, żeś mu pan ubliżył, i żąda abyś go przeprosił.

— Ja? — zawołałem.

— Bądź pan spokojny — rzekł pułkownik — powiedziałem mu moje zdanie, to człowiek rozsądny; urządziłem całą sprawę.

— Bardzo dobrze.

— Będziecie się bić.

— Będziemy się bić? — rzekłem mocno zdziwiony. — I kiedy?

— Zaraz na gorąco, jak mówiono w pułku. Nic nie ma niebezpieczniejszego jak dać ostygnąć podobnym rzeczom. Straciłem przynajmniej z dziesięć sposobności z powodu czekania przez dwadzieścia cztery godzin. Mój powóz jest na dole, możemy zaraz jechać, mam wyborne pistolety, będziesz pan niemi zachwycony. Urwałem z nich ucho pewnemu małemu jegomości, który na mnie krzywo patrzył pod pozorem, że był zyzowaty. Dalej więc mój zuch, chwile są policzone. W drogę do licha!

— W tej chwili będę na pańskie rozkazy — odpowiedziałem.

— Chcesz pan uściskać żonę i dzieci? To zły systemat! człowiek się rozczula i ręka drży. Nie ma nic gorszego nad traiczne pożegnania, wypij pan szklanekę madery, wypal parę cygar, a to podwaja siłę moralną i dodaje pewności ręce.

Nie czulem żadnej potrzeby podnoszenia mej odwagi, będąc cały uniesiony gniewem. Wszedłem do salonu: zastałem tam Jenny bladą i niemą przyciskającą do siebie dzieci: słyszeli oni wszystko.

— Jedziesz z doktorem — rzekła Jenny głosem obumarłym.

— Tak moja droga, i prawdopodobnie nie powrócę jak za dni kilka.

— Powrócisz wkrótce — rzekła, i wstrzymała się jakby przerażona.

— Tak — rzekłem — jeżeli się tak Bogu spodoba to powrócę wkrótce. Pozwól niech was uściskam wszystkich przed moim odjazdem.

— Bywaj zdrów kochany Henryku i pamiętaj na moje rady. Na nieszczęście nic nie zrobiono aby wyrobić w tobie wolę; namiętności zajmują w naszej duszy miejsce niezajęte przez wolę. Wyrób w sobie przekonania wyrozumowane i energiczny charakter; tym tylko sposobem jest się człowiekiem. Obierz sobie stan niepodległy, i sam sobie wyrób stanowisko w świecie. Nie uginaj karku nigdy i przed nikim, nie miej nigdy potrzeby rumienić się przed samym sobą, i nie troszcz się o przyszłość. Szczęście nie istnieje w rzeczach ziemskich, ale w rozkoszy czystego sumienia; prawdziwą wielkością jest wielkość uczciwego człowieka, który się wznosił przez pracę i cnotę. Bywaj zdrów bądź chrześcijaninem i obywatelem; pamiętaj, że istnieją dwie siły dla zwyciężenia pożerającego nas samolubstwa: miłość Boga i miłość wolności.

— Bywaj zdrowa Zuzanno, sama sobie wybierz męża. Nie uważaj ani na stanowisko, ani na majątek, ale na serce; jest to jedyne bogactwo, którego nie zniszczy ani czas, ani



wypadek. Przedewszystkiem wybierz człowieka, którego szanujesz i podzielającego twe przekonania; bądź dumną z ojca twych dzieci. Miłość ulatuje, zaufanie i szacunek pozostają przy domowem ognisku, i starzejąc się stają się świętszemi i słodsze jak sama miłość. Jak będziesz miała dzieci, to pozwól rozkwitać się ich duszom; nie uczaj ich okrutnej mądrości tego społeczeństwa, które sprowadza wszystko do interesu; pozwól im marzyć jak ich dziadek, chociaż miałyby tak jak on cierpieć. Najnieszczęśliwsi na tej ziemi nie są ci, co płaczą.

— Bywaj zdrowa moja droga Jenny, wybacz mi, jeżeli ci sprawiłam przykrość, i przyjmij odemnie tę ostatnią radę. Wy Francuzki macie za wiele rozumu i sprytu; aby być szczęśliwym potrzeba nieco więcej prostoty. Dla czego wiecznie żyć po za domem? świat może wam ofiarować tylko rozdrażnienie i nudę. Pamiętaj o tem co powiedział święty Paweł: „Nie mężczyzna został stworzony dla kobiety, ale kobieta została stworzoną dla mężczyzny.“ Poślubcie domowe ognisko, zasadzajcie waszą przyjemność na stosowaniu się do woli męża, bądźcie królowemi w ulu, w którym was Bóg umieścił; oto jest szczęście, którego szukacie daleko, a które napróżno czeka na was w domu. Ach, czemuż to nie jesteśmy w Ameryce, tam to istniała miłość i szczęście.

Jenny była nader wzruszona i płakała, lecz na te ostatnie słowa usunęła się odemnie, i drżała gdym ją ścisnął. Henryk przyjął moje pieszczoty zimno i obojętnie; jedna tylko Zuzanna zawiesiła mi się na szyi, i oblała łzami.

Jeszcze raz przycisnąłem ich wszystkich do serca. i pojechałem, aby więcej nie wrócić. W jednej chwili zszedłem ze schodów, i wsiałem do powozu. gdzie mnie czekał

pułkownik ze swemi pistoletami. Zapytałem go gdzie jedziemy.

— Nic nie wiem — odrzekł — jedziemy za powozem Olybriusa ; sędzę że nas prowadzi do Saint-Manelé, do jakiego prywatnego ogrodu. Nie ma przyjemności od czasu jak popsuto Vincennes i buloński lasek, aby je pozamieniać na angielskie parki. I bijże tu się w kręcącej się alei, odpędzaj tych wszystkich ludzi, którzy postępują za tobą, aby zacierać ślady twych kroków. Brakuje nam ogrodzonego miejsca w Paryżu, to hańba dla starego honoru francuskiego, do licha!

Pułkownik był nader nudny i bardzo się powtarzał; aby mu więc zatkać usta, poczęstowałem go czem prędzej cygarem, i zagłębiwszy się w kąt powozu poszedłem za modą francuską, wymagającą, aby rozmyślać wtenczas dopiero, gdy już jest za późno. Pojedynek w moim wieku i z podobnej przyczyny był szaleństwem, do którego pozwoliłem się doprowadzić brutalowi i głupcowi. Byłem zdecydowany nie strzelać do Olybriusa, lecz to mnie wcale nie usprawiedliwiało. Jak to, i ja nie miałem siły oprzeć się głupiemu przesądowi! Moje myśli i wyrzuty sumienia przeniosły mnie do Ameryki, odświeżyły mi się w pamięci te łagodne i szlachetne twarze, ci dobrzy i szczerzy przyjaciele, którzy mnie podnieśli aż do siebie. Truth, Humbug, Naaman, Green, nawet sam Brown, uśmiechali się do mnie<sup>3</sup> a z nimi i cała ta rodzina amerykańska, która była uciechą mego serca, również jak Marta i Zambo. Co za różnica pomiędzy dwoma krajami! Paryż, w którym się znajdowałem, wydał mi się obcem miastem; znikły gdzieś ulice moich lat dzieciennych, a z niemi i moje wspomnienia; moi sąsiedzi wydawali mi się ograniczonymi, próżnymi, samolu-

bnymi; ich język i czynności, wszystko stosowało się do mody; nigdzie prawdy, nigdzie prostoty. Przeżyłem więcej przez ośm dni oddechania wolnem powietrzem w Massachusetts, jak przez lat pięćdziesiąt w Paryżu. Otworzyły mi się oczy, otrząsnąłem się ze starych przesądów; moja ojczyzna była tam gdzie mnie kochano, gdzie żyłem! dusza moja wyrwała się na drugą stronę Oceanu.

Cały oddany tym marzeniom, dopiero przy wysiadaniu z powozu przyszedłem do siebie. Znajdowaliśmy się na podwórzu wielkiego domu o zakratowanych oknach, coś nakształt klasztoru, zakładu naukowego lub więzienia. W głębi był ogród, który Reynard mi wskazał jako miejsce pojedynku, i zaproponował abym wszedł do takowego, a tymczasem on z pułkownikiem i dwoma przyjaciółmi ułożą warunki pojedynku.

Postąpiłem naprzód bez żadnego podejrzenia, gdy nagle zamknięto za mną kratę; odwróciłem się, lecz w tejże chwili czterech silnych ludzi schwyciło mnie za ręce i nogi; opierałem się jak szalony, krzychałem, stłumiono mój głos. W mgnieniu oka zostałem zaniesiony do dolnej sali, rzucony i przywiązany do fotelu. Po czem wszystko zaczęło się kręcić na około mnie z niepojętą szybkością; masa wody z lodem spadła mi na głowę, i zemdlałem.

...niez wytrzymała się na drugą stronę Oceanu.  
Cały widok ten marnotrawi, dopiero przy wykładzie  
nie z powrotem przetrzymać. Ciepłota wzięta się na

ROZDZIAŁ XXXIV.

W A R J A T.

Saint Mondé, dom doktora Olybriusa.

20 kwietnia 1862.

Są trzy rodzaje osób, któremi prawo pogardza, i które zupełnie zostawia na łasce administracji: dziewczęta, warjaci i dziennikarze. Lecz sądzę, że jakkolwiek byłyby ich występność (mówię o dziennikach) lub jakikolwiek błąd, to jednakże ci nędzarze nie przestają być godnymi sprawiedliwości i litości. Jeżeli zawinili, dlaczegoż ich nie sądzić? Jeżeli są nieszczęśliwymi, dlaczegoż ich traktować jak wiunych? Jestto zadanie, które polecam filantropom będącym na urlopie. Bardzo jest pięknie wykupywać małych Chińczyków; nie mniej pięknie wyratowywać z ognia wdowy Malabaru, które towarzyszą swym mężom nawet na śmierć (przykład mógłby być zaraźliwym), lecz byłoby może również niezłe bronić ludzkość we Francji, i poddać pod ogólną opiekę prawa biedne istoty, ofiary wychowania, urodzenia lub społeczeństwa. Oto jeszcze jedno marzenie,



które muszę zachować dla siebie, aby nie narażać się na tusze wodne i puszczenie krwi!

Los mój został zdecydowany; grałem niebezpieczną grę przeciw przesądowi, i przegrałem. Głupiec, mający się za lekarza, uznał mnie warjatem; moi dobrzy przyjaciele potwierdzili z radością poświadczenie pomieszania zmysłów. I otóż jestem zamknięty, i to na zawsze. Czyż mogę wyprzec się prawdy? Nie! poznałem wolność, zakosztowałem nieco tego upajającego miodu; ujrzałem przedwieczny ideał, jestem warjatem! nie chcę i nie mogę być wyleczonym.

Francuzi mają więcej rozumu, aniżeli go sami sobie przypisują. Uwięzić ludzi, którzy myślą, rozumują i mówią, jest to ze strony większości zadać cios, którego skutek jest niechybny. Gdzie jest siła, tam jest i opinia. Pędźcie spokojne życie szczęśliwe barany! przeżywajcie w milczeniu; mówcie sobie becząc, że jesteście królami świata; wasi pasterze nie zabronią wam tej niewinnej przyjemności. Bawcie się i używajcie życia, nie macie się czego obawiać; szaleńcy, którzyby mogli mięszać wasz spokój, są za kratami; czem się jest mędrszym, tem się więcej śmieje.

Żona moja mnie nie odwiedza; ona taka uczuciowa! rozczulenie by ją zabiło! Ja sam nie chcę widzieć mych dzieci. Biedny Henryk, jeżeliby się zaraził odemnie moją chorobą, to jakieżby mógł zrobić los? A ty moja Zuzanno, za bardzo cię kocham, abym ci chciał przygotować przyszłość łez. Łzy córki, to jedyna próba, mogąca zachwiać męczennika.

Sąsiedzi nie zapomnieli o mnie. Rose mi pisze, że moje smutne wydarzenie wcale go nie zdziwiło. Poznaje on w tem rękę Jezuitów; moja żona za często chodziła

na mszę! Jest on na drodze do odkrycia rozgałęzionego spisku, knowanego przez wielebnych ojców; powiada, że to oni podburzają Południe przeciwko Północy, mieszają spokój Europy, i przygotowują upadek Sultana. Wszystkie rewolucje są ich dziełem; oni to są przyczyną wszystkich nieszczęść; ulubiony jego dziennik odkrył tajemnicę tych okropności i podłości. Rose ma zdrowe zmysły, ponieważ przechadza się wolno po ulicy, ja jestem warjat, ponieważ mnie zamykają.

Oto list pułkownika. Odważny Saint-Jean przeprosza mnie za wzięcie udziału pomimo swej wiedzy w mem arestowaniu.

Powiada, że chciał za to poobcinać uszy Olybriowski, ale kiej nie chciał się zgodzić na operację. Pułkownik dodaje, że jeżeli mnie obraził, to jest gotów dać mi zadośćuczynienie. Proponuje, ażebyśmy sobie wzajemnie w łeb wypalili, żeby mi odebrać prawo żalenia się. Ponieważ gra jest nierówna, więc nie mogę przyjąć tej grzecznej propozycji. Pułkownik mówi mi też i o polityce. Radość jego nie ma granic z powodu, iż widzi wybuchającą ze wszystkich stron wojnę. Jest to prawdziwy żołnierz, i jako taki ma przekonanie, że ludzie po to są na tej ziemi, aby się wzajemnie zabijać. Matki na to tylko wychowują przy niezliczonych wysileniach i trudach swych synów do lat dwudziestu, aby ich potem posłać do jatek. Pułkownik chodzi wolno, to człowiek rozsądny, ja jestem warjatem!

Przeczytajmy dziennik; jestem tylko widzem przypatrującym się ze swej zakratowanej łoży komedji i aktorom tegoczesnym. Korzystajmy więc z jedyne go prawa, jakie mi przysłuża, gwizdajmy.

„Wyszło z druku nowe dzieło naszego wielkiego mowcy i znakomitego publicyisty, pana Reynard. Dzieło to, które bez wątpienia otworzy autorowi drzwi do akademji nauk moralnych i politycznych, nosi tytuł „Jedność“. Pan Reynard dowodzi w sposób nieprzeparty, że wszystkie cierpienia i wszystkie rewolucje Francji, pochodzą z jednej i jedynej przyczyny: słabości centralizacji. Dziś kiedy dzięki kolejom żelaznym i telegrafom przestrzeń nie istnieje, Francja, kraj wzorowy, może nakoniec znaleźć sobie konstytucję, któraby jej pozwoliła spełnić swe wielkie powołanie. Autor łączy w jednym ręku władzę duchowną i świecką; wyborny środek, aby raz skończyć z temi niezgodami, rozdzielającemi świat od piętnastu wieków; znosi on rady municypalne, rady jeneralne, izby, dziennikarstwo i wszystkie inne środki opozycji, do przebaczenia może w epoce krytycznej, w wieku walk i przejścia, lecz które zupełnie są niepotrzebne w wieku organicznym jakim jest nasz, i z najbardziej centralistyczną rassą na świecie. Jeden człowiek, papież cywilizator, umieszczony u steru rządu, i mający w swym gabinecie węzeł nici telegraficznych, będzie rządził całą Francją, swoją nieomylną i nieprzewycięzoną wolą. Jako organ wszechwładztwa ludowego, będzie on uosobioną demokracją, narodem w postaci jednego człowieka. Odtąd nic nie będzie stać na przeszkodzie postępowi, wszystkie niezgody ustaną, wszystkie anarchiczne głosy zostaną ścięte jednym zamachem“.

„Wszedłszy w szczegóły, niepodobna nie podziwiać prostoty systematu, co jest zwykle oznaką wszystkich wielkich wynalazków. Odtąd będzie we Francji tylko jedna dusza i jedna myśl. Cały kraj będzie jednym wielkim i genialnym mechanizmem, poruszany i kierowanym je-

dną sprężyną. Któż będzie mógł zamącić tę wielką harmonję, utworzoną przez zgodność jednej tylko nuty? Jedna i ta sama depesza powtórzona w czterdziestu tysiącach gmin, będzie oddziaływać na czterdzieści milionów obywateli od rana do wieczora. „Pracujcie“ powie telegraf, i zaraz znajdzie się praca dla wszystkich. „Bądźcie wykształceni“, niewiadomość ustanie. „Bądźcie cnotliwymi“, i zostanie zamkniętą Bursa. „Bądźcie szczęśliwymi“, i szczęście będzie zupełnem“.

„Trudno pojąć, jak ludzkość mogła istnieć tak długo bez urzeczywistnienia tego cudownego odkrycia, które uniesmiertelni imię pana Reynard. Ale cóż, para istnieje od wczoraj, a telegraf elektryczny od dzisiaj. Zresztą nasi królowie mieli poczucie tej prawdy, którą teraz ogłosił światu człowiek genialny. Nasi wielcy panujący nie troszcząc się nigdy ani o prawo, ani o sprawiedliwość, obalali zawsze niedogodny sobie opór, i dlatego to historia podziwia i wielbi Franciszka I., Richelieu'go, Ludwika XVI i Napoleonów. Saint-Simon przeczuwał tę piękną reformę; lecz sława prorocтва należy się bez podziału znakomitemu i głębokiemu panu Reynard. Nie ma ani jednego Francuza, któryby mu nie zazdrościł jego odkrycia i powodzenia“.

— Niestety! — pomyślałem sobie — pan Reynard przechadza się wolno, i chodzi gdzie mu się podoba; podziwiają go i zazdroszczą mu. Jest on więcej niż filozofem, jest wielkim człowiekiem, a ja jestem warjatem!

— Co widzę? nazwisko mego kata. Cóż mógł napisać ten intrygant? czytajmy.

„Akademja medyczna miała wczoraj nader interesujące posiedzenie. Jedna z naszych znakomitości lekarskich, znany doktor Olybrius, czytał rozprawę o rozumie, genju-



szu i pomieszaniu zmysłów. Dowiódł on, że skutkiem sympatycznego węzła, łączącego w nas działania mózgu z działaniami żołądka, ten ostatni organ ostatecznie wyrabia i rządzi wszystkimi siłami nerwowymi, które ludzie niefachowi nazywają zdolnościami. Rozum jest rozdrażnieniem nerwów, genjusz zapaleniem chronicznem, a pomieszanie zmysłów zapaleniem gwałtownem. Na poparcie swego systemu, doktor przytoczył nader ciekawy przykład. W tej chwili ma on w swoim ręku nadzwyczaj drogocenny przedmiot do doświadczeń. Jestto pewien doktor L., który wystawia sobie w swoim warjactwie, że został nagle przeniesiony do Ameryki, i że tam przepędził cały tydzień. Jest w szale tego biedaka mieszanina obłąkania, wspomnień i idei oryginalnych, które doktor Olybrius śledzi i obserwuje jaknajstaranniej. Choroba jest do najwyższego stopnia gwałtowną; uczony jednak Olybrius nie traci nadziei, że ją potrafi zamienić na chroniczną, i całkiem ją przerobić przy pomocy puszczenia krwi, tuszowania i odpowiednio urządzonego żywienia. Jeżeli mu się uda, to zadanie zostanie rozwiązane. Z nawpół wyleczonego warjata można będzie zrobić człowieka genialnego. Zaraz po skończeniu doświadczenia, uczony doktor zda o niem sprawozdanie akademji. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad następstwami tego wielkiego odkrycia. Brakuje Francji wielkich ludzi, kiedy nic nie będzie łatwiejszego, jak narobić ich wiele się podoba, i zaopatrzyć nimi świat cały. W samem Charenton jest trzy tysiące chorych, których przy pomocy dobrego leczenia możnaby było w ciągu mniej niż sześciu miesięcy zamienić na poetów, muzykantów i różnego rodzaju artystów. Znajduje się tam setkami zapoznanych Mozartów i Rafaelów“.

„To czytanie, przepelnione dowcipnemi uwagami i genialnemi wyrazami, było słuchane w głębokiem milczeniu, często przerywanem pochlebnym szmerem. Nie podobna mieć więcej rozumu, jak doktor Olybrius; słysząc go możnaby się obawiać o jego zdrowie; lecz uspakajamy się, widząc siłę muszkułów, i potęgę płuc“.

— Potrójny głupcze! — zawolałem — mniej jednak ograniczony od tych, którzy cię słuchają! ty jesteś uczonym, członkiem akademji, filozofem, a ja który cię wygwizduję, jestem warjatem!

Nie, nie chcę wracać do tego społeczeństwa ludzi próżnych, obawiających się prawdy, i których można złapać jak skowronki na lustro, olśniewając ich. Jeżeli tłum mnie odpycha, to i ja wypędzam go z mego spokojnego miejsca pobytu; samotność wraca mi wolność. Tutaj chcę żyć i umierać, pocieszany przez ewangelję, otoczony starymi przyjaciółmi, którzy są zawsze wiernymi, i nie kłamią nigdy: Sokrates, Demostenes, Cycero, Dante, Cervantes, Ludwik de Leon, Milton. I was także, mowcy poeci, obywatele, ludzie odepchnęli, wypędzili, uwięzili i pomordowali. Warjaci i wichrzyciele za życia, zostaliście uznani za mędrców i patriotów po śmierci. Świat buduje ołtarze ofiarom, które pomordował. Historia ludzkości, to historia męczenników.

Dlaczegożby i na mnie kolej przyjść nie miała? Jeżeli nie jestem wielkim człowiekiem, to czyż nie bronilem wielkiej sprawy? Kto wie, czy mój kraj zbrzydziwszy sobie denerwujące go próżności, nie przebaczy mi mej dzikości i cierpkości? „To co jest gorzkiem dla smaku, jest słodkiem dla serca“, mówi przysłowie, tak się dzieje i z prawdą. Jest ona zdrową, jak zapach pól i gajów, jak wiatr

przechodzący przez lody i morza: kto raz odetchnął tem żywym powietrzem, ten dusi się wśród rozdołów i błot.

Mam nadzieję, wbrew wszelkiej nadziei; jestem wartem. Gdybym był rozumnym, tobym postępował tak jak postępują ludzie zręczni; wyrzekłbym się mych nadziei, i krzychałbym z tłumem. Nie chcę ja tych zasmucających radości, wolę moje więzienie i me marzenia.

Co rana pociesza mnie widzenie w mej milczącej i biednej celi. Spostrzegam z dala bielejące wierzchołki, to wschodząca jutrzienka, jutrzienka dnia, którego ja nie ujrzę; ale mniejsza o to? Cóż to za jasny punkt okazujący się na horyzoncie, który zdaje się rozpędzać uciekający cień? Jest to nowa Jerozolima, miasto przyszłości. Wszystko tam zostało zmienionem; znikły ostatnie ślady pogaństwa; pojedynczy człowiek rozkazuje: jest on królem. Szanowany przez wszystkich i szanujący ich nawzajem, jest on sam panem swych czynności, sam odpowiedzialny za swoje życie, nie on nie ma nad sobą oprócz prawa. Kościół odzyskał ewangeliczną niepodległość, i zerwał te cudzołożne węzły, które na nieszczęście świata narzucił mu Konstantyn. Powróciwszy do swego boskiego małżonka, jest on hamulcem, pociechą i nadzieją wszystkich dusz; Ewangelja, to konstytucja zapewniająca wolność. Nauki rozsiewane pełnemi rękami, otwierają serca prawdzie; miłosierdzie, dzieło ogółu, rozwija instynkt łączenia się i potrzebę działania wspólnymi siłami, co stanowi wielkość społeczeństw. Prowincja odzyskała swoje dawniejsze znaczenie; miłość małej ojczyzny podwaja i wzmacnia miłość wielkiej. Gmina potargała swoje więzy; żyje ona i działa, powołuje i zatrzymuje koło siebie swe dzieci. *Times* przestaje być organem Francji; dziennikarstwo jest wolne, każdy mówi to co myśli, i

myśli to co mówi. Państwo zamknięte w swoich granicach staje się dobrodziejstwem. Jest ono jedynie mieczem kraju na zewnątrz i prawem wewnątrz. Prawda, sprawiedliwość, wolność, błyszczą na tem nowem niebie jako gwiazdy pokoju, zaćmiły one plagi starej Europy: swawolę, intrygi i kłamstwo. Francja szczęśliwa i dumna kwitnie w pokoju i dobrobycie; jest ona przykładem i przedmiotem zazdrości dla innych narodów, tam to rozkosznie jest żyć, tam to słodko umierać.

Oto moje marzenie; rzuca ono na moją izbę więzienną jakąś jasność, pogodę, która mi rozgrzewa serce. Co to za piękny będzie dzień, w którym spadną maski, i warjaci staną się mędrkami, a mędracy warjatami! Wtedy to, około roku 2000 pobożni pielgrzymi, tak liczni jak mrówki, będą odwiedzać celę, w której ja nowy Daniel głosiłem przyszłość. Wtedy także jaki ciekawy, który z tych uczonych co pracują zawsze aby nic nie robić, będzie szukać pod gruzami przeszłości dowodu na to, czem mogły być odmiany Francuza w dziewiętnastym wieku, odmiany na zawsze zaginione, jak Karlin ku wiecznemu żalowi Szwajcarów. Będą się pytać ciekawie, co to było takiego, jezuitożerca, awanturnik w szlifach, wynalazca ras centralistycznych, wielbiciel Boga Państwa. I ojciec rodziny zwiedzając sale muzeum historii naturalnej, będzie pokazywał swym zadziwionym dzieciom olbrzymi słój, gdzie będzie spoczywał zakonserwowany w occie wraz ze swemi krzyżami i patentami — ostatni Olybrius.

Amen, Amen, Amen, Amen!



ROZDZIAŁ XXXV.

MĘDRZEC.

Doktor Olybrius etc. etc. do pani Danielowej  
Lefévre.

22 kwietnia 1862.

„Szanowna pani!

„Nasz biedny przyjaciel był mocno cierpiący, teraz ma się nieco lepiej, je, pije i spi: nie ma zupełnie swej woli, a to rzecz główna.

„Przejście było straszne, wpadał w szal, jak tylko chcieliśmy go pielęgnować. Jest to jeden z najcharakterystyczniejszych symptomatów tej smutnej choroby. Francuz jest z natury łagodny, uprzejmy, grzeczny. zawsze gotów robić to co mu każą jego panowie, żona lub przyjaciele. Spojrz pani na historję naszej świetnej rewolucji! Ażeby zbawić Francję i zaszczerpić jej miłość równości, sprawiedliwości i braterstwa, Konwencja wyjęła z pod opieki prawa wszystkich Francuzów. Rujnowała ich, wypędzała, zsyłała na wygnanie, kartaczowała, rozstrzeliwała, gilotyno-

wała. Czy choć jeden się znalazł, któryby się oparł? I czyż jest dziś coś słuszniej popularnego jak to nieśmiertelne Zgromadzenie? Lecz niestety, jak tylko szaleństwo opanuje Francuza, to natychmiast staje się on samowolnym i złym. Broni się gdy go aresztują, buntuje się gdy go zamykają; wciąż tylko myśli i mówi o wolności. Oto jest upadek umysłowy i moralny, jaki sprowadza za sobą gwałtowna choroba nerwów u osób osłabionych.

„W taki to stan popadł nasz biedny przyjaciel. Lecz na szczęście jego czuwałem nad nim. Dwa obfite puszczenia krwi, trzy energiczne przeczyszczenia, oblewanie wodą z lodem, przywróciły mu spokój, którego tak potrzebował. Mam nadzieję, że choroba wychodzi z perjodu gwałtownego, przeszedłszy w stan chroniczny da ona zadziwiający rezultat; na których buduję nadzieję mej sławy.

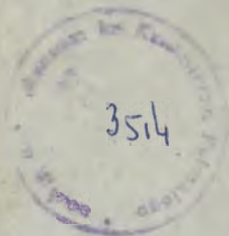
„Obecnie jest on spokojny, zajmuje się bazgraniem; co jest niestety aż nadto pewną oznaką, że jest jeszcze dalekim od wyleczenia się. Poselam pani tę bazgranię, której on dał tytuł: „Paryż w Ameryce“, nie chciałem z niej nic wymazywać, nie wyjąwszy nawet zniewag przeciw mnie skierowanych, a które padają u nóg moich. Kawaler dwudziestu siedmiu orderów, członek trzydziestu trzech akademij zagranicznych i ośmdziesięciu dwóch towarzystw prowincjonalnych nie ma potrzeby obawiać się ani czasu ani zawiści. Francja zawsze czczyła Olybriusów. Strzeż się pani jednak rozszerzać albo drukować podobne szaleństwa; nic nie ma zaraźliwszego nad chimere; mózg ludzki jest słaby, newrozja jest chorobą, której trzeba się wystrzegać. Zachowaj pani te papiery, posłużą ci one do otrzymania wyroku uznającego jej męża za pozbawionego praw nad panią. Nie sędzę, ażeby rozsądny Francuz znający swój

wiek i swój kraj mógł przeczytać dwie kartki tych sennych marzeń, a nie uznać autora za warjata, i nie przyznać że go koniecznie trzeba zamknąć.

„Przechodząc do ciebie, kochana pani, pozwól mi dotknąć punktu nader delikatnego. Osoba tak uczuciowa jak pani, potrzebuje jak największego oszczędzania się; zacznij bywać w świecie, widuj wiele osób, staraj się rozerwać; nudy zabiłyby panią. Przepisuję pani rozrywki i przyjemności. Nie żyw pani próżnych nadziei, są to wzruszenia, któreby osłabiły twoje zdrowie i tak już zachwiane. Biedny doktor nie powróci nigdy do domu. Jakąkolwiek bądź postać przybrałaby choroba, choćby się stała podobnem do genjuszu szaleństwem literackiem, zawsze będzie rozsądnem i koniecznem trzymać w zamknięciu człowieka tak niebezpiecznego dla swej rodziny i dla społeczeństwa. Możesz mi pani zupełnie wierzyć, nauka jest nieomylną, a Olybrius nie myli się nigdy. Będąc młodym można się wyleczyć z szaleństwa miłości, starzy na nie umierają; szaleństwo ambicji ustępuje niekiedy wiekowi i pogardzie ludzi; lecz nie podobna się wyleczyć z szaleństwa wolności.

„Upadam do nóg kochanej pani“ etc.

K O N I E C.



wiek i swaj kraj miedl przeżył, dwoje takich samych  
można, a nie stane nawet za waga, i nie przeważa  
w żadnym porządku sąsiad.

Priechodząc do siebie, Kochana pani, powołał mi do-  
kład punktu nader szlachetnego. Osoba tak uczciwa jak  
pani, potrzeba jak najświętszy czczyciel; każda  
bądź w świecie, gdzie jest osoba, starać się rozumieć,  
a nie przychodzić panie. Priechodząc pani rozrywki i powo-  
lanması. Nie czytam paragrafów, nie czytam, nie  
cierpię ciele, tylko zdrowie i tak już sądzicie. Jed-  
nym do tego nie powstaje do domu, fatalnie, jeśli  
pozostają przybierać choroba, choć się są podobać do  
jednemu składowemu historkiem, zawsze będąc rozdwaj-  
niam. Niektórzy w zranieniu zdrowia tak nie do-  
prowoznego dla swego kraju i dla społeczeństwa. Może mi  
pani zupełnie wierzyc, nigdy jest niezgodny, a Główny  
nie woli się nigdy, nigdy, nigdy nie woli się woli  
zawieszanie, któryś od nie mniej jak szlachet-  
nie, nigdy nie woli się woli i powołać tutaj: bez  
nie podobna się woli, woli woli woli

K O N I C

4359